



*Poruszająca historia,  
która pochłania bez reszty!*

**LIANE MORIARTY**

autorka *Wielkich kłamstewek*

W

SIECI

CZY WIESZ, Z KIM  
ROZMAWIA  
TWOJE DZIECKO?

Z Ł @

WENDY JAMES

 **Poradnia K**

WENDY JAMES

W

S I E C I

CZY WIESZ, Z KIM  
ROZMAWIA  
TWOJE DZIECKO?

Z Ł @

Przełożyła Dorota Pomadowska



# Spis treści

[Karta redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Prolog](#)

[Część pierwsza](#)

[Beth](#)

[Beth](#)

[Beth](#)

[Beth](#)

[Beth](#)

[Sophie](#)

[Beth](#)

[Charlotte](#)

[Część druga](#)

[Andi](#)

[Sophie](#)

[Charlotte](#)

[Andi](#)

[Sophie](#)

[Beth](#)

[Andi](#)

[Charlotte](#)

[Beth](#)

[Charlotte](#)

[Sophie](#)

[Sophie](#)

[Andi](#)

[Andi](#)

[Sophie](#)

Andi

Część trzecia

Andi

Beth

Andi

Charlotte

Andi

Beth

Andi

Charlotte

Andi

Beth

Andi

Beth

Andi

Beth

Andi

Część czwarta

Sophie

Andi

Charlotte

Beth

Sophie

Beth

Beth

Podziękowania

Przypisy

THE GOLDEN CHILD © Wendy James, 2017

All rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by Poradnia K, 2020

Copyright © for the Polish translation by Dorota Pomadowska

Redaktor prowadzący: PAULINA POTRYKUS-WOŹNIAK

Redakcja: AGNIESZKA TRZEBSKA-CWALINA

Korekta: MAGDALENA GERAGA

Projekt okładki i stron tytułowych: JAN PFEIFER

Zdjęcie wykorzystane na okładce: polya\_olya / Shutterstock.com

Projekt typograficzny i łamanie: MONIKA ŚWITALSKA / Good Mood Studio

Wydanie I

ISBN 978-83-66005-77-8

Poradnia K Sp. z o.o.

ul. Wilcza 25 lok. 6, 00-544 Warszawa

e-mail: [poradniak@poradniak.pl](mailto:poradniak@poradniak.pl)

Poznaj nasze inne książki.

Zapraszamy do naszej księgarni internetowej:

[www.poradniak.pl](http://www.poradniak.pl)

[facebook.com/poradniak](https://facebook.com/poradniak)

[instagram.com/poradnia\\_k\\_wydawnictwo](https://instagram.com/poradnia_k_wydawnictwo)

 **Poradnia K**

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Wszystkim nastolatkom, które kiedyś spotkałam  
i które widuję każdego dnia.

Oraz pamięci Emmy James (1971–2015)  
Mam nadzieję, że wpłynęłaś na spokojniejsze wody, siostrzyczko.

Długo siedziała przy swojej córce, obserwując miarowy oddech, który delikatnie unosił jej klatkę piersiową, i rozmyślając, jakże niewinnie wygląda to dziecko, jakie jest wolne od tych ciemnych, przerażających instynktów, które w sobie nosiła. Potem nagle poczuła, że to wszystko nieprawda, że przecież to, co zrobiło jej dziecko, mogło być jedynie wytworem jej wyobraźni. Jednak stanowczo odsunęła od siebie tę myśl: „Niczego sobie nie wyobrażam. To wszystko istnieje naprawdę”.

Wiliam March, *The Bad Seed* (Czarna Owca)



## PROLOG

Mogło być o wiele gorzej.

Beth trzyma się kurczowo tej myśli. Nadal głęboko wierzy, że szklanka jest zawsze do połowy pełna, chociaż ostatnio przychodzi jej to z pewnym wysiłkiem.

To wszystko mogło się przecież zdarzyć w New Jersey. Nienawidzi myśli, co by było, gdyby nie wrócili do Australii. A jakże, potrafi sobie wyobrazić, że nawet w elitarnej atmosferze miasteczka leżącego w Garden State, jak często nazywa się stan New Jersey – zamożnego, zamieszkanego przez klasę średnią, w przeważającej mierze liberalnego – cała sytuacja zyskałaby o wiele większy rozgłos. Nie dałoby się stłamsić ani ugasić tego pożaru. Nie byłoby żadnych starych znajomości, na których można by się oprzeć, żadnych wyświadczonych niegdyś przysług, na które można by się powołać, żadnego sposobu, żeby wyciszyć sytuację.

W swoich najgorszych koszmarach nocnych widziała rozkręcony na całego medialny cyrk ze sprawcą i ofiarą w świetle jupiterów oraz historią nagłośnioną w setkach gazet. Ekspertów psychologii dziecka zaproszonych do popularnych talk show emitowanych w najlepszym czasie antenowym, którzy rozprawiają o możliwych następstwach i wygłaszają fachowe, wnikliwe spostrzeżenia na temat tego przypadku, dyskutując na wszystkie możliwe tematy, począwszy od żalosnej kondycji współczesnego dzieciństwa aż po zgubny wpływ Internetu, od wzrostu liczby przypadków narcyzmu złośliwego i socjopatii po nieodpowiedzialne, nazbyt pobłażliwe rodzicielstwo.

A ich styl rodzicielstwa, jej styl rodzicielstwa – to dopiero byłby gorący temat. Rodzina Beth zostałaby prześwietlona na wylot. Już sobie wyobraża te wywiady – czyż nie oglądała ich w tylu innych przypadkach? – z tak zwanymi „przyjaciółmi rodziny”, nauczycielami, trenerami, ludźmi, którzy obsługiwali ją w sklepie spożywczym, a nawet z jej fryzjerem. *Zawsze byli jacyś dziwni, powiedzieliby. Rodzice zapewniali tej dziewczynce wszystko, byli na każde skinienie. Nie doceniała tego, nie rozróżniała dobra od zła.* Zadawaliby pytanie, które sama sobie zadawała nadaremnie: *Jak do tego doszło? Co poszło nie tak?*

Wyobraża sobie tę społeczną agitację na rzecz zmiany prawa – a nawet petycje – żeby się upewnić, że zarówno dziecko, jak i rodzice zostaną oskarżeni, osądzeni

i ukarani. Zostaliby zmuszeni do wysłuchania podniosłych wypowiedzi jakiejś osoby publicznej – powiedzmy, senatora albo sędziego sądu okręgowego – w której zapewniałaby przerażone, zbulwersowane społeczeństwo, że niezależnie od ostatecznego wyniku sprawa zostanie potraktowana poważnie, a dochodzenie przeprowadzone w majestacie prawa. Beth widzi przed oczami, przerażona już samym wytworem swojej rozpalonej wyobraźni, tłum, który zebrałby się przed drzwiami jej domu po tym, jak ujawniono by publicznie ich imiona i nazwiska. Dziennikarze, zatroskani mieszkańcy, ciekawscy przechodnie – zachowywaliby się stosunkowo łagodnie – ale potem pojawiliby się ci najbardziej toksyczni – stuknięci członkowie samoobrony obywatelskiej ze swoimi plakatami i transparentami wzywającymi do natychmiastowego przywrócenia kary śmierci dla nieletnich.

A do tego jeszcze świat wirtualny. Och, to byłby prawdziwy koszmar – te linki, komentarze, niekończący się zalew opinii bez żadnej cenzury. Być może tożsamość sieciowa Beth zostałaby rozszyfrowana, a grupa czytelników jej bloga – jej oazy spokoju – wciągnięta w to bagno. W końcu miałaby wystarczającą liczbę odsłon, żeby pomyśleć o pozyskaniu sponsorów, a może nawet założyłaby konto na Twitterze – tyle tylko, że wszystko to działałoby się z niewłaściwych pobudek.

W Australii te sprawy traktuje się ostrożniej – w bardziej cywilizowany sposób, jakby powiedziała jej matka, czego zresztą nie omieszkła zrobić. Tutaj to wszystko zostało niezupełnie zamiecione pod dywan, ale zachowano daleko idącą dyskrecję, która będzie nadal obowiązywać. Wyciszenie sprawy – bo tak to trzeba nazwać – nastąpiło w równym stopniu przez wzgląd na dobro Sophie, jak i Charlotte. Który rodzic chciałby, żeby szczegóły takiego czynu kładły się cieniem na przyszłości jego dziecka? Postrzegając nieco subiektywnie tę pozorną troskę i współczucie, Beth podejrzewa, że kryje się za nimi także ocena – które dziecko, poza tym z góry psychologicznie podejrzanym, poranionym emocjonalnie, przyznałoby się równie łatwo do takiej przemocy? Jeśli spojrzeć na to chłodno, realistycznie, czyż ten zdesperowany czyn Sophie nie jest dowodem braku równowagi psychicznej tego dziecka, podobnie jak dowodem okrucieństwa jej własnej córki?

Beth doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że ta dyskrecja to jedynie dystyngowana uprzejmość, rozpadająca się fasada, tymczasowe zawieszenie. Prywatnie wiadomości rozejdą się lotem błyskawicy wśród społeczności szkoły i poza nią. Oczywiście wszyscy ludzie, których zna, oraz wielu innych, których nie zna, będą namiętnie dyskutować o tym, co się wydarzyło.

Beth odczuwa wdzięczność – a właściwie coś daleko bardziej istotnego niż

wdzięczność. Nie istnieje takie słowo, które wyraziłoby siłę jej uczuć w związku z tym, że Sophie nadal żyje. A wdzięczność za to, że Sophie żyje – z czego zdaje sobie sprawę – jest tym uczuciem, które powinno górować nad innymi emocjami – lękiem, złością, nadwrażliwością na krytykę – które próbują całkowicie ją pochłonąć. Powinna dziękować losowi w imieniu swoim (i wszystkich innych) za to, że to dziecko wciąż oddycha.

Jednak pomimo tych pozytywnych aspektów – małych błogosławieństw – Beth z trudem przychodzi utrzymać swoje pozytywne nastawienie. Z miejsca, w którym teraz się znajduje, szklanka wygląda jednak na niepokojąco pustą.

ZakreconaLizzy.com

## Kim jest Lizzy?

Lizzy jest Australijką, była dziennikarką, obecnie matką dwójki dzieci i żoną „milczącego męża”, przeniesioną ze słonecznego wybrzeża Sydney – przez *Gdzie indziej* w Kandzie i *Coś tam* w Irlandii – w chłodniejszy klimat *Gdzieś tam* w USA. Właściwie podoba jej się to doświadczenie, nawet jeśli czuje się nieco zagubiona.

Pisanie bloga jest dla Lizzy sposobem, żeby nie wyjść z wprawy i nie zatracić umiejętności komunikacyjnych. Poza tym trzyma ją przy zdrowych zmysłach.

## Potwór, którym straszą rodzice, robi psikusy

Oczywiście C. uparcie twierdzi, że jest już na tyle duża, że może sama robić psikusy. Za kilka tygodni skończy dwanaście lat. A dwunastolatka to już nastolatka, prawie dorosła. Stoimy na werandzie (gdzie zazwyczaj odbywają się liczne negocjacje na temat stawiania granic) i właśnie mamy przyłączyć się do niewielkiej grupki dzieciaków z sąsiedztwa, które wybierają się na przechadzkę po naszej podmiejskiej, wysadzonej drzewami ulicy, patrząc, co by tu zbroić.

Jeszcze rok temu Halloween było imprezą rodzinną – czasem dołączała do nas jakaś koleżanka ze szkoły, ale zazwyczaj bawiłyśmy się w naszym trio – C., jej starsza siostra L. i ja. D. zostaje w domu gotów udobruchać ewentualne demony słodyczami. Taki plan bardzo mi odpowiada – zawsze uważałam Halloween za nieco kłopotliwą i jedną z najdziwniejszych amerykańskich tradycji. Dlaczego ktoś miałby wysłać swoje dzieci, całkiem same, w jedyną noc w roku, kiedy istnieje największe prawdopodobieństwo, że Usta Piekielne – jak nazywają je w mitologii Buffyverse<sup>[1]</sup> – będą otwarte na oścież? Poza tym, mówiąc szczerze, te dynie z wyszczerzonymi w uśmiechu zębami mnie przerażają. Pomarańczowa dyniowa poświata sprawia, że

każdy dom, nawet mój własny, wygląda jakoś tak bardziej złowrogo.

Jednak w tym roku jest inaczej – L. straszy ze swoją przyjaciółką, a C. i ja postanowiłyśmy przyłączyć się do dzieci z sąsiedztwa. Ten rok różni się także pod innymi względami. Zamiast standardowego, wymuskanego kostiumu zaakceptowanego przez rodziców C. wykonała samodzielnie strój na Halloween. Przebrała się za zombie, co oznacza, że ma twarz pomalowaną na biało, wciąż pełne życia oczy podkreślone czarną kredką, a na skroni i wokół ust przerażająco realistyczne, krwistoczerwone otwarte rany. C. przedstawia sobą dość przerażający widok.

– To słabe, że idziesz – stwierdza. – Wszyscy wybierają się bez rodziców. Jak co roku. I jakoś żyją.

– Jeszcze – odpowiadam ponuro, usilnie próbując nie myśleć o tych wszystkich możliwych okolicznościach, które sprawiłyby, że jednak już by nie żyli.

C. posyła mi mordercze spojrzenie (faktycznie ma ograniczony zakres wyrażania emocji), po czym głośno tupiąc, schodzi po schodach i wychodzi na zewnątrz. Powoli ruszam za nią, ściskając w dłoni wiaderko w kształcie dyni, opaskę na włosy z diabelskimi rogami i czerwony ogonek.

Idę i jednocześnie szukam w Google’u w swoim telefonie odpowiedzi na pytanie, w jakim wieku dzieci mogą zacząć bawić się w straszenie bez nadzoru dorosłych. Jakaś matka ma podobne obawy jak ja i przyznaje się dobrowolnie on-line, że pozwoliła córce pójść samej na Halloween, ponieważ uznała, że mogłoby się okazać, że najgorszy potwór to właśnie nadopiekuńczy rodzic. Poza tą wypowiedzią znajduję jeszcze kilka innych opinii, których nie biorę pod uwagę. Przełykam swój lęk. Kiedy dochodzę do C., która dołączyła do małego plemienia potworów zebranych w parku przy ulicy, jestem gotowa odpuścić.

Jedna z moich sąsiadek, nauczycielka w podstawówce, matka trojga dzieci młodszych od C., czeka razem z nimi w półmroku. Ma podkoszulek ze świecącym szkieletem, a w uszach kolczyki w kształcie kapeluszy wiedźmy.

– Idziesz razem z nimi? – pytam z nadzieją w głosie.

– No coś ty. – Wygląda na zszokowaną. – Raczej by im się to nie spodobało. Rodzice za bardzo się przejmują.

Kiwam głową, uśmiecham się niewyraźnie, przychodzą mi na myśl uprowadzenia, ciastka nafaszerowane LSD, pedofile, spluwy.

– Tak się składa – odzywa się jej syn, chłopak w wieku około dziesięciu lat

przebrany za Kapitana Amerykę – że niektórym dzieciom podczas Halloween naprawdę przydarzyły się makabryczne rzeczy.

– Tak? – próbuję ukryć zainteresowanie w swoim głosie.

– Mieliśmy w szkole napisać wypracowanie o znaczeniu Halloween i wtedy znalazłem fajową stronę o tych wszystkich morderstwach. Mnóstwo tego było – uśmiecha się z upiornym entuzjazmem. – Pewnego razu porwali dziewczyny i zastrzelili jednego dzieciaka. Ale najlepszy był ojciec, który otruił własne dziecko. Nafaszerował cyjankiem cukierki pudrowe w słomkach, ale tylko jego syn zmarł, chociaż właściwie o to mu chodziło, bo mógł wtedy dostać jego polisę na życie – Kapitan Ameryka z zadowoleniem wzrusza ramionami.

Jego matka uśmiecha się promiennie.

– Jackson po prostu uwielbia tę historię – mówi i z dumą głaszcze go po głowie.

– W takim razie – stwierdza C., najwyraźniej utwierdzona tą wymianą zdań w swoim przekonaniu – nie idziesz z nami, prawda? Mogę iść sama?

Mruczę coś pod nosem z niewyraźną miną.

Matka Kapitana Ameryki macha radośnie.

– No to już was nie ma. Bawcie się dobrze. – Posyła mi uśmiech, przechodzi na drugą stronę ulicy i znika w mroku.

Czekam, aż – potykając się – wejdzie po schodach na oświetloną pomarańczowym światłem werandę, po czym przypinam ogonek do tylnej kieszeni dżinsów, wkładam diabłą opaskę i ruszam z dyniowym wiaderkiem w dłoni. Rodzic-potwór? Istnieją gorsze przebrania.

52 ♥

## KOMENTARZE:

**@ZakotwiczonaNaAlasce** pisze:

Zawsze myślałam, że Piekielne Usta pojawiają się wtedy, kiedy dzieci zjadają te wszystkie słodczyce :).

**@NiebieskaSue** pisze:

Obawiam się, że to koszmarnie Halloween staje się wszechobecne w Australii. W zeszłym roku obrzucono nasz dom jajkami, ponieważ nie chcieliśmy się przyłączyć. To kolejny gwóźdź do trumny naszego wolnego i niezależnego narodu. Za

kolejne pięćdziesiąt lat staniemy się pięćdziesiątym pierwszym stanem USA.

**@DziewczynaZIpanemy** pisze:

Halloween jest dla cieniasów. Powinniście zobaczyć, co dzieje się w Brazylii podczas Święta Zmarłych :).

## Dziesięć lekcji cudownego dziecka, jak osiągnąć sukces

O MNIE: Jestem dziewczyną, która wie, jak zdobyć to, czego pragnie, i chce się tym z Wami podzielić :). Co jeszcze powinniście o mnie wiedzieć?

### Lekcja pierwsza: Słodka zemsta

W pierwszej klasie szkoły podstawowej poznałam koleżankę M., która powiedziała, że mam piękne włosy, i przez tydzień dzieliła się ze mną ciastem. Każdego dnia bawiłyśmy się razem w czasie przerwy obiadowej, siadałyśmy w „naszym” miejscu na szkolnym dziedzińcu i przeglądałyśmy ulubione książki, udając, że umiemy czytać. Miała książeczkę zatytułowaną *Brązowy niedźwiadku, brązowy niedźwiadku, co widzisz?*, którą uważałam za najgłupszą historyjkę, jaką kiedykolwiek słyszałam. Moja książeczka nosiła tytuł *Kto zje zielone jajka sadzone?*. Nauczyłam się jej na pamięć i potrafiłam „czytać” tak jak mój tatuś. Koleżanka się zaśmiewała i powiedziała, że idzie mi lepiej niż nauczycielce. Oznajmiła też, że jestem najładniejszą i najinteligentniejszą dziewczynką w klasie i że chce zostać moją najlepszą przyjaciółką.

Ale kiedy przyszłyśmy do szkoły po weekendzie, M. całkowicie mnie ignorowała. Podzieliła się swoim ciastem z inną dziewczynką. Obie usiadły w naszym ulubionym miejscu na szkolnym podwórku i naśmiewały się ze mnie, a ja siedziałam na ławce dla ofiar losu. Miałam zbyt duże zęby. Wyglądałam jak królik. Byłam brzydka i głupia.

Nazajutrz, kiedy M. nie było w pobliżu, otworzyłam jej pudełko na lunch i wsunęłam w kanapkę psią kupę.

Jaki z tego morał? Nie pozwalaj nikomu, żeby tobą manipulował.

A jeśli tak się stanie – działaj.



## KOMENTARZE:

**@PRZYPADKOWACZYTELNICZKA** pisze:

Sądziłam, że napiszesz o jakimś filmie, a nie o kanapkach z psią kupą. Ale nieważne. Pisz dalej, Złotko!

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## BETH

Właśnie usiadła wygodnie, żeby odpowiedzieć na komentarze do ostatniego postu na blogu – tego o mężach i romansach (nie żeby musiała kiedykolwiek martwić się z takiego powodu) – kiedy Dan zadzwonił do niej z nowiną. Bez żadnego uprzedzenia, bez ostrzeżenia:

– Mam coś dla ciebie, Bethie – oznajmia głosem nieco niższym niż zwykle, pełnym złowieszczej powagi. – Wysyłają mnie do Newcastle. – Dan nie czeka na jej odpowiedź. – Była fuzja, a właściwie przejęcie systemu DRP, tego oprogramowania inżynierskiego. Wiesz, tego, o którym ci opowiadałem. Zorganizowali to ci wspaniali młodzi goście tuż po uniwerku i rozpoczęli już kilka niezwykłych projektów. To będzie w Newie. Czyż to nie najwspanialsza wiadomość? – Dan mówi coraz szybciej, a w jego głosie słychać podekscytowanie, ale teraz zwalnia. – Nie mogło być lepiej, prawda? Wrócimy do domu, Bethie. – Słyszysz w jego głosie ledwo skrywane błaganie.

– Och. Newcastle. Nie Sydney? – Beth wie, że nie to chciałby usłyszeć, że nie to powinna była odpowiedzieć, ale to wszystko, na co ją stać. Zdaje sobie sprawę z tego, że Dan domyśli się, czego nie powiedziała na głos, a co naprawdę myśli: *To twój dom, a nie mój.*

– Tak – głos Dana staje się drżący, bardziej ostrożny. – Wiem, że miałaś nadzieję, że będziemy mogli wrócić do Sydney, ale przecież to znowu nie tak daleko – zaledwie dwie godziny jazdy autostradą. Pociągiem ciut dłużej. Wiesz, że miasto bardzo się zmieniło, Bethie. Nie jest już taką przemysłową ruiną. Jest zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy dorastałem. Świat idzie do przodu. Będziemy mogli mieszkać blisko plaży, co w Sydney byłoby niewykonalne. To dobre miejsce, Beth. Sama mówiłaś, kiedy ostatnio odwiedziliśmy Australię, że Sydney jest zwariowane. Cały ten ruch uliczny, wszyscy ci ludzie. Będzie wspaniale, gdy dzieci będą mieszkały blisko... – Zawiesza głos, szybko zmienia taktykę. – Będą mieszkały blisko oceanu. – Wiem, co miał na myśli, a czego nie powiedział – że byłoby wspaniale, gdyby dzieci mieszkały blisko rodziny. Oczywiście chodziło o jego rodzinę, a nie jej.

Beth bierze głęboki oddech, próbuje przybrać bardziej optymistyczny ton głosu i zadaje pytanie za milion dolarów:

– To kiedy wyruszamy?

Kolejną godzinę spędza na pisaniu, a następnie wyrzucaniu do kosza tego, co napisała, publikuje post na blogu o ich wyjeździe, celowo unikając zbyt intensywnego myślenia o tym, co tak naprawdę może oznaczać przeprowadzka do Newcastle, i trzymając na wodzy swoje rozczarowanie.

Wie, że jej niezadowolenie jest nierozsądne, a w oczach Dana wręcz niewytłumaczalne. Rozmawiali na ten temat wiele razy i powiedziała, że chętnie pojedzie dokądkolwiek, jeśli tylko będzie to oznaczało powrót do domu, i że wcale nie musi to być Sydney. Wyobrażała sobie Perth, Melbourne, może nawet Adelajdę, ale nigdy nie przeszło jej przez myśl, że w grę mogłoby wchodzić Newcastle. I nawet nie niepokoiło ją Newcastle samo w sobie – w końcu to spore i na swój sposób piękne miasto – ale bliskość rodziny Dana, a szczególnie jego matki Margie.

Niezależnie od tego, jak bardzo się starała, Beth nie mogła się pozbyć uczucia, że Margie jej nie akceptuje. Uczucia, że w jej opinii Beth nie jest najlepszą partią dla jej syna. Uczucia, że jest nieco zbyt drobnomieszczańska, po prywatnej szkole, z północy Sydney, że jest *protestantką*. Uczucia, że Beth w jakiś sposób ponosi odpowiedzialność za to, że Dan tak daleko się wyprowadził. „Gdyby nie ty i te twoje ambicje” – słyszy w głowie wyimaginowane oskarżenia – „Dan z przyjemnością zamieszkałby niedaleko swojej matki w Newcastle”.

Margie skrzętnie skrywa niezadowolenie, Beth w zasadzie nie ma się do czego przyczepić – sporadycznie dostrzega szybko znikający z twarzy przelotny cień emocji, delikatnie kąśliwe słowa, które, gdyby później zastanowić się nad nimi, wydają się całkowicie pozbawione złośliwości. Może Margie jest nieświadoma swojego zachowania, a może nie jest ono skierowane przeciwko Beth. Być może bez względu na to, kim by ona była, Margie nigdy nie potrafiłaby wykrzesać z siebie odrobiny entuzjazmu wobec żony swojego jedyne syna.

Beth nigdy nie mówiła o tym głośno. Jakże mogłaby narzekać, skoro jej własna matka nie wysiłała się zbytnio, by ukryć swój brak akceptacji dla Dana? Jednak jakimś sposobem nie przywiązywała wagi do opinii swojej matki – brak akceptacji Francine ma charakter dość powszechny – swojej synowej też nie akceptuje. Margie to zupełnie inna historia. Margie – a przynajmniej tak wszyscy utrzymują – jest urocza. Ciepła, wspaniałomyślna, tolerancyjna – sól ziemi. Skoro Margie cię nie lubi, to zapewne nie jesteś wart tego, żeby w ogóle cię lubić.

Jeśli Beth ma być w stosunku do siebie uczciwa, to musi przyznać, że nie tyle niepokoi ją sama perspektywa przebywania bliżej Margie, a to, co określa mianem „efektu Margie”. Tego poczucia, jakby Dan należał w nieco mniejszym stopniu do

niej, do *nich*, kiedy przebywa w towarzystwie swojej matki. Poczucia, jakby ulegał, zgadzał się nie tyle z żądaniami Margie, ponieważ nikt nie śmiałyby zarzucić jej, że jest roszczeniowa, ale z jej opiniami, jej wyobrażeniami na jego temat. Tego poczucia, że Dan niemalże przeprosza ją za swoją karierę zawodową, za swoje szerokie horyzonty, a przy okazji za swoją żonę i córki. Prawda jest taka, że w towarzystwie Margie Beth czuje się nieco zepchnięta na dalszy plan.

Mimo wszystko powrót do Australii jest koniecznością – Beth rozpaczliwie chciała tam wrócić, zanim dziewczynki będą starsze, zanim nieodwołalnie staną się Amerykankami. Zanim relokacja będzie wiązała się ze zbyt dużą traumą, zbyt zakorzenionymi różnicami – bardziej widocznymi, im dłużej mieszkają w Stanach. Właściwie już zauważa, że to wszystko się dzieje. Dziewczynki oddalają się od niej, a ich doświadczenia z dzieciństwa, ich niepokoje, ich *akcent* tak bardzo różnią się od jej doświadczeń, jej niepokojów i jej akcentu. Wkrótce nadejdzie taki dzień, kiedy poczują się zawstydzone australijskością matki, i zrobią wszystko, żeby się od niej odciąć.

Kiedy Beth jedzie odebrać dziewczynki ze szkoły, zaczynają do niej docierać wszystkie pozytywne aspekty ich rychłego powrotu do ojczyzny i rozwiewają się jej początkowe obawy. Niecierpliwie przebiera nogami na szkolnym dziedzińcu i nie może już się doczekać, żeby im o tym powiedzieć. Tak bardzo chce się podzielić nowinami, że zwierza się jednej z matek, właściwie tylko znajomej, która nie należy do kręgu jej przyjaciół.

– Wyjeżdżacie do Australii? – Ta kobieta, Karen, pyta lekko spanikowanym głosem. – Jesteś pewna, że to dobra wiadomość? – Wciąż wydaje się trochę niepewna, kiedy Beth ze śmiechem zapewnia ją, że powrót do Australii to zdecydowanie dobra wiadomość i że przecież nie wracają do życia w ubóstwie, ale do domu, rodziny i sporych wygód w cywilizowanym i pięknym mieście na wybrzeżu.

– Och, Janey będzie zrozpaczona – mówi Karen. – Nie wiem, co ona pocnie bez Charlie. Nie wiem, co zrobią pozostałe dziewczynki. Ona ma w sobie taką *moc*, wiesz. Będą zdruzgotane. A co twoje dziewczynki o tym myślą?

Beth musi przyznać z niejakim poczuciem winy, że dziewczynki o niczym nie wiedzą, że sama dopiero się o tym dowiedziała. Karen w ledwie widoczny sposób wydyma usta – nie było jasne, czy daje tym wyraz swoim obawom czy też dezaprobacie – ale nie powiedziała nic więcej, zaabsorbowana hałaśliwym pojawieniem się swoich bliźniaków. Wciągnięte nagle w wir dziecięcych żądań i pragnień obie kobiety kończą rozmowę w sposób charakterystyczny dla szkolnego

podwórka, bez pożegnań i przeprosin, których nikt nie oferuje ani nikt nie oczekuje.

Dziewczynki Beth nadchodzą chwilę później. Pierwsza Lucy, radosna, ale gotowa na powrót do domu. Charlie pojawia się później, z większym ociąganiem. Jak zawsze jest otoczona wianuszkami przyjaciółek, od których jednak się uwalnia, zmierzając w kierunku matki, idzie powoli, woła przez ramię, uśmiecha się i chichocze, niechętna, by zakończyć konwersację.

Natychmiast zaczyna gorączkowo błagać, żeby cztery, a może nawet pięć jej najlepszych przyjaciółek mogło przyjść do niej na noc w weekend – ignorując starszą siostrę, która próbuje pierwsza porozmawiać z mamą.

– Proszę, mamó – kontynuuje Charlie. – Jeszcze nie jestem zdecydowana, czy zaprosić Stellę albo Carly, ale na pewno przyjdą Evie, Liza, Belle i Rosie... – Tymczasem Beth jest niecierpliwa, przepelniona chęcią podzielenia się swoimi nowinami i ucisza dziewczynki, przyciągając je do siebie.

– Zaczekaj, Charlie. Mam wam coś ważnego do powiedzenia. – Lucy wygląda na zaintrygowaną, ale Charlie wydyma usta.

– Och, mamó, ale ta impreza z nocowaniem jest naprawdę ważna. Muszę teraz wiedzieć. Planowałam...

Beth jej przerywa.

– Mam dla was wspaniałą wiadomość, dziewczynki. – W końcu przyciągnęła ich uwagę. – Wracamy do domu, do Australii. – Lucy przez chwilę wygląda na zaskoczoną, ale potem, jakby wyczuwając radość swojej matki, uśmiecha się szeroko, ściska rękę Beth i wyrzuca z siebie rozradowane *tak!* Jednak Charlie to zupełnie inna historia. Jej twarz, przez chwilę pozbawiona wyrazu, w okamgnieniu staje się nachmurzona. Jej oczy się zwężają i dziewczynka wpatruje się w matkę.

– Właściwie to twój dom, *mamó* – podkreśla ostatnie dwie sylaby – a nie mój. Nawet się tam nie urodziłam. *Mój* dom jest tutaj. – Wyrzuca z siebie te słowa, a jej głos nagle staje się ostry, po czym zamyka buzię na kłódkę i się odwraca, odpychając rękę matki. Nie zwracając najmniejszej uwagi na rozbawione spojrzenia koleżanek i kolegów z klasy, Charlie maszeruje przez szkolny dziedziniec, wychodzi przez bramę i wyrusza do nieodległego domu.

Beth i Lucy ruszają w ślad za nią przygnębione, a całe ich początkowe podekscytowanie przygasa. Beth usiłuje zareagować na wyraźne starania Lucy, która próbuje poprawić jej nastrój, ale tego poczucia winy nie da się zagłuszyć. Powinna była przekazać te nowiny w inny sposób, łagodnie i na osobności. Powinna była wziąć

pod uwagę możliwe skutki. Powinna była zaczekać. Powinna była wiedzieć.

Wyjątkowo tego dnia dziewczynki nie mają żadnych zajęć popołudniowych, więc kiedy docierają do domu, Charlie idzie prosto do swojego pokoju i zatrzaskuje za sobą drzwi. Nie wychodzi stamtąd aż do kolacji pomimo pełnego niepokoju pukania Beth i jej usilnych prób udobruchania córki.

– Upięklam ciasteczka. Skarbie?

– Odejdź, mamó.

– Ale Charlie...

– Po prostu idź sobie.

W końcu wysyła Lucy, żeby sprawdziła, co się dzieje.

– Charlie czuje się dobrze – starsza córka zdaje relację po tym, jak przez dobre dziesięć minut siedziała zamknięta w pokoju z siostrą. – Po prostu jest przygnębiona tym, że ma stąd wyjechać. – Wzrusza ramionami. – Przejdzie jej.

– A jak ty się czujesz, Lucy? – Beth uświadamia sobie ze ściśniętym sercem, że tak bardzo zmartwiła się reakcją Charlie, że nie pomyślała o uczuciach Lucy. Przychodzi jej na myśl, że spokojne zachowanie starszej córki może być pozorne.

Lucy posyła jej dziarski uśmiech.

– Ach, sama nie wiem. Tak naprawdę chyba nie chcę stąd wyjeżdżać. Będzie mi brakowało... – Robi ruch ręką, jakby chciała w nim zawrzeć wszystko, całe swoje życie, domyśla się Beth. – Lubię to miejsce, ale ten wyjazd zawsze wisiał w powietrzu, prawda? Często o tym wspominaliście. Wobec tego nie ma sensu narzekać, tak? – Uśmiech Lucy w okamgnieniu znika. Muska policzek dłonią, ocierając zabłąkaną łzę.

Beth czuje, jak jej serce zamiera, obejmuje ramieniem córkę.

– Boże, jakie ty masz dobre serce, Lucy. Powinnaś była wiedzieć, że to będzie dla ciebie trudne. Byłam taka podekscytowana, że nie pomyślałam...

– Czy naprawdę jesteś podekscytowana, mamó? Myślałam, że chciałaś wrócić do Sydney. Newcastle jest całkiem inne.

Beth docenia pełne uważności niedopowiedzenie swojej córki.

– Wiem. To nie Sydney. Jednak, kiedy się nad tym zastanowić, chyba nie różni się tak bardzo od Sydney, w którym dorastałam. Sydney jest teraz ogromnym miastem. O wiele większym niż to, w którym obecnie mieszkamy. I bardzo hałaśliwym. Drogim. Newcastle ma trochę bardziej małomiasteczkowy charakter, a jednocześnie do wielkiego miasta można się szybko dostać pociągiem. Podobnie jak tutaj. – Beth

zdaje sobie sprawę z tego, że w równym stopniu przekonuje Lucy, co samą siebie.

– Ale ono jest tak...

– Jakie?

– Sama już nie wiem. Newcastle nigdy nie było miejscem, w którym mieliśmy zamieszkać. Tam, gdzie mieszka babcia... chyba jest w porządku, ale to miasto... Te domy są takie małe. I stłoczone. A ludzie wyglądają na trochę... ubogich czy coś w tym rodzaju. Chodzi mi o to, że tam nie jest tak jak tutaj.

– Och, skarbie. – Beth z trudem powstrzymuje śmiech, obserwując dyplomatyczne wysiłki swojej córki.

Margie nadal mieszka w domku na obrzeżach Newcastle, gdzie wychował się Dan. Przedmieścia, podobnie jak znaczna część niegdyś przemysłowego miasta, powoli zmieniają się na lepsze, ale wciąż odbiegają wyglądem od ich pełnej zieleni amerykańskiej enklawy zamieszkaney przez klasę średnią, gdzie jedynym brudem i plugastwem, na które od czasu do czasu narażone są jej dzieci, jest psia kupa pozostawiona na chodniku przez jakiegoś nieodpowiedzialnego właściciela psa. Beth spieszy, żeby dodać otuchy swojej córce.

– Właściwie nie będziemy mieszkać tam, gdzie babcia. Mają tam o wiele ładniejsze przedmieścia. Z większymi domami. A tata mówi, że możemy wybrać miejsce blisko plaży... Pamiętasz tę plażę, na której ostatnio byliśmy? W okolicy jest wiele uroczych zakątków. Naprawdę – mówi pewniejszym głosem, choć w środku nadal się waha.

Beth jest całkowicie pewna, że przekonała córkę, zarzucając ją teraz pytaniami, na które w większości nie zna odpowiedzi.

– A gdzie będziemy chodziły do szkoły, mamo? Myślisz, że będę tam pasowała? Nie będę zbyt inna? Zbyt... amerykańska? Czy oni w ogóle lubią Amerykanów? A jeśli mnie nie polubią? – Oczy jej córki rozszerzają się, a czoło marszczy w sposób, który Beth przypomina męża – kiedy jest czymś zaniepokojony, wygląda tak samo. Głaszcze jej nedorzecznie zmarszczoną brew, całuje ją i walczy ze łzami, które cisną jej się do oczu za każdym razem, gdy musi stawić czoła brakowi pewności siebie swojej starszej córki – tak innej niż Charlie. Stara się, żeby jej głos zabrzmiał najbardziej radośnie i wspierająco, jak tylko potrafi.

– Och, Lucy, zawsze będziesz miała przyjaciół. Może chwilę nam zajmie, żeby się tam zadomowić, ale gdziekolwiek pojedziesz, skarbie, zawsze kogoś poznasz. Kogoś, kto będzie uważał cię za wyjątkową.



ZakreconaLizzy.com

## Droga do szczęścia

Przekazuję dziewczynkom ważną wiadomość: wracamy do domu. Wkrótce.

Najpierw pojawia się złość. Potem łzy. Później ślepa panika. To dotyczy tylko mnie.

Oczywiście dziewczynki są o wiele bardziej wyluzowane.

– Hej, mamó. – L. spogląda na mnie znad swojego zadania domowego. – Czy w Australii uczą się matematyki? – Wygląda na tak pełną nadziei, że nie odpowiadam od razu. Pozwalam jej nacieszyć się tą chwilą bez odpowiedzi.

– Obawiam się, że się uczą, skarbie. – Mina jej rzednie.

– Chociaż nazywają to matmą – dodaję.

– A jak z geografią?

– Obawiam się, że też.

– Lekka atletyka?

– Tak, ale w Australii mówią na to wychowanie fizyczne.

– A co z historią?

– Uhm. Ale nie będzie to amerykańska historia.

– Wobec tego jaka historia? Czy to będzie jakaś australijska historia?

– Będzie trochę historii powszechnej, ale chyba również odrobinę australijskiej.

– Aha. – Zawiesza głos, myśli przez chwilę. – Pewnie będzie o tym, jak Krzysztof Kolumb odkrył Australię i całą resztę?

Tak. Poza pakowaniem, sprzątaniami i niekończącym się wypełnianiem formularzy, poza tymi wszystkimi niezliczonymi czynnościami, które trzeba wykonać, zanim przeniesiemy nasze małe gospodarstwo domowe z jednej półkuli na drugą, najwyraźniej mamy ręce pełne roboty również na froncie edukacyjnym.

Westchnienie.

## KOMENTARZE:

**@NiebieskaSue** pisze:

I tak to się zaczyna... Nie chcę przynudzać, Lizzy, ale czasami przeprowadzka do ojczystego kraju nie jest wcale taka super. Powrót do Australii okazał się całkowitą katastrofą dla naszej rodziny. Skończyło się tym, że dwoje dzieci przeprowadziło się do Wielkiej Brytanii zaraz po ukończeniu szkoły średniej – i tak naprawdę nigdy już nie wróciło. Jedną z rzeczy, których najbardziej żałuję w życiu, było to, że na samym początku w ogóle wyjechaliśmy z Melbourne. W każdym razie życzę ci szczęścia w tej podróży „do domu”. Na pewno będziesz go potrzebowała!

**@ZakreconaLizzy** odpowiedziała:

Hej, **@NiebieskaSue** – na pewno zaaklimatyzowanie dzieci będzie nieco skomplikowane, ale to twarde sztuki, obie, i myślę, że sobie poradzą. Naprawdę cieszę się, że wracamy do domu, ale nie zamieniłabym ostatnich piętnastu lat za żadne skarby świata!

**@ZakotwiczonaNaAlasce** odpowiedziała:

Pamiętaj, Lizzy, że dzieci są odporne. Założę się, że za dwanaście miesięcy będą żyły całkiem nowym życiem.

**@MamaZKrainyOzWTokio** pisze:

Och, Lizzy, tak bardzo się cieszę twoim szczęściem! Tylko obiecaj, że nie przestaniesz pisać! Nie dam rady żyć bez codziennej dawki Zakręconej Lizzy <3 <3 <3

**@ZakreconaLizzy** odpowiedziała:

Oczywiście, że nie przestanę pisać, **@MamaZKrainyOzWTokio**! Jestem pewna, że status byłej ekspatki dostarczy wielu chwil, które będzie można opisać na blogu!

**@DziewczynaZIpanemy** pisze:

Moja najmłodsza córka zapytała, czy w Australii są takie same liczby. Wyjaśniłam jej, że sytuacja wygląda następująco: 100=1, 99=2, 98=3 itd. Było nawet zabawnie, dopóki nie poprosiła, żebym przygotowała dla niej australijską tabliczkę mnożenia.

CudowneDziecko.com

Losowy fakt numer 1

## Oleander

Oleander to jedna z najbardziej trujących roślin ogrodowych. Spożycie tej rośliny może oddziaływać na układ żołądkowo-jelitowy, serce i ośrodkowy układ nerwowy. Objawy po stronie układu żołądkowo-jelitowego mogą obejmować mdłości i wymioty, nadmierne ślinienie się, ból brzucha, biegunkę z krwią lub bez krwi i kolkę, szczególnie u koni. Wśród objawów kardiologicznych może wystąpić niemiaraowa akcja serca – początkowo pojawia się jego przyspieszone bicie, po czym liczba uderzeń spada poniżej normy. W ekstremalnych przypadkach może pojawić się błądź i uczucie zimna spowodowane słabym krążeniem albo zaburzeniami krążenia. Oddziaływanie na ośrodkowy układ nerwowy to senność, napięcie albo drżenie mięśni, drgawki, zapaść, a nawet śpiączka, która może prowadzić do śmierci.

(źródło: Wikipedia)

## KOMENTARZE:

**@SZCZESLIWAOGRODNICZKA** pisze:

Zastanawiam się tylko, czy oleandry rosną w chłodnym klimacie? Mieszkam w Anglii i chciałam zasadzić żywopłot z oleandrów. Pięknie kwitną.

**@PRZYPADKOWACZYTELNICZKA** odpisała:

Wydaje mi się, że to nie jest strona na temat ogrodnictwa, kochana ;-)

## BETH

Pierwsze podejrzenia zaczęły w niej kiełkować w trakcie nieco historycznej zabawy w głuchy telefon z rodzicami, którzy przyjechali odebrać dzieci ze szkoły, i przekazywali sobie nieustannie zmieniającą się wersję historii o karetce, którą widziano przed wejściem tuż po obiedzie, a może jeszcze przed przerwą obiadową. Ratownicy szybko wbiegli do środka. Wyniesiono kogoś na noszach. To był chłopiec z szóstej klasy, mówi któryś z rodziców, ranny z powodu upadku. A może to jakiś przedszkolak złamał nogę? Nikt nie zna prawdy na ten temat, ale wszyscy czują się wolni od poczucia winy, zadowoleni, że jeszcze chwileczkę pozostaną w cieniu – ponieważ wiedza sugerowałaby, że mogli mieć z tym coś wspólnego, a historie o karetkach na szkolnym dziedzińcu nie są tym, z czym chciałyby mieć związek jakakolwiek rodzina. Zostaje odmówiona grupowa modlitwa w intencji bezpieczeństwa rannego dziecka, do której zostają dołączone osobiste podziękowania: *Dziękuję, że to nie moje dziecko...*

Kiedy dzwoni dzwonek i hałaśliwy tłum dzieci wylewa się na plac zabaw, pytanie o to, co naprawdę się wydarzyło, znika pośród zalewu żądań i protestów – Charlie narzeka, że jabłko, które matka spakowała jej na lunch, było pokryte ohydnyymi brązowymi plamkami. Lucy żąda, żeby się pospieszyły, ponieważ musi zdążyć do miejskiej biblioteki. Charlie zaczyna opowieść o tym, jak pan Cannon potajemnie pali fajkę (obrzydliwe) i o jego owłosionych uszach (jeszcze bardziej obrzydliwe). Lucy wykrzykuje coś na temat pozostawionego w szkole kapelusza i domaga się powrotu do klasy. W całym tym zamęcie odbierania dzieci ze szkoły i różnych spraw do załatwienia po południu i wieczorem – czyli w całkowitym chaosie – Beth zupełnie zapomina zapytać, czy córki wiedzą, co się stało.

Chaos nie jest przesadnym określeniem. Odliczanie do ich wyjazdu do Australii rozpoczęło się na poważnie. Beth zabrała się za niekończące się, ale dziwnie satysfakcjonujące zajęcie segregowania rzeczy – w każdym kącie domu leżą na pozór przypadkowe sterty do wyrzucenia i te do zabrania. Bałagan jest spektakularny. Spektakularne jest również to, jak łatwo pozbyć się swoich dóbr. Wszystkie te przedmioty, o których Beth myślała, że na zawsze przy niej pozostaną – przedmioty, które są przesiąknięte, a przynajmniej tak sądziła, znaczeniem i symbolizują jej życie

tutaj, jej przeszłość, ich przeszłość – czekają na werdykt. Krzesła w stylu kolonialnym z oparciami ze szczobelków, które kupili za grosze i tak pięknie odnowili, kiedy tutaj zamieszkali. Uroczą toaletkę z drewna klonowego w stylu art déco, którą Dan podarował jej na czterdzieste urodziny. Tandetne meble wypoczynkowe, które zamierzali przywrócić do stanu używalności. Wiele spośród tych przedmiotów wygląda teraz na stare i zużyte i pomimo tego, że każdy z nich wiąże się z miriadami wspomnień z ich życia rodzinnego, żaden nie wydaje się wart transportowania przez ocean. Żaden nie wydaje się potrzebny.

Beth rozważa, czy aby rosnąca sterta rzeczy do wyrzucenia nie stanowi jakiejś metafory jej podejścia do tej przeprowadzki. Ma poczucie, że z taką łatwością rezygnuje z dotychczasowego życia – ponad dziesięć lat spędzonych w Ameryce – tak nieistotnych, kiedy już prawie stały się przeszłością. Wcześniej czuła się całkowicie zaangażowana, ale teraz zastanawia się, czy jej egzystencja w New Jersey nie była życiem w zawieszeniu, życiem w ciągłym oczekiwaniu. Jednak dziewczynki, które zabrały się za segregowanie swoich skarbów, traktują je równie bezwzględnie, bez wahania wyrzucając te, o których Beth wiedziała, że kiedyś były dla nich cenne.

Dopiero kiedy dzwoni telefon – cała trójka zjadła skleconą naprędce kolację (jajecznice, kielbaski, tosty) i zasiadła przed telewizorem, żeby obejrzeć stary odcinek *Doktora Who* – Beth przypomina sobie karetkę i plotki szeptane na szkolnym dziedzińcu. Za późno. Gdyby tylko miała jakąś wskazówkę, przygotowałyby odpowiedź.

Oczywiście telefon nie dzwoni z przyjaznego źródła. To Sarah Fuller, matka Macey, jednej z koleżanek Charlie z klasy. Macey to wysoka blada dziewczynka, astmatyczna, nieśmiała, trochę dziwna. Nie jest bliską przyjaciółką Charlie, ale mają wspólną nauczycielkę gry na skrzypcach i kilka razy połączono je na koncertach w duety, w których Macey (na której zawsze można polegać, że gra równo, nawet jeśli nieczysto) była odsunięta na drugi plan. Przez całą szkołę podstawową Sarah nie kryła swojej dezaprobaty dla Beth (choć to, czym Beth zasłużyła sobie na tę dezaprobatę, wciąż pozostawało zagadką) i Beth jej wprost nie znosiła.

– Cześć, Beth. Tu Sarah Fuller. – Kobieta mówi irytująco podniesionym głosem, jakby każde jej stwierdzenie wymagało podkreślenia.

– Witaj, Sarah. – Beth zakłada, że kobieta dzwoni w sprawie szkolnego kiermaszu wypieków, przy którym obiecała pomóc w przyszłym tygodniu. – Ten kiermasz wypieków jest w przyszłym tygodniu, prawda? We wtorek? Nie zapomniałam. Pomyślałam, że znowu upiekę moje ciasteczka owsiane – chyba ostatnio cieszyły się

wzięciem.

– Właściwie to nie dzwonię w sprawie kiermaszu wypieków, Beth.

– Tak?

– Domyślam się, że o niczym nie słyszałaś?

– A o czym miałabym słyszeć?

– O tym, co wydarzyło się dzisiaj w szkole... Dziewczynki nic ci nie mówiły? Pomyślałam, że jedna z nich na pewno ci powie.

– Ach, masz na myśli tę karetkę? Słyszałam, że coś się stało, kiedy byłam w szkole dzisiaj po południu, ale potem wpadłyśmy w ten wir, w to pakowanie... I zapomniałam zapytać.

Sporadyczne rozmowy z Sarah zawsze pozostawiają Beth z poczuciem skruchy i bycia w jakiś sposób niewystarczającą, chociaż nigdy tak naprawdę nie rozumiała, czego dokładnie jej brakowało.

– No cóż. Jestem zaskoczona tym, że dziewczynki nie powiedziały ci, co się działo.

– Beth wyczuwa teraz w głosie kobiety coś jeszcze, jakieś stłumione radosne podniecenie.

– Wiesz, jak to jest... Jesteśmy trochę nieobecni, zajęci. Słyszałaś, że wracamy do Australii?

Sarah pomija pytanie milczeniem.

– Cóż, naprawdę mi przykro, że to ja mam być posłańcem złych wieści. – Trudno sobie wyobrazić, żeby jej głos mógł zabrzmieć jeszcze mniej współczująco.

– Złych wieści? Co masz na myśli? Co się stało? – Serce Beth zaczyna nieprzyjemnie szybko bić.

– Chodzi o Aryę Stannard. Nową dziewczynkę z szóstej klasy. Z tej drugiej klasy. Klasy pani Reardon. Taka niewysoka, ciemnowłosa.

– O Boże. Co się stało? – Beth w ogóle nie jest sobie w stanie wyobrazić tej Aryi, na pewno nigdy o niej nie słyszała, właściwie jest zadowolona, że bez względu na to, co się wydarzyło, nie rozmawiają o jakimś dziecku, które zna albo przypomina sobie z wyglądu.

– Została... – tutaj następuje chwila ciszy, oddech zostaje dramatycznie powstrzymany. – Została otruta.

– Otruta? O mój Boże! Jak? Czy dobrze się czuje?

Znowu chwila ciszy.

– Zdaje się, że wszystko w porządku. Na szczęście zabrali ją na czas do szpitala. Dyrektorka stanęła na wysokości zadania.

– Czym się zatrula? Jakimś środkiem do czyszczenia albo czymś takim? – Beth wyobraża sobie jakiegoś dozorcę czy ogrodnika, który zostawił rozpuszczalnik lub nawóz, ale nie może sobie wyobrazić, jakim sposobem uczennica szóstej klasy mogłaby być na tyle nierozsądna, żeby coś takiego połknąć.

– To był liść oleandra. Pogryzła go.

– Liść oleandra? Dobry Boże. Dlaczego?

– Podobno chodziło o zakład.

– O zakład? Na miłość boską, kto miałby się z nią założyć o coś takiego?

Kolejna chwila ciszy, tym razem dłuższa, po czym głos, w którym słyhać nieskrywaną satysfakcję:

– I w tym właśnie problem, Elizabeth. – Wypowiada wszystkie cztery sylaby słodkim, śpiewnym głosem. – To była swego rodzaju próba, znasz takie rzeczy? Macey twierdzi, że wymyśliła to twoja córka. Charlie.

Gdy kobieta, najwyraźniej zadowolona z siebie, że wypełniła swój obowiązek, rozłącza się, Beth nie czeka, aż to, co usłyszała, ułoży jej się w głowie, nie czeka, aż porozmawia na ten temat z Danem, ani nie daje sobie czasu do namysłu. Woła Charlie, żeby natychmiast zeszła na dół, i pyta ją wprost, co stało się z Aryą.

Charlie wzrusza ramionami, udaje, że o niczym nie wie.

– Arya? Co masz na myśli? Nic jej się nie stało.

– Dzisiaj w szkole. Odwieziono ją karetką do szpitala.

– Naprawdę? Wow! Ktoś powiedział, że przyjechała karetka, ale nie wiedzieliśmy dlaczego. Arya czuła się dobrze w stołówce. Co się stało? Złamała rękę na sali gimnastycznej czy co? – Charlotte wygląda na autentycznie zaskoczoną, a jej zaniepokojenie wygląda na prawdziwe.

– Najwyraźniej została otruta – ma to coś wspólnego ze zjedzeniem liścia oleandra.

– Liścia oleandra? Co to jest? – Charlie ma niewzruszony wyraz twarzy.

– To liść, Charlie. Trujący liść.

– Ach. – Charlie robi wielkie oczy. – O nie.

– Czyli wiesz, co się stało? Właśnie dzwoniła pani Fuller. Mama Macey. Oznajmiła, że Macey powiedziała jej, że to twoja wina, że to był twój pomysł, żeby Arya zjadła ten liść. I że to była próba.

– Wcale tak nie było. Nie rzuciłam jej wyzwania, żeby zjadła trującą roślinę! – Charlie poczerwieniała na twarzy i zacisnęła szczęki. Rzadko się zdarza, uświadamia sobie Beth, żeby widziała młodszą córkę choć trochę zmieszaną. W ciągu ostatniego roku nauczyła się kontrolować emocje niemalże tak, jak osoba dorosła. Beth nie może sobie nawet przypomnieć, kiedy po raz ostatni widziała, jak Charlie płacze.

– W takim razie co się stało?

Charlie bierze głęboki oddech.

– To było coś w rodzaju próby, żeby dostać się do naszej paczki. Musiała po prostu wziąć do ust dziwne rzeczy. Rośliny i inne przypadkowe przedmioty. Nie zmuszałyśmy jej do tego, żeby cokolwiek połykała. To nie miało być trujące. To była tylko zabawa.

– Tylko zabawa? Pani Fuller zdaje się myśleć, że to inicjacja, którą trzeba przejść, żeby należeć do waszej paczki. Nie brzmi to zbyt miło, Charlie.

Charlie wywraca oczami.

– Ale tak właśnie robimy, mamó. To nic takiego. Wszystkie poddałyśmy się próbie.

– Czy to naprawdę był twój pomysł?

– Nie wiem. – Charlie zaczyna wyglądać na poirytowaną, raczej przyjmuje pozycję obronną, niż jest zmartwiona. – Właściwie to nie wiem, kto wpadł na ten pomysł. To mogła być każda z nas. Już tak wcześniej robiłyśmy, wiele razy. To tylko... to nic poważnego. Połowa dziewczyn z naszej klasy należy do paczki.

– A kto do niej nie należy? Czy są osoby, których nie przyjmujecie, jeśli nie grają w waszą grę?

– To tak nie działa, mamó. – Teraz już traci cierpliwość. – Niektóre dziewczyny mają inne przyjaciółki. Na przykład Taylor Roberts i Georgia Barry nie należą do naszej paczki, ale to idiotki. Jest jeszcze Tina i Maria, ale im nie zależy.

Tina i Maria to jedyne Latynoski w klasie i chociaż nie są jawnie wykluczane – Beth wie, że w ciągu tych wszystkich lat zapraszano je na liczne przyjęcia – te dwie dziewczynki trzymają się razem i raczej się nie integrują. Ale między wykluczeniem a brakiem przyjaźni z pewnością jest duża różnica – matki Tiny i Marii także trzymają się z daleka od pozostałych matek. Naleganie, żeby jej córka bawiła się z określonymi dziećmi jedynie w imię różnorodności kulturowej, byłoby protekcjonalne, niewłaściwe.

– A co z tym liściem? Skąd on się wziął? Jestem pewna, że w pobliżu szkoły nie rosną żadne oleandry. – Beth przychodzi na myśl miniaturowy oleander, który



zasadziła w doniczce w zeszłym roku i starannie pielęgnowała aż do późnego sezonu kwitnienia jako przypomnienie bardziej tropikalnych klimatów. I nagle wszystko staje się jasne. – To nie ty przyniosłaś ten liść, prawda? Nie wzięłaś go z naszego ogrodu? – Kiedy wypowiada te słowa, uświadamia sobie znikome prawdopodobieństwo, żeby liść pochodził skądinąd – oleandry nie są popularne w New Jersey.

– Zabrałam trochę liści, ale nie mam zielonego pojęcia, co to jest oleander. Przyniosłyśmy po prostu różne przypadkowo wybrane rzeczy, naprawdę. Evie wzięła papryczkę chili, a Liza czyjaś starą szczoteczkę do zębów. Belle przysłała z tubką wasabi. Rosie miała kilka herbatników dla psów. Inna koleżanka przyniosła trochę ziemi. Ja torebkę liści. – Charlie gwałtownie macha jej ręką przed nosem, usta jej drżą, a kąciki ust opadają.

– Ale skąd się wzięła ta torebka liści?

– Nie mam pojęcia. To znaczy... Nie jestem pewna. Chyba gdzieś ją znalazłam.

– Co? Jak można znaleźć torebkę liści?

– Po prostu myślałam, że to zwyczajne liście. – Charlie sprawia wrażenie, jakby z trudem oddychała. Unika wzroku matki.

– Skąd je wzięłaś? Powiedz mi prawdę. Chcę wiedzieć.

– Właściwie to wszystko przez Lucy. Lucy mi kazała.

– Charlie. Jak możesz tak mówić? To nieprawda. – Lucy mówi cichym głosem, stojąc w drzwiach. Podchodzi do nich z poważnym wyrazem twarzy.

Charlie zwraca się do niej.

– Tak zrobiłaś. Byłaś w ogrodzie, rysowałaś. A kiedy powiedziałam ci o tej próbie, poradziłaś mi, że powinnam zmusić ją, żeby zjadła liście. Potem dałaś mi te skórzaste. Myślałam, że to były... no, jak się nazywają liście, którymi żywią się misie koala? Liście eukaliptusa.

– To nieprawda, mamu. Przysięgam. Robiłam w ogródku projekt na botanikę. Zebrałam liście do narysowania i powiedziałam, że Charlie może je sobie wziąć. Nie wspomniała ani słowem, do czego były jej potrzebne. Gdyby mi powiedziała, wiedziałabym, że to głupi pomysł. I nie dałabym jej *ani jednego* liścia. A już na pewno nie liść oleandra. Pamiętam, że kiedy sadziłaś ten krzew, mówiłaś, że liście są trujące.

Charlie wpatruje się w siostrę.

– Lucy, ty...

Beth przerywa wymianę zdań.

– Posłuchajcie, to nie ma znaczenia. Nie jesteście w tarapatach. Żadna z was. Chciałam tylko wiedzieć, co się stało.

Charlie wygląda, jakby poczuła ulgę.

– Naprawdę nie wiedziałam, co to były za liście. Nie rozpoznałam żadnego z nich. Nie miałam pojęcia, że to liście jakiegoś tam oleandra.

A potem Lucy zadaje pytanie, którego Charlie nie zadała, choć powinna.

– Czy z nią wszystko w porządku, mamó? Z tą dziewczynką, która zjadła liść? Dobrze się czuje? Nie zniosłabym myśli, że mogła zachorować z powodu jednego z naszych liści, nawet jeśli to zdarzyło się przez przypadek.

Beth leży w łóżku zwinięta w kłębek, czeka na Dana w swojej flanelowej pidżamie, a na stoliku nocnym otwarty thriller zaprasza do lektury. Jednak czuje się zbyt zmęczona, żeby przeczytać więcej niż kilka stron, i kiedy Dan wraca do domu, już przysypia. Minęła północ, więc Dan jest rozdrażniony i obojętny, kiedy Beth oznajmia, że musi mu o czymś powiedzieć.

– Czy to nie może zaczekać, Beth? Jestem wykończony. Jeśli to takie pilne, dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie do pracy? – Żałuje, że tego nie zrobiła albo że nie zaczekała do rana. Odczuwa błogą senność i jakimś sposobem to wszystko nie wydaje jej się aż takie ważne, po prostu zwykły szkolny psikus. Ale i tak mu o tym opowiada, kiedy on się rozbiera, tylko suche fakty, bez przedstawiania własnych opinii.

– Jezu Chryste. – Dan upuszcza krawat u stóp, nie pochyla się, żeby go podnieść, tylko stoi z rękami luźno zwisającymi po bokach, z otwartymi ustami i rozszerzonymi ze zdziwienia oczami. – Co za głupie dziewczyny. Przecież ona mogła umrzeć. Co one sobie myślały, biorąc to wszystko do ust? W tym wieku?! Mają prawie trzynaście lat, na miłość boską. A nie sześć.

– Rzecz w tym, Dan, że one chyba w ogóle nie myślały. Tej dziewczynce nic się nie stało. Tak przynajmniej twierdzi ta, jak jej tam, mama Macey. Czuje się dobrze.

– Dzięki Bogu. – Wślizguje się do łóżka obok niej. Beth przytula się do niego, słuchając bicia jego serca i wdychając dobrze znany ostry zapach.

– Myślisz, że powinniśmy być tym zaniepokojeni? Nie wygląda to zbyt dobrze, prawda? – głos Dana jest niski, ale wyraźnie słyhać w nim niepokój. Próbuje go pocieszyć.

– Nikomu nie stała się krzywda. Będzie miała nauczkę. Wszystkie będą miały.

– Chyba tak. Ale może jest jakiś problem. Może musimy porozmawiać z Charlie.

– Ach, chyba nie ma się czym martwić. To z pewnością typowa głupota grupy rówieśniczej. Będzie już wiedziała, że ma tak nie robić. Charlie jest w porządku – nawet więcej niż w porządku, nie sądzisz? W zasadzie nie wygląda na to, żeby miała *jakikolwiek* problemy.

– A nie sądzisz, że to samo w sobie jest dziwne? Czy dzieci nie miewają swoich spraw? Niepewności? Wątpliwości? Czy myślisz, że coś może umykać naszej uwadze?

– W jaki sposób umykać? Dogaduje się z nauczycielami, ciężko pracuje, jest lubiana.

– Ale to bycie *aż tak* lubianą. Może jest *zbyt* lubiana... To może być problem, prawda?

– Uważasz, że to jest problem? Naprawdę, Dan. – Beth chichocze. – Czy to nie brzmi irracjonalnie? Najpierw zamartwiasz się tym, że Lucy ma tylko garstkę przyjaciół, a teraz tym, że Charlie jest zbyt lubiana.

– Czy w szkole należałaś do najbardziej lubianych dzieci?

– Cóż, chyba nie, ale nie byłam też aż tak nielubiana, jeśli wiesz, o czym mówię. Byłam gdzieś pośrodku. Chyba tak jak Lucy.

– Przypominam sobie, że kiedy byłem dzieckiem, najbardziej lubiani koledzy niekoniecznie należeli do najsympatyczniejszych.

– Ale to jest tylko...

Dan przerywa.

– W każdym razie, co ona wyprawia z tą całą inicjacją do swojej paczki? Pytałaś ją o to? Brzmi to z lekka... upiornie. Jak odwet. Nie jest to coś, co chciałbym usłyszeć. Jakby była jakąś małą – jak one się nazywają? – paskudną królową pszczół.

– Naprawdę nie sądzę, żeby to było coś, czym powinniśmy się martwić, Dan. To nie jakaś tajna organizacja. A ona nie jest jedną z tych okrutnych dziewczynek. Wszyscy szczerze ją lubią. Naprawdę wszyscy – i dzieci, i nauczyciele. Ktoś musi stać na szczycie piramidy. Ona jest... po prostu jest inna niż my. Jest jedną z tych dziewczynek, którą każdy chciałby być. Przynajmniej ja bym chciała. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale uważam, że jest niezwykła. – Beth sama słyszy w swoim głosie pełną entuzjazmu dumę, nawet nie próbuje jej kryć przed Danem.

– Tak. Ja to wszystko wiem. Jest wyjątkowa. Tylko... Mam nadzieję, że używa swojej mocy do tego, żeby czynić dobro. To wszystko. – Wzdycha i odwraca się do niej,

zamykając oczy. Beth obserwuje, jak jego twarz się rozluźnia. Dan otwiera oczy, uśmiecha się niewyraźnie. – I zupełnie nie wiem, dlaczego uważasz za dziwne, że nasza córka jest niezwykła. Wiesz przecież, że ja też jestem niezwykły.

– Pod pewnymi względami.

– Pod wieloma względami. – Jego dłoń ześlizguje się z jej ramienia i obejmuje pierś.

– W każdym razie w tym jestem niezły.

## Skąd one się wzięły?

Zastanawiacie się, skąd wzięły się wasze dzieci? Chodzi mi o to, że zgłębiłam ten temat i jestem prawie pewna, że rozumiem wszystkie biologiczne zawilości. To pomocne. Jednak tajemnica tkwi w tym, kim one naprawdę są. Chyba rozumiem dość dobrze moją starszą córkę, L., ale tylko dlatego, że przypomina mnie samą. Jest spokojna, marzycielska, trochę niepewna, łatwo ją zranić niezręczną uwagą, nieprzemyślanym gestem. Jednak pod pewnymi względami różni się ode mnie. Jest bardziej opanowana, miłsza i bardziej troskliwa niż ja w jej wieku. Interesuje się światem wokół niej, dobrze się uczy i jest radosna – ale niezbyt lubi rywalizację. Stara się najlepiej, jak potrafi, ale nie peszy jej to, że innym idzie lepiej. Zdaje się, że przepracowała całą koncepcję przyjaźni bez zbędnego niepokoju. Ma jedną albo dwie bliskie przyjaciółki i to jej wystarcza. Jest niezwykle zorganizowana – w sposób, który sprawia, że mam łzy w oczach, kiedy widzę ją w działaniu.

Jest jeszcze C. To zupełnie inna para kaloszy. W ogóle nie jest podobna ani do mnie, ani do swojego ojca. Jest jedną z tych radosnych i promiennych dziewczyn. Naprawdę jest dobra we wszystkim. Ma szokująco wysokie wyniki w nauce. Jest kapitanem drużyny hokejowej, piłkarskiej i pływackiej. Wystąpienia publiczne przychodzą jej z łatwością. Pewnie się domyśliliście, że jest ulubienicą nauczycieli.

Rzecz w tym, że jest również lubiana przez rówieśników. Codziennie rano, gdy podrzucam ją do szkoły, chmara dziewcząt wybiega jej na powitanie. Na przyjęciach urodzinowych jej przyście zawsze wywołuje spore poruszenie. Gdy jesteśmy z D. na jakiejś szkolnej uroczystości albo zawodach sportowych i C. dostaje kolejną nagrodę albo wyróżnienie, patrzymy na siebie z dumą, ale także ze zdziwieniem, i wiem, że wtedy oboje zastanawiamy się nad tą samą kwestią.

## KOMENTARZE:

**@ZakotwiczonaNaAlasce** pisze:

LOL. Zdaje się, że rozpracowałam te biologiczne uwarunkowania szybciej ode mnie! Nie sądzę, żebym z tym zdążyła przed przyjściem na świat syna #4 ;-)

**@MamaZKrainyOzWTokio** pisze:

Czy siostry dobrze się ze sobą dogadują, Lizzy?

**@ZakreconaLizzy** odpowiedziała:

Naprawdę się lubią! Nie mam pojęcia, jak bym sobie poradziła, gdyby się biły.

**@MamaEkspatka** pisze:

Uwielbiam ten post! Dzieci są taką zagadką! – codziennie jestem zarazem zachwycona i zadziwiona. Świetna robota, trzymaj tak dalej :).

**@NiebieskaSue** pisze:

Nasza najmłodsza latorośl też była całkowicie typem A. Zawsze wszystko wygrywała – konkursy naukowe i zawody sportowe. Jednak w ostatnich klasach szkoły miała poważne załamanie nerwowe. Chyba zbyt dużo od siebie wymagała. Teraz czuje się lepiej – po wielu latach terapii wreszcie okiełznała swój perfekcjonizm. Ale z pewnością trzeba mieć się na baczności. Musicie też być uważni, żeby nie stracić z oczu tej spokojniejszej córki.

## BETH

Nazajutrz Beth zawiozła dzieci do szkoły, ale nic ponadto, nie wysiadła z samochodu, nie ucięła sobie pogawędki z żadną matką, po czym zadzwoniła do dyrektorki.

– Pani Mahony. W czym mogę pomóc? – Głos pani Guterman jest tak cichy i przyjemny jak zawsze.

– Och, pani Guterman. Chodzi o tę dziewczynkę, która wczoraj zachorowała. Ma na imię Arya. Dzwonię zapytać, jak ona się czuje. – Nagle głos Beth brzmi bardzo po australijsku.

– Ach tak. Arya. – Wymawia imię jako A-ja, a nie Ar-i-a, tak jak to przed chwilą zrobiła Beth. – Czuje się dobrze, pani Mahony. Rozmawiałam rano z jej matką. Wczoraj wieczorem dziewczynkę wypisano ze szpitala bez żadnych objawów chorobowych. Zdaje się, że podali jej węgiel i natychmiast poczuła ulgę. To był tylko krótkotrwały dyskomfort, któremu towarzyszyła chwila paniki z naszej strony, kiedy Arya pokazała nam rzeczy, których skosztowała. Jedna z nauczycielek rozpoznała liść oleandra i знаła jego właściwości.

– Och, tak się cieszę. Bardzo się zmartwiłam. – Beth nie jest w stanie powstrzymać potoku słów. – Nie wiem, czy pani ma świadomość, ale najwyraźniej Charlie i jej paczka przyjaciółek miały coś wspólnego z tą sytuacją.

– Chodzi o ten rytuał inicjacji? Tak, jestem tego świadoma.

– Myślę, że Charlie mogła przynieść ten liść z domu. Mam mały krzew oleandra, który posadziłam w zeszłym roku. Ale ona twierdzi, że nie miała pojęcia, że ten liść jest trujący. – Nawet dla niej brzmiało to tak, jakby się broniła.

– Oczywiście, że o tym nie wiedziała, pani Mahony. Nikt nie uważa, że Charlie – że którakolwiek z dziewcząt, jeśli już o tym mowa – o tym wiedziała. – Jednak jesteśmy tu w szkole bardzo zaniepokojeni tym procederem inicjacji. – Głos pani Guterman staje się bardziej szorstki i chłodny.

– Ach, jestem pewna, że to nic takiego. Po prostu pomyślały, że będzie zabawnie. Wie pani, jakie są dziewczyny w tym wieku. – Beth usiłuje udawać beztroską obojętność, ale wychodzi to niezręcznie.

– Tak. Bez wątpienia taka była intencja i zapewne zaczerpnęły ten pomysł z jakiejś książki albo filmu, i miała to być dobra zabawa. Niemniej jednak, pani Mahony, inicjacje i pewnego rodzaju wykluczenie, które stanowi nieodłączną część tych rytuałów, nie jest mile widziane w Brookdale.

– Oczywiście, że nie. I nie wyrażamy aprobaty dla czegoś takiego w naszej ro...

– Musimy potraktować tę sytuację bardzo poważnie. Dzisiaj spotkam się z dziewczętami zamieszanymi w tę sprawę i omówię z nimi pewne kwestie.

– Ach tak. To wydaje się rozsądne. Cieszę się, że...

– Wobec prowodyrek, w tym w stosunku do Charlie, zostaną wyciągnięte konsekwencje dyscyplinarne. Dziewczynki nie zostaną ukarane w typowy sposób, ale będą musiały zrezygnować z części swojego czasu. Chciałabym, żeby w pełni zrozumiały, w jaki sposób ich zachowanie wpływa na innych ludzi.

Beth czuje, jak przewraca jej się w żołądku, jakby to ona, a nie jej córka, właśnie znalazła się w tarapatkach.

– Ale jestem pewna, że one to rozumieją, wiem, że Charlie była przerażona, kiedy się dowiedziała, co się stało. Myślę, że wszystkie były przerażone. Z pewnością ten incydent nigdy więcej się nie powtórzy. Oczywiście zrobimy...

Pani Guterman znowu przerywa, ale tym razem łagodnym głosem:

– Pani Mahony, zapewne nie jest pani świadoma, jaki Charlie ma wpływ na inne dziewczynki. Pod wieloma względami to wspaniałe dziecko, jest bystre i dobrze ułożone. Jednak pani córka ma wyjątkowo silną osobowość. Właściwie jest najsilniejsza fizycznie i psychicznie spośród kohorty dziewcząt, które są przecież bardzo inteligentne i stanowcze. My – personel szkoły i ja osobiście – jakby to ująć, obserwujemy ją uważnie i do tej pory jej wpływ miał zawsze łagodny charakter. A nawet, powiedziałabym, korzystny. Ale ostatnio miało miejsce kilka incydentów – w klasie i na boisku, część została zgłoszona przez innych uczniów – a teraz jeszcze te rytuały przyjęcia do czegoś, co najwyraźniej jest jej paczką, a najważniejsze wydaje się to, że ta paczka niewątpliwie *znajduje się* pod kontrolą Charlie. Myślę, że najwyższy czas, żeby z nią o tym porozmawiać. Później będę rozmawiać ze wszystkimi dziewczynkami zamieszanymi w tę sprawę, a potem chciałabym, żeby Charlie spotkała się z panią Lopez, naszą pedagog. Zaplanowałam już te spotkania w trakcie przerw obiadowych w ciągu kilku kolejnych dni.

– Rozumiem. – Beth czuje, jak na zmianę zalewa ją fala zimna i gorąca, a krew napływa do twarzy. – Czy pozostałe dziewczynki także będą miały spotkania z panią



Lopez?

– Nie na tym etapie.

– Och. Wie pani, Charlie jeszcze nigdy... nigdy nie miała kłopotów.

– Ona nie ma kłopotów, pani Mahony. Wciąż uważamy ją za bardzo dobre dziecko. Pod wieloma względami jest wyjątkowa – osiągnięcia naukowe, etyka pracy, zdolności organizacyjne. Cudownie mieć takie dziecko w klasie. Jestem pewna, że w domu też taka jest. Chcemy tylko dopilnować, żeby nie zeszła z właściwej drogi. Żeby dalej nią kroczyła.

– Cóż, brzmi to sensownie, ale przygnębiająco.

– Rozumiem, że w nowym roku przeprowadzacie się państwo do Australii i bardzo szybko wszystkie te wydarzenia będą wydawały się państwu odległe w czasie i przestrzeni. – Teraz głos pani Guterman brzmi niemalże radośnie, wspierająco. – Charlie pójdzie od razu do następnej klasy w nowej szkole, prawda?

– Tak. Przeprowadzamy się w trakcie przerwy na święta Bożego Narodzenia, a nowy rok szkolny zaczyna się w Australii pod koniec stycznia. Charlie pójdzie do siódmej klasy. Nie mamy tam czegoś takiego jak gimnazjum.

– Wobec tego to dobry moment, żeby nad tym popracować. Okazja, żeby wyrównać pewne braki. Może rozważyłaby pani dodatkowe spotkania z psychologiem w czasie ferii, zanim szkoła znowu się zacznie.

– Więcej spotkań z psychologiem? Naprawdę uważa pani, że to konieczne?

– Bywa pomocne w trakcie okresów przejściowych. Nawet jeśli miałyby to być jedynie działania profilaktyczne. Przecież nie chciałaby pani, żeby w przyszłości zdarzały się tego rodzaju incydenty.

– Ale to był z pewnością jedynie...

Głos pani Guterman brzmi stanowczo.

– Przynajmniej będziemy mieć pewność, że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby coś takiego więcej się nie powtórzyło.

Kiedy później Beth relacjonuje całe zajście Danowi, nic już nie wydaje się takie bolesne, takie poniżające jak w trakcie tej rozmowy.

– Nie mam pojęcia, dlaczego jesteś z tego powodu taka wkurzona, Beth. Pani Guterman po prostu wykonuje swoje obowiązki.

– Swoje obowiązki? Powiedziałabym, że wykracza poza nie, nie sądzisz? Charlie to jeszcze dziewczynka – cała ta gadka o tym, że kontroluje innych. Zabrzmiało to tak,

jakby była jakąś małą intrygantką niczym Machiavelli.

– Myślę, że zbyt wiele się w tym dopatrujesz, Beth. Dyrektorka szkoły po prostu chroni swój tyłek – czyż nie to mniej więcej powiedziała? Musi być postrzegana jako ktoś, kto postępuje słusznie. Przestań się martwić. Kilka spotkań z psychologiem nie wyrządzi jej krzywdy, prawda? Rozmawiałaś o tym z Charlie?

– Rozmawiałam. Była trochę wkurzona, że straci czas na przerwach obiadowych, ale najwyraźniej wysyłają ich do szkolnego pedagoga z powodu każdej drobnostki, więc nie była tym jakoś szczególnie zdziwiona.

– Nie sądziłem, że będzie wkurzona. A rozmawiałaś z nią o inicjacji?

– Powiedziałam jej otwarcie, że tego nie akceptujemy, ale nie rozwodziłam się na ten temat. Przypuszczam, że ma już dość tego gadania w szkole. Pomyślałam, że jeśli jeszcze ja dorzucę do tego swoją cegiełkę, to może być dla niej przytłaczające.

– Może są jeszcze inne sprawy, o których musimy z nią porozmawiać.

– Jakie sprawy?

– Ach, nie wiem, Bethie. Nic poważnego. Może jakieś rady, w jaki sposób należy traktować przyjaciół. – Lekko chrząka i dodaje: – Oraz wrogów.

– *To dopiero* zabrzmiało makiawelicznie.

– Właściwie myślałem bardziej jak Sun Zi.

– Ale tak serio, Dan, naprawdę myślisz, że musimy jej wyjaśniać takie rzeczy?

– Może i tak. Dlaczego pytasz?

– Myślę, że ona już to wie. Nie sądzę, żeby istniało wiele spraw, których Charlie nie rozumie. Sama do tego wszystkiego dojdzie. Zapytałam ją, co się stało. Wyjaśniła mi całą sytuację. Powiedziałam jej, że to, co zrobiła, było głupie i niebezpieczne. Naprawdę uważam, że powiedzieliśmy wszystko, co potrzeba. Dostała już nauczkę.

– Dobrze, Beth. Myśl... – Dan ziewa i odwraca się na drugi bok, najwyraźniej nieskory do dalszej dyskusji i gotowy do spania. – Myśl, co chcesz. W końcu to ty jesteś matką.

Dziewczynka wraca do zdrowia. Przyjaźń, jaka by ona nie była, trwa dalej. Charlie chodzi na spotkania z panią pedagog, ponosi konsekwencje swoich czynów i odbywa karę. Kiedy Beth o to pyta, Charlie wzrusza jedynie ramionami i mówi, że pani Lopez jest w porządku. I że zrozumiała kilka spraw.

Najwyraźniej odrobiła lekcję. Nie pozostało już nic do dodania.

## BETH

Sama przeprowadzka bynajmniej nie stanowi najbardziej uciążliwego elementu całego przedsięwzięcia, chociaż wystarczająco daje w kość. Na miesiąc przed planowanym wylotem wszystkim zaczynają puszczać nerwy, szczególnie Charlie, która wciąż wyraża swój sprzeciw wobec tego kiepskiego pomysłu przeprowadzki do Newcastle. Zdecydowanie jest przewrażliwiona. Nawet zabawy bożonarodzeniowe nie zdołały poprawić jej nastroju.

W sobotę przed wyjazdem Beth organizuje pożegnalne wyjście dla Charlie i Lucy – zabiera niewielką grupę dziewczynek na lunch, a potem do kina. Zazwyczaj stoicka Lucy ociera kilka łez, kiedy żegna się z przyjaciółkami, a szczególnie z Najlepszą Przyjaciółką na Zawsze o romantycznym imieniu Viola, wysoką, małomówną dziewczynką, która wyróżnia się, raczej mało romantycznie, w grze w hokeja. Charlie zachowuje się dziwnie chłodno w trakcie każdego przeciągającego się pożegnania. Jej pożegnalne uściski są zdawkowe i ledwie odpowiada na przesadny hołd, który jej oddają.

Kiedy Beth przychodzi pocałować ją na dobranoc i pyta, czy dobrze się czuje, Charlie patrzy na nią z beznamiętnym wyrazem twarzy.

– Tak. A co?

– Sądziłam, że będziesz bardziej przygnębiona, ponieważ zostawiasz wszystkie koleżanki, całą swoją paczkę... – Beth przerywa i dodaje łagodnym głosem. – Możesz poczuć smutek, Charlie. To jest w porządku.

– Ach, o to chodzi. Tak, chyba będzie mi ich brakowało. Ale nie tak bardzo. – Wzrusza ramionami. – Chyba ostatnio niezbyt dobrze się dogadywałyśmy. Od czasu tej sprawy z Aryą.

– Naprawdę? Myślałam, że wszystko zostało wyjaśnione. Przykro mi, kochanie, nie zdawałam sobie z tego sprawy. Co się dzieje?

– Ach, nic szczególnego. Po prostu... Sama nie wiem. Tak jakby od tamtej pory, a może z powodu tego, że się przeprowadzam, nie jesteśmy ze sobą aż tak blisko. Nic złego się nie dzieje.

Beth nagle odzyskuje nadzieję.

– Wobec tego masz teraz lepsze nastawienie do przeprowadzki?

Na twarzy Charlie pojawia się grymas.

– Nie. Nie mam lepszego nastawienia do przeprowadzki. Podoba mi się tutaj. To mój dom. Sydney może by jeszcze uszło. Ale Newcastle to beznadzieja. Tego nawet nie można nazwać miastem, prawda? – Wyraz obojętności zniknął z jej twarzy i nagle wygląda na nieszczęśliwą, a do oczu napływają jej łzy.

– Och, kochanie. – Beth nie może znieść myśli, że niewzruszony spokój jej córki był jedynie maską, pod którą skrywało się jakieś nieokreślone cierpienie. Serce jej się ściska. Przytula Charlie i po raz pierwszy od wielu miesięcy Charlie odwzajemnia jej gest i obejmuje matkę, pozwalając mocno się przytulić.

– Wiem, że to trudne, ale wszystko się ułoży. Zobaczysz. Za rok będziesz się czuła w Newcastle jak w domu. Będziesz miała mnóstwo nowych przyjaciół. To będzie wspaniała przygoda.

W rzeczywistości Beth musi bardzo się starać, żeby trzymać na wodzy własne lęki. Tak, jakby te wszystkie wątpliwości, jakie miała w związku z Newcastle, jeszcze bardziej się wzmagaly, zamiast się rozwiewać. Gdyby wracali do Sydney, gdzie – jak sobie wyobrażała – mogłaby na polu zawodowym i towarzyskim zacząć w tym samym miejscu, w którym skończyła lata temu, czułaby się zupełnie inaczej. Jednak myśl o przeprowadzce do małego i niewątpliwie zaściankowego miasteczka, w którym właściwie nikogo nie zna i w którym musiałaby zaczynać wszystko od początku, nagle uświadamia jej, jak bardzo będzie tęsknić za swoim *obecnym* życiem.

Beth wie, że czasem nie doceniała amerykańskiej egzystencji, czuła się tak, jakby trzymała jakąś część swojej jaźni na uwięzi, ale teraz w przededniu wyjazdu wyraźnie dostrzega, że tak naprawdę udało jej się tutaj dobrze ułożyć sobie życie. Przez ponad dziesięć lat budowała własną tożsamość – ma przyjaciół, sieć kontaktów społecznych. Ludzie wiedzą, kim jest. Podejrzewa, że powrót będzie o wiele trudniejszy, niż przypuszczała. Przygoda, owszem, ale w miarę, jak zbliża się czas wyjazdu, ten pomysł zaczyna ją coraz mniej pociągać.

Jednak tu i teraz, gdy pociesza swoją pełną obaw córkę, nie ma miejsca na żadne wątpliwości.

– To będzie wielka przygoda, skarbie – powtarza. – A ty będziesz się cieszyć każdą jej chwilą.

Charlie wyswobadza się z uścisku, ociera oczy i pociąga nosem.

– Naprawdę tak myślisz?

– Naprawdę. – Głos Beth brzmi pewnie, stanowczo. – Jestem o tym przekonana.

Na razie, żegnajcie, auf Wiedersehen, adieu...

– Wracacie do Austrii? Prawie nie słychać u was akcentu. Mieszkacie tutaj jakiś czas, prawda? – Pracownik firmy przeprowadzkowej, który jest wysokim mężczyzną z wyraźnie zarysowanymi, zapewne uwydatnionymi przy pomocy sterydów mięśniami, spogląda ponad moją głowę na pobojuwisko pełne spakowanych do połowy pudeł porozstawianych po całym salonie. Najwyraźniej nie oczekuje ode mnie żadnej odpowiedzi, ale i tak jej udzielam.

– Do *Australii*. Pochodzimy z Australii, a nie z Austrii.

– Mhm. Wie pani, że pakowanie jest wliczone w cenę przeprowadzki, więc będziecie musieli rozpakować te pudła po to, żebyśmy mogli je zapakować, jak należy. Chodzi o ubezpieczenie. – Mówi to nieco przeproszającym tonem. Zdejmuje czapkę z daszkiem i drapie się po łysinie, wciąż patrząc ponad moją głowę.

– Ach. Dobrze. Chyba damy radę to zrobić. Ale lecimy do *Australii*, nie do Austrii. No wie pan, tam, gdzie są kangury. Sydney Harbour Bridge. – Już sobie wyobrażam, jak przyjeżdżamy do Newcastle i się dowiadujemy, że wszystkie nasze ziemskie dobra popłynęły gdzieś do Europy.

– Dobra. Au-stra-lia. – Po raz pierwszy spogląda na mnie ze swoich wysokości i niewyraźnie się uśmiecha. Ma drobne, żółte i spiczaste zęby. – Wy, Europejczycy, trochę podróżujecie, prawda? Ale Australia? To zupełnie inna bajka. Tam jest niebezpiecznie. No wie pani, jak w Afryce. – Patrzy na mnie z przemądrzałą miną. – Mają tam rozbuchaną faunę i florę. Węże. Pająki. – Zawiesza na chwilę głos. – Podobno są tam piekielnie krwawe rekiny na tych antypodach.

– *Ja*. – Obcesowo potakuję głową, po niemiecku. – Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby nie dać się poznać.

## KOMENTARZE:

**@MilosniczkaSlonca** pisze:

Ha, ha, ha! Na szczęście to Australia, a nie Austria. Przynajmniej wracacie do słonecznej pogody. Przyjechaliśmy do Londynu po wielu latach spędzonych w Kalifornii i nie mogłam tego znieść. Wytrzymałam zaledwie sześć miesięcy.

**@MamaZKrainyOzWTokio** pisze:

LMAO[2]. Znowu. Xx

**@ZakotwiczonaNaAlasce** pisze:

Och, cóż za rozkosz. Ktoś spakuje te wszystkie rzeczy. Co ja bym za niego dała. A do tego prężenie mięśni gratis!

**@MamaEkspatka** pisze:

Hej, Lizzy – właśnie dowiedziałam się o tych nowinach! Ale nadal będziesz pisać blog, prawda? Myślę, że wszystkie twoje doświadczenia związane ze zmianą miejsca zamieszkania będą doskonałym materiałem! Mam nadzieję, że zdążysz na kolejny konwent emigrantów, który ma się odbyć w maju w Filadelfii.

**@NiebieskaSue** pisze:

Nigdy nie przestanie mnie zadziwiać to, jakim sposobem najsilniejszy naród na świecie ma najbardziej niedouczonych obywateli. Kiedyś przyjaźniłam się z Amerykanką, która się upierała, że Australia została zaanektowana przez nazistów podczas drugiej wojny światowej. Obawiam się, że Stany Zjednoczone nieuchronnie chylą się ku upadkowi, a z tego, co widzę, Chiny również nie oferują zbyt wiele. Lizzy, życzę Tobie i Twojej rodzinie szczęśliwego powrotu do domu.

## BETH

Wyobrażała sobie, że to wszystko będzie wodą na jej blogerski młyn, ale kiedy wróciła do Australii, wydaje się, że wiele wątków związanych z przeprowadzką nie nadaje się do upublicznienia. Liczne, zawsze niespodziewane, minusy. Problemy, niektóre poważne, inne błahe, których nie chce opisywać, choć jej blog jest właściwie anonimowy. Dają znać o sobie także mniej istotne niedogodności – zapomniane, zagubione rzeczy – oczywiście to Beth odpowiada za logistykę, za dopilnowanie, żeby wszystko przebiegło gładko. Potem pojawiają się negatywne skutki emocjonalne – nagłe, niewytłumaczalne napięcie między nią i Danem. Jest zdenerwowany nową pracą, przeprowadzką do rodzinnego miasta, ale nie chce na ten temat rozmawiać. Dziewczynki, szczególnie Charlie, są drażliwe, łatwo wpadające w przygnębienie, zadziwiająco kłótniwe.

Pojawia się jeszcze jej matka. Wieści o nieuchronnie zbliżającej się przeprowadzce wydobyły na pierwszy plan jej obawy związane z Margie, ale jakimś cudem zdołała uniknąć myślenia o tym, co może oznaczać bliskość jej rodzicielki.

Być może po prostu, niby przypadkiem, zapomniała, jak bardzo najeżona trudnościami może być relacja z Francine. Krótkie coroczne wizyty o napiętych ramach czasowych były tego dowodem przez ostatnie dwanaście lat z okładem, a wpływ jej matki na ich życie był ograniczany, kontrolowany. Nie dawano Francine zbyt wielu okazji, żeby wytykała Beth błędy dotyczące jej życiowych wyborów, dzieci, małżonka. Pozostawiono jej tylko pole do popisu w sprawach odnoszących się do największych błahostek, które łatwo zignorować. Na przykład, że Beth nie potrafi pokroić marchewki wzdłuż (zwykle niedbalstwo), że woli tanią jodowaną sól stołową (jakie to staromodne, ale zapewne tacy są Amerykanie), że ma tyle butów na płaskim obcasie („A co, jeśli będziesz musiała, skarbie, pójść na jakieś przyjęcie?”), że ma kręcone włosy (proste włosy wyglądałyby o wiele schludniej, to chyba jasne?). Uwagi dotyczyły także jej relacji z dziećmi („Całe te harmonogramy, przecież chyba nie jesteście jednymi z tych – jak oni się nazywają? – rodziców rollercoasterów, nie, rodziców *helikopterów*, prawda?”), licznych braków Dana („Przypuszczam, że to wszystko przez to, że latami jeździł po niewłaściwej stronie drogi, kochanie”). Drobnostki, które dało się jakoś znieść – Francine nie serwowała żadnych



traumatycznych dramatów emocjonalnych, które były na porządku dziennym, gdy Beth mieszkała bliżej.

Podobne ograniczenia czasowe dotyczyły spotkań z jej teściową i oznaczały, że Margie również pokazywała im najbardziej uroczą stronę swojej osobowości. W trakcie krótkich wizyt w Newcastle była tak zajęta wożeniem ich tam i z powrotem z domu na plażę, zabieraniem ich na pikniki i popisywaniem się nimi przed kolejnymi ciotkami i kuzynami, że Beth tylko sporadycznie czuła chłodny powiew rozczarowania Margie.

Patrząc z perspektywy czasu, owe weekendowe pobyty wakacyjne, o ściśle określonych ramach czasowych, były idealne – każda wizyta kończyła się w atmosferze dobrej woli z obu stron.

Jednak przedłużający się kontakt z obiema matkami to już całkiem inna historia. Pomimo wszystkich zapewnień wygłaszanych w obecności dziewczynek i publikowanych na blogu, a dotyczących tego, jak cudownie będzie znowu znaleźć się w objęciach swoich rodzin, jak wspaniale mieć babcię, ciocię, wujków, a nawet kuzynów na tym samym kontynencie, Beth miała poczucie, że ten kontakt stanie się o wiele bardziej problematyczny i wkrótce z pewnością doświadczą różnych (jak to z pewnością powiedziałyby @NiebieskaSue) kwestii.

Pierwszy kontakt Beth z matką jest pouczający. Po przylocie cała czwórka jedzie prosto z lotniska w Sydney do mieszkania jej matki w Manly. Jak zawsze zostają powitani w najbardziej wspaniałomyślny sposób: ich sypialnie są pięknie udekorowane kwiatami, spiżarnia i lodówka zaopatrzone i pozostawione do ich dyspozycji. Chociaż Francine nie przepada za gotowaniem, przygotowała pyszne dania i zaaranżowała wyjścia do restauracji na czas ich pobytu. Nie muszą nawet kiwnąć palcem i czują się tak komfortowo, jakby byli w pięciogwiazdkowym hotelu. Jednak Francine jest w stanie utrzymać tę atmosferę wielkodusznego powitania zaledwie przez dwa dni, a trzeciego uwalnia swojego uszczypliwego wewnętrznego krytyka, najwyraźniej nie mogąc się już powstrzymać.

Późnym popołudniem Beth udaje się z matką na długi spacer wzdłuż promenady, dziewczynki oglądają telewizję, a Dan śpi. Wstępują do ulubionej kafejki Francine, w której siedzą traperzy z siwymi brodami w zdrowotnych klapkach i gdzie są niewiarygodnie niewygodne krzesła oraz całkowicie pozbawione cukru menu. Znajdują stolik w ogródku i siadają w cieniu, rozmawiając o wszystkich tych ekscytujących sprawach związanych z przeprowadzką: o nowym domu, możliwościach edukacyjnych, pracy Dana. A potem matka Beth zaczyna:

– Kochanie – zawiesza głos, wzdycha teatralnie, wpatruje się uważnie w córkę. Beth rozpoznaje tę śpiewną modulację, to zawieszenie głosu, ten zatroskany wyraz twarzy. Wie, że to, co za chwilę nastąpi, będzie bolesne. – Kochanie – powtarza Francine, przyglądając się badawczo Beth znad swojego latte. – Nie chcę się wtrącać i nie mam zamiaru robić ci – jak to się mówi? – obciachu, ale nie sądzisz, że najwyższy czas, żebyś zrobiła coś ze swoją karierą zawodową? Zmarnowałaś już tyle czasu, ale jestem pewna, że jeszcze nie jest za późno.

Beth robi się czerwona na twarzy już w chwili, kiedy matka zaczyna mówić, a gdy wypowiada słowo „zmarnowałaś”, tak bardzo szumi jej w głowie, że ledwo słyszy koniec zdania.

– Mamo, nie wiem, jak możesz mówić, że zmarnowałam czas. – Beth musi policzyć do dziesięciu, żeby kontynuować. Zamyka oczy, bierze głęboki oddech. – Nie miałam wyboru, wiesz o tym. Nie miałam pozwolenia na pracę w USA. – Bierze kolejny oddech, usilnie stara się pozbyć asekuracyjnego tonu głosu. – W każdym razie, nawet gdybym miała to pozwolenie, nie sądzę, żebym postąpiła inaczej. Mam dwoje dzieci i to właściwie już jest praca, wiesz, szczególnie gdy mieszkasz w obcym kraju...

Matka przerywa jej, machając niecierpliwie ręką w tak nieprzyjemnym geście, że Beth musi przygryźć wargę, żeby powstrzymać odruchowe drżenie.

– O Boże, skarbie. Nie bądź taka przewrażliwiona – wzdycha. – Oczywiście wiem, że chodziło o dzieci, i że to trudne, bo wybory nigdy nie są łatwe. Sama musiałam ich dokonywać, wiesz o tym, dawno temu, w zamierzchłych czasach, i byłam całkowicie pozbawiona pomocy przy opiece nad dziećmi. Ty i twoja siostra musiałyście biegać z kluczem na szyi – nie było innego wyjścia. Ale masz przed sobą przyszłość, o której ja mogłam jedynie pomarzyć. Musiałam stworzyć sobie pracę sama po tym, jak twój ojciec zmarł. Na miłość boską, przecież nie byłam wyszkoloną księgową. Po prostu szczęśliwym zbiegiem okoliczności miałam kontakty. Ale ty jesteś wykształcona, doświadczona, znasz, kogo trzeba. A przynajmniej znałaś. Musisz wrócić do rzeczywistości, skarbie – dla siebie samej. Tylko tyle chcę ci powiedzieć. Twoja siostra ma czworo dzieci, ale nie powstrzymało jej to przed zrobieniem kariery ani na minutę. Nie rozumiem, skąd u ciebie to pragnienie poświęcania się, skoro masz tyle, aż tyle atutów.

Susie, siostra Beth, jest ginekologiem położnikiem, ma męża lekarza specjalistę, roczny sześciocyfrowy dochód, nianię i całą świątę personelu. Stać ją na to, żeby zlecić komuś każde niewdzięczne zadanie. A jej dzieci – choć Beth nigdy nie powiedziałyby tego na głos – cierpią pod wieloma względami, czego Francine, skoncentrowana na

wyglądzie, osiągnięciach szkolnych i nienagannym zachowaniu wnuków, nie jest w stanie dostrzec.

– Wiesz, mamó, właściwie *zrobiłam* to, co chciałam – dokładnie tak jak Susie – a także to, co musiałam zrobić. – Z przyjemnością słyszy, że mówi opanowanym głosem.

Jej matka odgania od siebie również i ten argument.

– Oczywiście, że postępowałaś właściwie przez te wszystkie lata, nie kwestionuję tego. Ale na pewno teraz kolej na ciebie, kochanie. Teraz, kiedy wróciłaś do domu, najwyższy czas zacząć żyć.

– Ja żyję, mamó. – Beth czuje nieznaczne ukłucie w oczach. Połyka łzy, usilnie próbuje się ich pozbyć.

– Źle to odbierasz, Beth. Chodzi mi o to, że wróciłaś do Australii, dziewczynki będą chodziły do szkoły, zamieszkaż w wystarczająco dużej miejscowości, gdzie będą potrzebne twoje umiejętności. Powinnaś to wykorzystać.

– Wiem o tym, mamó. I gdy się już zadomowimy, mam zamiar zacząć o tym myśleć. Ale teraz nie jest tak łatwo, jak kiedyś, znaleźć pracę w moim zawodzie, przecież o tym wiesz.

– Ale im dłużej to odpuszczasz, skarbie, tym trudniejsze się to staje.

– To nie tak, że całkiem straciłam kontakt z zawodem. Prowadzę blog.

– Blog? Wielkie nieba, przecież to bzdury. Któż czyta takie rzeczy? W Internecie jest zbyt wiele informacji. Ach, ci wszyscy ludzie i te ich *opinie*.

– Mamó. – Beth cedzi słowa przez zaciśnięte zęby, teraz już wyraźnie czuje złość. – Może to nie jest coś, co cię interesuje, ale mój blog coś znaczy w prawdziwym świecie. Codziennie czytają go setki ludzi. Z całego świata. Dostał nagrody. A to oznacza, że moje artykuły zostały opublikowane...

– Nie, nie, nie. – Matka Beth uderza ręką w stół. – Uspokój się i posłuchaj mnie przez chwilę. Podeszłam do tego od złej strony, jak zwykle, ale jest jeszcze coś, o czym chciałam ci powiedzieć – możliwość, którą może będziesz chciała rozważyć.

Matka Beth wskazuje na tę możliwość od lat – zawsze istniało coś, co było odrobinę lepsze od tego, czym akurat zajmowała się Beth. Zawsze coś magicznego czekało tuż za rogiem, coś, co zmieniałoby jej córkę-brzydkie kaczątko w łabędzia, który odzwierciedlałby we właściwy sposób jej matczyne wysiłki.

– Drew Carmichael. – Matka wygląda na zadowoloną z siebie.

Drew, syn jednej z najlepszych przyjaciółek jej matki, Sylvii, i brat najlepszej przyjaciółki Beth z dzieciństwa, Julie, jest prawnikiem, który pochodzi ze znakomitej rodziny. W opinii jej matki Drew jest jednym z tych mężczyzn, których wypuściła z rąk, z którym zerwała głupio dla Dana. Niezależnie od tego, jak często Beth przypomina jej, że spotykali się z Drew zaledwie przez kilka miesięcy, dawno temu, kiedy mieli dwadzieścia parę lat, i że to była totalna katastrofa, Francine wciąż się upiera, że Drew byłby doskonałym mężem. I zięciem. Nieważne, że ten charyzmatyczny, przystojny, nieco zadufany w sobie Drew najwyraźniej rozglądał się za żoną z wyższych kręgów społecznych i politycznych – i mówiąc szczerze – z wyższej półki, jeśli chodzi o wygląd.

– Och, jasne. No i co z tym Drew Carmichaelem?

– Nie wywracaj oczami, kochanie. Jesteś za stara, żeby zachowywać się jak nastolatka. I nie mów mi, że nic nie wiesz na temat Drew.

– Mamo, nie było mnie w Australii przez piętnaście lat. Nie mam pojęcia, co się stało z Drew Carmichaelem. To znaczy wiem, że poślubił tę modelkę reklamującą bieliznę, Angelę Jak-jej-tam, ale to wszystko. Nie mam go nawet wśród znajomych na Facebooku – mówi Beth, choć oczywiście wie wszystko o Angeli Jak-jej-tam. Któż w świecie blogerów jej nie zna?

– Córka senatora. Odpowiednia partia dla Drew, nie sądzisz? I nadal są szczęśliwym małżeństwem. Mają troje dzieci: bliźniaczki, zdaje się, że są kilka lat młodsze od Charlotte, i chłopca. Są bardzo wpływową parą. Angela jest śliczną dziewczyną. Prowadzi jedną z tych stron internetowych dla mam.

– Z pewnością wiesz, że w zasadzie jest blogerką? I że jej strona internetowa, *Matkolandia*, zaczęła się od bloga takiego jak mój.

– Ach, ale chyba troszeczkę się różni od tego, czym ty się zajmujesz, czyż nie tak? Angela jest profesjonalistką. A Sylvia opowiada mi, że ona zbija majątek na tych wszystkich młodych matkach i ich obawach. Co za bystra dziewczyna!

– Mamo...

– W każdym razie – Francine po raz kolejny lekceważy sprzeciw Beth – nie to jest w tym wszystkim najważniejsze, skarbie. Drew, jak pewnie się spodziewasz, też wyrobił sobie nazwisko. Nadal wykonuje zawód prawnika, wybrał sobie lukratywną specjalizację, prawo telekomunikacyjne, chyba tak to się nazywa? W każdym razie to niezwykle dochodowa dziedzina. A najważniejsze jest to, że właśnie został wybrany na kandydata liberałów z okręgu... Och, coś mi świta. Jakies jezioro? MacLachlan?

– Jezioro Macquarie?

– Chyba tak. To właściwie Newcastle. Wybuchł tam skandal z udziałem jakiegoś niezależnego polityka i się okazuje, że liberałowie mają szansę w kolejnych wyborach. A Drew jest idealnym kandydatem, ze wszystkimi świetnie się dogaduje.

– Jasne – tym razem Beth celowo wywraca oczami. – Ale co to ma wspólnego ze mną?

– Cóż, w zeszłym roku przeprowadził się do Newcastle z rodziną. Angela może pracować z domu, a Drew dojeżdża do kancelarii – zatrzymali dom w Double Bay. Jego matka powiedziała, że w ciągu kilku miesięcy chce otworzyć biuro, żeby dobrze je rozkręcić przed kolejnymi wyborami. Oczywiście będzie prowadził lokalną kampanię wyborczą.

– I?

– Cóż, to dla ciebie doskonała sposobność. Będzie potrzebował dodatkowego personelu, prawda? Sylvia wspomniała coś na temat rzecznika prasowego. Czyż to nie byłoby dla ciebie wręcz idealne?

– Och, mammo. Szczerze mówiąc, nie jestem gotowa na...

– Och, Elizabeth. To byłoby doskonałe. A jakież może być lepszy sposób, żeby poznać właściwych ludzi?

– Ale ja nie chcę...

– Podałam Sylvii namiary na ciebie i ma zamiar mu je przekazać. Drew dostał się do zarządu tej uroczej szkoły, do której wybierają się dziewczynki – Hunter Ladies' College. Tam też możesz się przydać.

– Mammo, mówiłam ci już, że jeszcze nie podjęliśmy decyzji w sprawie edukacji. Dan myśli o tym, żeby wysłać dziewczynki do swojej dawnej szkoły. Margie nadal pracuje tam w bibliotece, więc...

– Ach, nie bądź śmieszna, Elizabeth. – Matka gestem dłoni prosi o rachunek. – W tym wieku dziewczynki nie chciałyby w szkole czuć na karku oddechu swojej babci. Chyba nie ma nic gorszego.

– Ona ma sześćdziesiąt sześć lat, więc przypuszczam, że wkrótce odejdzie na emeryturę...

– W każdym razie z pewnością nie wyślesz dziewczynek do szkoły katolickiej. Z tego, co słyszę, ludzie tam są wciąż zacofani. I do tego jeszcze wszyscy ci *pedofile*. – Cedzi to słowo w nieprzyjemny sposób i lekko wzrusza ramionami. – A przecież

dziewczynki nawet nie są katoliczkami, prawda?

– Mamo, my nadal...

– Co pomyślałby twój ojciec, Beth? I babcia. Już wystarczy, że poślubiłaś... Ale przecież nie chcemy, żeby dziewczynki... Mój Boże! Matka przewróciłaby się w grobie. Nie możesz im o tym wspominać – Newcastle jest opanowane przez potworną subkulturę surferów i z pewnością nie chciałabyś, żeby dziewczynki się w coś takiego wplątały. Rozmawiałam z kilkoma osobami i naprawdę nie ma tam żadnych innych przyzwoitych prywatnych szkół, więc właściwie nie masz wyboru. Chyba że będą mieszkać w internacie. To byłoby fantastyczne dla dziewczynek, szczególnie dla Charlotte, ale nie wyobrażam sobie, żebyś była tym zachwycona. – Matka uśmiecha się drwiąco. – Musisz przyznać, że wszystko stałoby się o wiele prostsze, gdybyś wróciła do Sydney, prawda?

Beth, zbyt sfrustrowana, żeby odpowiedzieć, siedzi i obserwuje, jak jej matka przygotowuje się do wyjścia i odlicza napiwek.

– W każdym razie będziemy miały jeszcze mnóstwo czasu, żeby to wszystko przedyskutować. Ale dopilnuj, żeby nawiązać kontakt z Drew, dobrze? Wróciłaś do domu, a zanim się zorientujesz, dziewczynki wyfruną z gniazda. Najwyższy czas, żebyś skupiła się na sobie.

Nazajutrz Beth z ulgą wyjeżdża do Newcastle – chociaż wie, że pod wieloma względami wpadnie z deszczu pod rynnę. Mają spędzić dwa dni z Margie, zanim przeniosą się do wynajętego na krótko lokum – niewielkiego, ale wygodnego mieszkania w centrum miasta, za które płaci firma Dana. Spędzą tam miesiąc, zanim przeprowadzą się do domu, który kupili raczej pod wpływem impulsu – zakochali się w nim przez Internet, a Dan sfinalizował transakcję w trakcie tygodniowego szkolenia, miesiąc przed ich przyjazdem.

Chociaż Margie nie może być już bardziej serdeczna i jest taka zadowolona, wręcz *podekscytowana!* tym, że wracają do domu, do Newcastle, to trudno jej ukryć swoją dezaprobatę dla wielu decyzji Beth i Dana, na czele z wyborem domu. To trzypiętrowy budynek z cegły w stylu wiktoriańskim – zwieńczony romantycznym, dwuspadowym dachem. Rozległy, ale zniszczony – na luksusowych przedmieściach niedaleko centrum miasta i w odległości krótkiego spaceru od plaży. Margie, która przez całe życie mieszka w podmiejskiej robotniczej dzielnicy Mayfield, najwyraźniej założyła, że Dan powróci na stare śmieci. Fakt, że postanowił zamieszkać gdzie indziej, jest dla niej czymś w rodzaju ciosu, w pewnym sensie zdradą. Oczywiście, w oczach Margie, winę za to ponosi Beth, synowa z klasy średniej.

W dniu przyjazdu cała piątka – Dan i Beth, dziewczynki i Margie – pakują się do malutkiego wypożyczonego samochodu i Dan zawozi je najpierw, żeby obejrzały wynajęte mieszkanie, a potem dom. Pomimo nalegań Beth, żeby Margie usiadła z przodu, kobieta wybiera tylną kanapę, siedzi ściśnięta między dziewczynkami, kiedy jadą malowniczą trasą równoległą do brzegu zatoki, a potem krętą drogą, która biegnie wzdłuż wybrzeża, po czym w końcu, turkocząc, wjeżdżają do miasta. Margie niezbyt entuzjastycznie reaguje na wynajęty lokal, raczej dość nijakie mieszkanie nad zatoką, umeblowane oszczędnie i bez wyobraźni, ale wystarczająco wygodne, żeby posłużyć im przez kilka kolejnych tygodni.

– Na jakiś czas wystarczy, jak mniemam. Prawdziwe miejskie życie. – Jednak zdecydowanie Margie jest przerażona kondycją domu, który znajduje się wysoko na przedmieściach The Hill, niedaleko imponującej anglikańskiej katedry.

Zdaje się, że ten dom był kiedyś dość okazały, ale od lat wynajmowany, rozpaczliwie potrzebuje remontu. Beth z miejsca się w nim zakochuje, dokładnie tak, jak zapewniał ją Dan, wszystkie jej wątpliwości znikają, kiedy wkracza na mozaikowe płytki holu i dostrzega wijące się z gracją schody z wypolerowaną mahoniową balustradą. Niemalże wybucha płaczem, gdy wchodzi do ogromnego salonu na pierwszym piętrze i widzi nabrzeże, latarnię morską oraz ocean.

– Zatem naprawdę macie zamiar tutaj zamieszkać, kochanie? – Margie pyta Dana, gdy idzie z zaciśniętymi ustami przez zakurzony labirynt pokoi z wysokimi sufitami. – Na tym wzgórzu? Twój tata byłby zaskoczony. Doprawdy, ten świat jest komiczny.

Dan, jak zawsze, albo nie zwraca uwagi na sceptycyzm swojej matki, albo postanawia roześmiać mu się w twarz.

– Och, nie wiem, mamu, jakoś mi się tutaj spodobało. Wzgórze jaśniepaństwa. Czyż to nie tutaj chcieli mieszkać wszyscy w Newcastle, kiedy byłem dzieckiem?

– No cóż, nie mogę powiedzieć, żeby to miejsce kiedykolwiek mnie fascynowało, Danielu. Ale wtedy byłam córką górnika, jak mniemam. I żoną górnika – mówi oschle. – To wszystko wygląda bardzo okazale, ale jest mnóstwo do zrobienia. Przywrócenie temu domowi świetności pochłonie fortunę. Poza tym mieszkanie tutaj jest chyba bardzo uciążliwe, prawda? W pobliżu nie ma żadnego sklepu spożywczego. Nie ma gdzie zaparkować samochodu i nie ma ogrodu z prawdziwego zdarzenia. Nie sądzę, żeby to było dobre dla dziewczynek. Wiem, że robią się coraz starsze, ale zawsze dobrze wyjść na podwórko, które jest wystarczająco duże, żeby sobie po nim pobiegać. Jestem pewna, że Beth także doceniłaby większy ogród. – I te meble! – To uwaga na temat umeblowania, które zakupili od poprzedniego właściciela i które

planują zatrzymać, dopóki nie wyremontują posesji.

– Och, wcale nie są takie złe jak na tymczasowe meble. Czeka nas jeszcze tyle pracy, jeśli chodzi o wykończenie wewnątrz. I uważam, że to wspaniale nie musieć martwić się przez jakiś czas o ogród, Margie. Dziewczynki mogą pójść do parku albo na plażę, gdyby chciały sobie pobiegać. – Beth stara się zachować lekki i zdecydowanie radosny ton głosu. – W każdym razie jest jeszcze tyle do zrobienia – wprowadzenie dziewczynek do szkoły, uruchomienie zajęć sportowych i muzycznych i całej reszty. Im więcej będziemy przebywać poza domem, tym lepiej. To dobry sposób, żeby rzeczywiście poczuć atmosferę tego miasta.

– Wyobrażam sobie, że Dan już czuje atmosferę tego miasta. W końcu mieszkał tutaj przez pierwsze dwadzieścia pięć lat swojego życia. A przy okazji – Beth dokładnie wie, co za chwilę usłyszy; temat, którego miała nadzieję uniknąć, odkąd tutaj przyjechali – czy podjęliście już decyzję w sprawie szkoły?

Beth zerka na Dana w nadziei, że jakimś cudem odeprze to pytanie, ale on unika jej wzroku. Charlie, która uważnie przysłuchuje się rozmowie, odpowiada:

– A nie idziemy do tej szkoły, którą pokazywałaś nam w Internecie – tej, o której mówiłaś, że jest niedaleko stąd? Hunter Ladies' College. Nie jesteś tam umówiona jutro na rozmowę? – Wpatruje się w rodziców piorunującym wzrokiem. – Chyba nie zmieniliście zdania, co? Nie ma mowy, żebym poszła do innej szkoły.

W głosie Margie pobrzmiewa grobowa nuta.

– Szkoła to coś więcej niż pierwsze wrażenie, Charlie, to nie jest decyzja, którą podejmuje się pochopnie. Albo – dodaje dobitnie – pozostawia się ją dzieciom. – Nie czeka na odpowiedź, tylko z werwą przechodzi do następnego pokoju, a Dan i dziewczynki wloką się za nią.

Beth zostaje dłużej w salonie i obserwuje, jak odważny mały holownik pilotuje olbrzymi kontenerowiec do zatoki. Przydałaby jej się teraz pomoc w nawigacji na zdradliwych wodach relacji teściowa-synowa i matka-córka, na oceanie życia. Wspaniale byłoby mieć jakąś zwrotną sprytną łódkę, która przeprowadziłaby ją przez mętne wody życia – popychałaby to w jedną, to w drugą stronę, sprawdzała, czy wszystko gładko idzie, pomogłaby znaleźć miejsce, w którym można by zarzucić kotwicę. Upewniła się, że zacierają w kierunku bezpiecznej przystani, spokojnych wód.



ZakreconaLizzy.com

## Szkolny zawrót głowy

– O mój Boże. Wygląda jak Hogwart – stwierdza L. z szeroko otwartymi oczami.

– Fantastyczna.

Szkoła, którą zwiedzamy (wyłącznie żeńska, ku obrzydzeniu L. i C.), jest *fantastyczna*. Stoi na prawie półhektarowej działce w samym centrum miasta, niedaleko zatoki. Zbudowana z piaskowca, najeżona wieżyczkami, pełna sklepionych sufitów i trawiastych czworokątnych dziedzińców oraz starych drzewek oliwnych. Dziewczynki nie mogą uwierzyć, że będą do niej chodzić.

– Myślicie, że mają domy takie jak Gryffindor albo Hufflepuff? Jestem ciekawa, do którego zostaniecie przydzielone.

Ach, te budynki szkolne. Aspekt życia w Australii, o którym od lat nie myślałam.

– Ciekawe, czy grają w quidditcha? – C. śmiga wokół nas na swojej wirtualnej miotle i wydaje z siebie okrzyki radości.

W szkole trwa teraz letnia przerwa – tylko personel administracyjny i przełożona szkoły są obecni, a my stoimy same na przypominającym park placu zabaw. Po spotkaniu pani H., która jest dokładnie taka, jaka powinna być osoba kierująca tym przybytkiem – wysoka, szczupła i dość surowa – powiedziała, że możemy zrobić sobie krótki spacer wokół szkoły, żeby poczuć atmosferę tego miejsca, zanim podejmiemy decyzję. I właśnie to robimy.

Kiedy docieramy do najdalej na północ wysuniętego krańca budynku, siadamy na kamiennej ławeczce obok eleganckiej bramy z kutego żelaza, która wychodzi na ulicę. Błyszcząca mosiężna tabliczka informuje, że brama została ufundowana przez państwa S.-J. w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku, ku pamięci ich córki, Millicent (1896–1916), byłej uczennicy, która zginęła na Bliskim Wschodzie podczas pierwszej wojny światowej.

L. długo wpatruje się w tabliczkę w zamyśleniu.

– To wtedy kobiety były już żołnierzami?

– Nie. Ona zapewne była pielęgniarką.

– Pielęgniarką? I zginęła? – L. wygląda na zaskoczoną. – Jak to się mogło stać? Spadła na nią bomba?

C., która, zdaje się, żałuje swojego wcześniejszego wybuchu entuzjazmu, przerywa, zanim mam szansę, żeby to wyjaśnić.

– Widziałaś mundurki, jakie noszą w tej szkole, mamó? Są obrzydliwe. Te spódniczki w kratkę sięgają prawie do kostek. A ta gigantyczna spinka? Cóż to *jest*? Jak sprzed stu lat. Będziemy głupio wyglądały.

– Nie są aż tak długie – to kilty. Pochodzą ze Szkocji.

– Będziemy po prostu wyglądać równie głupio jak wszyscy – mówi L., niech będzie błogosławione pragmatyczne serce starszej siostry – więc nie będzie to miało żadnego znaczenia.

Urok australijskich szkół – można zostać zmuszonym do ubierania się tak, że wyglądasz jak erotyczny sen dziewiętnastowiecznego górala – ale przecież inni też tak wyglądają.

42 ♥

## KOMENTARZE:

**@MamaZKrainyOzWTokio** pisze:

Och, jaka biedna młoda pielęgniarka. Jacy biedni rodzice. Jakież to smutne. Xx

**@ZakotwiczonaNaAlasce** pisze:

Szkolne mundurki. Super! Żadnego szpanowania markowymi ubraniami ani rywalizacji. Jeden z aspektów życia tutaj, którego szczerze nienawidzę.

**@NiebieskaSue** pisze:

A co z wyrażaniem siebie przez dzieci, Lizzy? Ubrania stanowią bardzo ważną część podkreślania tego, kim jesteśmy, szczególnie u nastolatków. Z mojego doświadczenia wynika, że mundurki tłamszą ten indywidualizm. Ale jak sądzę, na tym właśnie polega filozofia szkół prywatnych.

**@DziewczynaZIpanemy** pisze:

Prywatne szkoły? Mundurki szkolne? Kilty? OMG, Lizzy. Twoje dziewczynki są zgubione. Powtarzam – zgubione ;-)

CudowneDziecko.com

## Dziesięć lekcji cudownego dziecka, jak osiągnąć sukces

### Lekcja druga: Zawsze możesz dostać to, co chcesz

Być może to najważniejsza spośród wszystkich lekcji. Ponieważ YOLO. Czyli, na wypadek, gdybyście byli z kosmosu: Żyje Się Tylko Raz[3]. Dorośli rozmawiają o życiu i o życiu po życiu, i o tym, że trzeba być dobrym, żeby dostać nagrodę w niebie, ale najprawdopodobniej to bajki. Wygląda na to, że masz tylko jedną szansę, więc co za sens czekać na jakąś nagrodę, której tak naprawdę nigdy nie dostaniesz?

Nie różni się to niczym od tych głupawych obietnic, które składają wam rodzice, po czym nigdy ich nie dotrzymują – pewnego dnia, kiedy będziemy milionerami, zrobimy to, kupimy ci tamto i zabierzemy cię dokądś tam. Wiesz, że to nigdy się nie wydarzy.

Jakąż stratą byłoby przeżyć życie tylko raz i nie dostać tego, na czym ci zależy, nawet nie spróbować dostać tego, czego chcesz, w nadziei, że to, co otrzymasz w niebie (właściwie kiedy będziesz już martwy), w jakiś sposób wynagrodzi ci to, co przegapiłeś na ziemi.

Dla mnie brzmi to kiepsko.

Sięgaj po to, czego pragniesz, wtedy, kiedy chcesz – to moje motto życiowe.

I zrób to, co trzeba, żeby to zdobyć.

### KOMENTARZE:

**@PRZYPADKOWACZYTELNICZKA** pisze:

Co, żadnych porad ogrodniczych w tym miesiącu, CD? Cóż za rozczarowanie.

## SOPHIE

Uczęszcza do Hunter Ladies' College – albo HLC, jak nazywają szkołę w okolicy – od trzech lat, a jednak z jakiegoś powodu wciąż czuje się, jakby była nową uczennicą. Właściwie nadal towarzyszy jej to poczucie dezorientacji – braku pewności, że jest we właściwym miejscu, z właściwymi ludźmi i że robi właściwe rzeczy.

Jednak daleko jej do tego, żeby być najnowszą dziewczynką w klasie. Odkąd Sophie rozpoczęła tutaj naukę, odeszło osiem uczennic i przybyło dziewięć. Dwie spośród tych, które opuściły szkołę – Tess i Maya – stanowiły całkowitą liczbę jej przyjaciółek w HLC i Sophie uważała za trudne, a nawet niemożliwe, żeby ktoś zajął ich miejsce. Ta przyjaźń zaczęła się zupełnie niezobowiązująco – dwie dziewczyny łączyła bardzo bliska więź, znały się od przedszkola, chodziły razem na gimnastykę, grały na skrzypcach w tej samej orkiestrze smyczkowej. Ich rodzice byli starymi przyjaciółmi, którzy spędzali razem weekendy na wybrzeżu. Na początku piątej klasy przyjęły ją do swojego grona i cała trójka stworzyła zamkniętą małą grupę. W szóstej klasie były już nierozłączne, spędzały razem wszystkie przerwy obiadowe, podobnie jak czas wolny – organizowały nocowanki, wspólne zabawy, wyjścia do kina, a nawet kilka wycieczek do centrum handlowego bez nadzoru rodziców.

Całą trójkę od początku połączyła odmiennosc. Niezupełnie były *najmniej* lubianymi dziewczynkami, po prostu większość koleżanek postrzegała je jako nieco irytujące. Żadna nie była ładna ani wysportowana, a wszystkie miały talenty w dziedzinach, które inne uczennice uważały za kiepskie. Ta przyjaźń dawała całej trójce poczucie bezpieczeństwa. Gdyby nie miały siebie nawzajem, pewnie by im dokuczano. W grupie zostawiano je w spokoju. Ich przyjaźń była autentyczna. Wiedziały o sobie to, co trzeba – znały swoje ulubione kolory, programy telewizyjne, książki. Opinie na temat koleżanek z klasy, rodziców, nauczycieli. Chłopaków, których poznawały poza szkołą, a nawet zawody swoich przyszłych mężów, imiona swoich przyszłych dzieci...

Dlatego Sophie poczuła się zdruzgotana, kiedy w szóstej klasie przyjaciółki oznajmiły, że odchodzą ze szkoły – Maya wyjeżdżała do Melbourne, a Tess do szkoły z internatem w Sydney – i chociaż złożyły obietnicę, że będą utrzymywały ze sobą kontakty, wysłały kartki z wieloma serduszkami i krzyżykami, wymieniły lawinę

uścisków, a nawet uroniły kilka przypadkowych łez, nie spotkały się już ani razu. Z początku było trochę wirtualnej wymiany kontaktów – esemesów, e-maili, ale wszystko stopniowo wygasło. Sophie wciąż czuje się odrobinę zraniona, ale rozumie, że to było nieuniknione. Przecież przestała utrzymywać kontakt z Ruby, swoją najlepszą przyjaciółką ze Scone. Obie się przeprowadziły. Tak to właśnie działa.

Przestały ją obchodzić pozostałe dziewczynki, które odeszły z klasy pod koniec ostatniego roku. Żadna z nich nie była jej przyjaciółką – nawet Jemima Hobcroft, która raz powiedziała Sophie (najcichszym z szeptów, żeby nikt nie usłyszał), że według niej cudownie gra na pianinie. Reszta klasy to przeważnie złozy – przynajmniej jeśli chodzi o zachowanie wobec Sophie. Te, które nie są rozmyślnie złośliwe, są złośliwe przez pominięcie – po prostu jej nie zauważają, nie biorą jej pod uwagę, mają ją gdzieś. Jedna, może dwie nie są takie złe – z Mimi Leroux, której mama także niedawno urodziła dziecko, sporadycznie wymienia uwagi na temat wdzięku nowo narodzonych braciszków, a z Matty Matherson czasami rozmawia na spotkaniach chóru, ale ta życzliwość nigdy nie sięga do przerw obiadowych ani zaproszeń do zabawy. Nawet nowe dziewczyny, które pod koniec szóstej klasy przyszły na zajęcia integracyjne, szybko się zorientowały, że Sophie figuruje na czymś w rodzaju klasowej czarnej listy. I że jest jedną z dziewcząt, których – niezależnie od tego, jak nedorzeczny jest powód – należy unikać. Przewidując udrękę siedzenia samej w trakcie przerwy obiadowej – albo co gorsza, bycia zmuszoną do siedzenia z innymi klasowymi trędowatymi, które tworzą swój własny krąg nieszczęśnic – i udawania, że zrobiła to z rozmysłem, Sophie nakłoniła matkę, żeby zapisała ją na dodatkowe lekcje muzyki w trakcie przerw na lunch. Biorąc pod uwagę lekcje gry i teorię muzyki, a do tego jeszcze zespół i chór, czas wolny będzie należał u niej do rzadkości. W te dni, kiedy niczym niezagospodarowane przerwy ciągną się niemiłosiernie, może – jako uczennica siódmej klasy – dołączyć do klubu czytelniczego panny Foley, który stanowi bezpieczną przystań dla wszystkich tych dziwolągów i odmieńców z zamiłowaniem do książek. Gdyby się zdarzyło, że nie będzie miała dokąd pójść, tak jak w pierwszym tygodniu po wakacjach, kiedy nie ma jeszcze dodatkowych zajęć podczas przerwy obiadowej, w bibliotece zawsze czeka kącik czytelniczy.

Kiedy Charlotte Mahony pojawia się na trzeciej lekcji w klasie – cały ranek spędziła na pisaniu testu kwalifikacyjnego, który reszta dziewcząt zaliczyła w poprzednim roku szkolnym – akurat trwa matematyka i pani Taylor wybiera Indianę Olsen-Goring (albo Indianę Och-co-za-nudziana, którą to ksywkę wymyśliła dla niej Tess

w piątej klasie), żeby zajęła się nową koleżanką, chociaż przełożona szkoły, pani Holding, poprosiła o to Sophie, gdy ta przyniosła listę obecności po apelu. Pozostałe nowe uczennice zostały dobrane w pary z koleżankami podczas spotkań integracyjnych w poprzednim roku szkolnym, ale Charlotte dopiero przyjechała do Newcastle (przyleciała z dalekiej Ameryki!) i potrzebuje kogoś, kto by ją we wszystko wprowadził.

– Och, przepraszam, kochanie – mówi pani Taylor, kiedy Sophie wyjaśnia, że to miało być jej zadanie. – Obawiam się, że jest już za późno. Poza tym pomyślałam, że Indiana będzie doskonałą towarzyszką dla naszej nowej uczennicy, która przyleciała z Ameryki. – Pani Taylor wybucha głośnym, nieco nosowym śmiechem, a klasa jej wtóruje, oczywiście nie dlatego, że śmieje się z jej żalnego dowcipu, tylko dlatego, że ma ubaw z kobiety, która uchodzi za najbrzydszą nauczycielkę w szkole ze swoimi tłustymi policzkami i wyłupiastymi niebieskimi oczami oraz ogromnych rozmiarów nosem zakrzywionym niczym dziób papugi. Nawet Sophie, która wie, że wygląd nie ma znaczenia i zawsze jest skłonna dostrzegać w ludziach wszystko, co najlepsze, musi przyznać, że pani Taylor wygląda osobiście. To bardzo dobra nauczycielka – kiedyś w podstawówce prowadziła dodatkowe zajęcia z matematyki dla szczególnie uzdolnionych uczniów – i zazwyczaj zachowuje się miło wobec Sophie, więc dziewczyna jest skłonna wybaczyć jej to niedopatrzenie. W końcu nowa koleżanka to nie takie znowu чудо.

Cudo czy nie, Sophie musi przełknąć rozczarowanie, kiedy nowa dziewczynka sadowi się w klasie w towarzystwie zadowolonej z siebie Indiany. Charlotte Mahony jest niebywale piękna – jej włosy, zaplecione w dwa schludne warkocze przewiązane na końcach kokardami z granatowych wstążek, mają kolor słonecznych promieni. Oczy są w najjaśniejszym odcieniu błękitu, duże i bystre. Ma uroczą szparę między górnymi jedynekami i dołeczki w policzkach, które się pojawiają, gdy się uśmiecha, co zdaje się robić nieustannie. Na nosie odcinają się delikatne piegi – nie okropne olbrzymie plamy, którymi Sophie jest obsypana (albo, jak lubi to przedstawiać jej matka, *muśnięta*) na twarzy, nogach i rękach, tak że kiedy spoglądała na swoje odbicie w lustrze zmrużonymi oczami, widzi osobę o bardzo brązowej karnacji zamiast dziewczynki o mlecznej cerze. Pomijając brak rudych włosów, Charlotte Mahony jest bliższa wyobrażeniu Sophie o Ani Shirley niż ta aktorka, która gra w serialu telewizyjnym *Ania z Zielonego Wzgórza*. Może i ma amerykański akcent, a nie kanadyjski, ale któż by się tym przejmował?

Ach, wszystko jej się podoba w tej nowej dziewczynce – a szczególnie fakt, że jest



nowa i nie wie, że Sophie to obecnie klasowa czarna owca. Każda nowa uczennica to okazja do zawarcia przyjaźni, do tego, żeby zacząć wszystko od początku, i Sophie spogląda na Charlotte tęsknym wzrokiem, kiedy ta idzie przez klasę za Indianą. Ich ławki stoją w tym samym rzędzie i Sophie uśmiecha się nieśmiało do Charlotte, gdy dziewczynka odsuwa swoje krzesło. Charlotte posyła jej promienny uśmiech i mówi bezgłośnie *cześć*, zanim się odwróci i rozpakuje plecak.

Serce Sophie lekko trzepoce. Uśmiech, pozdrowienie – ach, cuda się dzieją! – nadzieja na przyjaźń.

ZakreconaLizzy.com

## W domu na wzgórzu straszy

– Dziewczynki, słyszałyście wczoraj ducha?

– Jakiego ducha? – Podejrzewam, że jednoczesny krzyk moich córek słyhać w całej dolinie.

– Najwyraźniej grasuje tutaj jakiś duch. Pośrednik nieruchomości ostrzegął nas o tym, kiedy się wprowadzaliśmy. W każdym starym domu zazwyczaj mieszka jakiś duch albo kilka duchów.

Wpatruję się w D. i potrząsam głową, ale ma zbyt wielki ubaw, żeby chciał przestać.

– Jaki to rodzaj ducha? – pyta jak zawsze pragmatyczna C.

– Jaki rodzaj?

– No wiesz. Duch-dziecko czy duch-dorosły?

– I jak się pojawił? Ktoś został zamordowany? Czy też po prostu umarł ze starości?

D. najwyraźniej tego nie przemyślał.

– Nie mam pojęcia. Jednak nie sądzę, żeby to było coś poważnego, w rodzaju morderstwa.

– Dlaczego?

– Pośrednicy nieruchomości na pewno by nam o tym powiedzieli, prawda?

– Dlaczego?

– Bo muszą.

– Aha. A co robi ten duch?

– No, wiesz – D. robi nieokreślony ruch ręką – te wszystkie rzeczy, które lubią robić duchy.

– Tato. Przestań żartować. Czy on tylko hałasuje? Czy przesuwa przedmioty? Co robi?

D. musi chwilę się zastanowić.

– Słyszać tylko odgłos kroków. Tam i z powrotem po schodach. I tak przez całą noc.

– Tam i z powrotem po schodach przez całą noc? – Nie mogę się powstrzymać. – Jak twoja matka ze swoim pęcherzem? – Teraz D. patrzy na mnie piorunującym wzrokiem.

– Właściwie... – L. ma szeroko otwarte oczy. – Właściwie słyszałam jakiś dziwny odgłos wczoraj w nocy. Tylko nie dochodził ze schodów.

Najwyższy czas, żebym wkroczyła do akcji.

– Jestem pewna, że tak naprawdę niczego nie słyszałaś. Tatuś tylko żartuje.

– Słyszałam. Ten odgłos przypominał płacz dziecka.

– Ach, o to chodzi. Też to słyszałam, skarbie. To był jakiś dziwny ptak. Może sowa?

– Jesteś pewna? Ten hałas trwał i trwał.

– Właściwie... – C. wygląda teraz na zaniepokojoną. – Ja też to słyszałam. Wiele razy. To było straszne.

– Hej, wszystko gra. Nie ma żadnego ducha. Naprawdę. Żartowałam. – D. zbyt późno podejmuje próbę uspokojenia dziewczynek. Teraz nawet go nie słuchają.

– Nie śpię dzisiaj w swoim pokoju.

– Ja też nie.

– NIENAWIDZĘ mojego pokoju. Tam jest strasznie dziwnie. Te wszystkie obrazy przedstawiające martwe zwierzęta, i jeszcze ta tapeta. Aż mnie ciarki przechodzą.

A potem słyszę to, czego spodziewałam się od samego początku, kiedy D. wypowiedział słowo na „d”:

– *Maaaamoo!* – wołają dziewczynki. – Możemy spać z tobą?

44 ♥

## KOMENTARZE:

**@DziewczynaZIpanemy** pisze:

A może to duch pęcherza moczowego babci?

**@MamaZKrainyOzWTokio** pisze:

Ale tak naprawdę nie ma żadnego ducha, prawda? Bo inaczej też będę z tobą spała :).

**@MilosniczkaSlonca** pisze:

Czyli ten dom jest stary, Lizzy? Idę o zakład, że jest tam zimno! Mieszkaliśmy kiedyś w ogromnym starym domu w Sydney i w zimie było tam nie do zniesienia! Nie byliśmy w stanie żadnym sposobem się ogrzać. Spędziłam połowę zimy owinięta kocem.

**@ZakreconaLizzy** odpowiedziała:

Szczerze? Odmrażam sobie cycki. Szok po centralnym ogrzewaniu w poprzednim domu.

**@ZakotwiczonaNaAlasce** odpowiedziała:

Zero współczucia, Lizzy :). Jestem pewna, że temperatury w zimie masz o wiele wyższe niż u nas w lecie!

**@NiebieskaSue** pisze:

Stare domy potrafią być takie romantyczne – i trudne do życia. Wciąż remontujemy nasz dom z czasów powstania federacji, który kupiliśmy tuż po powrocie. Ten remont wydaje się nie mieć końca – naprawiasz jedną rzecz, a kolejna już się psuje. Patrząc z perspektywy czasu, lepiej było kupić ładny nowy dom z cegły, z wyposażoną kuchnią i sypialnią z przyległą łazienką oraz ogródkiem, który da się ogarnąć. Takie domy są łatwiejsze do utrzymania i ogrzania, ale wtedy wydawały nam się strasznie nieciekawe. No cóż, człowiek uczy się przez całe życie!

**@Egzorcystka** pisze:

Jeśli doświadczasz straszenia albo masz ducha, który mieszka na stałe i wymaga przesiedlenia, napisz na adres [egzorcystka@szczesliweduchy.com](mailto:egzorcystka@szczesliweduchy.com) i poproś o bezpłatną konsultację.

## BETH

Być może ten duch tak naprawdę nie istnieje, ale pierwsze tygodnie w nowym domu i tak są przerażające. Kiedy się wprowadzili, byli jeszcze w nastroju świątecznym. Wtedy wszystko wydawało się proste. Nawet pobyt u Margie okazał się zaskakująco przyjemny, obyło się bez żadnych incydentów. Ale patrząc z perspektywy czasu, mieszkanie w wynajętym apartamencie było istną sielanką – godzinami chodzili po centrum miasta i nabrzeżu, prawie codziennie pływali na deskach surfingowych (plaża znajdowała się zaledwie przecznicę dalej!), co drugi wieczór jadali na mieście – najwidoczniej Newcastle stanowiło raj dla podniebienia. Wtedy Dan nie miał jeszcze dużo pracy i dopisywał mu dobry humor. Nawet pierwsze tygodnie roku szkolnego zdawały się pozbawione typowej presji. Nie zadawano zbyt dużo prac domowych, nie pojawiły się żadne problemy z koleżankami ani nauczycielami – wszystko było nowe i ekscytujące. Jednak przeprowadzka do domu oznaczała powrót do rzeczywistości.

Pomimo licznych uroków mieszkanie w starym budynku okazuje się dalekie od sielanki. Pokoje nie tylko są zimne i ciemne – nawet w pełni lata – ale i obskurne. Wydaje się, że nic nie działa tak, jak powinno. W toalecie (jedynej) woda da się spuścić tylko raz na jakiś czas. Gorąca woda kończy się po jednym prysznicu. Zabytkowa zmywarka pokrywa wszystkie naczynia warstwą osadu. Dwufunkcyjny piec gazowy ledwie sobie radzi z zimnem. Drzwiczki w szafkach kuchennych się nie domykają, a kiedy zapada noc, wszędzie aż roi się od maleńkich brązowych karaluchów. Umeblowanie, które wydawało się w dobrym stanie, kiedy Dan oglądał dom, okazało się nie do uratowania – we wszystkich materacach wyskoczyły sprężyny, krzesłom brakuje nóg, poduszki od kompletu wypoczynkowego nie pasują do salonu. A do tego cuchnie kocimi sikami.

Dom nie jest bardziej zniszczony, niż te, które Beth wynajmowała jako studentka, więc jakoś sobie z tym radzi. Natomiast dziewczynki nigdy nie mieszkały w przybytku, który byłby aż tak zrujnowany. Wprawdzie ich poprzednia siedziba w West Bloomfield została wzniesiona w połowie dziewiętnastego wieku – więc według standardów australijskich była stara, starsza niż nowe lokum – ale została gruntownie odrestaurowana: wyremontowano kuchnię i łazienki, odmalowano

pokoje i położono w nich nowe wykładziny, wstawiono nowe okna i dodano podwójne szyby. W środku dom sprawiał wrażenie całkiem nowoczesnego. Natomiast posiadłość na wzgórzu nosi wszelkie ślady stutrzydziestoletniego zużycia. Nabierze blasku, kiedy wszystkie prace dobiegną końca, ale pozostało jeszcze tyle do zrobienia. Beth zaczęła malowanie, jednak dach wymaga naprawy, trzeba wymienić wykładzinę, wymierzyć szafy do zabudowy, wyremontować kuchnię i łazienkę, a także zainstalować ubikację i prysznic w ogromnej pralni. Pochłania to mnóstwo czasu. Beth nie zdążyła jeszcze zrobić kosztorysu, nie mówiąc już o ustaleniu harmonogramu prac.

Dziewczynki wyszukują powody do narzekania, a Charlie przy każdej nadarzającej się okazji demonstruje swoje obrzydzenie.

– Mamo, to ohydne. Takie upačkane. Jakby wszystko, czego dotykasz, było pokryte warstwą brudu. Spójrz tylko. – Cała czwórka wciska się do kuchennego kącika jadalnianego, gdzie stoi niewielki stół z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku z ławą, który wydawał się uroczy, dopóki nie usiedli przy nim, żeby zjeść śniadanie. Charlie przesuwa palcem po ścianie, a kiedy go odrywa, dostrzega, że jest pokryty cienką warstwą tłuszczu. – A te meble. Obrzydlistwo. Śmierdzą jak... śmierdzące skarpetki.

– Zawsze możesz przestać oddychać.

Dan trafia żartem jak kulą w płot.

– To nie jest śmieszne, tato. – Głos Charlie jest lodowaty. – Wiesz, że nawet gdybym miała przyjaciół, których nie mam, to nie mogłabym ich tutaj zaprosić. To byłoby żenujące. Dlaczego musieliście kupić taki stary dom? Nie ma w okolicy żadnych nowych domów? I kiedy kupimy nowe meble? Mówiliście, że to nie potrwa długo. Dlaczego nie mogliśmy po prostu zostać w mieszkaniu, dopóki remont nie dobiegnie końca? Nie mogę już spać na tym łóżku – jest niewygodne, a od tego smrodu robi mi się *niedobrze*. Wszędzie są pajęczyny. Jakbyśmy mieszkali w slumsach.

– W slumsach? Daj spokój, Charlie. Zejdź na ziemię. – Dan mierzwi córce włosy, ale ona go odpycha. – Nie jest aż tak źle. Przecież nie mieszkamy w jakiejś lepiance w Afryce.

Charlotte przewraca oczami.

– Głupawe porównanie, tato – najwyraźniej Charlie jest gotowa wpaść w swoją niedopuszczającą dyskusji furie, ale Dan to przerywa, a jego głos brzmi surowo.

– Dziewczynki, macie dużo szczęścia. Wiecie przecież, że to stan przejściowy i że będziemy przeprowadzać remont oraz kupować nowe meble najszybciej, jak to

możliwe. A i tak warunki są absolutnie komfortowe. Ten dom w niczym nie przypomina slumsów. Może trzeba was wysłać do prawdziwej dzielnicy biedy, gdzie ludzie nie mają bieżącej wody, gorących posiłków ani łóżek do spania.

Tak bardzo przypomina swoją matkę, kiedy zaczyna te wykłady, a rezultat jest podobny do tego, co udaje się osiągnąć Margie – Lucy wygląda na przygnębioną i obciążoną poczuciem winy, Charlie zaś natychmiast przechodzi do ataku. Beth interweniuje i zmienia temat, zanim dyskusja rozkręci się na dobre.

– Skoro mówimy o znajomych, Charlie, to umówiłam cię na spotkanie towarzyskie.

– Co masz na myśli? Jestem za duża, żebyś umawiała mnie na zabawy.

– To niezupełnie zabawa. Dotyczy nas wszystkich... – Posyła uśmiech Danowi. – W każdym razie nas, dziewczyn. Pamiętacie tę kobietę, którą spotkałam w zeszłym tygodniu na placu zabaw? Tę, o której wam opowiadałam. Jej córka, Sophie, chodzi z tobą do klasy. Zaprosiła nas do siebie na popołudniową herbatkę. Pomyślałam, że może być fajnie.

– Sophie? To ta dziewczyna, która gra na fortepianie? Ta grubaska?

– Charlie! – Jej siostra wygląda na zszokowaną.

– No co, przecież taka jest. – Charlie nagle wydaje się rozbawiona. – Nie chciałam być okrutna, Lucy. Po prostu nazwałam – jak to mawia babcia Francie – czarnucha czarnuchem.

– O Jezu. – Dan spogląda na córkę, przerażony. – Proszę, nie cytuj tutaj Francine.

– Ale przecież Sophie jest grubaską, czyż nie tak? – Charlie podpuszcza swoją starszą siostrę. Lucy wygląda na skrępowaną.

– Może nie jest chudzielcem. – Lucy spogląda na matkę. – Ale doskonale gra na fortepianie, mamó. Nigdy nie słyszałam czegoś tak cudownego. Skończyła prawie wszystkie stopnie szkoły muzycznej, tak powiedziała nauczycielka muzyki, i wygrała wszystkie prestiżowe konkursy. To genialne dziecko.

– Też tak słyszałam. – Beth rozpaczliwie usiłuje odzyskać kontrolę nad rozmową. – W każdym razie jej mama, Andi, wydaje się miła i zapytała, czy nie wstąpiłybyśmy na popołudniową herbatkę, więc się zgodziłam. Idziemy do nich w czwartek. Charlie, możecie z Sophie pójść do jej domu po lekcjach, a Lucy i ja dołączymy po zajęciach z tańca. To będzie nasza pierwsza wizyta w Newcastle! Czyż to nie urocze?

Lucy uśmiecha się niepewnie do matki.

– Brzmi nieźle.

Charlie wpatruje się w swój tost, torując sobie drogę palcem przez grubą warstwę masła orzechowego.

– Charlie?

Wzrusza ramionami.

– Tak. Wszystko jedno. Ale mamom. I tato. I ty też, Lucy. – Wkłada zanurzony w masło palec do ust i wodzi wzrokiem wokół stołu z wyrazem twarzy, którego Beth nie jest w stanie rozszyfrować.

– Co?

– Chcę wam wszystkim o czymś powiedzieć. To ważne.

– O czym, Charlie?

– Chodzi o to, że od tej pory chcę być Charlotte. Nie Charlie. Charlotte.



CudowneDziecko.com

Dziesięć lekcji cudownego dziecka, jak osiągnąć sukces

Lekcja trzecia: Jak zdobyć przyjaciół i wywierać wpływ na nauczyciela

Znalazłam tę starą zakurzoną książkę na dnie szafy w mojej sypialni: *Jak zdobyć przyjaciół i wywierać wpływ na ludzi*.

Nie wiem dlaczego, ale z jakiegoś dziwnego powodu postanowiłam ją przeczytać – i okazuje się, że to świetna lektura. Jest tam rozdział o tym, jak sprawić, żeby ludzie cię lubili. Oto najważniejsze wnioski:

Szczerze zainteresuj się drugim człowiekiem.

Uśmiechaj się.

Pamiętaj, że imię danej osoby stanowi dla niej najśłodszy i najważniejszy dźwięk w każdym języku.

Bądź dobrym słuchaczem. Zachęcaj innych, żeby o sobie mówili.

Mów, biorąc pod uwagę zainteresowania innych osób.

Spraw, żeby inna osoba poczuła się ważna – i bądź w tym szczery.

Wszystkie te rady działają. Wiem, bo je wypróbowałam.

Jednak jest jeszcze jedna kwestia, którą pan Dale Carnegie (autor książki) pominął. Coś, co gwarantuje zwiększenie nie tyle twojej popularności, co siły.

Musisz wybrać sobie wroga. Wybierz go uważnie i graj nieczysto.

I nie martw się przypadkowymi ofiarami :).

KOMENTARZE:

**@DCFAN** pisze:

Napisz, proszę, na adres: [info@klubcarnegie.com](mailto:info@klubcarnegie.com), jeśli jesteś zainteresowana członkostwem w Klubie Carnegie albo jeśli chciałabyś wziąć udział w naszej dorocznej konferencji w Warrensburgu, w stanie Missouri.

## CHARLOTTE

Charlotte, nie Charlie.

Nowy początek, przynajmniej tak przedstawia to jej matka. Jakby sądziła, że Charlotte go potrzebuje. A Charlotte uśmiecha się i zgadza z tym, że całe to przedsięwzięcie będzie niezłą zabawą: nowy kraj, nowi ludzie, nowi przyjaciele, o tak! Zabawa, zabawa, zabawa! Łatwiej się zgadzać niż spierać o znaczenie słów, których używa jej matka, łatwiej przytaknąć niż zapytać, dlaczego *właściwie* potrzebuje nowego początku. Jej matka będzie jedynie, o czym Charlotte wie, wyglądała na zaniepokojoną, a potem na nieco smutną. Powie, że to tylko wyraz twarzy, i że nie miała na myśli niczego konkretnego. To tylko słowa, powie, po czym zmieni temat.

To tylko słowa. Charlotte wie, że nie ma czegoś takiego, wie, że nawet najbardziej neutralny wyraz twarzy może kryć w sobie mnóstwo znaczeń i mieć ogromną moc. To były tylko słowa, kiedy w zeszłym tygodniu, w Brookdale, ponad połowa dziewczyn należących do jej paczki powiedziała, że rodzice zabronili im się z nią zadawać, co było kompletną bzdurą, ponieważ większość z nich też była zamieszana w tę sytuację i ich rodzice dobrze o tym wiedzieli. To były tylko słowa, kiedy chłopak, który podarował jej walentynkę – Caleb Jackson, najfajniejszy, najprzystojniejszy i najinteligentniejszy chłopak w siódmej klasie – zapytał, czy jest małą psychopatką, po czym ostrzegł chłopaków z klasy, którzy stali za nim w kolejce po obiad, żeby uważali, ponieważ pewnie skończy jako seryjna morderczyni podobna do kobiet-potworów, które pokazują na kanale z programami o przestępstwach. To były tylko słowa, kiedy pani Lopez, szkolna pedagog, która miała tak silny latynoski akcent, że większości słów, które wypowiadała, nie dało się zrozumieć, powiedziała jej powoli i wyraźnie, że to *afortunado*, że wyjeżdża, bo gdyby to od niej zależało, wyrzuciłaby ją ze szkoły za bawienie się w tak niebezpieczną zabawę. Ponadto (na wypadek, gdyby Charlotte nie do końca zrozumiała, w czym rzecz) doradziłaby dłuższy pobyt w jakimś rodzaju *institución*, i że z jej doświadczenia wynika, że intensywna terapia była jedynym sposobem, żeby zmusić *niños malos*, takie jak Charlotte, by zrozumiały konsekwencje swoich działań.

Jednak słowa Charlotte – a padło ich całe mnóstwo o tym, co się wydarzyło – jej wyjaśnienia, że nie miała pojęcia, że ten liść był trujący, że to nawet nie był jej pomysł,

żeby ta dziewczynka zjadła akurat ten konkretny liść ani w ogóle jakikolwiek liść, że wszystkie pozostałe dziewczynki też były w to zamieszane i nakłaniały Aryę, żeby zjadła te wszystkie ohydne rzeczy, jakie przyniosły jej do skosztowania, że to była tylko zabawa, i że w którymś momencie wszystkie zrobiły to samo – nie miały żadnego znaczenia. Nikt jej nie słuchał (poza, co musiała przyznać, jej matką). Nikt jej nie słuchał – wszyscy mieli już swoją wersję zdarzeń – Charlie została przywódczynią paczki, ceremonia inicjacji była jej pomysłem, to ona przyniosła trujący liść i zmusiła Aryę, żeby go zjadła. Koleżanki nie miały pojęcia, co się działo, nie miały pojęcia, co ta okropna Charlie zaplanowała.

Żadne słowa Charlotte nie były w stanie zmienić ich zdania – za jednym zamachem z Panny Sławnej, pupilki nauczycieli i ulubienicy rodziców stała się najbardziej okrutną dziewczynką w szóstej klasie.

Tutaj, w nowej szkole, w nowej klasie, będzie bardziej ostrożna. Charlotte ma zamiar zawierać przyjaźnie powoli i z namysłem oraz dowiedzieć się, kto trzyma władzę w tutejszym kręgu dziewczyn. Nie ma ochoty kolejny raz być obwiniana za coś, czego nie zrobiła. Ten nowy start, nowy początek, nowy liść, wszystko jedno, jak to nazwać, oznacza, że Charlotte nie pozwoli nikomu mieć nad sobą władzy. Ani nauczycielom, ani rodzicom, ani innym uczennicom. Nikomu.

Pierwszego dnia przełożona szkoły, która wydaje się w porządku – o wiele bardziej życzliwa i mniej onieśmielająca niż pani Guterman, chociaż jednocześnie mniej godna podziwu – wysłała ją do klasy, gdzie zostaje dobrana w parę z inną uczennicą, Indianą. Indiana jest wysoka, pełną wdzięku dziewczynką, która ma długie brązowe włosy zebrane wysoko w gruby kucyk i układa stopy w pozycje baletowe, a następnie stoi w nich nieruchomo przez dłuższy czas. Wydaje się dość przyjazna, chociaż może nieco zbyt spokojna, i jest pod odpowiednim wrażeniem nowej koleżanki z Ameryki. Spośród tych wszystkich dziewczyn, które urodziły się i wychowały w Australii, amerykańskość Charlotte (oczywiście nieco podkolorowana) z miejsca przynosi jej prestiż. Czasem nowe uczennice muszą walczyć, żeby dostać się na szczyt, ale Charlotte wie, że ma przewagę, i zamierza z niej skorzystać.

Szybko się orientuje, jak to wszystko działa, jak wygląda hierarchia. Wyraźnie dostrzega strukturę. HLC to niewielka szkoła – są tam tylko dwie klasy z jej rocznika, trochę mniej niż pięćdziesiąt uczennic. Grupa najbardziej lubianych dziewczynek, do której Charlotte od razu zostaje przyjęta, jest o wiele mniej liczna niż jej odpowiednik w Akademii Brookdale. Trzon stanowi osiem dziewczynek, a kolejne sześć należy do niej częściowo. Nie ma uczennicy, która dźmierzyłaby tytuł najpopularniejszej

w szkole. Natomiast są trzy dziewczynki, które w mniejszym lub większym stopniu pełnią tę funkcję i są zaangażowane w potajemną, a czasem obrzydliwą, walkę o dominację.

Wszystkie trzy dziewczynki – Amelia, Grace i Harriet – są pozytywnie nastawione do Charlotte i rywalizują o jej uwagę, proponując, żeby usiadła obok nich podczas przerwy obiadowej i pozostałych przerw, a także w klasie. Cała trójka od razu obdarza Charlotte zaufaniem i zwierza się nowej koleżance, dostarczając potrzebnych informacji. Oraz amunicji.

Po pierwszym tygodniu w szkole Charlotte dostała dwa zaproszenia na przyjęcie z okazji trzynastych urodzin – jedno od Amelii, a drugie od dziwacznej koleżanki z zajęć artystycznych, Matyldy. Matylda nie należy do paczki najbardziej lubianych dziewczynek – do której należą głównie te ładne i zdolne, przeważnie bardzo zamożne uczennice – ale do mniejszej grupki dziewczynek o zamiłowaniach artystycznych, które rysują, grają w sztukach teatralnych i na instrumentach muzycznych. Dziewczynek, które w innej szkole zapewne skończyłyby jako emo albo goci. Charlotte dobrze dogaduje się z Matyldą i świetnie się bawi na jej przyjęciu urodzinowym, ale szybko się orientuje, że te dwie grupy się wykluczają. Paczka Matyldy nazywa Harriet i spółkę *Głupią, Głupszą i Najgłupszą*. A dziewczyny z *Głupiej, Głupszej i Najgłupszej* mówią na paczkę Matyldy *Nożowniczki*. Charlotte wie, że będzie musiała dokonać wyboru, do której grupy chce należeć. Po trzech tygodniach w szkole dwie spośród *Nożowniczek* zaprosiły Charlotte na nocowanekę, a jedna z członkiń grupy *Głupia, Głupsza i Najgłupsza* poprosiła, żeby spędziła z nią weekend na jachcie jej ojca. Pod koniec pierwszego miesiąca Charlotte dokonała wyboru. Kierowała się raczej potrzebą bezpieczeństwa niż ekscytujących doświadczeń. I jej paczki nie można już nazwać *Głupią, Głupszą i Najgłupszą*, bo jest ich czwórka: Harriet, Grace, Amelia i Charlotte.

Pozostałe dziewczynki z jej rocznika, które nie są ani fajne, ani lubiane, trudniej przypisać do jednej kategorii. Niektóre są nijakie – to te, które w każdej szkole wydają się niewidzialne. Charlotte przypuszcza, że pozostaną takie przez resztę życia. Nie są ani dość ładne, ani dość bystre, ani dość pewne siebie, żeby stać się atrakcyjnymi dla nauczycieli albo koleżanek z klasy. Znajdują się wśród nich żalosne dziwolągi, dziewczynki, które są fizycznie nieatrakcyjne, te, które są w sposób śmieszny niedojrzałe, dziewczynki, które są głupie, oraz te, które są upośledzone albo opóźnione w rozwoju. W końcu samotniczki. Dziewczynki, które znajdują się poza skalą dobrego wyglądu, bystrości, dziwaczności, dziewczynki, które nie chcą, nie

potrzebują albo po prostu nie potrafią zawierać przyjaźni. Większości samotniczek najwyraźniej odpowiada bycie samą, a ich status jest wytłumaczalny i usprawiedliwiony. W logiczny sposób zajmują miejsce w społecznym ekosystemie siódmej klasy.

Jest jeszcze jedna dziewczynka, Sophie, której status wprawia Charlotte w konsternację. Sophie ma liczne defekty: jest otyła, astmatyczna, nieśmiała. Ma niedbale splecione kasztanowe włosy, nie jest ładna (ma zbyt duży nos, zbyt szeroko rozstawione oczy). Dziwna pod względem fizycznym i towarzyskim – ale nie to stanowi powód jej wykluczenia. Albo nie tylko to. Wydaje się, że jej status ofiary losu ma większy związek z ogromnym talentem muzycznym niż z bardziej oczywistymi kwestiami. Charlotte dowiedziała się, że ponieważ Sophie jest geniuszem gry na fortepianie, nie wykazuje zainteresowania niczym innym, nawet zawieraniem przyjaźni. Charlotte jakoś trudno w to uwierzyć. Pierwszego dnia dostrzegła ten pełen nadziei uśmiech, a od tamtej pory zauważyła jeszcze kilka prób z jej strony – raz, na lekcji muzyki, kiedy Charlotte była zmuszona usiąść sama w ławce, a Sophie robiła wyraźne podchody w jej kierunku – a jej nieśmiała przyjazność, jej pragnienie nawiązania kontaktu było tak żenująco widoczne. Charlotte podejrzewa, że lekcje muzyki, na które Sophie chodzi w trakcie przerw na lunch, mają więcej wspólnego z brakiem potencjalnego towarzystwa niż z tym obsesyjnym skupianiem się na grze, którym inne dziewczyny pogardzają.

Trudniej rozpracować nauczycieli. Charlotte zawsze stara się sprawiać wrażenie pilnej i zainteresowanej, nawet jeśli tak nie jest. W klasie sumiennie pracuje i nigdy nie bierze udziału w potajemnych rozmowach albo grach na iPadzie, unika szeptanych rozmów i plotek. Stara się zapracować sobie na dobrą reputację. Przeważnie to działa. Niektórzy nauczyciele, tacy jak matematyczka i fizyczka, od razu ją polubili, ale na innych trudniej było zrobić wrażenie. Byli i tacy, jak pan Pollard, wufista, którzy mieli neutralne podejście do wszystkich dziewczynek z siódmej klasy, ale jedna młoda nauczycielka angielskiego i zajęć teatralnych, panna Foley, wydaje się opierać urokowi Charlotte. Raz nawet próbowała wstawić jej uwagę, ponieważ Charlotte źle ją zrozumiała, a innym razem dlatego, że Charlotte przez pomyłkę włożyła nieodpowiedni sportowy podkoszulek. Podejście tej kobiety jest zaskakujące. Język angielski to ulubiony przedmiot Charlotte i taki, w którym się wyróżnia – czyta książki znacznie wykraczające ponad jej wiek. Pisze w sposób wyrafinowany i biegły, wyjątkowy nawet w tej klasie bystrych i uprzywilejowanych dziewczynek. Zawsze była ulubienicą nauczycielki języka angielskiego.

Mimo wszystko Charlotte dobrze sobie radzi w tych pierwszych tygodniach w szkole. Ma już ugruntowane przyjaźnie, wśród rówieśniczek i nauczycieli cieszy się reputacją bystrej i pomocnej uczennicy, na której można polegać. Może jeszcze nie jest najbardziej lubianą dziewczynką w klasie, ale zyskała już wystarczającą popularność.

Teraz może być już tylko lepiej.

## CZĘŚĆ DRUGA



## ANDI

Najgorsze według Andi jest to, że nie było żadnych niepokojących sygnałów. Nic z tych rzeczy, na które uczuła się rodziców – żadnych oznak depresji, żadnych epizodów samookaleczenia, żadnych negatywnych komunikatów. Nic nie wskazywało na to, żeby Sophie szukała tego czegoś, co miała nadzieję znaleźć – uwagi, *zapomnienia*? Niezależnie od tego, jak Andie na to spojrzy, nie dostrzega żadnej wyraźnej trajektorii, która prowadziłaby nieuchronnie do tego miejsca. Nie. W tym rzecz – nie dało się tego przewidzieć. Nie dało się uniknąć tego cholernego, straszego bagna.

Istnieją fakty, które – jeśli by je połączyć – mogłyby doprowadzić do tej chwili, ale Andi lubi myśleć, że wystarczyłaby tylko jedna drobna zmiana – gdyby nie zasnęła tamtego popołudnia, gdyby zawołała Sophie na dół, żeby pooglądała z nią telewizję, gdyby chociaż sprawdziła, co się działo z jej córką w trakcie tej tragicznej w skutkach sennej godziny, to wszystko nigdy by się nie wydarzyło. Być może wtedy ta konkretna chwila po prostu by minęła. To pragnienie (z pewnością chwilowe) zostałyby zastąpione innymi, bardziej nagłymi potrzebami.

Rzadko spotykała się z taką sytuacją w trakcie wielu lat swojej pracy w pomocy prawnej, w której pokręcone, beznadziejne tragedie życiowe były kwestią ułamka sekundy. Najczęściej nieubłaganie torowały sobie drogę do celu latami – na ogół poczynawszy od żalosego, popieprzonego dzieciństwa. Wypadek na skutek jazdy pod wpływem alkoholu, przemoc domowa albo wyrok za narkotyki, które zsyłały ich na jej drogę, były jedynie kolejną kroplą w szklance wypełnionej już po brzegi toksyczną substancją. Jednak przysięgłaby, że w jej rodzinie nie narastały żadne tego typu problemy.

Istniały również inne chwile, które także by zmieniła, gdyby tylko miała taką szansę. Pierwsze spotkanie na szkolnym dziedzińcu z Beth – z przyjemnością wymazałaby to wydarzenie ze swojego życia, gdyby tylko mogła, ponieważ możliwe, że gdyby tamtego dnia nie porozmawiała z Beth, nie stałyby się przyjaciółkami. Wizyty Andi w szkole stają się coraz rzadsze. Nie podwozi już córki ani jej nie odbiera, ponieważ teraz Sophie jest na tyle duża, żeby wrócić sama na piechotę albo podjechać autobusem. Od kiedy na świecie pojawił się Gus, uczestniczy tylko w tych

wydarzeniach, które są absolutnie najważniejsze – w koncertach, zebraniach z rodzicami – a czasami nawet i to nie. Natomiast kiedy już bierze w nich udział, Andi nie ma ani czasu, ani ochoty na to, żeby udzielać się towarzysko.

W głębi duszy ma poczucie, że powinna bardziej się zaangażować, że dziedziniec szkolny jest miejscem spotkań z innymi matkami i że nawiązanie relacji z rodzicami ułatwiłoby Sophie kontakty towarzyskie, choćby pośrednio. Jednak Andi nigdy nie należała do żadnych paczek ani grup. Oczywiście dawniej się udzielała, pracowała jako wolontariuszka w stołówce i bibliotece w Scone, ale w ciągu tych lat, kiedy Sophie uczy się w HLC, nigdy nie przyłączyła się do żadnego z licznych szkolnych przedsięwzięć. Może powinna bardziej się postarać, ale kiedy spędza chwile z Gusem i zajmuje się swoimi sprawami, czuje się szczęśliwa.

Nie dla niej była przesłodzona bliskość, fałszywa troska i ostra rywalizacja, które kryły się w uściskach – wymienianych podczas szkolnych zebrań – i wegańskich babeczkach tylko z ekologicznych produktów, przynoszonych na spotkania matczynej kółek wzajemnej adoracji. Podjęła próbę, kiedy Sophie była jeszcze malutkim dzieckiem, ale nie trwało to długo. Nie miała cierpliwości do innych matek i ich obaw, zawsze była nieco poirytowana tym wiecznym przejmowaniem się głupstwami, narzekaniem, napiętymi relacjami i absurdalnymi porównaniami – czyje dziecko przespało całą noc, czyje karmiło się zgodnie z rozkładem, czyje było większą przylepą. I choć Sophie i Gus absolutnie ją fascynowali, publiczne analizowanie każdego szczegółu ich codzienności wydawało jej się śmiertelnie nudne. Nie, Andi z pewnością nie należy do matek, które lubią wzajemne kółka adoracji. Tym razem sama się do tego przyznała i po prostu odmówiła wejścia w taką rolę. Miała Steve'a, dzieci, dalszą rodzinę i kilkoro przyjaciół – i więcej do szczęścia nie potrzebowała.

Nie uniknęła jednak spotkania z Beth. Andi stała na szkolnym dziedzińcu i czekała na opóźniony przyjazd klasy Sophie z wycieczki. Właściwie nie zwróciła uwagi na tę kobietę, była zajęta uspokajaniem Gusa i unikaniem kontaktu wzrokowego z gromadką mam ubranych w stroje z lycry, chodzących na fitness i stojących po jednej stronie dziedzińca tak, by nie wchodzić w drogę przyobleczonej we władzę matkom robiącym karierę, przechadzającym się tam i z powrotem pod drugiej stronie szkolnego podwórka z dłońmi zaciśniętymi na telefonach komórkowych. Pochyliła się nad wózkiem, wydawała z siebie głupawe dźwięki i robiła miny, podejmując daremne próby uciszenia głodnego Gusa, żeby jego marudzenie nie zamieniło się w pełnowymiarowy wrzask. Ostatnią rzeczą, na którą miała ochotę, było karmienie piersią w tym tłumie, żeby wszystkie zebrane zobaczyły (ze

współczuciem albo, co gorsza, ze zwyczajnym niezrozumieniem) te dodatkowe waleczki tłuszczu, które wyhodowała w trakcie ciąży. Być może było to jedynie paranoiczne złudzenie, ale Andi się wydawało, że wszystkie kobiety były chude jak patyki, bez grama niepotrzebnego tłuszczu. Uważała, że gdyby potraktować je indywidualnie, większość zebranych okazałaby się rozsądna – kobiety, które poznała, od kiedy zamieszkała w Newcastle, były wspaniałe, zwyczajne, a nawet przyjazne w pewien zdystansowany sposób. Wobec tego absurdem stawało się to, że Andi – która w swoim niedawnym wcieleniu sama należała do grupy wpływowych mam i która wciąż powtarzała córce, że wygląd nie ma znaczenia, że powinna ignorować drwiny koleżanek, którym się wydaje, że ich przyszłość całkowicie zależy od proporcji talii do biustu, długości i blasku spiętych w kucyk włosów, gładkich, wydepilowanych, opalonych nóg oraz *przerwy między udami* – przejmowała się swoją poporodową tożsamością i niemalże wstydziła wałka wokół talii oraz obfitych piersi.

Andi wiedziała, ile osiągnęła w dorosłym życiu, ale jakimś dziwnym zrzędzeniem losu sam fakt przebywania na szkolnym dziedzińcu przywracał jej niepewność z okresu dojrzewania. Czowała się tak, jakby wszystkie sprawy, które ją nurtowały, gdy miała szesnaście lat – wygląd, ubrania, przyjaciele – znowu nabrały dla niej znaczenia. Pozostałe zagadnienia, głębsze wartości, zostały obrócone w pył – liczyła się tylko gładka powierzchowność, wygląd zewnętrzny. Samoświadomość Andi nie była jedynie kwestią poczucia własnej wartości – cóż to byłby za widok, którym przywitałaby biedną Sophie – otyła, niechlujna mama karmiąca piersią dziecko na szkolnym placu zabaw. Córka Andi nie potrzebowała, żeby jej odmienność wobec zadbanych i nadmiernie pewnych siebie rówieśniczek była aż tak żenująco podkreślana.

Marudzenie Gusa przybrało na sile i właśnie się zastanawiała, czy wyjąć go z wózka i znaleźć miejsce w cieniu, kiedy jakaś kobieta, wpatrzona w niemowlę, pojawiła się obok niej i powiedziała śpiewnym głosem:

– Cześć, mały cudzie. Dajesz mamie w kość, co? Nie rób tego, maluszk. – Kobieta nachyliła się nad wózkiem, uśmiechnęła słodko i Gus, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, przestał marudzić. Zrobił wielkie oczy, przestał się marszczyć i uśmiechnął się bezzębnymi dziąsłami do nieznanym, natychmiast zapominając o niewygodzie, z powodu której cierpiał. Andi się odwróciła, żeby jej podziękować, ale kobieta nadal nie odrywała wzroku od Gusa. Mamrotała do niego pod nosem jakieś bzdury, a on uśmiechał się coraz szerzej i wydawał z siebie dźwięki, który zwiastowały śmiech – coś pomiędzy płaczem a pogwizdywaniem.

Kobieta wyglądała olśniewająco. Nie w tym drogim, wymuskanym stylu, który prezentowało tyle mam w szkole, ale była zachwycająca w naturalny sposób – miała burzę kręconych blond włosów spiętych niedbale w kucyk, których pukle okalały jej twarz. Jasną piegowatą cerę, orzechowe oczy spoglądające spod ciemnych grubych brwi i wydatne usta na pociągłej twarzy. Była kiepsko ubrana – a przynajmniej w sposób, który w tej części świata był postrzegany źle – w sprane dżinsy i czarny podkoszulek, znoszone tenisówki i stary bawełniany kardigan przewiązany w pasie. Najwyraźniej robiła remont albo była zaangażowana w jakieś prace manualne – buty miała pochłapane farbą, brudne kolana i kurz na podkoszulku. Gus wciąż się do niej uśmiechał, wyraźnie zauroczony tymi lokami, kolorami i łagodnym, kojącym tembrem jej głosu, a Andi, która przyglądała się kobiecie, dobrze go rozumiała.

W końcu kobieta odwróciła się od zadowolonego już teraz dziecka i uśmiechnęła się do Andi.

– O mój Boże – westchnęła – jaki on słodki. Wyrosłam już z pieluch, ale rozpląwam się, kiedy widzę dziecko w tym wieku.

– Naprawdę? – zapytała Andi, nie zastanawiając się specjalnie nad tym, co mówi. – Ja nigdy się nie rozpląwałam. A już z pewnością nie nad dziećmi innych ludzi. – Pożałowała, że to powiedziała, zaraz po tym, jak słowa wydostały się z jej ust, ale jeszcze bardziej pożałowała swojego tonu – drażliwego i nieprzyjaznego. Przyjęła pozycję obronną, chcąc pokazać, że pomimo wyglądu zewnętrznego nie była jakąś pulchną, zaniedbaną, nic nieznaczącą gospodynią domową, ale niemalże natychmiast uświadomiła sobie, że ta obrona nie była potrzebna i została zinterpretowana jako atak. Kobieta wzięła głęboki oddech, po czym znieruchomiała, a na jej szyję wypełził rumieniec.

– Ja-sne... – posłała Andi pełen niepokoju uśmiech. Odsunęła się.

– O Boże. – Andi delikatnie położyła dłoń na ramieniu kobiety, nagle rozpaczliwie próbując ją zatrzymać, jakoś uratować sytuację. – Posłuchaj, bardzo cię przepraszam. Nie chciałam być nieuprzejma. Mam tylko troszeczkę dość tego wszystkiego w tej chwili. Nakarmiłam go przed wyjściem z domu, a na samą myśl o tym, że miałabym go tutaj znowu karmić piersią... To dla mnie niewyobrażalne. Jestem ci bardzo wdzięczna za to, że go zabawiłaś. Bardziej, niż potrafię to wyrazić. Za chwilę rozmarudziłby się na całego.

Kobieta nadal wyglądała na niepewną, jakby miała zamiar odejść. Andi spojrzała na nią błagalnie.

– Nie odchodź, proszę. Jeśli odejdziesz, znów się rozplacze. Właściwie ja chyba też.

Kobieta wyglądała na zaskoczoną i nieco rozbawioną, ale została. Wpatrywała się w wózek i robiła głupie miny do Gusa, mówiła łagodnym głosem, nie nawiązując kontaktu wzrokowego z Andi.

– Myślę, że jesteś odważna, skoro w ogóle rozważasz karmienie piersią na tym dziedzińcu. Już sobie wyobrażam panią Holding, która wychodzi i prosi cię, żebyś opuściła to miejsce, bo robisz z siebie niestosowne widowisko.

Andi roześmiała się głośnym rechotliwym śmiechem, który sprawił, że kilka matek spojrzało w ich stronę.

– O mój Boże. Trafiłaś w dziesiątkę. Ona jest okropna. Mam wrażenie, że uważa samą ciążę za niestosowny stan. Jestem zaskoczona, że w ogóle pozwolili mi odbierać Sophie ze szkoły. Zwykle po nią nie przychodzę – dodała. – Przeważnie wraca autobusem. Albo idzie na piechotę. Mieszkamy bardzo blisko.

Kobieta odwróciła się do niej, dystans gdzieś zniknął, a na twarzy znowu pojawił się swobodny i przyjazny uśmiech.

– To pewno jesteś mamą Sophie, genialnej pianistki, która grała podczas poniedziałkowego spotkania!

– To właśnie ja.

– Mój Boże. Ona jest cudowna. Musisz być z niej taka dumna.

Andi zbyła śmiechem ten komplement.

– Jestem. Jestem również zaskoczona. A która to twoja córka?

– Jestem mamą Charlie.

– Charlie? Chyba jej nie znam...

– Przepraszam, to Charlotte. Charlotte Mahony. Zawsze nazywaliśmy ją Charlie, ale najwyraźniej przestało jej się to podobać. Tak, dołączyła do klasy na początku roku szkolnego.

– Ach, Charlotte. Ta nowa dziewczynka. Sophie o niej wspominała. Przylecieliście z Ameryki?

– Tak. – Kobieta wystawiła dłoń i uroczo się do niej uśmiechnęła. – Jestem Beth. Beth Mahony.

Andi podała jej dłoń bez chwili wahania i mocno ją uścisnęła, chociaż tutaj, na tym placu zabaw, w tym środowisku, taki gest między kobietami należał do rzadkości.

– Jestem Andi Pennington. Andrea, gdyby ktoś chciał być oficjalny, ale zwykle nie

chce. Bardzo miło cię poznać.

Zadzwoiła do Beth wcześniej rano, podczas porannej drzemki Gusa, tuż po tym, jak Sophie wyszła do szkoły. Nie zapytała nawet Sophie, co o tym sądzi, chciała przedstawić to jako *fait accompli*, niespodziankę.

Beth nie wahała się ani chwili, natychmiast przystała na to, że wspaniale będzie poznać ze sobą dziewczynki.

– Ach, brzmi uroczo – powiedziała najwyraźniej zadowolona. – Środa to świetny termin. Charlotte nie ma wtedy żadnych zajęć. Istne szaleństwo, dopiero co przyjechaliśmy, a już zapełniłyśmy grafik. Ledwo nadażam. Mam straszne urwanie głowy. Bywają takie dni, kiedy prawie zapominam, jak się nazywam.

– Wciąż rozpakowujemy pudła, a od naszej przeprowadzki minęły prawie trzy lata, więc wiem, jak to jest. Tak sobie myślę – to było całkowicie spontaniczne – a może przyjedziesz wcześniej? Wypijemy kawę, a może nawet jakiegoś drinka.

Może o to chodziło. Może to właśnie w tamtej chwili został przesądzony ich los – los Sophie i los Charlotte, a także, co było z tym nierozzerwalnie związane, jej własny los oraz los Beth. Oraz los pozostałych osób – Dana i Stephena, Lucy, a nawet małego Gusa. Podczas tego spotkania – na które zjawili się z różnych stron – ich ścieżki się przecięły i zaczęły biec w tym samym kierunku. Od tamtej chwili kroczyli tą samą drogą. I być może było już za późno, żeby obrać inną trasę.

## SOPHIE

Usiłuje nie mieć zbyt dużych oczekiwań – przecież to zaledwie kilka godzin – ale trudno jej powstrzymać swój entuzjazm, poczucie, że ta pierwsza wizyta może stanowić początek czegoś wyjątkowego.

Wspomina Charlotte o tych odwiedzinach na lekcji angielskiego, dzień wcześniej. Uświadamia sobie, że popełnia wielki błąd w chwili, gdy wypowiada te słowa.

Musi się odwrócić, żeby porozmawiać z Charlotte, która siedzi w ławce za nią razem z Amelią Carrington. Sophie ignoruje gniewne spojrzenie, które aż nazbyt wyraźnie posyła jej Amelia, i bierze oddech.

– Moja mama mówi, że przychodzisz do nas jutro po szkole, razem ze swoją mamą i siostrą. Na popołudniową herbatkę.

– Tak, mama tak powiedziała. – Charlotte sztucznie się uśmiecha, po czym spuszcza wzrok na swoje zadanie. Amelia prychnęła. Najwyraźniej rozmowa dobiegła końca.

Sophie przełyka swoje rozczarowanie i też wraca do zadań.

Później, w szatni, Charlotte podchodzi do niej.

– Hej, Sophie – zagaja. – Przepraszam, że nie porozmawiałam z tobą dłużej, ale po prostu zobaczyłam, że panna Foley za chwilę się odwróci i nie chciałam mieć kłopotów. Naprawdę cieszę się na to spotkanie. – Ma szeroki, ciepły i przyjazny uśmiech, uśmiech, który widać także w jej oczach.

Sophie ochoczo go odwzajemnia.

– Bardzo się cieszę. Będzie wesoło.

Ale spotkanie nie zaczyna się dobrze. Dziewczynki chodzą na inne zajęcia popołudniowe, więc umawiają się przy rozłożystym wiciokrzewie, który tworzy coś w rodzaju kwitnącej bramy nad ścieżką na jednym ze szkolnych dziedzińców. Sophie stoi oparta o chłodny ceglany mur i obserwuje przepływający obok strumień dziewcząt i rodziców, i ledwie jest w stanie zapanować nad swoimi emocjami. Tymczasem Charlotte się nie spieszy, najpierw stoi w kółeczku z Harriet i Amelią, cała trójka zaśmiewa się zaledwie kilka metrów od miejsca, w którym czeka na nią Sophie. Stoi na widoku, ale Charlotte nie macha do niej, nie uśmiecha się, ani nie daje

żadnego znaku, że ją dostrzega. Pozostałe dziewczynki w końcu odchodzą, przemykając obok Sophie, i wybiegają przez bramę w stronę przystanku autobusowego, a wtedy Charlotte zaczyna rozmowę z jakąś dziewczyną ze starszej klasy. Dołącza do nich jeszcze kilka uczennic i Charlotte wychodzi jako jedna z ostatnich, podchodzi do Sophie dopiero wtedy, kiedy prawie wszystkie koleżanki poszły już do domu.

Charlotte uśmiecha się nieznacznie, kiedy Sophie się z nią wita, i ledwie zwraca uwagę na jej entuzjastyczną wyliczankę planów na popołudnie:

– Pomyślałam, że w drodze do domu mogłybyśmy wstąpić do Café Babeczka. Mama dała mi pieniądze, wystarczy dla nas obu. Możemy coś zjeść na miejscu, a resztę zabrać na wynos. Wystarczy też, żeby kupić babeczkę twojej siostrze, ale nie musimy przejmować się Gusem, bo on jeszcze nie jada stałych pokarmów, a w każdym razie jestem pewna, że mama nie pozwoli mu zjeść ciastka, dopóki nie skończy osiemnastu lat. Wiem, że to oznacza pójście dłuższą drogą i że będziemy musiały wejść na szczyt tego wzniesienia – Sophie wspomina o stromym podejściu, które będą musiały pokonać – ale myślę, że gra jest warta świeczki dla tej babeczki, jak sądzisz? – Chichocze z przypadkowej rymowanki i recytuje ją jeszcze raz: *gra warta świeczki dla tej babeczki, gra warta świeczki dla tej babeczki*, ale Charlotte tylko wzdycha i przewiesza przez ramię futerał ze skrzypcami.

– Wspinaczka górską. Cudownie – mówi to beznamiętnym głosem pozbawionym tego nonszalanckiego, amerykańskiego zaśpiewu, który Sophie tak bardzo podziwia. Obie dziewczynki mozolnie i w milczeniu wspinają się na wzgórze. Sophie robi się przygaszona, nagle pełna podejrzeń, że Charlotte nie jest zadowolona z tego popołudnia i towarzyszy jej z konieczności.

Kiedy kupują babeczki – crème brûlée i potrójna czekoladowa fala dla Sophie oraz vanilla crunch i truskawkowy przysmak dla Charlotte – trasa staje się łatwiejsza, droga prowadzi w dół, a Charlotte się odpręża. Pojawiają się babeczki, którymi można się pozachwycać pomiędzy zachłannymi kęsami – że były o wiele smaczniejsze, niż się spodziewały, jeśli to w ogóle możliwe – co gładko sprowadza rozmowę na temat tych ohydnych słonych muffinów, do których pieczenia zmuszano je na lekcjach gotowania, co z kolei wywołuje dyskusję na temat dziwnych zwyczajów nauczycielki gotowania i prowadzi do ogólnej krytyki pozostałych nauczycieli oraz, nieoczekiwanie, ich koleżanek z klasy.

Sophie odpowiada na liczne pytania Charlotte na temat innych dziewczynek z ich rocznika – od jak dawna chodzą do tej szkoły, gdzie mieszkają, jakie miejsca zajmują



w klasowej hierarchii – i nagle łapie się na tym, że rozmawia o własnym statusie czarnej owcy i zaśmiewa się z tego.

– Zawsze myślały, że jestem jakaś dziwna z powodu fortepianu i tego, że jestem beznadziejna w sportach. Stąd ta głupia ksywka – Ślamazara. Jednak myślę, że trochę wkurza je to, że jestem także bystra. A teraz, kiedy wszystkie moje przyjaciółki zmieniły szkołę, traktują mnie jak jakiegoś dziwoląga. Mama mówi, że to z czasem się zmieni, ale nie wiem, czy to kiedykolwiek nastąpi.

– To dlaczego też nie zmienisz szkoły? – Charlotte wydaje się szczerze zainteresowana i współczująca.

– Jestem tutaj tylko dlatego, że mam stypendium, a ta szkoła ma najlepszy program edukacji muzycznej w Newcastle, więc mama i tata naprawdę chcą, żebym dalej się tu uczyła. A ja uwielbiam lekcje muzyki. Nigdzie nie uczą tak dobrze. Musiałabym wyjechać do Sydney. Ale przypuszczam, że gdyby sprawy naprawdę potoczyły się w złym kierunku... Chodzi o to, że wszystko inne w tej szkole naprawdę mi się podoba. Lubię nauczycieli. Ich sposób nauczania. Muszę tylko znaleźć więcej dziewczyn, które są tak samo dziwne jak ja. – Starannie unika wzroku Charlotte, kiedy to mówi, nie chcąc, żeby uznała, że chce ją wy badać, ale Charlotte przeskakuje już na inny temat.

– Wiesz, to *jest* jakieś dziwne. W mojej poprzedniej szkole nikt nie uważał za dziwaczne tego, że ktoś ma niezwykły talent. Uważano to za zaletę. W mojej klasie była taka jedna genialna dziewczyna, która wyjechała do *tej* słynnej szkoły muzycznej w Nowym Jorku. Nie pamiętam, jak się nazywa ta szkoła, ale chyba jest najlepsza na świecie. Ta dziewczynka była dopiero w czwartej klasie, co jest niesamowite. Praktycznie wszyscy chcieli się z nią przyjaźnić.

Kiedy docierają do domu Sophie, obie zaśmiewają się do łez z najbardziej zabawnych momentów tego tygodnia – z puszczania bąków przez panią od wuefu, z urwanego ramiączka od stanika panny Foley – że nawet rozgniewane pytanie jej matki: „Gdzie byłaś? Dzwoniłam do ciebie. Przecież to nie powinno zająć ci tyle czasu”, nie jest w stanie zgasić entuzjazmu Sophie. Bez względu na to, jak bardzo matka jest na nią wściekła, że wróciła za późno do domu, nie napisała esemesa ani nie odebrała telefonu, ten gniew nie ma dla niej najmniejszego znaczenia, ponieważ Charlotte do niej przyszła.

CudowneDziecko.com

## Dziesięć lekcji cudownego dziecka, jak osiągnąć sukces

### Lekcja czwarta: Kto się liczy i dlaczego to jest ważne

Jeśli chcesz coś osiągnąć i być kimś, to jedną z najważniejszych rzeczy, jakie musisz zrobić, jest trzymanie się z daleka od ludzi, którzy się nie liczą, i utrzymywanie kontaktów tylko z tymi, którzy się liczą.

A kto się liczy?

Większość rodziców, nauczycieli, trenerów oraz innych dorosłych, którzy mają nad tobą jakąś władzę – oni się liczą. Choć nie zawsze. Przeważnie najbardziej lubiane dzieci w szkole się liczą, a te nielubiane się nie liczą.

Od czasu do czasu dochodzisz do wniosku, że jacyś członkowie twojej rodziny – na przykład rodzeństwo albo dziadkowie, a nawet rodzice – się nie liczą.

Czasem odkrycie, kto się liczy, bywa trudne. Ale kiedy masz jasność, musisz być bezwzględna.

Obowiązuje zasada, którą często powtarzają twoi rodzice: „Z kim się zadajesz, takim się stajesz”.

Albo takim chcesz się stać. A jeśli będziesz otaczać się ludźmi, którzy się nie liczą, w końcu sama przestaniesz się liczyć.

Pamiętaj: nawet ci, którzy się nie liczą, mogą okazać się użyteczni.

### KOMENTARZE:

Napisz na adres: [liczenie@rozwiazania liczbowe.com](mailto:liczenie@rozwiazania liczbowe.com) i rozwiąż już dziś swoje

problemy z liczeniem!

## CHARLOTTE

Teraz prawie się nie zdarza, żeby razem dobrze się bawiły. Kiedy były młodsze, mieszkały w jednym pokoju i w swoim towarzystwie spędzały większość czasu. Gdy stały się nastolatkami, ich zainteresowania poszły w różnych kierunkach. W każdym razie Charlotte codziennie po południu ma jakieś zajęcia: grę na skrzypcach, teatr, hokej, taniec. W weekendy zazwyczaj jest pochłonięta odrabianiem lekcji, a jeśli tak się nie dzieje, to obie z Lucy zaszywają się w oddzielnych sypialniach, żeby oglądać wznowienia seriali telewizyjnych, od których aktualnie są uzależnione. Przynajmniej tak robi Charlotte i zakłada, że Lucy spędza czas w podobny sposób. Jednak tak naprawdę nie ma pojęcia, co u niej słychać. Jeszcze zanim się tutaj przeprowadzili, życie starszej siostry stało się dziwnie tajemnicze i odległe od jej własnego życia.

Jednak akurat w tę niedzielę pada deszcz, a mama wyjątkowo niczego nie zaplanowała – żadnego spaceru, na który muszą pójść, ani wyprawy do sklepu, na którą muszą pojechać, albo jakiegoś nudnego miejsca historycznego, które koniecznie trzeba odwiedzić. Przez cały tydzień były problemy z telefonem, a teraz Internet całkowicie przestał działać. Początkowo Charlotte jest wściekła, czekała tyle dni, żeby nadrobić zaległości w serialu *Nie z tego świata*, ale stopniowo odsłaniają się leniwe przyjemności wolnego od zajęć deszczowego dnia. Rano oglądają z Lucy kanał z kreskówkami – po raz pierwszy od wielu lat – po czym rozsiadają się w salonie i czytają przez jakiś czas książki, a teraz zostawiły rodziców radośnie pochłoniętych niedzielnymi gazetami i wchodzą na górę do sypialni Lucy, żeby przekopać się przez stertę gier planszowych, na które nawet nie miały czasu spojrzeć, odkąd tutaj zamieszkały. Grają w stary ulubiony Monopol Junior i Mastermind, który przychodzi im z nadzwyczajną łatwością, i grę Yahtzee, która wydaje się nedorzecznie nudna, w Uno na dwie ręce, co wychodzi beznadziejnie, a potem jedną albo dwie zabawne rundki w Trouble.

Wykończone grami słuchają muzyki i przetrząsają wciąż nieotwarte pudła w poszukiwaniu czegoś do zabawy. Lucy dostała tę sypialnię walkowerem, ponieważ Charlotte uznała ją za zbyt przerażającą. Jest większa i ciemniejsza niż jej sypialnia, z tapetą w gęste wzory, z ciemnobrązowymi zaciekami na lamperkach i listwach przypodłogowych. Meble – ogromna dębowa szafa i rozklekotane żeliwne łóżko –

wydają się jeszcze bardziej obskurne niż te w pokoju Charlotte.

Charlotte znajduje pachnącą stęchlizną stertę książek dla dzieci, ukrytą na dnie szafy – książeczki edukacyjne wydawnictwa Ladybird z lat sześćdziesiątych, zapewne pozostawione tam przez poprzedniego właściciela. Wertują je przez dłuższą chwilę, zaśmiewając się ze starodawnych ilustracji i instrukcji, dziwnych sformułowań, beznadziejnych ubrań i niezręcznych zwrotów. Robią kilka bardzo prostych (i dość bezpiecznych) eksperymentów z elektrycznością z książki *Magnesy, żarówki i baterie*, po czym – korzystając z instrukcji w książce zatytułowanej *Dźwignie, podnośniki i silniki* – próbują podnieść kilka cięższych przedmiotów zgromadzonych w pokoju, w tym tę absurdalnie nieprzesuwalną szafę. Znajdują stary sznurek do wieszania prania i podejmują próbę zrobienia koła pasowego, które zostaje nieco zbyt mocno przywiązane do ramy łóżka i staje się przyczyną narzekania poirytowanych rodziców.

W końcu dziewczynki padają na łóżko zakurzone, wykończone i nieco rozbrykane. Rozkładają się po obu stronach materaca ze stopami splątanymi na środku i ucinają sobie pogawędkę w sposób, którego Charlotte od dawna sobie nie przypomina.

Rozmowa toczy się głównie wokół spraw szkolnych: różnic między HLC a ich szkołą w New Jersey, dziwnego funkcjonowania tutejszego systemu szkolnego, mundurków, tradycji oraz, OMG, całej tej religii! Potem gładko przechodzą do plotek na temat nauczycieli i oczywiście na temat koleżanek. Charlotte, nagle żywo zainteresowana punktem widzenia starszej siostry, pyta Lucy, czy znalazła jakąś grupę dziewczyn, które polubiła.

– Chyba tak. Chociaż jest tylko jedna albo dwie, które mnie obchodzą. A może jest tylko jedna albo dwie dziewczyny, które ja obchodzę. – Lucy wybuchła nerwowym śmiechem i spogląda na Charlotte. – Tymczasem ty już pewnie jesteś Najbardziej Lubianą Koleżanką, prawda? Długo ci to nie zajęło.

– Nie mam na to wpływu, Lucy. – Kiedy zaczynają rozmawiać na ten temat z siostrą, Charlotte zawsze czuje się jednocześnie winna i zepchnięta na pozycję obronną. Dziwnie. – Po prostu to samo się dzieje.

– Jasne.

– To prawda. Nie robię niczego szczególnego. – Ma świadomość stosunkowo niskiej pozycji Lucy w hierarchii towarzyskiej, ale nigdy nie sądziła, że jej siostra się tym przejmuje. Jakoś zawsze sobie wyobrażała, że Lucy była ponad tego typu troskami.

– Nie chcę być złośliwa, Charlie. To tylko obserwacja. – Siostra uśmiechnęła się uspokajająco. – Po prostu nie zależy mi na takich rzeczach. Na byciu lubianą. Albo na

włóczeniu się z najfajniejszymi dziewczynami.

– Chyba nie chodzi ci o to, że coś jest nie w porządku z Harriet, Grace i Amelią? Fakt, że są ładne i lubiane, nie oznacza przecież, że są złe, prawda? Albo głupie? Chcę przez to powiedzieć, że one są miłe i to najbardziej inteligentne dziewczyny w klasie. – Wypręża się i dodaje wyniośle. – Wszystkie takie jesteśmy.

Lucy wzrusza ramionami najwyraźniej nieporuszona.

– Właściwie wszystko z nimi w porządku. Chyba po prostu nie są w moim typie.

– A gdybyś była w mojej klasie, z kim chciałabyś się zaprzyjaźnić?

Lucy odpowiada bez wahania.

– Wiesz, myślę, że Sophie jest naprawdę miła. Bystra i interesująca. Wiem, że nie jest kimś, z kim fajne dziewczyny chcą się przyjaźnić, ale gdybym była w twojej klasie, nie przejmowałabym się tym, ona zostałaby moją...

Charlotte przerywa nagle wściekła.

– Istnieje, Panno Doskonała, pewien powód, dla którego żadna dziewczyna nie chce zostać jej przyjaciółką. To kompletna debilka.

Lucy robi wielkie oczy, zdziwiona albo urażona, Charlotte nie wie, które uczucie bardziej dominuje, i zbytnio jej to nie obchodzi.

– Może i jest trochę dziwna, ale z tego, co zdążyłam zaobserwować, Sophie to naprawdę urocza dziewczyna. – Głos Lucy jest wyjątkowo głośny, wzburzony.

– Gruby dziwoląg. Nie jest typem dziewczyny, z którą chciałabym się zadawać. Chyba nie tak trudno to zrozumieć.

– Rozumiem, Charlie. Naprawdę rozumiem. Ty lubisz tylko ładne i bogate dziewczyny.

– A co ty o tym możesz wiedzieć? Nie masz pojęcia, co się dzieje w naszej klasie.

– Jasne. Bo mieszkam w jaskini.

– Jesteś taką kretynką...

Lucy posyła siostrze ostrzegawcze spojrzenie, po czym spogląda w kierunku drzwi i na jej twarzy pojawia się błogi uśmiech.

– Co myślisz, tato? Nie sądzisz, że Sophie to naprawdę miła dziewczyna? – Ich ojciec stoi oparty o framugę drzwi z założonymi rękami i surowym wyrazem twarzy.

– Tak uważam. I z pewnością nie jest debilką. Ani grubaską. Ani dziwolągiem. – Ma chłodny głos. – Lucy ma rację. Charlotte, nie powinnaś dobrać sobie przyjaciółek, kierując się tym, czy są powszechnie lubiane. Popularność to najmniej istotna

sprawa. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że jesteś taka powierzchowna.

– Ale ja nie miałam na myśli...

Przerywa.

– Słyszałem, co powiedziałaś, Charlotte. I jestem rozczarowany.

## ANDI

Andi jest zaskoczona, jak bardzo zależy jej na rozwijaniu nowej przyjaźni. Pierwszy krok zrobiła, kierując się dobrem Sophie – miała nadzieję, że dzięki temu dziewczynki się zaprzyjaźnią – ale tamtego popołudnia podczas pierwszego spotkania sama bawiła się lepiej, niż przypuszczała, poczuła się podniesiona na duchu tą rozmową, zwyczajnymi zwierzeniami, nieoczekiwanymi wybuchami śmiechu. Zdała sobie sprawę z tego, że już dawno nie doświadczyła tego rodzaju dziewczynskiej zabawy.

Kiedyś, dawno temu, gdy była jeszcze kobietą sukcesu, młodą zdolną prawniczką, która w oszalamiającym tempie mnożyła godziny pracy, ucząc się do egzaminu adwokackiego, zanim poznała Steve'a i na długo przedtem, zanim urodziła Sophie, Andie miała czas na przyjaciółki i przyjemności.

Gdy poznała Steve'a, była – co uświadomiła sobie dopiero z perspektywy czasu – u szczytu kariery zawodowej. Sądziła, że zajdzie o wiele dalej. Nie miała zamiaru pójść żadną staroświecką, jeśli nawet wciąż dominującą, kobiecą ścieżką. Nie szukała wymówki – faceta, dzieci, kredytu hipotecznego. Nie. Andi miała zamiar zrobić to inaczej niż jej matka, która zrezygnowała z posady nauczycielki w szkole podstawowej, gdy poślubiła swojego męża budowlańca, i uparcie twierdziła, że nigdy tego nie żałowała – choć Andi dostrzegała znudzenie i zniecierpliwienie w wolontariacie swojej matki i w jej udzielaniu się w niezliczonych komitetach. Miała zamiar wybrać inną drogę niż jej dwie siostry, od których dzieliła ją zbyt duża różnica wieku, a które nie skończyły żadnej szkoły, nie mówiąc już o studiach, ale za to młodo wyszły za mąż i szybko wypełniły swoje gniazdko przerażającą liczbą piskląt (a przynajmniej tak się wtedy wydawało młodej i traktującej je protekcjonalnie Andi). Andi rozumiała – gdy w drugiej klasie pani Rice powiedziała, że jest najinteligentniejsza i najładniejsza spośród córek Marshallów – że była przeznaczona do wyższych celów.

Wobec tego przez wiele lat zajmowała się pogonią za tymi wyższymi celami, choć nie do końca zdawała sobie sprawę, jakie właściwie są te dążenia albo czego tak naprawdę pragnęła. Była to bardziej kwestia tego, czego nie chciała – życia, jakie wiedli jej rodzice i rodzeństwo. Dużo się uczyła, a potem ciężko pracowała. Opuściła



nizszą klasę średnią, z której się wywodziła, jednocześnie nie wyjeżdżając z miasta, w którym się wychowała, ani nie wyrzekając się swojej rodziny.

A potem pojawił się Steve.

Spotkali się w dziwnych okolicznościach, w klubie nocnym w Cross. Scenariusz tego spotkania nie był typowy. Żadne z nich nie przyszło po to, żeby kogoś poderwać. Właściwie Andi poszła tam wbrew swojej woli, z poczucia obowiązku – było to spotkanie towarzyskie z pracy – i planowała wyjść stamtąd najszybciej, jak się da. Jednak stopniowo poddała się atmosferze wieczoru – hałaśliwej żywiołowości pokazu striptizu i głośniejszej surrealistyczności klubu nocnego. Było bardzo wesoło i ten jeden raz wypłała na tyle dużo, żeby się wyluzować i zaakceptować doświadczenie zatracenia się. Nad ranem siedziała przy stoliku i powoli sączyła drinka, wymigując się od tańca i sennym wzrokiem przyglądając się wijącym się na parkiecie ciałom, kiedy do klubu wszedł patrol miejscowej policji na rutynową kontrolę. Wyglądali przerażająco, niczym gestapowcy w tych swoich granatowych mundurach, wysokich, sznurowanych oficerkach, z ciężkimi pasami i twarzami bez wyrazu. Andi była zaskoczona nonszalancją pozostałych gości klubu – większość w ogóle nie zwracała na nich uwagi – a sami policjanci, mimo że początkowo wzbudzili postrach, byli wyraźnie wyluzowani. Podała swoje prawo jazdy bez sprzeciwu młodemu, milczącemu posterunkowemu. Spojrzał uważnie na zdjęcie, po czym przeniósł wzrok na nią ze śmiertelnie poważnym wyrazem twarzy.

– Czy pani jest pewna, że to pani prawo jazdy? A nie kogoś innego? Kuzynki? Starszej siostry, powiedzmy? – zapytał w końcu niskim i monotonnym głosem.

– Co ma pan na myśli?

– Po pierwsze nie wygląda pani na trzydzieści dwa lata, a po drugie to naprawdę nie jest dobre zdjęcie. Nie oddaje w pełni pani urody. – Przez chwilę się wzdrygnęła, zanim dostrzegła jego maślane oczy, które wpatrywały się w nią z nadzieją. Nie był to oczywisty sposób podrywu, ale z pewnością był to tekst na podryw.

Andi pomyślała później, że z łatwością można by go obrócić przeciwko niemu – mogłaby uznać to za obrazę, zrobić awanturę i poskarżyć się jego przełożonym. W ostateczności mogła mu powiedzieć, żeby się odpieprzył. Była przecież prawniczką, na miłość boską. Patrzyła na gliniarzy z charakterystyczną dla prawników pogardą – jednak miał w sobie coś, co ją pociągało, i zareagowała w sposób nietypowy dla swojego trzydziestodwuletniego ciętego poczucia humoru charakterystycznego dla jej zawodu, odwzajemniając jego uśmiech, po czym uprzejmie odpowiedziała:

– Obawiam się, że to jednak jestem ja. Wychodzę na zdjęciach najbrzydziej pod słońcem. Ale dziękuję panu. Chyba. – Musiał zdać sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmował, ponieważ najwyraźniej natychmiast poczuł ulgę i uśmiechnął się szeroko. Ten uśmiech znacznie rozjaśnił jego poważną twarz i zauważyła, że mundur krył bardzo przystojnego mężczyznę: raczej niskiego, o ciemnej karnacji, dobrze zbudowanego.

Zrobił gest, jakby chciał oddać jej prawo jazdy, ale zatrzymał się w połowie i jeszcze raz na nie spojrzął.

– Wie pani, nie jestem pewien, czy czuję się usatysfakcjonowany. Chyba powinienem przyjrzeć się bliżej tej sprawie. Sprawdzić, czy to na pewno pani prawdziwy adres zamieszkania.

Wtedy się roześmiała, rozbawiona jego bezczelnością.

– Może mnie pan odwiedzić, kiedy pan zechce, i na pewno mnie pan tam znajdzie, ale może mogłabym to panu ułatwić. Może dam panu mój numer telefonu? Tym sposobem będzie mógł pan sprawdzić, czy będę w domu, kiedy pan zadzwoni.

Uniósł brwi i wyjął z kieszeni niewielki notes.

– Och, nie musi go pan zapisywać. – Przeglądnęła portfel i wręczyła mu wizytówkę, na której widniało nazwisko i numer licencji zawodowej:

*Andrea Marshall, adwokat, Winston Chalmers i wspólnicy.*

Przeczytał wizytówkę i na jego twarzy pojawił się uśmiešek.

– Pracuje pani dla tego kutasa?

– Dokładnie.

Prychnął, potrząsnął głową, oddał jej prawo jazdy i wsunął do kieszeni wizytówkę.

– Cóż, zawsze chciałem zadawać się z wrogiem. Co pani na to, żebyśmy zadzwonił dzisiaj po służbie? Moglibyśmy pójść na spacer. Kupić lody. Wymienić się tajemnicami zawodowymi. Poszpiegować. Mieszkam w Bondi, niedaleko stąd.

– Proszę tak zrobić. Będę czekała z niecierpliwością – odparła.

Ryzyko było większe, niż Andi się spodziewała. Wkrótce się przekonała, że zachowanie Steve'a było skrajnie nietypowe. Przyznał się, leżąc z nią w łóżku jeszcze w tym samym tygodniu, że wcale nie był takim typem faceta, że ogólnie nie radził sobie z kobietami, że nigdy wcześniej nie zachował się tak odważnie ani na służbie, ani poza nią. Jednak tym razem nie potrafił się oprzeć, jak wyznał, zadziwiony i nieco zmieszany szybkim rozwojem wypadków. Właściwie to wszystko stało się niemalże

bez chwili zastanowienia z jego strony.

– Jakbym został zaczarowany. Czułem się tak, jakbyś rzuciła na mnie jakiś prawniczy urok. Słowa same popłynęły mi z ust.

Roześmiała się.

– A nazajutrz przyszedłeś do mojego mieszkania – chyba nie mogłeś się powstrzymać? Czyżby to też było jakieś potężne, prawnicze, magiczne zaklęcie? – zapytała.

– Och nie. To już było w pełni świadome. Chciałem sprawdzić, czy naprawdę istniejesz, czy nie byłaś jedynie rodzajem halucynacji – zawsze, kiedy jestem na służbie w nocy, mam zwariowane sny i początkowo sądziłem, że to może kolejna senna mara. Ale kiedy znalazłem w portfelu twoją wizytówkę, pomyślałem, że lepiej przyjdę i sprawdzę.

Steve był jej dokładnym przeciwieństwem i daleko mu było do typu mężczyzn, z którymi zwykle się spotykała albo których wyobrażała sobie w roli swojego męża. Kiedy o tym myślała – chociaż zawsze traktowała małżeństwo w kategoriach „wóz albo przewóz” – widziała siebie przy boku prawnika: chłopaka z miasta, wygadanego, tryskającego energią, ambitnego. Tymczasem starszy posterunkowy Stephen Pennington pochodził ze środowiska, które było jej całkowicie obce. Dorastał w kilku prowincjonalnych miasteczkach, jego ojciec był pastorem Kościoła Zjednoczonego, matka od dawna nie żyła. Stephen był poważny, surowy, przerażająco dosłowny, czasem wręcz ponury. Po maturze studiował teologię i nosił się z zamiarem, żeby pójść w ślady ojca, ale w połowie studiów stracił wiarę i wstąpił w szeregi policji. Odnalazł powołanie w służbie, transformując swoją żarliwość religijną w pilnowanie prawa i porządku. Dziwne, bo jak na policjanta, a przynajmniej tak wynikało z doświadczenia Andi, Stephen zawsze miał jasną koncepcję dobra i zła. Wyraźnie odróżniał, co jest właściwe, a co niewłaściwe. Dawna wiara kierowała nim też podczas wymierzania sprawiedliwości, co dla całkowicie laickiej Andi było nieosiągalne. I chociaż nie miała nadziei, że kiedykolwiek to zrozumie, te jego ideały, niezachwiana wiara w porządek i prawość, bardzo ją pociągały.

Pomimo wszystkich powierzchownych różnic wzajemne przyciąganie między nimi było zadziwiająco oczywiste. I nie do opanowania.

Pod wpływem nalegań Steve'a pobrali się (jego ojciec nigdy nie zaakceptowałby syna żyjącego w grzechu) sześć miesięcy po pierwszym spotkaniu. Zaledwie rok później na świat przysła Sophie.

Poślubienie Steve'a zbliżyło Andi do jej rodziny bardziej, niż miałyby to miejsce w innych okolicznościach. Większość mężczyzn, z którymi umawiała się wcześniej, pochodziła z zupełnie innego świata niż ona – zwykle należeli do klasy średniej, niektórzy ukończyli prywatne szkoły. Przeważnie także byli prawnikami. Te związki miały wyraźnie określone granice, więc nie kłopotowała się tym, żeby przedstawiać któregoś ze swoich partnerów rodzicom albo rodzeństwu. Jednak Steve od razu nalegał, żeby poznać jej rodzinę i pomimo swojego dziwnego pochodzenia oraz nietypowej osobowości szybko został zaakceptowany. Właściwie w towarzystwie jej rodziny czuł się lepiej niż ona sama i dobrze bawił się podczas suto zakrapianych alkoholem wieczorów karcianych, niekończących się grillów, a nawet oglądał mecze krykieta z jej szwagrami. Kiedy przeprowadzili się do Scone, jej matka była najbardziej przygnębiona nie tym, że będzie tęsknić za Andi – chociaż tęskniła – ale z tego powodu, że Steve'a nie będzie w pobliżu co drugi weekend, żeby skosić jej trawnik i wpaść na kawę. Steve był idealnym zięciem.

A ich małżeństwo było nadzwyczaj szczęśliwe. W trakcie długich lat starań o drugie dziecko – poronień, serii zapłodnień *in vitro* – Steve nigdy się nie poddał. Nigdy nie powiedział, że ma dość, ani nie dawał do zrozumienia – jak wielu mężów – że Andi była już za stara. Nigdy nie narzekał na jej emocjonalną huśtawkę, na nieustanny kiepski nastrój, na pojawiającą się sporadycznie rozpacz, na nieuniknioną depresję. Zakasał rękawy, jak zawsze, i robił swoje.

– To się zdarza, Andi – powiedział, kiedy byli na samym dnie, gdy poczuła, że to pragnienie posiadania drugiego dziecka stało się czymś balansującym na granicy obsesji, niezdrowym i nieokiełznanym – że to *ona* była gotowa dać za wygraną. Jakimś cudem zawsze udawało mu się podnieść ją na duchu. „Dopóki lekarze uważają, że mamy szansę – mówił – powinniśmy próbować. Zaszliśmy już tak daleko...”

Zdalna praca w wolnym zawodzie wydawała się doskonałym rozwiązaniem, kiedy przeprowadzili się do Newcastle. Andi zbudowała wcześniej rozległą sieć kontaktów i to na wielu płaszczyznach – teraz było jej o wiele łatwiej dopasować się do planu lekcji Sophie, do cykli *in vitro*, do systemu zmianowego w pracy Steve'a, a później do ciąży – i dopiero w ostatnich tygodniach przed narodzinami dziecka, w tej ciszy przed burzą, Andi uświadomiła sobie, jak mało osób tutaj знаła. Tuż po przyjeździe podjęła kilka prób zaprzyjaźnienia się z matkami ze szkoły, oczywiście zaliczyła kilka spotkań przy kawie, podczas których inne matki ją przekrzykiwały, a ona robiła to samo, ale to do niczego nie doprowadziło i było – z czego zdała sobie sprawę – zapewne w równym stopniu jej, co ich winą.

Andi zrobiła się kapryśna i niecierpliwa, trudno było ją zadowolić, jeśli chodzi o towarzystwo innych ludzi, a ściślej rzecz biorąc, innych kobiet. Nie mogła znieść tych, które mówiły o sobie za dużo albo za mało, albo takich, które były zainteresowane wyłącznie swoimi dziećmi. Nie mogła znieść kobiet, które trąkotały o osiągnięciach swoich mężów i przechwalały się ich dochodami. Kobiety, które reagowały zbyt emocjonalnie i za bardzo się spoufalały, wprawiały ją w zakłopotanie, a te, które przed nikim się nie otwierały, pomimo kolejnych rozmów, były po prostu irytujące. A może wcale nie chodziło o żadną z tych kwestii? Andi czasem sobie myśli, że chciałaby znowu być dzieckiem. We wspomnieniach dziecięce przyjaźnie były prostsze, z pewnością opierały się bardziej na instynkcie – „ładnie pachniesz!” – niż na dopasowaniu pod względem intelektualnym i społecznym. Ale przyjaźnie jej córki nie były już takie łatwe, od małego pełne napięć. Być może tak wygląda współczesny świat – każdy chce więcej, a dziwnym sposobem w końcu dostaje mniej.

Andi bynajmniej nie zabiega gorączkowo o to, żeby zdobyć przyjaciółki w Newcastle, jest to kwestia, którą spycha na dalszy plan. Przygląda się, jak Steve i Sophie zadomawiają się w nowych okolicznościach, ale jej własne życie ma charakter tymczasowy, niepewny. Jest tak zaabsorbowana codzienną rutyną, że zapomina, jak bardzo lubi, jak bardzo tak naprawdę potrzebuje towarzystwa innych kobiet. Ale teraz, w związku z tym, że w jej życiu tak niespodziewanie pojawia się Beth, najwyższy czas trochę się postarać.

W ciągu tego pierwszego wspólnie spędzonego popołudnia początkowe skrzępowanie obu kobiet szybko znika. Pytanie, czy ma to być herbata czy też wino, w ogóle nie zostaje postawione – Beth przyniosła butelkę dobrego, lokalnego, białego wina, a ponieważ Gus już został nakarmiony, a mleko na noc zostało odciągnięte, Andi może sobie pozwolić na małe przewinienie. Może się wreszcie wyluzować, przygotowała wcześniej kolację, Gus z zadowoleniem uderza rączkami w matę edukacyjną, a trzy dziewczynki są na piętrze w pokoju Sophie i Bóg jeden wie, co robią, w każdym razie, jak się domyśla, coś związanego z iPadem, zostawiając obu kobietom przestrzeń na pogaduszki. Początkowo konwersacyjna piłka nieco zbyt często trafia w siatkę albo wypada na out, ale dość szybko pozornie niewinna dyskusja na temat szkoły i jej specyficznej dynamiki przeradza się w intensywny maraton zwierzeń i w mgnieniu oka okazuje się, że rozmawiają o wszystkich ważnych sprawach – o dzieciach, rodzicach, małżeństwie, pracy, macierzyństwie.

Andi zwierza się Beth – jest pierwszą osobą, której to mówi, ponieważ tak naprawdę trudno jej przyznać się do tego nawet przed samą sobą – jak bardzo

przeraża ją perspektywa konieczności powrotu do pracy.

– Wiem, że to głupio brzmi. Pracuję zdalnie z domu, więc pewnie nie będzie to aż takie trudne. Mogę sama ustalać sobie godziny aktywności. Ale mimo wszystko będę musiała powierzyć Gusa czyjejs opiece, a nie sądzę, żebym była w stanie to znieść. To naprawdę niedorzeczne. Chodzi mi o to, że przy Sophie tak rozpaczliwie chciałam wrócić do pracy. Miałam opiekunkę, odkąd skończyła sześć tygodni. To musi być kwestia mojego zaawansowanego wieku, w którym zostałam matką.

Beth jest zaciekawiona. Ma całkiem inne doświadczenia, ponieważ odkąd wyjechali z Australii, wypadła z rynku pracy i zastanawia się, co zrobić teraz, kiedy wróciła do ojczystego kraju.

– Nie chodzi o to, że nie jestem szczęśliwa z powodu tego, że wróciłam, bo naprawdę jestem. Ale tutaj tak wyraźnie widać, że nie pracuję zawodowo. W Stanach to było normalne. Byłam cudzoziemką. Nie miałam zielonej karty, więc nie mogłam pracować. Może tak to właśnie wygląda, kiedy człowiek ma za dużo możliwości do wyboru.

– I jakoś wcale cię to nie uszczęśliwia.

– Mam poczucie, że chyba byłam szczęśliwsza, kiedy nie miałam wyboru. Może mogłabym mieć jeszcze jedno dziecko. Może to rozwiązałoby problem. – Spogląda z zazdrością na Gusa.

– Rzeczywiście mam wrażenie, że zajmowanie się Gusem sprawia mi rozkosz. Takie całkowite zaangażowanie się w macierzyństwo. Przy Sophie tego nienawidziłam. Ciężka robota, bo nie chciała ssać piersi ani spać. Nie mogłam się doczekać, kiedy wrócę do pracy. Jakby wszystko, co w sobie lubiłam, nagle zniknęło, jakby zamieniło się w jedną wielką rozmemłaną papkę. – Wybucha śmiechem. – I wiesz co, sama teraz wyglądam jak jedna wielka rozmemłana papka, ale z jakiegoś powodu mi to nie przeszkadza. Steve uważa, że mam lekkiego bzika.

– Ale to chyba pozytywny bzik, co? O Boże, chyba jestem zazdrosna. Uwielbiałam, kiedy moje dzieci były niemowlakami. Szczególnie karmienie piersią.

– Naprawdę?

– Tak. – Na twarzy Beth przez chwilę maluje się smutek. – Naprawdę lubiłam ten instynkt związany z macierzyństwem. Pewnie miałabym więcej dzieci, ale Dan nie był na to gotowy. A teraz oczywiście jestem już za stara.

– Nie odczuwam tego instynktu, ale na pewno tym razem sprawia mi to większą przyjemność. Chociaż czuję już swój wiek. Trudniej znoszę nieprzespane noce. Ale

pewnie znasz to banalne stwierdzenie, że za nic na świecie nie zamieniłabym swojego życia. Niezależnie od tego, jakie problemy sprawiają, dzieci są tego warte.

W tej kwestii, podobnie jak w wielu innych, zgadzają się ze sobą. Poranne mdłości, zniszczona figura, ciężki poród, ciekące piersi, nieprzespane noce, dylematy zawodowe – zawsze, niezależnie od kosztów, dla dzieci warto się poświęcić. Kiedy Beth wspomina, że prowadzi blog, Andi musi walczyć z jakimś irracjonalnym uprzedzeniem, chociaż przecież nigdy nie czytała bloga Beth, nigdy o niej nie słyszała. Początkowo pisanie blogów przez mamy wydawało jej się fantastyczne – w końcu istniało jakieś forum, na którym zwykle kobiety mogły wyrazić swoje wewnętrzne sprzeczności, dać upust mieszaninie nudy, uniesienia i lęku, jakim było macierzyństwo. Jednak ostatnio to się zmieniło. Blogi rozmnożyły się jak szalone, niektóre poszły w „profesjonalizm” i Andi ma wrażenie, że teraz cała ta idea przekształciła się w kolejną arenę rywalizacji. To pozowanie, wszystkie spory na temat tego, co oznacza dobre rodzicielstwo – te dyskusje przestały Andi odpowiadać. Według niej to wszystko brzmi bardzo staromodnie, bardzo retro, niczym dawne poradniki, jak być dobrą żoną, które raz na jakiś czas są przedrukowywane jako humorystyczne osobliwości.

– Wow! – Andi próbuje udawać, że zrobiło to na niej wrażenie. – Masz dużo czytelników?

Beth wzrusza ramionami.

– Nie bardzo. Jestem płotką – mam może kilkuset czytelników tygodniowo. Stałych. Jeśli udostępnię mój post na jednej z dużych stron internetowych, co zdarza się od czasu do czasu, mam większą liczbę odsłon – może nawet tysiące – ale trwa to zaledwie jeden dzień. Niewiele spośród tych czytelników zagląda potem na blog. Liczba odwiedzających jest niewystarczająca, żeby przyciągnąć reklamodawców, a to jedyny sposób, żeby na tym zarabiać. Tak naprawdę to tylko moje hobby, taki mój sposób, żeby nie wyjść z wprawy, chociaż na niewielką skalę. Zawsze miałam nadzieję, że kiedy dzieci podrosną, wrócę do dziennikarstwa. Jednak Internet uczynił to marzenie niemożliwym. Nie ma pracy. Co za ironia losu, prawda? W pewnym sensie sama ochoczo czynię siebie niepotrzebną.

– Chyba wszyscy tak naprawdę jedziemy na tym samym wózku. Wciąż pracuję, ale w pewnym sensie sama siebie ograniczyłam. Mogłam dostać posadę w dużej korporacji, pewnie robiłabym coś interesującego, pięłabym się po szczeblach kariery. Pracując zdalnie z domu, jestem w stanie zrobić tylko bardzo podstawowe rzeczy – to dość nudne. A tutaj jest tyle kobiet tuż po trzydziestce, bez dzieci, za to z wielkimi

ambicjami, nastawionych na rywalizację. Wrr. Nie sędzę, żebym potrafiła jeszcze biec w tym maratonie – wzdryga się tylko odrobinę przesadnie. – Chociaż jestem pewna, że w ich wieku zachowywałam się identycznie. Czuję się zażenowana, kiedy sobie przypomnę wszystkie te mamuśki w średnim wieku, z których wtedy szydziłam.

Beth wybucha śmiechem.

– O Boże, miałam to samo. A teraz spójrz tylko na mnie...

Tego wieczoru Andi zabiera iPada do łóżka i czyta posty Zakręconej Lizzy, szperając po archiwalnych wpisach, przewijając całe miesiące, a potem lata – po czym nagle robi się po pierwszej w nocy i Gus budzi się na karmienie, a ona czuje lekkie poczucie winy, jakby była jakimś internetowym intruzem. Jednak pomimo swoich początkowych wątpliwości całkiem podoba jej się to sieciowe alter ego Beth. Lizzy nie jest pouczająca ani autorytarna, nieszczerza, pełna bałwochwalczego zadowolenia. Nie uprawia fałszywej samokrytyki ani nie jest upierdliwie przemądrzała. Wizerunek w sieci w naturalny sposób łączy się z tą prawdziwą kobietą z krwi i kości, którą Andi poznała – błyskotliwie inteligentną, wnikliwą, z cierpkim poczuciem humoru. Życie wirtualne tej kobiety wydaje się równie chaotyczne i niepewne jak życie Andi. I, co jest bardzo pociągające, równie rzeczywiste.



## SOPHIE

Zaczyna się dość niewinnie. Późnym popołudniem dziewczynki zamykają się w sypialni Sophie, znudzone i wyczerpane po wykorzystaniu wszystkich możliwości zabawy, rzeczywistych i wirtualnych. Nie pozostaje im nic innego do roboty, jak zająć się strojeniem głupich min i robieniem sobie selfie. Przechodzą od ujęć twarzy do zbliżeń oczu, od oczu do nosów, od nosów do ust. Sesja fotograficzna kończy się mnóstwem ujęć zrobionych pod dziwnymi kątami i z różnych odległości – rąk, dłoni, palców dłoni, palców stóp, podeszew stóp, rzepek kolan, zgięć łokci. Publikują najdziwniejsze, najmniej rozpoznawalne zdjęcia na profilu Charlotte, na Instagramie, bez żadnych podpisów, po czym śmieją się głupkowato, kiedy szybko i w dużej ilości pojawiają się lajki razem z pełnymi zdumienia, nietypowymi komentarzami obserwujących osób: *Co to za kwiat? Jest taki ładny!* , pisze ktoś o artystycznym ujęciu bruzd na łokciu Charlotte. Jakaś dziewczyna z dziesiątej klasy pyta o zdjęcie złączonych razem kolan Charlotte, które łudząco przypominają wzgórze i dolinę: *Czy to Japonia?*

– Dobrze, a może teraz sfotografujemy nasze tyłeczki? Albo cycy? – Oczywiście to Charlotte wpada na ten pomysł.

– Nie ma mowy. – Sophie gwałtownie potrząsa głową, ale nie może powstrzymać się od chichotu, który wywołuje w niej ta myśl.

– Mogłybyśmy zrobić tak, żeby wyglądały całkowicie tajemniczo. Nikt nigdy się nie dowie. Daj spokój, będzie fajnie.

– Nie ma mowy – powtarza Sophie. – Gdyby ktoś się dowiedział, byłybyśmy...

– Ale właśnie w tym rzecz. Nikt nigdy się *nie dowie*. Nikt nie ma zielonego pojęcia, co przedstawiają te zdjęcia. No dalej, Sophie! – Charlotte jest niecierpliwa, podekscytowana. Nie sposób jej się oprzeć. – Jeśli chcesz, mogę być pierwsza. Zrobisz zdjęcie moich cyców. Podniosę je, o tak. – Charlotte bez wahania zrzuca szkolny mundurek, po czym ściąga mały koronkowy stanik i podnosi do góry obie piersi. Sophie zazdrośnie wpatruje się w opalone szczupłe ciało swojej przyjaciółki, po czym szybko odwraca wzrok, zawstydzona, ale Charlotte jest zupełnie nieskrępowana. Wciska Sophie do rąk swojego iPada.

– Proszę. Zrób kilka zdjęć pod różnymi kątami. Zamieścimy te najfajniejsze. – Sophie, która pragnie, żeby zabawa trwała dalej, i chce uszczęśliwić Charlotte, pokonuje zażenowanie, robi tuzin zdjęć, z bliska i z daleka, a na żadnym z nich nie da się w najmniejszym stopniu rozpoznać, jaką część ciała przedstawiają. Dziewczyny piszczą, oglądając zdjęcia, wybierają jedno, które po sprytniej obróbce wygląda niczym filizanka i spodeczek pokryte delikatnymi spękaniem przypominającymi patynę, i udostępniają je. Charlotte wkłada ubrania, po czym kieruje ekran iPada w stronę Sophie.

– Dobra, teraz robimy twój tyłek.

– Mój tyłek? Nigdy w życiu. Jest za duży. – Sophie czuje, jak robi jej się niedobrze. – Nikt nie chciałby go oglądać.

Charlotte mruży oczy.

– Daj spokój, Sophie. Właśnie zrobiłaś zdjęcia moich cycków. Teraz twoja kolej. – Ma lodowaty głos.

Sophie nie chce, ale nie ma innego wyjścia. Nie może zdenerwować Charlotte, nie teraz, nie kiedy już tak dobrze się ze sobą dogadują. Odwraca się tyłem do przyjaciółki, odpina guziki mundurka, bez pośpiechu zsuwa spódnicę. Spogląda w dół na swoje ciało, rozpacza z powodu bezkształtnych piersi w wyblakłym, porozciągany staniku i ciastowatych fałd tłuszczu opadających od klatki piersiowej aż po przysadziste uda. Nie jest w stanie powstrzymać się od tego, żeby nie objąć się ramionami, by zapewnić swojemu obnażonemu ciału jakąkolwiek ochronę.

– Co mam zrobić? – Głos Sophie jest lekko chropawy i wysoki. Charlotte leży na łóżku, trzymając w skupieniu przed sobą iPada.

– Ściągnij trochę majteczki i pokaż mi kawałek ciała, dziewczyno. – Podnosi wzrok znad iPada i na jej twarzy pojawia się przelotny złośliwy uśmiech.

– Serio? Nie możesz zrobić zdjęcia jakiejś innej części ciała?

– Nie ma mowy. Jeśli nie pokażesz mi kawałka tyłka, wrzucę filmik z tobą tak, jak stoisz.

– Ale jak?

– W bieliźnie.

– Co? W tym? Filmujesz mnie? Nie zgadzam się, Charlotte! – Sophie wpada w panikę, sięga po iPada, ale Charlotte zrywa się z łóżka ze śmiechem, nadal trzymając pewnie urządzenie przed sobą.

– Daj spokój, Sophie. Bądźmy uczciwe.

To nie jest uczciwe, ale Sophie zdejmuje swoją żenującą bieliznę (za małą, przetartą, z pękniętą gumką) i odsłania kawałek porcelanowej skóry oszpeconej całą konstelacją drobnych czerwonych wyprysków. Charlotte podchodzi blisko, robi serię ujęć.

Kiedy edytują zdjęcie i publikują je, Sophie zdążyła już odzyskać swój mundurek i dobry humor i zaśmiewa się z komentarzy z taką samą szczerością jak Charlotte.

*Hej, to cudowne @CharlotteMah. Mam kołdrę uszytą dokładnie z tego samego materiału. Uwielbiam te czerwone groszki!!!*

A kiedy Lucy puka do drzwi, żeby powiedzieć, że przyjechały z mamą po Charlotte, Sophie nie ma nic przeciwko, żeby Charlotte pokazała starszej siostrze oryginalne ujęcia i zdjęcia po obróbce. Mimo wszystko dobrze się bawiły. Charlotte jest jej przyjaciółką. Podobnie jak Lucy.

ZakreconaLizzy.com

## Zmamifikowana

Najpierw sprawdzam, jak na ten pomysł zareagują dziewczynki. Ta koncepcja chodzi mi po głowie od dłuższego czasu, dużo wcześniej niż powrót do krainy Oz.

Przekazuję im to delikatnie – bardzo delikatnie – kiedy wracamy do domu z treningu hokejowego.

– Tak sobie pomyślałam, że teraz, kiedy obie jesteście już takie duże, powinnam pomyśleć o znalezieniu jakiejś pracy. – Mój głos ma przyjemnie neutralny ton, skupiam wzrok na drodze.

– Ale przecież zawsze mówiłaś, że bycie mamą to praca na cały etat.

– A kto nas będzie odwoził na hokeja?

Później, podczas kolacji, przedstawiam ten pomysł D., podobnie, niby od niechcienia.

– Pracę? Ale przecież ty już masz pracę.

– Mam na myśli *prawdziwą* pracę.

– Ale przecież zawsze powtarzasz, że macierzyństwo to prawdziwa praca.

– Bo tak jest, ale...

– Musisz najpierw dokończyć te wszystkie remonty...

Znowu sonduję dziewczynki, kiedy idziemy na plażę w piątek po południu.

– Pamiętacie, jak któregoś dnia wspomniałam o szukaniu pracy? – Tym razem nawiązuję z nimi kontakt wzrokowy. – Myślę, że to wszystkim wyjdzie na dobre – tata będzie miał okazję, żeby trochę pomóc, żeby robić więcej rzeczy wspólnie z wami, dziewczynki.

– Czy tata będzie musiał gotować kolację?

– Chyba tak. Czasami.

– W takim razie nie ma mowy. Potrafi jedynie odgrzewać zamrożone ciasto. W mikrofalówce. Przytyjemy.

– Albo zagłodzimy się na śmierć.

– Przestańcie, proszę.

Uwieszają mi się na rękach, najwyraźniej przestraszone.

Rozmawiam ponownie z D. Jest dziesiąta wieczór i stoję przed lustrem, przymierzając ubrania, które mogłabym włożyć do pracy. D. siedzi na łóżku z filiżanką czarnej herbaty i robi coś ważnego w swoim laptopie. Zakładam jedną z moich ulubionych kreacji, obcisłą kremową sukienkę – podróbkę Hervé Légera, którą kupiłam na jakieś wesele kilka lat temu. Może i nie jest oryginałem, ale i tak była droga. I dobrze wygląda. Wkładam do niej śliwkową jedwabną marynarkę, żeby nadać całości biurowy sznyt.

Maluję usta szminką. Szpilki. Upinam włosy w modny, nieco rozwichrzony kok.

Przybieram pozę – dłoń na biodrze, głowa przechylona na bok – i staram się, jak mogę, żeby nie stracić równowagi w moich prawie nienoszonych butach od Jimmy’ego Choo.

– Jak ci się podoba? – D. podnosi wzrok, a ja robię minę biurowej uwodzicielki.

Mruga oczami, wygląda na zażenowanego.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz? Czas spać.

– Wiesz, że brakuje mi ubierania się do pracy. – Mam smutny głos, unoszę znacząco brwi. – Prawda?

– Być może umknął twojej uwadze fakt, że codziennie rano ubieram się do pracy. I nie mogę powiedzieć, żeby to dla mnie coś znaczyło.

– Nie o to mi chodziło. Sądziłam, że ty...

– Trochę za późno na te seksualne gierki, kochanie. Rano mam spotkanie. W każdym razie – dodaje – nienawidzę tej sukienki.

– Co masz na myśli?

– Chodzi o ten materiał. Wyglądasz, jakbyś była owinięta bandażami. – Prycha.

– Ach, o to chodzi.

– Tak, przypominasz mi jakąś mumię. – Ziewa, zamyka laptop.

Podejmuję ostatnią próbę. Jestem z dziewczynkami w miejscowym centrum handlowym. Spędziłyśmy tutaj już dwie godziny, a one twierdzą, że ta wyprawa na zakupy jest kiepska. Co oznacza: nie kupiłam niczego poza tym, czego potrzebują,

i niczego, czego tak naprawdę by *chciały*.

– Och, mammo – mówi C. – Ta spódniczka. – Przyciska mocno do piersi całkowicie nieodpowiednią i obrzydliwie drogą zamszową minispódniczkę. – Jest śliczna. Wpatruje się we mnie błagalnym wzrokiem. – Proszę. Zrobię wszystko.

– Przykro mi, skarbie. Pieniądze nie rosną na drzewach. – C. przewraca oczami, wzdycha. Wymieniają ze swoją starszą siostrą rozgoryczone spojrzenia. – Ale gdybym miała pracę, byłoby inaczej. – Nagle zdobywam ich niepodzielną uwagę. – Pieniądze nie zaczęłyby rosnąć *na drzewie*, ale z pewnością by się rozmnożyły.

– Gdybyś znalazła pracę, mogłabym dostać nowego iPhone'a?

– A ja mogłabym pojechać na wycieczkę do Chin w dziewiątej klasie?

– O mój Boże, mammo – mówi C. – Jaki ty nam dajesz przykład? Kto chce być mamą, która zajmuje się wyłącznie domem? *Absolutnie* powinnaś sobie znaleźć pracę.

51 ♥

## KOMENTARZE:

**@MamaZKrainyOzWTokio** pisze:

Och, jakie to ekscytujące, Lizzy! Znalazłaś już coś?? XOX

**@ZakreconaLizzy** odpowiedziała:

Jeszcze nie – nie ma zbyt wielu ofert dla czterdziestoparolatek, które nie pracowały od piętnastu lat. Chyba zbyt długo zwlekałam.

**@MamaZKrainyOzWTokio** odpowiedziała:

Wcale nie! Będziesz rozchwytywana. XXX

**@HausFrau** pisze:

Kogo chcesz oszukać? Możesz sobie mówić, co chcesz, ale wiek JEST poważną przeszkodą w znalezieniu pracy. Kto chce kobietę w średnim wieku z zobowiązaniami rodzinnymi, skoro może mieć jakąś dwudziestkę z ładną buzią, która będzie chętna, żeby pracować przez dziewięćdziesiąt godzin w tygodniu, spać z szefem i piąć się w tym wyścigu szczurów. Życzę powodzenia!

**@NiebieskaSue** odpowiedziała:

Nienawidzę, kiedy zgadzam się z takim wrednym komentarem, ale @HausFrau ma trochę racji. Kiedy po wielu latach wróciłam na rynek pracy jako SAHM[4],

musiałam zadowolić się posadą pielęgniarstwa, która była dużo poniżej mojego wcześniejszego doświadczenia zawodowego (i poza widełkami dochodu), wyglądało to na ponury żart. Moje poczucie wartości zaliczyło taki spadek, że nie sądzę, aby ta praca była tego warta. Uwierz mi, życie to nie przelewki, Lizzy.

**@DziewczynaZIpanemy** odpowiedziała:

Nie jestem taka pewna, czy nienawidzisz się zgadzać, @NiebieskaSue, ale co kto lubi. Lizzy, to kompletne bzdury, btw[5]. Dajesz, dziewczyno!!!!

**@ZakotwiczonaNaAlasce** pisze:

Zmamifikowana!!! LOL. Uwielbiam!

**@ZonaNomadka** pisze:

Cześć, Lizzy! Wspaniale słyszeć, że bezpiecznie dotarliście do domu, zdrowi i przy dość dobrych zmysłach :). Na blogu *Zona nomadka* planuję przeprowadzić ankietę, w której będę prosiła tych, którzy tak jak ty wrócili do ojczyzny po emigracji, żeby wymienili dziesięć rzeczy związanych z krajem, w którym mieszkali, za którymi najbardziej tęsknią. Będę wdzięczna, jeśli zechcesz się przyłączyć do ankiety. Napisz na adres: linda@ZonaNomadka.com, żeby poznać szczegóły.

## BETH

Gdy Beth mieszkała w New Jersey, czuła, że ma wszystko pod kontrolą. Dom, gotowanie, rachunki, wszystkie te skomplikowane szczegóły emocjonalne i fizyczne dotyczące życia dziewczynek – wymagało to sporego wysiłku, ale doskonale nad tym panowała, miała to świetnie poukładane, idealnie dostosowane. Tutaj ma poczucie, że wszystko nieco wymyka jej się spod kontroli. Mieszkają w tym domu od ponad czterech miesięcy i jakimś dziwnym zrzędzeniem losu nadal żyją na walizkach, w domu panuje bałagan i wypadli z rytmu, jeśli chodzi o faktury. Po raz pierwszy, odkąd jest mężatką, spóźniła się z zapłatą rachunków – dwukrotnie odłączono im telefony komórkowe i dostała upomnienia z gazowni.

Co gorsza, po raz pierwszy od urodzenia dziewczynek Beth czuje się wykluczona z życia swoich córek. Nadal odbywają się urodziny, spotkania, zebrania z rodzicami, stara się nawet uczestniczyć w poniedziałkowych szkolnych spotkaniach, jeśli tylko może, ale coś się zmieniło, odkąd dziewczynki poszły do szkoły, coś o zasadniczym znaczeniu. Chociaż dziewczynki uczą się w tej szkole już kilka miesięcy, nie ma pojęcia, jak wyglądają ich relacje w klasie, jak spędzają przerwy obiadowe, czego doświadczają na co dzień. Rozmawiała z nielicznymi rodzicami koleżanek z klasy swoich dziewczynek – odbiera córki niemalże spod samych drzwi szkoły, a pozostałe uczennice najwyraźniej wracają pieszo do domu albo jadą autobusem – wobec tego do czasu tego ostatniego szczęśliwego zbiegu okoliczności, kiedy poznała Andi, nie odbyła żadnych znaczących rozmów z innymi matkami, które Beth zawsze traktowała jako źródło informacji i plotek. Zdaje sobie sprawę, że zapewne to normalna kolej rzeczy – nieunikniona część dorastania córek, ich odchodzenia, stawania się kobietami – ale prawda jest taka, że tęskni za swoimi małymi dziewczynkami. Tęskni za czasem, kiedy jej potrzebowały.

Beth czuje się wyobcowana w Newcastle. Nie ma tutaj żadnych przyjaciół i nie bardzo wie, jak ich znaleźć. Oczywiście pojawiła się Andi i wiąże z nią wielkie nadzieje, ale ta znajomość wciąż jest na początkowym etapie – swobodnym, niewymuszonym. Zwierzenia powierzchowne, a nie głębokie. Blog staje się dla niej w coraz większym stopniu głównym źródłem kontaktów towarzyskich – tam może nadal pokazywać to swoje bystre, nieco zabawne, *zintegrowane* ja, które budowała



przez kilka ostatnich lat. Beth lubi myśleć, że jej wirtualna postać jest równie autentyczna jak jej tożsamość z „prawdziwego życia”. A przynajmniej prawie tak autentyczna – być może Lizzy jest nieco bardziej wyluzowana niż Beth, najwyraźniej potrafi odsuwać na bok i traktować z humorem wszystkie te błahe i mniej błahe kłopoty, jakie przynosi jej życie, w sposób, którego Beth nigdy nie opanowała.

Na szczęście u dziewczynek wszystko w porządku. A przynajmniej tak się wydaje – chociaż, kiedy zbyt intensywnie się nad tym zastanawia, oblewa ją zimny pot. Może i nie stały się koszmarnymi nastolatkami, których miałyby się obawiać – żadna z nich nie była buntowniczką, przynajmniej do tej pory; żadna najwyraźniej nie cierpi na depresję ani nie miewa stanów lękowych. Beth nie dostrzega symptomów zaburzeń odżywiania, samookaleczenia, nienawiści do samej siebie; dziewczynki nie stały się nagle nadpobudliwe seksualnie ani nie dostały bzika na punkcie chłopaków. Żadna nie oznajmiła, że jest lesbijką, biseksualistką ani osobą transpłciową. Jednak mimo wszystko obie zdają się coraz bardziej od niej oddalać – trzymają w sekrecie swoje myśli i coraz częściej strzegą również swojego ciała – spędzają więcej czasu w swoich pokojach w towarzystwie multimediiów niż ze sobą nawzajem albo z rodzicami. Wciąż tak naprawdę nie ma jasności na temat ich przyjaciółek – jakie są, kim są ich rodzice. Musi polegać, co – jak przypuszcza – robi wielu spośród zajętych, dobrze sytuowanych rodziców – na szkole, która sama w sobie stanowi skuteczne sito. Mimo wszystko to szkoła dla dzieci z rodzin takich jak ich – zamożnych, szanowanych, ambitnie podchodzących do swoich latorośli – inaczej dziewczynki by tam nie chodziły.

Wobec tego Beth zaczęła robić dokładnie to, co sugerowała jej matka, czyli myśleć o sobie. Zaczęła się zastanawiać, czy aby nie nadszedł czas na to, by poważnie zabrać się za szukanie pracy. Niezależnie od tego, co powiedziała matce albo samej sobie, decyzja o tym, żeby *nie* pracować, nie była dla Beth czymś naturalnym. Czasami ma wrażenie, jakby ktoś zrobił jej kiepski żart, podobnie jak wielu innym kobietom, które zna. Tyle lat walczyła o to, żeby osiągnąć sukces zawodowy, zysk materialny – wszystkie te lata spędzone na uniwersytecie, dwa lata pracy nad magisterium, gotowość do tego, żeby zacząć od zera jako recepcjonistka w czasopiśmie dla kobiet, żeby przejść przez wszystkie działy (marketing, sprzedaż, PR), zanim w końcu wylądowała w miejscu, w którym chciała być. Cały ten styl ubierania się, żeby odnieść sukces, chodzenie na odpowiednie przyjęcia, zawieranie odpowiednich znajomości, pogaduszki z przełożonymi – właściwie lizanie tyłków. Przez kilka lat robiła to, co chciała, i była w tym dobra, po czym *bum!* – poznała Dana na ślubie wspólnych

przyjaciół (oboje byli na przyjęciu weselnym, co za banał!), zakochali się w sobie i wzięli ślub, po czym błyskawicznie zaszła w ciążę i zgodziła się na roczny pobyt w Kanadzie. Ze względu na *jego* pracę. „Będę miała co robić z dzieckiem, Dan”, zapewniała go. „To dla mnie bez znaczenia, że nie będę pracowała, w każdym razie na pewno będę miała się czym zająć, jeśli będę tego chciała. Mogę pracować zdalnie. Mogę być wolnym strzelcem”. Nie żałuje tego, naprawdę – to, co powiedziała swojej matce, było prawdą: uwielbia swoje życie, uwielbia fakt, że mogła być w domu z dziewczynkami. Wie, że córki na tym skorzystały – obie są szczęśliwe, bystre, zrównoważone. Normalne.

Czuła się z tym wszystkim dobrze, kiedy mieszkali w Stanach, gdzie i tak nie mogła pracować, ale teraz znowu jest w Australii i jest inaczej. Czuje się jakaś umniejszona, zmizerniała, oceniana. Wie, że podjęła słuszną, jedyną możliwą decyzję, ale zaczęła się zastanawiać, czy jeszcze kiedykolwiek będzie tamtą osobą sprzed lat, czy będzie miała do czego wracać w życiu zawodowym. Strumień postępu technologicznego wartko płynie i pozostawia ją w tyle, a jej niegdyś przytulna mała przystań teraz zrobiła się prawie nie do poznania. A jeśli chodzi o tę propozycję pracy z Drew Carmichaelem, o której wspomniała jej matka – nie można jej zignorować. To dla niej szansa, i jeżeli szybki rekonesans miejscowego rynku pracy, jaki zrobiła, może być wskazówką, to teraz jej jedyna szansa.

Jednak nie spodziewała się, że reakcja Dana będzie tak negatywna. Kiedy któregoś dnia rano, przy śniadaniu, wspomina o sugestii swojej matki, żeby nawiązała kontakt z Drew, który może mieć dla niej propozycję pracy, Dan wyraźnie zaznacza swój sprzeciw.

– Chyba nie myślisz poważnie o tym, żeby zacząć pracę? – pyta. – To bez sensu, przecież nie możesz podejmować żadnych zobowiązań, jeszcze nie teraz. – Ma porytowany głos. – Naprawdę potrzebujemy cię w domu, żebyś ogarnęła dziewczynki. Uporządkowała wszystkie sprawy. – To prawda, ma tyle do zrobienia, ale nagle, nieoczekiwanie, w Beth wzbiera fala gniewu, że tak łatwo została odprawiona z kwitkiem, co – z czego zdaje sobie sprawę – zapewne jest skutkiem tego, że Dan błyskawicznie uświadomił sobie, że jeśli Beth pójdzie do pracy, on będzie musiał sprostać większym wymaganiom.

– A twoja matka? Z pewnością mogłaby pomóc przy dziewczynkach. Mogłyby do niej przyjeżdżać popołudniami kilka razy w tygodniu, prawda? Czyż nie był to jeden z powodów, dla którego przeprowadziliśmy się tutaj? Żeby mieć wsparcie? – Rozmawiali na ten temat przed przeprowadzką, o tym, jak wspaniale będzie

mieszkać tak blisko jego matki, i Dan zapewniał ją, że Margie była w siódmym niebie, że wprost nie mogła się doczekać, kiedy będzie częściej widywać dziewczynki. Miała to być kusząca perspektywa, powód, żeby cieszyć się z mieszkania w Newcastle. Jednak odkąd wrócili, sytuacja diametralnie się zmieniła – Dan niechętnie prosi matkę o jakąkolwiek pomoc.

– Uważasz, że mama powinna uganiać się za dziewczynkami po tym, jak sama skończy swój dzień pracy? Naprawdę uważasz, że to jest w porządku? Ona już wniosła swój wkład w rodzicielstwo. Posłuchaj, wiem, że mama z wielką chęcią zajmie się dziećmi, kiedy naprawdę będziemy tego potrzebowali, i wiem, że cieszy się, że ma dziewczynki, że ma nas wszystkich w swoim życiu, ale naprawdę nie możesz oczekiwać, że będzie chciała ich stale pilnować albo wozić na wszystkie pozaszkolne zajęcia. Sama wiesz, ile mają zajęć, i sama ledwo dajesz sobie z tym radę. Nie możesz prosić mamy, żeby się tym zajmowała. – *Nie możesz prosić mamy, żeby się tym zajmowała.* Brzmi jak dobrze znany refren.

– Dan, nie miałam zamiaru prosić jej o to, żeby zajęła się wszystkim, ani niczym szczególnie wielkim. Po prostu pomyślałam, że może warto by było zadzwonić do Drew, żeby sprawdzić, jakie możliwości są dostępne. Naprawdę chciałabym wrócić na rynek pracy, gdy jesteśmy z powrotem w kraju. Zająć się czymś innym niż dziewczynki i dom. Czymś pożytecznym.

– Posłuchaj, nie chciałabym zabrzmieć niczym dyktator, ale byłoby lepiej, gdybyś jeszcze na jakiś czas porzuciła ten pomysł. Gdybyś zaczekała, aż wszystko się ustabilizuje. – Dan siorbie kawę w sposób, który naprawdę ją irytuje, za szybko, hałaśliwie, po czym ociera usta dłonią. – A Drew Carmichael? W porządku, wiem, że to długoletni przyjaciel rodziny, ale uważam, że prosić mamę, żeby marnowała swój czas dla tego ciula, to byłoby już za wiele. Szczerze mówiąc, nawet nie przyszłoby mi do głowy, żeby prosić ją o pomoc, gdybyś dostała u niego pracę. To tak, jakbym prosił, żeby zajęła się dziećmi w czasie, kiedy ty pracowałabyś dla Szatana. – Śmieje się, ale nerwowo, jakby wyczuwał złość Beth.

Wkurza ją to, że opinia jego matki na temat Drew tak wiele dla niego znaczy. Zbyt wiele zdarzyło się tych przypadków, odkąd wrócili do ojczyzny, kiedy jego lojalność wobec matki, jego strach przed tym, żeby jej nie urazić, był na granicy zdrady Beth, zdrady *ich obojga*. Zauważa, że jak zawsze udowadnia swoją rację, dogadując dziewczynkom (a szczególnie Charlotte) na temat ich rzekomego uzależnienia od multimediiów ( *A może by tak poczytać książkę, wyjść na podwórko i się pobawić?* ), kiedy w pobliżu pojawia się Margie. Jaki jest zachwycony talentami kulinarnymi swojej

matki ( *Najlepsze ziemniaczki purée na świecie, mniam!*), jej wybitnymi zdolnościami prowadzenia domu, jej wiedzą na temat polityki, historii, literatury, religii. Jak pyta ją o zdanie (i polega na nim) praktycznie na każdy temat. Kompletnie nie dostrzega subtelnej taktyki umniejszania, którą stosuje jego matka, jej najwyraźniej zabawnego zwyczaju sprawiania, że pochodzenie Beth i brak robotniczych korzeni stają się podejrzane i w pewnym sensie gorsze, niewiarygodne ( *Kolacja? Ach, masz na myśli herbatę, skarbie*). Mogłaby teraz to wszystko wyciągnąć, właściwie prawie dotarła do tego punktu, ale postanawia to zostawić. To wszystko jest takie małostkowe, naprawdę.

Bierze głęboki oddech i zmienia taktykę.

– Dobrze. Chyba masz rację. Zaczekam. Poza tym jestem pewna, że Drew jest teraz zbyt zajęty, żeby nadrabiać zaległości towarzyskie. – Posyła mu radosny uśmiech.

Wygląda, jakby mu ulżyło.

– Nie chcę niweczyć twoich nadziei, Bethie, ale po prostu nie jestem w stanie wyobrazić sobie, jak miałabyś sobie z tym poradzić – nie teraz. Mówiłaś, że Charlotte chce spróbować swoich sił w drużynie hokejowej. Pochłonie to mnóstwo twojego czasu, prawda? Wstawanie wcześniej rano, a potem te dojazdy. Szykuje się logistyczny koszmar.

Stosunek Dana do jej pracy wydaje się paradoksalny – nie chce, żeby jego żona pracowała dla konserwatywnego polityka, ponieważ mogłoby to urazić jego misternie wypracowaną wrażliwość klasową, a jednak nie widzi niczego niewłaściwego w tym, żeby Beth spędzała całe dni na wożeniu tam i z powrotem ich przerażająco uprzywilejowanych córek, upewniwszy się, że mają zapewnione wszystkie dostępne udogodnienia – sportowe, naukowe, twórcze. To wprost niedorzeczne. A już na pewno oburzające jest to, że jej chęć pracy, wniesienia czegoś do świata wykraczającego poza najbliższe otoczenie domowe, jest postrzegana jako swego rodzaju słabość.

Wobec tego Beth ukradkiem wykonuje telefon i nie mówi Danowi, że umówiła się z Drew na lunch. Nieczęsto zdarza jej się cokolwiek przed nim ukrywać. Właściwie nie może sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni powiedziała mu nieprawdę. Jednak nie chce być zmuszona, żeby się tłumaczyć lub kłamać na temat swoich zamiarów. Na razie lepiej trzymać Dana w nieświadomości. Jeśli coś z tego wyniknie, przedstawi to jako *fait accompli* i wtedy będzie sobie jakoś radzić z konsekwencjami.

Potajemny charakter spotkania z Drew przyjemnie podkreśla atmosferę. Ubiera się

ładnie, w stylu biznesowym, ale z odrobiną pikanterii – wkłada krótką spódniczkę, pończochy, szpilki, koszulę, która dyskretnie odsłania jej dekolt. Prostuje loki, robi makijaż, który jest inteligentnie *au naturel*. Skrapia perfumami czułe punkty.

Chociaż raz podoba jej się to, co widzi w lustrze – wygląda olśniewająco. I profesjonalnie. Beth dawno nie widziała tej kobiety, dawno nią *nie była* – tak dawno, że niemalże zapomniała, że ona w ogóle istnieje.

Przychodzi wcześniej do małej i zaskakująco modnej kafejki położonej na przedmieściach nad brzegiem jeziora. Miejsce okazuje się kultowe. Natychmiast rozpoznaje Drew, chociaż nie jest taka pewna, czy by go poznała, gdyby wcześniej nie znalazła w Internecie jego zdjęcia. Kiedy był młody, nosił długie kręcone włosy i ubierał się jak wszyscy, w stylu studenckim – dzinsy, podkoszulki i tenisówki. Nigdy nie był awangardowy, ekscentryczny ani w żaden sposób nie pozował na artystę, ale teraz, gdy jest w średnim wieku, w tych eleganckich spodniach, mokasynach wsuniętych na gołe stopy i ewidentnie drogiej koszuli swobodnie rozpiętej pod szyją, wygląda jak typowy przedstawiciel wpływowego establishmentu – człowiek sukcesu z klasy średniej. Zrobiły mu się niewielkie zakola, ale nadal ma bujne włosy, niegdyś loki w odcieniu ciemny blond zyskały ten intensywny srebrzysty odcień, który wydaje się zarezerwowany wyłącznie dla hollywoodzkich aktorów i polityków. Ani śladu obwisłych policzków. Właściwie ma chyba jeszcze bardziej kwadratową szczękę niż kiedyś. Wciąż dostrzega w jego oczach ten rozpalony błękit, który pozostał jej w pamięci, ale teraz okala go siateczka niezwykle atrakcyjnych zmarszczek. Emanuje pewnością siebie, urokiem. Pieniędzmi.

Drew najwyraźniej jest w tej kafejce stałym bywalcem – kilka kelnerek rywalizuje ze sobą o jego uwagę, flirtuje, proponuje mu jego ulubiony stolik, na co on odmawia, dostrzegając siedzącą w kącie Beth, która na niego czeka. Beth wstaje, kiedy on się zbliża, a on idzie w jej kierunku zamaszystym krokiem, na jego twarzy pojawia się szeroki (i odsłaniający imponująco białe zęby) uśmiech, który wydaje się zaskakująco znajomy. Odpowiada mu w równie znany sposób – doświadczała tego samego nieco przyspieszonego bicia serca, kiedy był nieosiągalnym bratem jej najlepszej przyjaciółki, a potem w trakcie ich krótkotrwałego romansu.

– Elizabeth. Jak się masz? – Spodziewa się uprzejmego, nonszalanckiego buziaka, ale on ją obejmuje i przytula. Odsuwa Beth od siebie, trzymając pewnie swoje dłonie na jej ramionach, patrzy jej w oczy i uśmiecha się promiennie.

– Wciąż jesteś tą samą cudowną Beth, którą pamiętam. Właściwie niewiele się zmieniłaś od czasu, kiedy miałaś sześć lat i biegałaś dookoła, bawiąc się w aloha

z moją młodszą siostrą.

Uśmiecha się do tego wspomnienia, nieco zażenowana, co z pewnością było jego zamiarem: w aloha bawiła się, nie mając na sobie nic poza spódniczką z rafii i namalowanym stanikiem. Był to rodzaj zabawy, o której teraz nie pomyślałaby żadna szanująca się sześciolatka, i wyobraża sobie, że rodzice, którzy by się na coś takiego zgodzili, wpadliby w poważne tarapaty.

Odsuwa się, delikatnie uwalniając się z jego uścisku.

– Myślę, że jednak troszeczkę się zmieniłam, Drew. To było czterdzieści lat temu.

Uśmiecha się szeroko.

– Domyślam się, że zaszły drobne zmiany na lepsze. Jesteś o wiele wyższa.

Wybuchła śmiechem.

– *Nic* się nie zmieniłeś, Drew.

Wtóruje jej śmiechem, wygląda na nieco zmieszanego.

– Cóż mogę na to powiedzieć? Ale poważnie, dobrze wyglądasz. Bardzo dobrze. A to, jak mniemam, pomoże nam obojgu.

– Co masz na myśli?

– Oczywiście wspaniale spotkać się po latach, ale zakładam, że przyszedliśmy tutaj z tego samego powodu. Ja szukam personelu, a ty szukasz pracy.

– I tak, i nie. Nie mam jeszcze całkowitej pewności.

– Wydawało mi się, że Francine mówiła mojej matce, że jesteś zdecydowana.

– Wiesz, jak to jest. Być może tak. – Tym razem to Beth wygląda na zmieszaną. – Ale i tak bym zadzwoniła, tylko po to, żeby się spotkać.

Uśmiecha się szeroko.

– Oczywiście, że byś zadzwoniła. Ale kiedy dowiedziałaś się, że przygotowuję się do wyborów, że być może będę potrzebował rzecznika prasowego...

– Przypuszczam, że to mogłaby być dodatkowa zachęta. – Sama jest nieco zaskoczona gładkością swojej odpowiedzi, ale najwyraźniej trafia w samo sedno. Drew kiwa głową z aprobatą, przysuwając swoje krzesło bliżej niej.

– Posłuchaj. Wiem, że pracowałaś dla gazet i czasopism, i jakoś jestem dziwnie spokojny, że byłabyś w tym dobra. Może na pewien czas wypadłaś z rynku pracy, ale mam przeczucie, że jesteś dokładnie tą osobą, której szukam. Masz dobrą prezencję – a nawet więcej niż dobrą – i jesteś błyskotliwa. Przeczytałem blog, który piszesz. Jak to się nazywa? Zajęta Lizzy?

– Zakręcona Lizzy. – Jest zaskoczona. – Jakim sposobem ty...? To miało być anonimowe.

– Musiałaś opowiedzieć o tym Julie. Zadzwoiłem do niej, żeby się dowiedzieć, jak żyjesz i czym się zajmowałaś przez ostatnie dziesięć lat.

– Chyba rzeczywiście jej mówiłam. – Nie przypomina sobie, żeby wspominała o tym Julie, która mieszka w Singapurze i z którą utrzymuje jedynie sporadyczne kontakty, ale podejrzewa, że to jej matka, pomimo niepewności, czy to przedsięwzięcie zyska poważanie, i wyraźnie lekceważąc wolę Beth, żeby utrzymać to w tajemnicy – rozpuściła wieści na temat bloga.

– Tak. Przeczytałem twój blog i znalazłem tam kilka ciekawych informacji na twój temat. Jesteś szybka, masz dobre umiejętności komunikacyjne, potrafisz być przekonująca. Pokazujesz bardziej swój styl, niż wyrażasz opinie. W tym sensie nieco różnisz się od wielu mam blogerek. Możesz mi wierzyć, jestem ekspertem. Na pewno znasz stronę internetową Angeli. – Uśmiecha się cierpko, ale w jego głosie pobrzmiewa nuta dumy.

– Ach, oczywiście, że tak. Świetnie sobie radzi. Strona jest cudowna, ale ja naprawdę nie aspiruję do tego rodzaju...

– Nie, matki to zupełnie inna liga. Teraz to duży biznes. W każdym razie, sądząc po twoim blogu, masz duży talent do fabrykowania.

– Co rozumiesz przez fabrykowanie?

– Cóż, zakładam, że obraz życia, jaki malujesz na blogu, nie jest rzeczywisty. Nie zrozum mnie źle, to przypomina prawdziwe życie, stanowi wspaniałe okno na życie rodzinne, ale jest w tym coś nierzeczywistego. Niczym w tych wsiach potiomkinowskich czy jak tam one się nazywały – no wiesz, to zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

– Tak? – Nie ma pewności, czy ma to potraktować jako pochwałę, czy jako obelgę.

– Nie wiem. Trudno mi to dokładnie wytłumaczyć. Chodzi o to, że najwyraźniej nie jesteś jedną z tych żon ze Stepford, które mają idealne życie, i nie ma to nic wspólnego z tymi przepisami na gotowanie w wolnowarze ani cholernymi szydełkowymi wzorami, ale mimo wszystko twoje życie jest nieco zbyt uporządkowane, troszeczkę za bardzo wystudiowane. Być może jest zbyt pozytywne. Nawet kiedy bywasz ironiczna. – Znowu uśmiecha się szeroko, najwyraźniej bawi go jej zażenowanie.

– Nie zawsze jest tak optymistycznie. Być może nie czytałeś... Napisałam kilka

bardziej mrocznych postów. Kilka miesięcy temu zamieściłam wpis o przemocy domowej. – Beth czuje, że jest najeżona.

– Nie. Nie o to mi chodzi. Przeczytałem te posty. Może rzecz w tym, że te bardziej ponure teksty są takie ostrożne. Zawsze się ukrywasz. Ukrywasz swoje *prawdziwe* ja. Jakbyś owijała je w bawełnę.

– W bawełnę? – Wciąż nie do końca rozumie, o czym on mówi, i nie jest pewna, czy powinna pochlebiać sobie, że uważnie przeczytał jej blog, czy też być przerażona tą analizą.

– No wiesz, jak cukier, który zmienia się w watę cukrową albo słoma w złoto. W mojej branży uważam to za zaletę, potrzebny dar. Trudno znaleźć ludzi, którzy to rozumieją. Znalezienie ludzi, którzy robią to niemalże instynktownie, jest prawie niemożliwe.

– Chcesz przez to powiedzieć, że wywnioskowałeś z mojego bloga, że jestem dobra w *owijaniu w bawełnę*?

– Tak. A co ważniejsze, dobrze się w tym czujesz. Musisz taka być, jeśli masz zamiar dla mnie pracować.

– Dlaczego?

– Cóż, jestem politykiem. A przynajmniej mam zamiar nim zostać.

– Chcesz powiedzieć, że musiałabym kłamać?

– Może nie tak bezpośrednio. Bardziej chodzi o to, że nie zawsze mogę powiedzieć całą prawdę. Trzeba ją przygotować do użytku publicznego. Daj spokój, przecież przez całe lata pracowałam w dziale public relations. Wiesz, o czym mówię.

– Chyba tak.

– W każdym razie tak się składa, że jest posada do wzięcia i jeśli chcesz, może być twoja. Zapewne to dużo poniżej twoich kwalifikacji – dodaje. – Na początek zajęłabyś się naszymi mediami społecznościowymi. Wiem, że jesteś w tym dobra. Kiedy uda ci się nawiązać trochę użytecznych kontaktów, znajdziemy ci więcej zajęć. Oczywiście, kiedy wybory ruszą pełną parą, tempo pracy znacznie się zwiększy. Myślę o tym, że jeśli wszystko się uda, będziesz mogła objąć stanowisko oficjalnego rzecznika prasowego. Co o tym sądzisz? Zgadzasz się?

Później będzie się zastanawiać, dlaczego to jego przekonanie, że jest dobra w kłamaniu, nie wzbudziło w niej większego niepokoju, ale w tamtej chwili, lekceważąc wszystkie wątpliwości, Beth posyła Drew najbardziej zachęcający uśmiech i mówi bez cienia niepewności, że wchodzi w to.



## ANDI

To nie tak, że lęka się tych występów, ale nie może też powiedzieć, że naprawdę je lubi. Jak zawsze przed koncertem córki Andi nie czuje się najlepiej. Dolegliwości zaczynają się tego samego dnia rano od lekkiego trzepotania w brzuchu, które wieczorem przekształca się w tępą kulę w żołądku – jakby chmura motyli zmieniła się w ołów i usadowiła się w jej wnętrznościach. Nie chodzi o to, że przejmuje emocje córki. Jeśli chodzi o fortepian, Sophie nigdy nie przejawia żadnych oznak zdenerwowania. Traktuje perspektywę grania przed publicznością z pełną spokojną pogodą ducha. Niezależnie od tego, jak liczna i prestiżowa będzie publiczność, pozostaje pewna siebie, niewzruszona, spokojna. Nawet bardzo widoczny niepokój Andi najwyraźniej nie wytrąca jej z równowagi.

Andi jest wyjątkowo zdenerwowana właśnie tym koncertem. Doroczny przegląd artystyczny to jedno z najważniejszych wydarzeń w szkolnym kalendarzu, które odbywa się w sali koncertowej konserwatorium. Uczestniczą w nim wszystkie miejscowe szkoły, publiczne i prywatne. Zjawiają się na nim burmistrz i lokalne grube ryby. Tradycją stało się to, że relacja z imprezy – wraz ze zdjęciami – pojawia się w rubrykach towarzyskich na łamach czasopisma „Adwokat”. Chociaż stypendium Sophie nie zależy od tego rodzaju wydarzeń, da się wyczuć delikatną presję, żeby wypadła dobrze, aby pokazać, że inwestycja okazała się trafiona. To także okazja, żeby zaprezentować wyższość jej szkoły nad wszystkim, co ma do zaoferowania publiczny system edukacji. Kiedyś Andi pogardzałaby takimi bezczelnymi przejawami uprzywilejowania społecznego, ale talent Sophie zmusił ją do zmiany (wprawdzie raczej nieznaczej) swoich socjalistycznych poglądów. Kompromisy, które niesie ze sobą małżeństwo i macierzyństwo, zdają się nie mieć końca.

Tego wieczoru Andi ma dodatkowe zmartwienie. Steve zostaje w domu z Gusem, który oczywiście jest trudny do opanowania. Chociaż desperacko ma ochotę uciec, Andi musi nakarmić synka tuż przed wyjściem, żeby położyć go spać. Planowała, że po drodze wstąpi po Beth i dziewczynki, ale musiała to odwołać. Obiecała, że spotkają się na miejscu. Jakby tego było mało, Gus poplamiał jej sukienkę mlekiem i musi szybko znaleźć jakieś inne ubranie – niełatwe zadanie, gdy weźmie się pod uwagę jej obecne krągłe kształty.

– O kurwa. To żalosne. – Ciska o ścianę ładną spódniczką, w której nie jest w stanie dopiąć zamka. – Może byś za mnie poszedł, Steve? Nie mam pojęcia, skąd w ogóle przyszło mi do głowy, że będę w stanie to zrobić. – Wściekłość jest lepsza niż łyzy, myśli sobie.

Steve leży na łóżku z dłońmi zaplecionymi pod głową. Spokojnie lustruje całą scenę, jakby go bawił ten spektakl. Sophie, która również zachowuje pogodny nastrój w tym całym dramacie, skrupulatnie przegląda zawartość szafy matki i wyciąga czarną sukienkę z elastyczną gumką w pasie. – Może włożysz tę sukienkę, mamó – mówi – i mogłabyś na nią narzucić tę niebieską koszulę. Zawsze naprawdę dobrze w tym wyglądasz.

Ma rację, że akurat to połączenie wyglądało dobrze – kiedy była w dziewiątym miesiącu ciąży. Andi marszczy brwi, gotowa warknąć, ale dyskretny gest Steve'a powstrzymuje ją przed tym. Nie musi nic mówić. Wie, że ten wieczór należy do Sophie, a nie do niej. Zawiesza głos, bierze głęboki oddech, wyciąga rękę:

– Doskonała, kochanie. Nie mam pojęcia, dlaczego sama na to nie wpadłam.

Humor jej się poprawia, kiedy przyjeżdżają do konserwatorium. Andi prawie natychmiast odnajduje Beth i dziewczynki, tymczasem Sophie idzie za kulisy. Pomimo tego, że musi przywitać się z kilkoma szkolnymi notablami, potrafi się nieco zrelaksować dzięki działaniu kieliszka szampana i niewymuszonej rozmowie z Beth, i kiedy zajmują miejsca w sali koncertowej, prawie dobrze się bawi. Wprawdzie wciąż czuje ołowiane motyle w brzuchu, ale są mniej dokuczliwe. Gdy Sophie w końcu zaczyna swój wieczorny występ – jej dwa solowe koncerty stanowią główny punkt programu – natychmiast odczuwa ulgę. Gra Sophie jest fenomenalna, porażająca, emocjonująca. Andi, jak zawsze, kiedy jej córka gra, słyszy stłumione westchnienia zachwytu i zaskoczenia, które rozbrzmiewają echem wśród publiczności. Jednak, jak zwykle, chociaż nigdy nie przestała zastanawiać się nad przypadkowością talentu Sophie, przyznaje sobie chwilę refleksji na to, żeby samej sobie pogratulować. Może i to jest wieczór Sophie, ale z pewnością istnieją jakieś korzyści z bycia matką największej gwiazdy koncertu.

Potem, kiedy Beth i dziewczynki czekają z Andi w tłumie po występie, Beth nie kryje swojego entuzjazmu:

– O mój Boże! Andi. Ona jest cudowna! Musisz być taka dumna.

– Jestem. – Uśmiech Andi jest nieco zalękniony. – Tak się denerwuję. Za każdym razem – zwierza się. – Chociaż nie powinnam. Nigdy nie sfalszowała ani jednej nuty.

– Nie – zgadza się Beth. – Nie powinnaś. Jest profesjonalistką w każdym calu. Nigdy czegoś takiego nie słyszałam. Widziałam, jak grała w szkole raz czy dwa, ale dzisiaj wieczorem była niezwykła. Powiedz mi, skąd ona ma taki talent? Czy ty też jesteś muzycznym geniuszem?

Andi się śmieje.

– W żadnym wypadku. Zawsze rozpaczliwie chciałam nauczyć się grać na jakimś instrumencie, ale moja mama nie widziała takiej potrzeby. Nie byliśmy rodziną z taką tradycją. – Wzrusza ramionami. – W każdym razie postanowiłam, że Sophie przynajmniej dostanie taką możliwość. Kiedy zaczęła się uczyć, sądziłam, że będzie to jedna z tych aktywności, o których zapomnimy, gdy skończy dziesięć lat. Ale kiedy skończyła dziesięć lat... Cóż, sama słyszałaś. Steve i ja wciąż nie możemy w to uwierzyć.

– Jestem pod wrażeniem! Sophie zdecydowanie była gwiazdą tego wieczoru. Dlaczego nikt mnie nie uprzedził? Co o tym myślicie, dziewczynki?

– Jest świetna! – mówi z entuzjazmem Lucy. Potem niczym słodkie echo swojej matki uśmiecha się nieśmiało do Andi. – Musi być pani taka dumna.

– A tobie jak się podobało, Charlotte? – Beth uśmiecha się zachęcająco do młodszej córki, która przez cały wieczór jest dziwnie przygaszona i teraz stoi w pewnej odległości od nich, najwyraźniej znudzona.

– Jest cudowna. – Słowa dziewczynki są pozbawione emocji, wypowiedziane niemalże mechanicznie.

– I jest twoją przyjaciółką, skarbie. Dobrze znać tak wyjątkowo utalentowaną osobę! – Beth przybrała lekko przekorny ton głosu, ale Charlotte nie reaguje.

– Pewno dużo koleżanek z twojej klasy jest tu dzisiaj. Wydawało mi się, że widziałam Amelię i tę drugą dziewczynkę, Harriet, dobrze pamiętam imiona? A czy ta dziewczynka, która grała na flecie, nie jest twoją znajomą? I ta, która śpiewała Straussa, nie znasz jej przypadkiem? Może mogłybyśmy pójść się przywitać, jeśli jeszcze są tutaj. Mogłabyś mnie przedstawić ich rodzicom. – Andi podziwia wytrwałość Beth, jej brak powściągliwości.

– Musimy czekać? – Charlotte kompletnie ignoruje śledztwo matki. – Nie możemy już iść?

– Och, nie chcesz pogratulować Sophie? Chcę się z nią przywitać. – Beth jest wyraźnie zirytowana.

– Jestem pewna, że chciałaby was wszystkie spotkać, podziękować, że przyszłyście

– dodaje Andi, usiłując zachować swobodny ton głosu.

– Właściwie to nie czuję się zbyt dobrze, mamó. – Głos Charlotte jest monotony i Andi zauważa, że dziewczynka wyraźnie unika wzroku matki. Stara się nigdzie nie patrzeć. – Musimy czekać na Sophie? Jest późno i naprawdę chcę już iść do domu.

## CHARLOTTE

To był wielki błąd. Uświadomiła to sobie już wtedy, kiedy zgodziła się spędzić tamto popołudnie w domu Sophie. Charlotte powinna była po prostu sprzeciwić się matce od pierwszej chwili. Wtedy nie byłoby to takie skomplikowane – przynajmniej nie od samego początku. Problem polega na tym, że początkowo źle oceniła sytuację. Domyślała się, że Sophie nie jest fajna – to było oczywiste od pierwszego dnia – ale nie zdawała sobie sprawy z tego, że przebywanie z Sophie nawet poza szkołą okaże się aż taką towarzyską gafą. Że zmieni to sposób traktowania jej przez pozostałe dziewczyny. W końcu to prawie zniweczyło szanse Charlotte na przyłączenie się do wielkiej trójki Harriet, Amelii i Grace w momencie, gdy jej przyjęcie do grupy było właściwie przesądzone.

Kiedy się nad tym zastanawia, nie chodzi o to, że Sophie ma w sobie coś aż tak okropnego. Na początku, kiedy ich matki zaaranżowały spotkanie, naprawdę było wesoło. Oczywiście odwiedzin nie można już nazwać zabawą, tak jak w czasach przedszkolnych, ale w istocie nie różniły się one od tych swawoli z dawnych lat – i tym razem matki prezentowały siebie i swoje rodziny, budowały swój autorytet, popisywały domową logistyką i wymieniały życiowymi mądrościami. Dziewczynki dość dobrze się dogadywały, znalazły mnóstwo tematów do rozmowy i wspólnych aktywności. Okazało się, że przeczytały mnóstwo tych samych książek, podobały im się te same filmy i miały bzika na punkcie tych samych kiepskich filmików na YouTube. Tamtego pierwszego dnia po południu była zadowolona, że jej mama przyjęła zaproszenie na drinka i dzięki temu Charlotte mogła przedłużyć swoją wizytę u Sophie.

Ale teraz, kiedy Charlotte przestała być w widoczny sposób nowa, teraz, kiedy zyskała lepszą pozycję w szkole, teraz, kiedy niemalże ma paczkę z prawdziwego zdarzenia i czuje, że znowu toruje sobie drogę do bycia w centrum wydarzeń, nie potrzebuje (i nie chce) Sophie, która snuje się za nią jak smród. Teraz, kiedy lepiej dostrzega status towarzyski Sophie, Charlotte jest zażenowana ich relacją i nie może znieść tego, że rozwijająca się przyjaźń ich matek oznacza, że musi spędzać czas z taką frajerką. A jakby tego było mało, niezachwiane przekonanie Sophie, że *rzeczywiście* są przyjaciółkami, i sposób, w jaki szuka potwierdzenia tego faktu

w szkole i w obecności wszystkich osób, stają się coraz trudniejsze do zniesienia.

Charlotte jest świadoma, że nie ma wystarczająco mocnej pozycji, żeby chronić koleżankę. Gdyby w Brookdale postanowiła spędzić popołudnie z kimś pokroju Sophie, nie wpłynęłoby to w najmniejszym stopniu na to, jak Charlotte byłaby odbierana przez resztę paczki. Zostałoby to potraktowane jako dziwactwo, a może nawet jakaś przemyślna strategia, i podczas gdy notowania takiej ofiary losu tymczasowo by wzrosły, nie było takiej możliwości, żeby notowania Charlotte spadły. To było niemożliwe. Ale tutaj, gdzie wciąż ciężko pracuje nad tym, żeby zyskać dogodną pozycję towarzyską, odnosi to wręcz przeciwny efekt. Sophie nie może niczego zyskać z powodu tego, że się z nią zadaje, a Charlotte ma wszystko do stracenia.

Żadna z pozostałych dziewczyn na razie nie powiedziała ani słowa na ten temat, ale widziała, jak wymieniają spojrzenia, kiedy Sophie specjalnie podchodziła, żeby przywitać się z Charlotte w klasie, albo kiedy przynosiła kawałek brownie, który przekazała jej matka, albo kiedy wspominała o czymkolwiek świadczącym o tym, że utrzymywały ze sobą jakieś kontakty. Przebywanie w towarzystwie Andi na przeglądzie talentów było całkowitym poniżeniem. Wobec statusu czarnej owcy talent Sophie nic nie znaczy – jak to określiła Amelia: „Gra na fortepianie to najbardziej bezsensowny talent, jaki można mieć, prawda? Ona nigdy nie zyska dzięki niemu sławy, to nie to samo, co umiejętność śpiewania albo jeszcze lepiej, tańczenia. Właściwie nie wiadomo, o co tyle hałasu”. Niamh O’Reilly, która przeniosła się do szkoły sztuk pięknych, została zakwalifikowana do *Voice’a* i nikt nie mógł pojąć, dlaczego to nie *jej* przyznano stypendium. Właściwie w oczach rówieśników gra na fortepianie to kolejne upośledzenie społeczne, a poza byciem totalnym dziwolągiem, Sophie jest gamoniowata, nieatrakcyjna, nieudolna fizycznie i nieporadna towarzysko. Poza tym jest głupio przewrażliwiona – jej okrągłe oczy robią się wielkie i wypełniają się perlстыми łzami, kiedy tylko ktoś choćby na nią kichnie.

Mimo wszystko właściwie trudno ją zniechęcić. Poza szkołą ten jej entuzjazm nie wydaje się aż tak kiepski, ma też zwariowane i czasem doskonałe poczucie humoru, którego nie ujawnia w klasie. Jednak wszystkie zalety przebywania z nią w czasie wolnym trzeba rozpatrywać w kontekście tego, w jaki sposób publiczne przyznawanie się do przyjaźni z nią może pogorszyć status Charlotte. Musi coś zrobić, żeby odsunąć się od niej, zanim inne dziewczyny odkryją stopień ich zażyłości. Musi jasno dać do zrozumienia innym dziewczynom, że Sophie tak naprawdę nie jest jej przyjaciółką ani nawet daleką sojuszniczką.

A co ważniejsze, musi to dać jasno do zrozumienia Sophie.

Pewnego poniedziałkowego ranka Sophie podchodzi do niej w szatni cała promieniejąca entuzjazmem, dysząc z podekscytowania. Gdyby miała ogon, machałaby nim jak szczeniak. Charlotte robi wszystko, żeby ją zbyć, rozgląda się uważnie, kiedy Sophie do niej podchodzi, po czym odwraca się do niej plecami, ale Sophie nie rozumie tej aluzji, obchodzi ją dookoła, aż właściwie stoją twarzą w twarz. Nie ma innego sposobu, poza dosłowną ucieczką, żeby Charlotte uniknęła rozmowy z nią.

– Mama mówi, że przychodzisz do mnie dzisiaj po południu. – Głos Sophie jest wysoki i donośny.

– Tak. – Charlotte usiłuje zachować śmiertelnie poważną minę i mówić cicho, mając nadzieję, że Sophie weźmie z niej przykład.

– A niedługo wszyscy wpadacie na kolację. Mama robi na deser pieczoną Alaskę. Chce przygotować dla was jakieś amerykańskie danie. Ten deser albo ciasto dyniowe. Jadłaś to kiedyś? Brzmi obrzydliwie.

Charlotte słyszy chichoty za plecami.

– Mhm – teraz prawie szepcze, ale Sophie zdaje się mówić jeszcze głośnie.

– To co, spotykamy się po szkole? Zdaje się, że w zeszłym semestrze miałyśmy inne zajęcia?

– Nieważne. – Charlotte obojętnie wzrusza ramionami.

– Ach. Dobrze. – W końcu Sophie nieco ściszyła głos. Teraz brzmi, jakby była niepewna, trochę przygnębiona. – W takim razie chyba zaczekam jak zwykle w pobliżu wiciokrzewu.

– W porządku. – Odwraca się zdecydowanie, wyraźnie kończąc rozmowę.

Sophie waha się przez chwilę.

– Dobrze. A chcesz znowu pójść po babeczki? Mam pieniądze.

Charlotte nie może tego dłużej znieść, chce, żeby Sophie natychmiast sobie poszła, ale ona zwleka jeszcze przez dłuższą, zawieszoną w powietrzu chwilę, czekając na jej odpowiedź. Gdy Charlotte wyciąga z wściekłością podręczniki ze swojej szafki, po czym ją zatrząskuje, dziewczynka w końcu rozumie aluzję i odchodzi powoli korytarzem.

Kiedy w końcu znika jej z oczu, Charlotte przyciska książki do klatki piersiowej i spogląda na rząd szafek po drugiej stronie, gdzie czekają na nią Harriet i Amelia.

Obserwowały tę wymianę zdań i teraz stoją tam, uśmiechając się znacząco. Harriet zacisnęła usta.

– Nie wiedziałam, że łączą cię ze Ślamazarą aż tak zażyłe kontakty.

Charlotte natychmiast zaprzecza.

– Niezupełnie.

– Z tego, co mówiła stara Ślamazara, wynika, że umawiacie się na *zabawę*. A potem jeszcze macie zamiar zjeść razem kolację. *Pieczona Alaska. Jadłaś kiedyś? Ach, jakie to pyszne.*

Charlotte ignoruje piskliwy głos Amelii oraz chichoty i wzruszanie ramionami Harriet.

– Nasze mamy to organizują. – I dodaje najbardziej obojętnym głosem, na jaki potrafi się zdobyć: – Nie jest to moja wizja dobrej zabawy, ale nie mam zbyt wiele do gadania.

Na twarzy Harriet pojawia się skąpy, pogardliwy uśmiech.

– Jej mama to ta kobieta o dziwnym wyglądzie, tak? Krótkie kręcone włosy. Z niemowlakiem? Mój tata myślał, że to lesba, jakby męski typ.

Charlotte lubi Andi, ale nie waha się ani chwili, prycha.

– Tak. Wygląda jak facet. Ale taki flejowaty z lat osiemdziesiątych: obwisłe spodnie i workowate podkoszulki.

Amelia marszczy nos.

– Słyszałam, że mieszkają w jednej z tych starych szeregówek w Arnott Place. Zdaje się, że tata Ślamazary jest policjantem? Policjanci chyba niezbyt dużo zarabiają.

Charlotte znowu wzrusza ramionami, udając niewiedzę, brak zainteresowania.

– Naprawdę niewiele wiem na ich temat. – Po czym skwapliwie dodaje: – Właściwie jej mama robi coś dla mojej mamy – chodzi o sprawy zawodowe. To wszystko. – Wierutne kłamstwo, ale doskonała, niepodważalna obrona. – W każdym razie nie jesteśmy *przyjaciółkami* ani nic z tych rzeczy.

– Nie chciałabyś się z nią zaprzyjaźnić. Nie ze Ślamazarą. *Fuj.* – Harriet się śmieje, ale Charlotte ma niejasne przeczucie, że właśnie dostała ostrzeżenie. Albo ultimatum.



## BETH

Pomimo początkowego sprzeciwu Dan odpuszcza w bardziej dyplomatyczny sposób, niż się spodziewała. Beth czeka, aż Drew złoży jej oficjalną propozycję pracy, po czym starannie przygotowuje scenerię, żeby obwieścić nowinę – lunch, sami we dwoje, uczęszczany hotel na nabrzeżu. Starają się od wielu lat robić tak, jak piszą w poradnikach dla małżeństw, i umawiać się na randkę w dzień albo wieczorem, przynajmniej raz w miesiącu. To pierwsza randka, na którą udało im się pójść od czasu przeprowadzki do Newcastle – dotąd we wszystkie weekendy mieli prawdziwe urwanie głowy, a grafik pracy Dana był wypełniony po brzegi.

Sceneria spotkania nie mogłaby bardziej sprzyjać dobremu nastrojowi i relaksowi – siedzą przy stoliku z widokiem na połyskującą wodę, obserwując życie ruchliwej zatoki w ten słoneczny jesienny dzień. Butelka wina, dobre jedzenie. Dan przez dłuższą chwilę przygląda się scenie w zatoce, po czym zwraca się do niej:

– Wspaniały pomysł, Beth. Zapomniałem, jak bardzo lubię to miejsce. Wiem, że to nie Sydney, ale jest na swój sposób równie piękne – zachwyca się Dan.

To prawda, że jest coś wyjątkowego w tym kontraście między malowniczym krajobrazem z latarnią przycupniętą uroczo na końcu przesmyku, żywym błękitem kanału, dużymi statkami brnącymi przez wodę, a niemalże postapokaliptyczną scenerią po drugiej stronie zatoki – sterczącymi nad wodą silosami, błyszczącymi hałdami węgla, surrealistyczną, zakrzywioną linią horyzontu upstrzoną żurawiami, taśmociągami i ciężarówkami.

Beth czeka, aż zjedzą, żeby powiedzieć mu o szczegółach umowy – na początek dwa dni w tygodniu od ósmej do szesnastej, rozsądna, choć niepowalająca na kolana pensja.

– Niczego jeszcze nie podpisałam – wyjaśnia, nieco zdenerwowana, chociaż Dan nie odezwał się ani słowem. – Chciałam zaczekać i posłuchać, co o tym myślisz. Będę pracowała tylko w poniedziałki i środy, a dziewczynki nie mają wtedy zajęć przed siedemnastą. Mogą pójść do twojej mamy, jeśli nie będzie miała nic przeciwko – to zaledwie parę godzin. A jeśli nie, to równie dobrze mogą zostać w szkole i się pouczyć. Wiem, że pieniądze nie są oszałamiające, ale to początek. Naprawdę chciałabym tam pracować, ale muszę wiedzieć, że ty też będziesz się z tym dobrze

czuł.

Marszczy brwi.

– Nie rozumiem, dlaczego mi nie powiedziałaś, Beth. O tym, że miałaś rozmowę kwalifikacyjną.

– Właściwie to była bardziej nieformalna rozmowa – kłamstwo łatwo jej przychodzi. – Pogadaliśmy o tym przez telefon. A potem podczas lunchu. Byłeś przeciwny temu wszystkiemu, kiedy po raz pierwszy wspomniałam o tym pomysle.

Wzrusza ramionami.

– Tak. Przepraszam. Nie wiedziałem, o co chodziło. Chyba miałem zły dzień. To wszystko jest trudniejsze, niż się spodziewałem. Przeprowadzka, nowa praca. Mama. Wszystko.

– Czyli zgadzasz się? – Trudno w to uwierzyć, w tę łatwą zgodę, w przeprosiny, w to, że Dan sam przyznaje, że ma jakieś problemy ze swoją matką. Brzmi to jak swego rodzaju pojednanie.

– Naprawdę nie masz nic przeciwko?

Bierze ją za rękę.

– Drew Carmichael to wyjątkowy palant. Nigdy nie zmienię zdania na jego temat, Beth. Ale jeśli praca dla niego cię uszczęśliwi, to i ja będę szczęśliwy.

Reakcja dziewczynek była mniej wspierająca. Mówi im o tym w samochodzie, w drodze na lekcje gry na skrzypcach Lucy.

– Nie wiedziałam, że znasz jakiegoś polityka, mamó. Wow. – Najwyraźniej Lucy jest pod wrażeniem. – Brzmi ekscytująco. Czym będziesz się zajmować?

– Na początek będę pracować po prostu w biurze. Odbieranie telefonów, wiadomości, rozmawianie z ludźmi. Zajmowanie się różnymi rzeczami w sieci. Później zapewne będę pisać różne teksty, komunikaty prasowe, tego typu zadania.

– Co zrobimy po szkole w te dni, kiedy będziesz pracowała? Nie możemy po prostu wrócić do domu i zaczekać? – To pytanie zadaje Charlotte.

– Obawiam się, że nie. – Beth stara się zachować swobodny ton głosu. – Wiesz, że nie chcemy z tatą, żebyście siedziały same w domu. Możecie chodzić do babci na kilka godzin. Zdaje się, że jeden z autobusów szkolnych przejeżdża dokładnie obok jej domu. Będziecie miały okazję, żeby lepiej ją poznać.

– Ale, mamó, to jakaś bzdura. – Nie dostrzega twarzy Charlotte w lusterku, ale wyraźnie słyszy jej wściekłość. – Mam prawie trzynaście lat, a Lucy czternaście. Co ty

sobie wyobrażasz, że my będziemy robić?

– Nie wyobrażam sobie, żebyście miały zrobić cokolwiek złego. Po prostu nie sędzę, żeby siedzenie przez cały czas samemu było dla was dobre.

– A chodzenie do babci ma być niby lepsze? I tak pewnie będziemy u niej oglądały telewizję.

– Nie, nie będziemy. Wiesz, że babcia nie cierpi, jak siedzimy przed telewizorem.

– Wtedy każe nam zająć się jakimiś pracami domowymi, gotowaniem albo czymś takim. Będzie głupio.

– Możemy przecież odrabiać lekcje, Charlie.

– Ale ja nie lubię odrabiać lekcji tuż po powrocie do domu.

Beth interweniuje.

– Posłuchajcie, nie ma sensu się o to sprzeczać. Będziecie tam chodzić i już.

– Nie jesteśmy malutkimi dziećmi, mamó. Jeśli dwa razy w tygodniu zostaniemy same na kilka godzin, to przecież nie umrzemy.

– Nie umrzecie również, kiedy będziecie chodzić do babci, Charlotte.

– Serio, nie chcę tam chodzić, mamó. Wolalabym pójść w każde inne miejsce.

– Dlaczego? W czym problem? Wiem, że babcia potrafi być trochę pedantyczna. Każe wam odrabiać lekcje i być może zleci jakieś obowiązki domowe, ale nic wam się nie stanie z tego powodu.

– Właśnie, że się *stanie*, matko. – Ton głosu Charlotte robi się zgryźliwy. – Jestem zaskoczona, że tego nie zauważyłaś.

– Co miałam zauważyć?

– To, że ona tak naprawdę mnie nie lubi.

Lucy zwraca się do swojej młodszej siostry zadziwiająco surowym tonem:

– Och, Charlie. Ona cię kocha. Jesteś głupia. Babcia wszystkich kocha.

– Nie wszystkich. Babcia kocha ciebie, bo jej się podlizujesz.

– Nieprawda!

– Nie, żeby mi na tym zależało. Ale sprawia mi to ból. W każdym razie kocha cię i kocha tatę. A jakoś toleruje mnie i mamę.

Lucy spogląda na Beth.

– To nieprawda. Zmyślasz. Babcia kocha nas wszystkich. Wiem, że tak jest. Nie powinnaś mówić takich rzeczy.

– Dobra, Lucy. – Charlotte ma pogardliwy ton głosu. – Wiesz co? Właściwie też nie przepadam za babcią.

## Prawdziwy świat

Wiedziałam, że podjęłam właściwą decyzję, kiedy weszłam do pełnego gwaru biura i poczułam to podekscytowanie, wibracje ludzi, którzy byli skoncentrowani i pełni zapału.

Właściwie wiedziałam to w chwili, gdy wyszłam za próg domu w eleganckim kostiumie, uczesana, w szpilkach i umalowana. Poczułam się o dziesięć, a nawet piętnaście lat młodsza. W ciągu tych wszystkich lat intensywnego matkowania na pełny etat jakimś sposobem zapomniałam o wyjątkowej przyjemności pracowania poza domem, posiadania swojego życia, kolejnej *raison d'être*. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mi tego brakowało.

W tym wyposażonym w centralne ogrzewanie, ergonomicznym pod każdym względem orlim gnieździe z szybami od ściany do ściany i widokami na dolinę, gdzie wszyscy wypełniali swoją misję i nikt nie marudził na temat pracy domowej czy kolacji, ani nie pytał, gdzie może znaleźć swoje ochraniacze na golenie do gry w hokeja, poczułam się tak, jakbym się na nowo narodziła. W rzeczywistym świecie.

A potem po trzech godzinach mojego pierwszego pracowitego dnia w biurze, szukając jak szalona informacji w Google'u po tym, jak zapewniłam swojego szefa, że *oczywiście* potrafię zrobić prezentację w Prezi, nie ma problemu! – doznałam nagłego olśnienia. Wszystkie te rzeczy: kolacja, ochraniacze na golenie, zmywanie naczyń, odkurzanie, marudzenie – w eleganckim kostiumie czy dresie – wciąż tam na mnie czekały...

Oto znowu jestem w rzeczywistym świecie. Co to za tętniące życiem miejsce!

## KOMENTARZE:

**@MamaZKrainyOzWTokio** pisze:

Ha, ha! To wszystko brzmi fantastycznie, Lizzy, te ochraniacze na golenie i cała reszta!!! Jestem taaaaaka zazdrosna ;) Muszę wrócić do Australii, zanim bycie mamą stanie się jedynym zajęciem, do którego będę się nadawała. XOX

**@DziewczynaZIpanemy** odpowiedziała:

Dziewczyno, po prostu musisz zdjąć z siebie te wszystkie cholerne bandażę!

**@NiebieskaSue** odpowiedziała:

A gdyby się okazało, że to jedyne zajęcie, do którego się nadajesz?

**@MamaZKrainyOzWTokio** odpowiedziała:

To co z tego? Wychowywanie dzieci to przywilej, a możliwość zajmowania się nimi na pełny etat to najlepsze, co może nas spotkać. Zawsze żałowałam, że musiałam wrócić do pracy dużo wcześniej, niż byłam na to gotowa. Jestem niemalże pewna, że moje dzieci cierpiały, i wiem, że ja cierpiałam. Zobaczysz, że urok nowości tej pracy dość szybko przeminie – a rutyna od dziewiątej do siedemnastej błyskawicznie ci się znudzi. Nikt jeszcze na łożu śmierci nie żałował, że nie spędzał więcej czasu w biurze.

**@DziewczynaZIpanemy** odpowiedziała:

Jestem pewna, że nikt także nigdy nie żałował, że nie spędził pięćdziesięciu lat swojego życia na gotowaniu i sprzątanii bez dobrego słowa i zapłaty,  
**@NiebieskaSue**.

**@AliceBUradowana** pisze:

Właśnie odkryłam twój blog, Lizzy. Uwielbiam go! Też jestem długodystansową żoną nomadką – w tym roku w grudniu minie dwadzieścia lat. Dużo z tego, co piszesz, brzmi dla mnie przekonująco.

**@ShelaghO'D** pisze:

W przyszłym tygodniu wracam do pracy zaledwie po pięciu latach przerwy i jestem przerażona! Wspaniale słyszeć, że w pierwszym tygodniu dobrze ci poszło. Napiszę o swoich doświadczeniach na stronie [www.anirishlass.com](http://www.anirishlass.com).

CudowneDziecko.com

Dziesięć lekcji cudownego dziecka, jak osiągnąć sukces

## Lekcja piąta: Wrogowie i przyjaciele

Większość przysłów to bzdury. Chodzi mi na przykład o to, po co komu gołąb na dachu? Kamień nie obrasta mchem? A kogo to obchodzi? W końcu to tylko mech, prawda? Dwa kłamstwa to nie to samo co jedna prawda. Mam swoją własną matematykę.

Ale już powiedzenie „Wróg twojego wroga jest twoim przyjacielem” jak najbardziej ma sens.

Czasem trudno ustalić dokładnie, kim są wrogowie twojego wroga. Jednak możesz być pewien, że na pewno istnieje ktoś, kto go nie lubi.

Albo przestanie go lubić.

## KOMENTARZE

**@PRZYPADKOWACZYTELNICZKA** pisze:

Gołąb na dachu? Mnie się to podoba ;-)

**@EKSPERTODPRZYSLOW** pisze:

Chcesz się dowiedzieć, jak powstały twoje ulubione przysłowia? Wejdź na stronę [zrodloprzyslow.com](http://zrodloprzyslow.com), aby uzyskać szczegółowe informacje na ten temat.

## CHARLOTTE

Czy to był jej pomysł? Czy też wymyślił go ktoś inny? Kiedy potem się nad tym zastanawia, Charlotte nie może sobie przypomnieć, która z nich go podsunęła. Jednak dokładnie pamięta, jak powstał. Cała trójka – Amelia, Grace i Harriet – była u niej w domu. Zabrały laptop do jej sypialni i oglądały jeden z odcinków *Doktora Who* nielegalnie ściągnięty z sieci – ten, w którym występowały przerażające Płaczące Anioły. Dziewczyny potwornie się wystraszyły – siedziały po ciemku, z zaciągniętymi zasłonami, na ścianie tańczyły cienie, które stawały się coraz dziwniejsze i coraz bardziej się wydłużały. Wyobraźnia podsuwała wizje upiornych istnień w ciemnych kątach i fantazyjnie zakrzywionych zakamarkach pokoju – ogromna drewniana szafa wyłaniająca się z ciemności, przerażające obrazy na ścianach, ponure stare portrety, pejzaże, martwe natury – wszystko to jeszcze bardziej potęgowało tę osobliwą atmosferę. W końcu ogarnął je szaleńczy strach, który na swój sposób sprawiał im przyjemność i wtedy Grace z Amelią postanowiły jednocześnie odegrać rolę aniołów – przesunęły się powoli w stronę Charlotte i Harriet, które leżały przytulone na łóżku i piszczały ze strachu, po czym dały nura pod kołdrę, błagając, żeby dziewczyny już przestały. Wszystkie cztery zaśmiewały się jak głupie, jakby były na hajcu po waniliowej oranżadzie i wafelkach w polewie czekoladowej – kontrabandzie przemyconej przez Amelię, której matka nie miała pojęcia, że tego typu towary są zakazane w gospodarstwie rodziny Mahonych – po czym zaczęły zabawę od nowa.

– Hej – powiedziała jedna z nich, kiedy wykończone rzuciły się na łóżko jak długie w skotłowanej pościeli – a może zrobimy to naprawdę? Przebierzemy się. To nie może być trudne.

Spędziły trochę czasu, oglądając filmiki instruktażowe na YouTube, żeby się dowiedzieć, jak zrobić charakteryzację i stworzyć kostiumy. Wyglądało to na skomplikowane, a może nawet kosztowne przedsięwzięcie, ale nie niemożliwe. Jednak nie był to projekt, do którego mogłyby się zabrać spontanicznie. Będą potrzebowały wsparcia rodziców w postaci sponsorowanych wypraw na zakupy, pomocy przy charakteryzacji i szyciu kostiumów. Co więcej, potrzebowały jakiegoś uzasadnienia – choć były skłonne to zrobić dla czystej przyjemności („Tak, przespacerujemy się po Darby Street w przebraniu i nieźle wszystkich nastraszymy”,



zapropowała Amelia), ale wiedziały, że rodzice dadzą się naciągnąć tylko wtedy, kiedy to będzie z jakiejś okazji. Choćby z okazji urodzin. Najbliżej były urodziny Harriet. *Doktor Who* był fantastycznym tematem przewodnim. Ale czy trzynaście lat to nie za dużo, żeby organizować tematyczne urodziny? Jednak czyż Daniela Russell z ósmej klasy nie urządziła kilka miesięcy temu urodzin osnutych wokół *Niezgodnej*, które okazały się wielkim hitem – nawet kilku chłopaków z dziesiątej klasy wkręciło się na imprezę. Może mógłby wpaść brat Amelii, Jake, i przyprowadzić swoich kumpli – szczególnie jednego, Rowana Arnolda. Byłby świetny w roli Doktora. A Janna Rice byłaby cudowną River Song z tymi swoimi kręconymi włosami. Mama Harriet zorganizowałaby tort w kształcie Tardisa, a może nawet sama by go upiekła (w zeszłym roku zrobiła tort w kształcie baletowej spódniczki dla młodszej siostry Harriet, choć bardziej przypominał różową chmurę, TBH[6]), na pewno byłyby lizaki Doktora Who, a może nawet filiżanki, talerze i...

Wszystkie cztery wyglądałyby cudownie jako anioły. Trzymałyby to w tajemnicy, zrobiłyby wielkie wejście, to byłoby naprawdę coś – zebrani umieraliby ze strachu. Ach, i mogłyby pobawić się w tę zabawę – tę, w której musisz stać nieruchomo. Raz, dwa, trzy, Baba-Jaga patrzy. To będzie *najlepsze* przyjęcie pod słońcem. Na samą myśl aż skręcało je w żołądku z radosnego podniecenia. To był pomysł stulecia. Bombastyczny.

Jedna z nich, chociaż Charlotte naprawdę nie może sobie przypomnieć, która, może i ona – ale równie dobrze mogła to być Harriet, w końcu to jej urodziny – w każdym razie jedna z nich wpadła na wspaniały pomysł, żeby najpierw wypróbować całą koncepcję.

– Może zrobimy próbę? No wiecie, przetestujemy to na kimś, sprawdzimy, czy uda nam się go przestraszyć?

– Mogłybyśmy mieć tylko maski i zęby wampirów, bez kostiumów – i poruszałybyśmy się jak w raz, dwa, trzy, Baba-Jaga patrzy?

– Wyglądałoby to jak rodzaj tańca, prawda? Może mogłabym opracować profesjonalną choreografię? – To Grace, która zawsze szuka sposobów, żeby połączyć swoje zajęcia pozalekcyjne z życiem towarzyskim.

– Możemy to zrobić w szkole. Ale tylko dla jednej osoby, żeby nic nie wyciekło dalej. Wszystkie cztery wydają z siebie jednocześnie pisk.

– Tak. Tak. LOL. Tak.

Tylko *na kim* wypróbować zabawę? Właściwie nie musiały dyskutować na ten temat

– odpowiedź była oczywista, natychmiast przyszła do głowy całej czwórce, jakby przestały być odrębnymi istotami i stały się bestią w postaci wielogłowej hydry z wieloma kończynami. Akurat tego Charlotte nie musi sobie przypominać. Wypowiedziały jej imię na jednym wydechu:

– ŚLAMAZARA!

Ach, co za świetny pomysł, wprost wspaniały. Najlepszy.

## SOPHIE

Nawet jeśli Charlotte nie będzie z nią rozmawiać w szkole (a Sophie zaczyna przyzwyczajać się do myśli, że nigdy nie zostaną przyjaciółkami ze szkolnej ławki), zwykle wszystko układa się dobrze, kiedy są zmuszone przebywać w swoim towarzystwie, w domu. Może i Charlotte z początku bywa nieco chłodna i zdystansowana, ale po jakiejś półgodzinie rozkręca się i znajdują sobie wspólne zajęcia – grają w Minecrafta albo wybierają coś na konsolę, albo oglądają jakiś dziwny filmik na YouTubie. Kiedy ostatnio Charlotte do niej przysła, spędziły sporo czasu, odtwarzając filmiki autorstwa jednej z dziewczyn z najstarszej klasy, Gemmy Radisson, która założyła swój kanał na YouTubie z filmikami instruktażowymi o tym, jak zrobić charakteryzację imitującą zakrzepłą krew. Zaczęły ją subskrybować dla śmiechu, chociaż nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby kiedykolwiek śmiać się z Gemmy w szkole. To dość przerażająca dziewczyna, dobrze zbudowana i wysportowana, z niskim i chropowatym głosem, ale filmiki były zaskakująco sugestywne i dziewczynki spędziły całe popołudnie na malowaniu siebie nawzajem – przy pomocy krwi będącej połączeniem dzemu i oleju – niezwykle naturalistycznych, poderżniętych gardel i zięjących ran na twarzy, ku obrzydzeniu ich matek.

Jednak tego popołudnia Harriet George, która należy do szkolnej paczki Charlotte, przyszła niespodziewanie wcześniej do domu Mahonych na nocowanekę. Harriet, której ojciec jest lokalnym inwestorem, należy do tych koleżanek, które Sophie lubi najmniej. Wysoka, wysportowana, chociaż jej wyniki w nauce są ledwie akceptowalne, z jakiegoś powodu należy do czołówki w klasie. Wśród nauczycieli i rodziców, a nawet części koleżanek, ma reputację przyjaznej, sumiennej, prospołecznej dziewczynki skupionej głównie na uprawianiu sportu, ale Sophie miała zupełnie inne obserwacje. W rzeczywistości Harriet jest jedną z najbardziej toksycznych dziewczyn w klasie Sophie, podstępna, uśmiechniętą dręczycielką. Kiedy Sophie przyszła do tej szkoły w czwartej klasie, to właśnie Harriet zaczęła rozpuszczać plotki o rzekomym fizycznym upośledzeniu Sophie. To Harriet wymyśliła przezwisko Ślamazara, kiedy Sophie w zawodach lekkoatletycznych przybiegła jako ostatnia w biegu na pięćdziesiąt metrów.

Tamtego popołudnia w obecności Beth i jej własnej matki Harriet udaje się zrobić

na Sophie nienaganne wrażenie osoby uprzejmej i przyjaznej, ale kiedy tylko dziewczynki zostają same, zaciąga Charlotte na górę do sypialni, pozostawiając Sophie w salonie w towarzystwie Lucy.

Lucy podnosi wzrok znad iPada i uśmiecha się współczująco, ale Sophie usilnie wpatruje się w ekran telewizora, zdając sobie sprawę z tego, że jakakolwiek forma litości spowoduje, że jej oczy wypełnią się łzami. Jednak nie może powstrzymać się od śmiechu, kiedy Lucy stwierdza:

– Spodziewam się, że Harriet Kardashian musi pokazać Charlie swój nowy stanik albo najnowszy, błyszczący, złoty lakier do paznokci u stóp, albo coś równie przełomowego dla świata. – Lucy nagle przybrała pusty wyraz twarzy Harriet – drobna twarzyczka nadęła się, szczeka opadła, oczy się rozszerzyły – nawet jej głos przypomina głos Harriet z tym pretensjonalnym, lekko chropawym przeciąganiem samogłosek. Podobieństwo jest uderzające i Sophie czuje się zaintrygowana. Lucy – zazwyczaj skryta, niemalże nieśmiała w porównaniu z Charlotte, która, choć młodsza, jest tą bardziej żywiołową z dwóch sióstr. Sophie nie przypuszczała, żeby Lucy kryła w sobie tak jadowitą złośliwość.

Zauważyła, że w nowej szkole Lucy nie zrobiła takiego wrażenia jak jej młodsza siostra. Jej pozycja towarzyska różniła się oczywiście od tej, którą zajmowała Sophie. Co prawda nigdy nie widziała, żeby Lucy ukrywała się w bibliotece w trakcie przerwy obiadowej, ale choćby nie wiem jak wytężała swoją wyobraźnię, nie mogła też powiedzieć, żeby Lucy była jakoś specjalnie rozchwytywana, ponieważ obracała się w kręgu niewielkiej grupki dziewczyn, które raczej odgrywały drugoplanową rolę w życiu towarzyskim dziewiątej klasy. Nie miały tęgich umysłów, nie były ładne, wysportowane ani bogate – ot takie zwyczajne dziewczyny, które spokojnie sobie egzystują, pozostając niezauważone.

Lucy uśmiecha się szeroko w odpowiedzi na wyraźnie zaskoczoną minę Sophie, po czym szybko spogląda na swojego iPada, przebierając w powietrzu palcami, kiedy pisze.

- Co robisz? – pyta nieśmiało Sophie.
- Nic takiego. Piszę komentarze.
- Masz konto na Facebooku? Mnie nie pozwalają założyć profilu, dopóki nie skończę piętnastu lat.
- Nie przejmowałabym się tym. Facebook jest dla starych bab.
- To co robisz? – Sophie ma niewielkie doświadczenia, jeśli chodzi o media

społecznościowe. Korzysta ze Snapchata na swoim iPadzie, ale i tak nie zna nikogo, komu mogłaby wysłać zdjęcia albo wiadomości. Obserwuje trzydzieści osób na Instagramie – przyjaciółki z dawnej szkoły, Tess i Mayę, swoją nauczycielkę gry na fortepianie oraz kilku muzyków, których słucha, ale sama ma zaledwie sześcioro obserwujących. Podobnie jak w przypadku wszystkich innych wirtualnych serwisów, kiedy już utworzy sobie konto, szybko traci nim zainteresowanie.

– Istnieją jeszcze inne miejsca. Hej, czy ty to w ogóle oglądasz? – Lucy z otchłani swojego sztruksowego worka sako wskazuje gestem ręki ekran telewizora.

– Nie bardzo.

– To przyjdź tutaj, coś ci pokażę.

Lucy pokazuje jej swoje profile na stronach różnych mediów społecznościowych. Nie ma profilu na Facebooku, ale za to najwyraźniej ma konta na wszystkich pozostałych stronach: Pinterest, Instagram, Tumblr, Twitter, MeowChat, Kik Messenger. Przeważnie – jak zwierza się zafascynowanej Sophie, przeskakując z łatwością od jednej aplikacji do drugiej – korzysta z nich, żeby zobaczyć, czym zajmują się inni ludzie. Właściwie nie jest aż tak wciągnięta, żeby sama zamieszczać posty.

– Czasem komentuję, ale przeważnie tylko obserwuję – mówi, uśmiechając się od ucha do ucha. – Nie mam aż tyle do powiedzenia. Lubię czytać rozmowy innych osób.

Lucy pokazuje Sophie ASKfm, aktualnie swoją ulubioną aplikację. Wyjaśnia jej zasady działania – to, że pytania są losowo zadawane przez samą aplikację albo przez osoby obserwujące. To, że komentarze i pytania można zamieszczać anonimowo. Przegląda konta dziewczyn, które obserwuje – dziewczyn z różnych klas w szkole, z których większość Sophie zna przynajmniej z nazwiska – klikając w linki i przechodząc od jednego profilu do drugiego. Sophie natychmiast dostrzega, na czym polega atrakcyjność tego rodzaju portalu dla kogoś takiego jak Lucy i dla niej samej – dla dziewczyn, które wolą obserwować niż angażować się w działanie. Sophie jest zdumiona tym, jak wiele dziewczyny zdradzają na swój temat (TMI![\[7\]](#)) w sieci, czasami kontynuując rozmowy i kłótnie, które najwyraźniej mają swoje początki w prawdziwym życiu, a czasem prowadząc rozmowy, o których wie, że przenigdy by ich nie przeprowadziły, stojąc ze sobą twarzą w twarz. Zdarza się, że komentują anonimowo, ale też, że – w sposób szokujący – robią wręcz przeciwnie. Spora część tego, co dzieje się w necie, jest zaskakująca – to jawne łowienie komplementów przez dziewczyny, których Sophie nigdy by nie podejrzewała o taką desperację, oraz komentarze, w których pobrzmiwa nutka złośliwości lub napastliwości. Dziewczyny

ciągle są pytane o to, co myślą o innych, po czym, przedziwne – przecież to może okazać się upokarzające – pytają, co myślą o nich inni. Ich komentarze czasem oscylują na granicy analfabetyzmu i są bardzo przypadkowe. W obrębie jednego zdania balansują między prostactwem a pretensjonalnością.

Czytanie postów na ASKfm przypomina nieco oglądanie wypadku samochodowego, co jest w równym stopniu denerwujące i frapujące. Nawet ktoś taki jak Sophie może anonimowo brać w tym udział, może mieć swego rodzaju wpływ na dziewczyny, które nie mają pojęcia, że ona istnieje w realnym świecie. Bycie nikim w szkole wywołuje cierpienie i poczucie osamotnienia, ale anonimowość w sieci ma swój urok, a perspektywa, że tak naprawdę bierze się w tym udział, jest kusząca.

Sophie właściwie z miejsca staje się wyznawczynią ASKfm. Szybko poświęca każdą wolną chwilę, a czasami nawet czas, w którym powinna ćwiczyć grę albo odrabiać lekcje, na siedzenie nad swoim iPadem albo laptopem. Przychodzi jej to łatwo, ponieważ matkę absorbuje niemowlę, a ojciec zawsze jest zajęty – nikt nie zwraca na nią uwagi. Uczy się pisać treściwe i swobodne, inteligentne komentarze, które zdają się tak gładko przychodzić niektórym dziewczynom. Fantazjuje, że w tym wirtualnym świecie z jego wyraźną strukturą i określoną etykietą te dziewczyny, które nie chcą mieć z nią nic wspólnego w szkole, w końcu się zorientują, że Sophie jest bardziej interesująca, niż przypuszczały. Może to będzie miejsce, w którym zabłyśnie, pokaże swoje drugie, bardziej przystępne „ja”. Może one w końcu zdadzą sobie sprawę z tego, że ona jest kimś, kogo powinny lepiej poznać w prawdziwym życiu, że jest kimś wartościowym.

I przez jakiś czas tak to działa. Początkowo rozmawia przeważnie ze swoimi dawnymi przyjaciółkami ze Scone i spoza szkoły, rówieśnikami, których zna z obozu muzycznego, ale wkrótce jej sieć kontaktów się rozrasta. Sophie jest zdumiona, jak wiele dziewczyn z jej klasy, które w prawdziwym życiu ledwie zauważają, że w ogóle istnieje, chce obserwować ją w sieci, i z radością odnotowuje, ile spośród nich zamieszcza komentarze nawet pod najbardziej banalnymi pytaniami wygenerowanymi przez system. Zdobywa się na odwagę i czasem wpisuje komentarze na ich profilach, sporadycznie podpisuje się imieniem, a czasem umieszcza je anonimowo.

Jednak nic z tego, co dzieje się w sieci, nie przekłada się na to, co ma miejsce w szkole. Jakby obowiązywała jakaś niepisana zasada, która mówi, że to, co zdarza się w świecie wirtualnym, nie liczy się w żadnym scenariuszu prawdziwego życia. Miłe komentarze na ASKfm, napisane na przykład przez @MattyMat, nie oznaczają, że

nazajutrz w szkole Matylda Matherson zdobędzie się na jakiś przyjazny gest. Wygląda na to, że wirtualny świat w równym stopniu może odsłonić wewnętrzne sympatyczne „ja”, co – znacznie częściej – obudzić wewnętrznego potwora.

Ask.fm/sophiepen

## ZAREJESTRUJ SIĘ ZALOGUJ SIĘ

Co jesz na obiad? **BRIDIES**

Kotlety, ziemniaki purée i groszek.

Myśli na mój temat? **@MayaR**

Fajna, piękna, zabawna. Szkoda, że cię tutaj nie ma :(.

Ulubiony film?

*Igrzyska śmierci*. Duh![\[8\]](#)

Najlepszy nauczyciel? **@CharlotteMah**

Nie wiem. Może pani W.? Ma naaaprawdę dobry gust. LMAO.

Ha. Ha. Dobrze **@MattyMat**

To prawda :).

PAP, kiedy byłaś niemowlęciem **LucyMah**

Co znaczy PAP?

Zamieść zdjęcie :) **LucyMah**

Nie mogę żadnego znaleźć :(.

Dzięki Bogu. Założę się, że byłaś naprawdę BRZYDKIM niemowlakiem. **anon**  
Zapewne. Ha, ha.

Przestań się tutaj pałętać **@CharlotteMah anon**

Wcale się nie pałętam!

Nie powinnaś próbować być kimś, kim nie jesteś. **anon** To prawda. Ale TBH nie próbuję.

TBH, a która jest najbardziej seksowna w siódmej klasie. **anon** Mam to gdzieś.

Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że masz duży nos? **anon** Kim jesteś?



Hej, Ślamazaro, powinnaś przestać rozmawiać z **@CharlotteMah** i **@AmeliaCar** w klasie, bez obrazy, ale one naprawdę nie chcą być twoimi przyjaciółkami. Nie obraż się, próbuję tylko pomóc. **anon**

To nie jest pomoc :(.

Hej, Ślamazaro, jesteś najbardziej seksowną dziewczyną w HLC. Wiem, że chcesz wiedzieć, kim jestem, ale nie mogę tego zdradzić, ponieważ gdyby się ludzie dowiedzieli, wszystko by się spieprzyło, próbuję tylko powiedzieć, że straciłem dla ciebie głowę. **anon** Kim jesteś?

Nie chciałybyś się dowiedzieć. **anon**

Hej, **anon**, przestań być taki okrutny. A **@SophiePen**, jesteś naprawdę cudowna. **LucyMah**

LOL. Nie jestem, ale THANKS.

Hej, Ślamazaro – powinnaś się postarać i trochę schudnąć. Tak tylko piszę, żeby ci pomóc. **anon**

Zostaw mnie w spokoju, kimkolwiek jesteś.

## SOPHIE

Do tej pory przydarzyło jej się to raz, w piątej klasie, a wtedy jej dręczycielką była Holly Bridgwater, która po tym wszystkim została wysłana do szkoły z internatem w Sydney. Holly była przewodniczącą klasy i zdawała się wieść prym we wszystkich pozostałych dziedzinach – w siatkówce, dyskusjach, tańcu i piłce nożnej. Bez żadnego powodu, czego Sophie nigdy nie zdołała pojąć, uwzięła się na nią od pierwszego dnia, w którym dziewczyna pojawiła się w szkole. Zaczęło się od tego, że Holly zauważyła, jak Sophie ocierała łzy, i szepnęła do ucha innej uczennicy, wyraźnie i w sposób ostentacyjny, że Sophie ma zaczerwienioną twarz i zapuchnięte oczy. Potem Sophie usilnie starała się jej unikać, choć było to niemożliwe, ponieważ wciąż była osamotniona, nie znała przecież jeszcze Tess i Mai, w których potem znalazła lojalne przyjaciółki i skuteczną obronę przed swego rodzaju prześladowaniem, w którym Holly zdążyła już nabrać biegłości.

A Holly nie dawała się zbyć. Początkowo chodziło o drobiazgi. Ignorowała wszelkie komentarze Sophie, udawała, że jej nie widzi, podśmiewała się z jej wysiłków na wuefie. Przewracała oczami za każdym razem, kiedy proszono Sophie o występ w klasie albo – co zdarzało się dość często – przed większą publicznością na jakimś apelu, po czym głośno kaszłała albo kichała, kiedy dziewczyna grała. Przeważnie kryła się pod tym złośliwość – inne dziewczyny rzadko się w to angażowały, czasem jako mimowolne współsprawczynie. Zawsze robiła to podstępnie i mogła się tego całkowicie wyprzeć. Nigdy nie doszła do takiego etapu, w którym ktoś poza samą Sophie zauważyłby w tym choćby cień działania z premedytacją. Nie było sensu jej wrabiać, nie było sensu się skarżyć. Holly robiła to wszystko w białych rękawiczkach, ale miała gwarancję, że Sophie wypadła z gry. Nawet jeśli pozostałe dziewczyny nie zdawały sobie z tego sprawy. Niechęć Holly do Sophie przerodziła się w odruchowe odrzucenie jej przez resztę klasy, łącznie z tymi dziewczynami, które nawet nie należały do najbliższego kręgu przyjaciółek Holly. Domniemana strategia tej konkretnej klasy była spektakularnie prosta: jeśli Holly cię nie lubiła, nikt cię nie lubił.

Pod koniec roku sytuacja gwałtownie się zaostrzyła. Dręczenie stało się bardziej jawne i pewnego razu zamieniło się w przemoc fizyczną. Sophie szła rano w pośpiechu opustoszałym korytarzem dla młodszych klas, ponieważ miała do

załatwienia jakąś sprawę dla nauczyciela, kiedy zza rogu nagle wyłoniła się Holly. Szła prosto na Sophie i wpadła na nią ze swoim ciężkim tornistrem, kiedy się mijaly.

Sophie się poślizgnęła, po czym straciła równowagę i upadła jak długa, a nogi rozjechały jej się pod krępującym kątem na wypastowanej woskiem podłodze. Dziewczyna stała nad nią, czekając, aż Sophie się pozbiera i wstanie.

– Przepraszam – wysapała. – Nie zauważyłam cię. – Zachichotała z niedorzeczności tego stwierdzenia i podała jej rękę, jakby chciała pomóc Sophie wstać. Sophie chwyciła ją mocno, nie wnikając, co kryje się pod tym gestem, i początkowo Holly ciągnęła, a Sophie pchała, ale dziewczyna puściła jej dłoń w kluczowym momencie, kiedy Sophie już prawie wstała. Sophie znowu się przewróciła, tym razem mocno uderzając o ziemię, i stłukła sobie biodro.

– OMG, ważysz chyba tonę!

Sophie zagryzła wargę, mrugała oczami, żeby powstrzymać łzy, które napływały jej do oczu. Uniosła się i stanęła na czworakach, po czym przez dłuższą chwilę siedziała w kukki, zbyt zdenerwowana, żeby wstać, podczas gdy Holly wciąż nad nią wisiała. Holly przez dłuższy czas wpatrywała się w nią badawczo, jakby się zastanawiała, co zrobić, po czym się uśmiechnęła:

– *Właściwie* jesteś dość brzydka, wiedziałas o tym? – mówiła uprzejmym tonem, jakby próbowała pocieszyć Sophie. – Chodzi o to, że zawsze wiedziałam, że jesteś gruba, ale nigdy tak naprawdę nie widziałam twojej twarzy z bliska... Masz naprawdę ogromny nos i dziwaczne oczy – jakbyś miała... Jak to się nazywa? Zespół Downa? A te twoje piegi – fuj. Jest ich całe mnóstwo i są takie brązowe. Może mogłabyś pójść na jakąś operację. Ale z oczami już niczego nie zrobisz. – Westchnęła i znowu wyciągnęła rękę. – Spróbuję jeszcze raz – oznajmiła – ale musisz coś zrobić z tą swoją nadwagą. W zasadzie to nieodpowiedzialne, no wiesz, być taką grubaską. Moja mama zawsze powtarza, że tacy ludzie jak ty są okropnymi egoistami – w końcu zachorujesz i będziesz kosztować resztę społeczeństwa masę pieniędzy. A to jest zupełnie nie fair.

Sophie ją zignorowała, wstała i ruszyła dalej korytarzem, jakby nic się nie stało.

Był to koniec programu prześladowania przez Holly. Poza sporadycznymi szyderstwami po tym incydencie na szkolnym korytarzu właściwie zostawiła Sophie w spokoju. Być może miała swoje własne zmartwienia – kilka miesięcy później jej rodzice się rozwiedli, a w kolejnym roku, ku uldze Sophie, opuściła szkołę.

Jednak przez dłuższy czas po tym zajściu Sophie unikała przebywania na korytarzu

samej i poza zasięgiem wzroku nauczycieli. Nikomu o tym nie powiedziała. Było to dla niej zbyt krępujące – nie chodziło o sam upadek ani o drwiny Holly, ale o jej własne zachowanie. Kiedy przypominała sobie, że nie dała upustu swojej złości, była bierna, przerażona i kuliła się ze strachu, czuła się koszmarnie.

Ale teraz, w siódmej klasie, w końcu przestała zwracać uwagę na to, czy korytarze były opustoszałe. I kiedy widzi czwórkę dziewczyn – Charlotte, Amelię, Harriet i Grace – które zmierzają w jej kierunku, kiedy ona spieszy się na lekcję muzyki, nie przychodzi jej na myśl, że mogłoby to oznaczać cokolwiek złowieszczego. Idzie w ich stronę niewinnie, posyła Charlotte kuszący uśmiech, a ta zaskakuje ją, odwzajemniając uśmiech bez żadnych zahamowań. Sophie już się z nią przywitała tego dnia na lekcji matematyki, i jak zwykle poczuła się zmieszana brakiem odpowiedzi ze strony Charlotte, która udawała głuchą, odwróciła się i rozmawiała głośno z kimś innym. Sophie świadomie postanowiła, że nie poczuje się urażona, myśląc, że być może ten chłód przyjaciółki nie był zamierzony i potraktowała to spotkanie jako dobrą okazję, żeby znowu się z nią przywitać – rzucić swobodne cześć. Zawołała do niej wesoło, ale nie otrzymała odpowiedzi.

Cała czwórka zatrzymuje się, kiedy się do nich zbliża. Stoją przez chwilę nieruchomo niczym słupy soli, po czym jakby na komendę każda z nich zaczyna poruszać się po korytarzu w dziwny sposób. Sophie robi się zmieszana i zdenerwowana. Dziewczyny patrzą gdzieś za nią, z obojętnym wyrazem twarzy. Potem powoli ruszają w jej stronę – lewa stopa, przerwa, prawa stopa, przerwa.

Sophie ogląda się za siebie, szukając pomocy, ale nikogo tam nie ma. Mogłaby uciec, ale paraliżuje ją sama myśl, że ją wyśmieją. Cała czwórka nadal porusza się synchronicznie, z nieobecny wzrokiem, srogim wyrazem twarzy, stawiając posuwiste kroki na wypastowanej woskiem podłodze i nieubłaganie podchodząc coraz bliżej.

– Cześć, wam – powtarza Sophie, tym razem z nieco niepewnym uśmiechem. Sama słyszy niepokój w swoim głosie, piskliwym i przesłodzonym. Z niewiadomego powodu zasycha jej w ustach. Wycofuje się w kierunku ściany, jakby tam szukała pomocy.

Cztery dziewczyny zatrzymują się i ignorują ją przez dłuższą chwilę, patrząc prosto przed siebie, jakby Sophie była niewidzialna. Potem znowu zaczynają się poruszać – lewa stopa, przerwa, prawa stopa, przerwa. Teraz przesuwają się w jej kierunku lekko pochylone i osaczają ją coraz bardziej pod ścianą, odcinając jej drogę ucieczki.

Zatrzymują się w swoim szyku, kiedy znajdują się w odległości niecałego metra od niej, po czym stoją nieruchomo przez dłuższą chwilę, wciąż patrząc poza nią. Ale tym razem Amelia przełamuje tę beznamietność – zaczynają jej drgać mięśnie twarzy i wydaje z siebie urywane dźwięki przypominające czkawkę, jakby tłumila śmiech. Napięcie zostaje nieco rozładowane. Sophie korzysta z okazji, żeby coś powiedzieć:

– Dziewczyny, czy wy robicie próbę jakiejś sztuki? – Stara się, żeby to zabrzmiało swobodnie, mówi spokojnym głosem, ale sama słyszy w nim drżenie.

– Czy coś słyszałyście, moje siostry-anielice? – Głos Charlotte jest monotony niczym śpiewna recytacja. Wciąż zachowuje obojętny wyraz twarzy. – Słyszałam jakiś dziwny dźwięk.

– Może to mysz? – sugeruje Amelia.

*Piii, piii. Mała myszko.*

Wtedy wychodzą ze swoich ról i wybuchają śmiechem, rozbrojone zabawnością własnego dowcipu. *Piii, piii.*

Sophie próbuje wykorzystać to chwilowe rozproszenie uwagi, rusza, usiłując przejść między nimi, ale one natychmiast stają w stanie pełnej gotowości, zmieniają szyk bojowy, ustawiając się w zwartym szeregu, i uniemożliwiają jej ucieczkę.

– Muszę iść na lekcję fortepianu.

– Ona mówi, że musi iść na lekcję fortepianu. – Ton głosu Charlotte stracił swoją monotonną powagę, stał się zadziorny, żartobliwy.

– Wyobraźcie sobie myszkę, która potrafi grać na fortepianie.

Znowu wybuchają śmiechem. *Piii, piii.*

Sophie się zastanawia, czy precyzyjnie się pomiędzy nimi, czy też pobiec z powrotem tam, skąd przyszła, i pójść dłuższą drogą przez plac zabaw. A może w ogóle lepiej zrezygnować z lekcji muzyki. Przecież i tak jest już późno, jeszcze kilka minut i będzie spóźniona.

– Jak myślicie, jak bardzo ta myszka jest zdesperowana, żeby uciec? – Żartobliwość w głosie Charlotte ustąpiła miejsca czemuś surowemu i chłodnemu, a pozostałe dziewczyny szczerzą zęby w uśmiechu. Sophie patrzy poza nie, mając rozpaczliwą nadzieję, że zobaczy kogoś, kto będzie zmierzał w ich kierunku, ale korytarz jest pusty.

– Nikt nie przyjdzie, mała myszko – Charlotte mówi niskim, wibrującym, niemalże warczącym głosem. – Nikt cię nie uratuje. – Sophie gwałtownie rzuca się w prawo,

cała czwórka staje jej na drodze. Rzuca się w lewo, a one za nią. Usiłuje się przez nie przecisnąć, uderzając w Harriet i Amelię, teraz już o to nie dba, przerażona, rozpaczliwie chce uciec. Dziewczyny odpowiadają gwałtownym atakiem, idąc za przykładem Charlotte. Odpychają Sophie raz po raz i zmuszają ją do tego, żeby się cofała, coraz bardziej i bardziej, aż zostaje przyparta do ściany. Upuszcza swój plecak, z którego wypadają podręczniki, a nuty na lekcję muzyki rozsypują się po podłodze.

Cała czwórka stoi przed nią czerwona na twarzach, dysząc.

– Myszkę naprawdę nie powinny grać tak ostro, prawda? – Charlotte ma przesłodzony ton głosu i uroczy uśmiech. – Powinny trzymać się fortepianu. – Na te słowa dziewczyny wybuchają dzikim śmiechem, chwytają się za ręce i puszczają się biegiem wzdłuż korytarza, deptając po jej materiałach na muzykę.

Sophie stoi oparta o ścianę i czeka, aż serce przestanie jej walić jak młotem, a oddech wróci do normy. Przełyka łzy. Oddycha z ulgą, że nikt tego nie widział, cieszy się, że ma to już – czymkolwiek to było – za sobą. Kiedy dochodzi do siebie na tyle, że jest w stanie ruszyć się z miejsca, zbiera nuty, z których część jest pognieciona, a część zdeptana, i wkłada je z powrotem do plecaka, po czym – stawiając ostrożnie kroki – rusza do pracowni muzycznej.

Kiedy dociera na miejsce, z zaskoczeniem stwierdza, że spóźniła się zaledwie dziesięć minut. Madame Abramova, która zdążyła się już znieczepić, narzeka na jej opieszałość, stan jej zeszytów z nutami i brud na rękach, ale niczego więcej nie zauważa.

– Walijski festiwal artystyczny już za kilka tygodni. Co ty sobie myślisz, głupia dziewczyno? To karygodne, że marnujesz mój czas, podczas gdy ja mam tylu innych uczniów – mówi surowym tonem pozbawionym cienia ciepła. Sophie mówi, że bardzo przeprasza, że musiała dłużej zostać w klasie, i że więcej się to nie powtórzy.

## ANDI

Pierwsze miesiące po narodzinach Gusa były dla Sophie trudne, a część tych trudności, z czego Andi zdaje sobie sprawę, spowodowała sama Andi. Była przygotowana na zazdrość o brata, wiedziała, że córce niełatwo przywyknąć do dzielenia się rodzicami, a w szczególności matką – przecież tak długo była jedynaczką. Andi została ostrzeżona przez własną matkę oraz mnóstwo poradników na temat wychowania dzieci, że droga, która ją czekała, może okazać się wyboista, i że bezwarunkowa miłość między rodzeństwem nie jest normą.

Natomiast nie spodziewała się, że źródłem tych problemów będzie nie Sophie, ale ona sama, jej własne podejście, poczucie niezadowolenia. W dniu, w którym przyjechali z Gusem ze szpitala, Andi zaniósła go na górę, do swojej sypialni. Położyła dziecko w wiklinowym łóżeczku dla noworodka – w tych pierwszych tygodniach życia Gus miał mocny sen z powodu lekkiej żółtaczki. Wzięła długi prysznic i położyła się do łóżka, niemalże ze łzami wdzięczności w oczach za wygodę materaca, własne poduszki i pościel i za zapach swojego domu. Była fizycznie wykończona, zarówno po nieoczekiwanie przedłużającym się porodzie, który trwał o dobre dziesięć godzin dłużej niż jej pierwszy poród, jak i na skutek nagromadzenia emocji w ciągu poprzednich kilku dni. W końcu był tutaj – syn, ukochane drugie dziecko – prawie dziesięć lat po tym, jak podjęli pierwszą próbę. Trudno jej było uwierzyć, że urodził się zdrowy, nietknięty – najpiękniejsze i najdoskonalsze dziecko na świecie. I właśnie wtedy, kiedy wyszła ze szpitala, po kilku tygodniach rozpieszczania przez uradowanego w skrytości ducha Steve'a i z perspektywą miesięcznej wizyty swojej matki, nie mogła się doczekać, aż wreszcie zaspokoi swoją podstawową pierwotną potrzebę, żeby wpakować się do łóżka, karmić, spać i karmić.

Zupełnie inne doświadczenie niż kiedyś z Sophie. Pamięta pierwsze dni z córką, którą karmiła głównie butelką. Andi była otępiąła z powodu szoku spowodowanego porodem i związanymi z nim wydarzeniami, i nie mogła karmić piersią. Przez pierwsze dwa dni Sophie trzymano na oddziale noworodków w inkubatorze, dopóki nie zaczęła prawidłowo oddychać. Sytuacja była stresująca. Andi zalewała falą porażki i lęku i dopiero po dłuższym czasie (po wielu tygodniach albo nawet miesiącach od powrotu do domu, kiedy wszystko zaczęło układać się bez większych przeszkód)

poczuła coś, co nie było nawet zbliżone do tej nieskomplikowanej matczynej miłości, którą od razu czuła do Gusa. Najchętniej zostałaaby z nim sam na sam, żeby czuć to miękkie, niepewne ssanie, żeby oglądać lekkie drżenie jego ust, kiedy spał, żeby mieć te małe paluszki zaciśnięte na swoich palcach, żeby wodzić palcem po każdej żyłce na jego przezroczystej skórze, żeby wpatrywać się w te niebieskoszare oczy, które zdawały się jednocześnie dostrzegać wszystko i nic. Byłaby zadowolona, gdyby mogła zająć się tylko nim. Nie potrzebowała niczego więcej.

Być może gdyby wcześniej doświadczyła tego uczucia, byłaby na to przygotowana. Tymczasem skrajne niezadowolenie, które czuła, kiedy musiała poświęcać swój czas komuś innemu poza Gusem, nawet Sophie, było dla niej kompletnym zaskoczeniem. Tamtego dnia do domu wróciła również Sophie, która spędziła kilka poprzednich nocy u rodziców Andi, w Sydney. Chociaż po przywitaniu z ojcem pobiegła prosto na górę, czekała zmieszana pod drzwiami, zamiast wbiec prosto do sypialni matki, która siedziała na łóżku i karmiła piersią noworodka. Andi przywitała ją uśmiechem, ale była zszokowana chłodem swoich uczuć wobec córki, którą jeszcze kilka dni temu uważała za jej najukochańsze dziecko – Sophie nagle wydała jej się nieprzyjemna – trochę niechlujna, zaniedbana, z rozdziawionymi ustami, ciekącym nosem, z nieco przyspieszonym oddechem. Co gorsza, zdawała się stwarzać jakieś niejasne zagrożenie dla tego nowego i cennego życia, które Andi trzymała w ramionach.

Sophie, jakby wyczuwając zmianę uczuć swojej matki, stała tam i w milczeniu im się przyglądała.

– Czy mogę usiąść na łóżku razem z tobą i dzidziusiem, mamusiu? – zapytała w końcu miękkim głosem. – Mogę go potrzymać? – W jej dużych, ciemnych oczach zaszklona się tęsknota.

Odpowiedź Andi nie była tak zapraszająca, jak powinna była być – zmarszczyła brwi i przyłożyła palce do ust.

– Zaczekaj chwilę, Soph – powiedziała. – Możesz wejść, ale usiądź na łóżku i po cichu popatrz. Teraz ssie i nie chcę mu przeszkadzać. – Sophie podeszła na paluszkach do łóżka i przysiadła ostrożnie na jego brzegu. Pomalutku przysunęła się do matki, po czym z wypiekami na policzkach i z wciąż nierównym oddechem umościła się blisko swojego nowo narodzonego braciszka. Andi poprosiła, żeby troszeczkę się odsunęła i zrobiła dla nich miejsce. Sophie się odsunęła, ale potem powoli znowu się przysunęła w stronę Andi i Gusa i wpatrywała się jak zaczarowana w dziecko karmione piersią. Kiedy tak patrzyła, na końcu jej nosa zawisła kropla smarków, po czym spadła z pląsnięciem na pierś Andi, zaledwie o milimetry od



pracujących jak szalone ust Gusa. Sophie otworzyła buzię, żeby przeprosić, i przesunęła instynktownie dłoń, by zetrzeć wydzielinę, ale Andi zareagowała gwałtownie, nadspodziewanie wściekła.

– Och, Sophie, jesteś po prostu beznadziejna. Przecież prosiłam, żebyś zrobiła nam trochę miejsca. Jesteś za duża, żeby tak ci kapało z nosa. Idź i wysmarkaj się, jak należy. – A potem dodała lodowatym głosem: – Czasami bywasz całkowicie odrażająca, Sophie.

Twarz jej córki spłonęła rumieńcem, jaskrawa czerwień przesuwiała się w dół gardła, po czym oblała jej klatkę piersiową. Oczy Sophie wypełniły się łzami.

– Przepraszam, mamusiu – powiedziała, powstrzymując szloch. Patrzyła na matkę przez chwilę nieobecny wzrokiem, po czym uciekła, głośno tupiąc po korytarzu, i zbiegła z łoskotem po schodach.

W każdych okolicznościach powiedzenie czegoś takiego byłoby okropne, okrutne i niedelikatne, ale w tej konkretnej sytuacji było wręcz karygodne. Andi poczuła się zawstydzona. To się po prostu wydarzyło, tłumaczyła później Steve’owi, bez żadnego ostrzeżenia i niewątpliwie miało związek z hormonami, a skończyło się napadem cichego płaczu. Wyjaśniła Sophie to wszystko później, ale pomimo przeprosin Andi, jej usilnych próśb i wysiłków, żeby jakoś to córce wynagrodzić, minęło wiele dni, zanim Sophie poczuła się swobodnie w towarzystwie swojej matki i Gusa, a niemalże miesiąc, zanim znowu zapytała, czy może go wziąć na ręce. Spędzała coraz więcej czasu w swoim pokoju przed szkołą i po niej, a drzwi zwykle były zamknięte. Andi wiedziała, że na jakimś, być może nieuświadomionym, poziomie jej córka została dotkliwie zraniona.

Zrobili ze Steve’em wszystko, co w ich mocy, żeby złagodzić u Sophie poczucie straty, odsunięcia na boczny tor. Zabierali ją do kina, do kawiarni, na liczne wyprawy po zakupy, a nawet na koncert. Andi pilnowała, żeby Sophie też brała udział w przytulaniu Gusa. Córka pomagała jej przy zmienianiu pieluszek, podczas kąpieli, w pchaniu wózka.

A jednak w głębi duszy cieszyła się, gdy Sophie nie było w pobliżu. Czerpała przyjemność z czasu, który mogła spędzać z Gusem sama, kiedy zajmowała się wyłącznie zaspokajaniem jego potrzeb i zachcianek. Wiedziała, że korzysta z pewnego wycofania Sophie, ale brak żądań ze strony córki przynosił jej pewną ulgę. Nie ulegało wątpliwości, że w szkolnym życiu Sophie dzieją się rzeczy, którymi powinna się zainteresować – kwestia kontaktów towarzyskich była z pewnością trudna, odkąd Tess i Maya wyjechały. Ale Sophie była przecież zajęta muzyką i Andi

miała nadzieję, że biorąc pod uwagę wszystkie możliwości dostępne w szkole – grupę teatralną, zajęcia artystyczne, klub filmowy – Sophie w końcu znajdzie swoje stado. A potem pojawiła się Charlotte i wydawało się, że między dziewczynkami zaczęła kiełkować przyjaźń. Za każdym razem, kiedy ją o to pytała, Sophie zapewniała, że w szkole wszystko w porządku, a Andi wierzyła jej na słowo.

Jak brzmiało to powiedzenie? Nie szukaj kłopotów, bo one znajdą ciebie.

Ask.fm/sophiepen

## ZAREJESTRUJ SIĘ ZALOGUJ SIĘ

Myśli na mój temat **HelenBurns**

Naprawdę świetna wiolonczelistka. Najlepszy głos na obozie. Wesoła i cudowna.

Kiedy dzisiaj grałaś na fortepianie, aż się śliniłem, taka byłaś seksowna. **anon** LOL.  
Ty[9].

Ulubiony bohater książki **MattyMat**

Charlotte z *Pajęczyny Charlotty*.

Myśli na temat @CharlotteMah **HarrietGeo**

Bystra, zabawna, ładna, fajna, miła. Uwielbiam jej akcent!

Myśli na temat @Nellshep BridieS

Wygląda na miłą, ale tak naprawdę to jej nie znam, tbh.

Myśli na temat @Jadelon **MattyMat**

Nie znam jej, wydaje się miła. Nie rozmawiałam z nią, ale chciałabym.

@Jadelon wolałbym raczej zrobić laskę panu Steensowi, niż z tobą porozmawiać.  
**anon** Kim jesteś?

Jesteś gejem? **anon**

Nie.

Jeśli tak, to nie powinieneś się ujawniać. **anon** Nie jestem gejem.

Chcesz wylizać @CharlotteMah? **anon**

Masz na myśli polubić? Ha, ha.

Nie. Mam na myśli WYLIZAĆ JEJ CIPKĘ. **anon**

Obrzydliwe. Kim jesteś?

Nie znam cię, ale tbh jesteś najbrzydszą dziewczyną w szkole. **anon** Spadaj.

Wyślij zdjęcie swojego tyłka – muszę zachorować i zrobić sobie cztery dni wolnego od szkoły IMFAO[10] **anon**

Ha, ha.

Gdybym był taki brzydki, jak ty, to łyknąłbym sobie garść pigułek. **anon** Kim jesteś?

## ANDI

Po raz pierwszy, odkąd się tutaj przeprowadzili, mieli na kolacji gości spoza rodziny. Dziwne, myśli Andi, a przynajmniej podejrzewa, że większość ludzi uznałaby to za dziwne. Przecież nie są jakimiś pustelnikami ani nie są w żaden sposób upośledzeni pod względem towarzyskim. Należą do całkiem normalnych ludzi. Po prostu wcześniej nie miała czasu, a tak naprawdę – jeśli już ma być szczerą – ochoty. W ciągu tych wszystkich miesięcy Steve robił jakieś niejasne aluzje, żeby zaprosić tego czy innego kolegę z posterunku, ale nic z tego nie wyszło. Wygląda na to, że odkąd tutaj mieszkają, Andi jest albo zbyt zajęta, albo zbyt chora, albo w zbyt zaawansowanej ciąży – a od narodzin Gusa zbyt spektakularnie uziemiona – żeby zdobyć się na taki wysilek.

Steve właśnie wrócił z nocnej służby, więc Andi ma na głowie przygotowanie posiłku i doprowadzenie domu, który przedstawia obraz nędzy i rozpaczony nawet według dość niskich standardów Andi, do jakiego takiego porządku. Postanowiła nie komplikować sobie życia – lazania i sałatka, wykwentne lody z lodziarni zamiast rozważanego wcześniej ciasta dyniowego – ale oczywiście z niemowlęciem w domu nic nie przebiega zgodnie z planem. Gus wybrał sobie akurat ten dzień, żeby sprawiać kłopoty, domagając się więcej karmienia piersią i uporczywie nie dając się położyć spać na swoje dwie drzemki. Kiedy Andi stara się uzyskać pomoc Sophie: „Możesz go zabawić chociaż przez pięć minut?” – córka okazuje się kompletnie nieprzydatna, całkowicie pochłonięta swoim iPadem, bez przekonania trącająca jedną stopą huśtawkę dla niemowląt i ignorująca marudzenie brata.

– No chodź, Sophie – mówi Andi zniecierpliwiona, kiedy marudzenie przechodzi w regularny napad wściekłości i w kluczowym momencie musi porzucić swoje zajęcia w kuchni, żeby go uspokoić. – Nie tak znowu często jesteś proszona o pomoc. Mogłabyś się trochę postarać. Teraz będę musiała od początku robić ten biały sos. Jezu.

Spojrzenie, które posyła jej Sophie, jest poważne, słowa dziwnie wyzywające.

– Ja się o to wszystko nie prosłam, wiesz?

– O co? O zaproszenie ludzi na kolację? Myślałam, że będziesz zadowolona, że przychodzi Charlotte.

– Nie chodzi o to. Albo nie *tylko* o to.

– W takim razie o co chodzi? – Andi traci cierpliwość. Nie dość, że trzeba od początku zrobić biały sos, to jeszcze chyba będzie musiała wyskoczyć do sklepu, żeby kupić więcej mąki, a jeszcze nawet nie zaczęła sprzątać łazienki. Myśli z urazą o Stevie śpiącym sobie spokojnie piętro wyżej. Naprawdę nie ma czasu na znoszenie jeszcze złości nastolatki.

– Ach, nieważne. – Sophie wzrusza ramionami. – Nie martw się. To nic takiego.

Andi podejmuje próbę.

– No dalej, Soph. O co chodzi? Czy coś się dzieje w szkole? Czy kłócicie się z Charlotte?

Sophie prycha.

– Nie można tego traktować w kategoriach *walki*, mamo.

Andi bierze ten komentarz za dobrą monetę.

– No to dobrze.

Gus posapuje przy jej piersi, wyrażając dobitnie swoją potrzebę karmienia. Andi poddaje się i pada na sofę obok Sophie. Wzdycha i odpina stanik, obserwuje, jak mały przysysa się do piersi. Kiedy podnosi wzrok, Sophie przygląda się im obojgu, a po ustach błąka jej się dziwny uśmiezek.

– Wobec tego w czym problem?

– W niczym.

– Sophie?

– Nieważne. – Sophie jest milcząca, ale stanowcza. Wstaje. – Mogę już iść? Muszę poćwiczyć.

Andi przez chwilę martwi się, że coś przeoczyła, ale nie ma energii, żeby dalej dążyć temat. Uśmiecha się nieznacznie do córki i odwraca się do Gusa.

Kiedy przychodzi rodzina Mahonych, w domu nie panuje idealny porządek, ale też nie ma śladów braku cywilizacji – toaleta została pobieżnie wyszorowana, bałagan został ukryty za zamkniętymi drzwiami, przypadkowe przedmioty schowane do szuflad – a lazania się piecze. Gus został nakarmiony, wykąpany i w końcu leży zadowolony w swoim bujającym się leżaczkę, gaworząc niczym niemowlę z reklamy pieluszek. Steve zdążył już wypić dwa piwa, oczy mu błyszczą i jak zwykle jest w pełnej gotowości do nawiązywania kontaktów towarzyskich. Sophie nie wyściubia nosa z salonu, gdzie ćwiczy grę, dopóki nie dzwoni dzwonek do drzwi, ale wtedy

sprawia wrażenie dość radosnej. Po wstępnych powitaniach zabiera siostry Mahony do swojego pokoju. Cała trójka jest uzbrojona w niezbędne laptopy, iPady, iPhone'y i ogromną miskę chipsów. Rodzice zabierają się za popijanie drinków i rozmowy towarzyskie.

Mężczyźni przenoszą się do salonu, rzekomo w celu doglądania Gusa, podczas gdy kobiety zostają w kuchni.

– Dobrze widzieć, że nadal obowiązuje tradycyjny podział ról. – Beth nalewa im obu po kieliszku szampana, po czym przysiada na taborecie, kiedy Andi przygotowuje sałatkę.

– Wiem – wzdycha Andi. – Poddaję się. Kiedy urodziła się Sophie, usilnie staraliśmy się, żeby wszystko było sprawiedliwie.

– Sprawiedliwie? – Beth unosi brwi. – Daj spokój.

– Mieliśmy taką tabelkę – śmieje się Andi, przypomniawszy sobie dawne czasy, zanim pogodziła się z tym wszechobecnym poczuciem niesprawiedliwości. – Wszystko liczyliśmy: zmianę pieluch, karmienie, pranie, gotowanie. Ale w praktyce oznaczało to, że po powrocie do domu Steve musiałby nadrabiać swoje obowiązki aż do czasu, kiedy kładliśmy Sophie spać. Kąpiel, zmiana pieluszek, kołysanie jej do snu. Skończyło się na tym, że zaczął się bronić dwunastogodzinnymi zmianami. A wtedy oczywiście jego pomoc stała się niemożliwa.

Kroi ogórka w plasterki tak zaciekle, że odbija się od deski i ląduje na podłodze. Beth wybucha śmiechem.

– To jest nie do przeskoczenia, prawda? Myślę, że po prostu przyzwyczyłaś się do tej niemożności. A potem jakoś się z tym pogodziłaś. Chociaż wyobrażam sobie, że pewnie przeżyłaś lekki szok, kiedy musiałaś znowu do tego przywyknąć.

– Szok? To eufemizm.

– Szczególnie teraz, kiedy Sophie weszła już w taki bezobsługowy wiek.

Andi przerywa krojenie.

– Jakoś gładko to idzie, prawda? Chodzi mi o to, że słyszałam koszmarnie opowieści o dojrzewaniu i wyczekiwałam problemów. Ale Sophie, odpukać w niemalowane drewno, nie sprawia kłopotów i jakoś gorsze rzeczy ją omijają.

– Gorsze rzeczy?

– Chyba nie tak bardzo zabawnie jest mieć nowego braciszka. Nie mogłam sobie wyobrazić niczego gorszego, kiedy byłam w jej wieku, niż to, że moja mama miałaby

urodzić kolejne dziecko, ale Sophie całkiem dobrze to znosi.

– Pomaga przy Gusie?

– Pomaga, kiedy ją o to poproszę, ale – mówiąc szczerze – staram się tego nie robić. Wydaje mi się, że to byłoby niesprawiedliwe prosić ją o zbyt wiele. – Kiedy przedstawia sytuację w ten sposób, oddalenie Sophie od matki i brata brzmi tak, jakby była to przemyślana strategia Andi. – W każdym razie mam ich tylko dwójkę, więc nie jest aż tak ciężko.

– Jednym słowem betka, tak? – słyszy w głosie Beth śmiech.

– Tak. Masz rację. – Wypija łyk szampana i odwzajemnia śmiech. – Całkowita, cholerna betka.

Siadają do kolacji – dziewczynki z jednej strony stołu, dorośli z drugiej. Gus zesłany na banicję do ciemnego kąta jadalni leży pogrążony we śnie. Siostry Mahony skwapliwie włączają się w rozmowę dorosłych. Andi jest zdumiona ich pewnością siebie, szczególnie Charlotte, brakiem skrepowania w wyrażaniu opinii, dzieleniem się swoimi obserwacjami. Przekonaniem, że to, co mówią, jest wartościowe. Sophie przygląda się temu wszystkiemu przygaszona, ale bynajmniej nie nieszczęśliwa, myśli sobie Andi. Dyskusja przechodzi od szkolnych plotek po plotki miejskie i rodzinne, kobiety znajdują płaszczyznę porozumienia w narzekaniu (w przypadku Andi nieco naciąganym) na swoje matki i ich ciągle wtrącanie się.

– Ach, daj spokój, Andi. – Steve nie rozumie towarzyskiej natury jej braku lojalności i szybko broni teściowej, którą lubi. – Chyba nie jesteś fair. Twoja mama jest wspaniała, odkąd Gus przyszedł na świat. Naprawdę nie masz na co narzekać. Spędziła z tobą cały miesiąc i przyjeżdża tutaj co drugi weekend.

Andi przewraca oczami.

– Jakim cudem nie potrafisz zachowywać się jak porządny zięć i narzekać na moją matkę? Co jest z tobą nie tak? – Tylko one dwie zanoszą się śmiechem. Dan mówi poważnym głosem:

– Jeśli już mówimy o matkach, to zapomniałem, jak to dobrze mieć rodzinę w pobliżu. Mama, która mieszka blisko, to jedna z najlepszych rzeczy związanych z powrotem do Australii. – Beth krztusi się drinkiem, ale jedynie Andi zdaje się to zauważać. Dan z entuzjazmem mówi dalej: – Nie wiem, czy Beth wspominała, że dziewczynki chodzą do mamy w te popołudnia, kiedy ona jest w pracy. Dzięki temu wszystko staje się proste – w Stanach nigdy nie mogliśmy sobie na coś takiego pozwolić.



– Nie mogliśmy sobie na coś takiego pozwolić, ponieważ nie miałam pozwolenia na pracę w Ameryce. – Ton głosu Beth jest oschły, niewzruszony.

– Właściwie to jest słabe, tato. – Charlotte wtrąca się nieco głośniejszym głosem, niż tego wymaga sytuacja. – Nie potrzebujemy niańczenia. Mogłybyśmy wracać po szkole prosto do domu. Chodzenie do babci jest wkurzające.

– Nie jest tak źle, Charlotte. Babcia przeważnie pozwala nam robić to, na co mamy ochotę. – Lucy łagodnie upomina swoją siostrę, a oczy Charlotte się rozszerzają.

– Ale to tylko dlatego, że chcesz robić rzeczy, które babcia każe. Ja nie mam ochoty piec ciasteczek. *Ani* uczyć się, jak dziergać na drutach.

Dan spogląda na nią pobłaźliwie i stwierdza cierpkim tonem:

– Jesteś po prostu wkurzona tym, że babcia nie ma Internetu. Czyż nie o to chodzi, Charlie? Musisz odłożyć na kilka godzin swoje ulubione urządzenia.

– Charlotte, tato, nie Charlie. W każdym razie nie tylko o to chodzi. To jest... Siedzenie tam to czysta strata czasu.

– Chodzenie do babci to strata czasu? Chciałbym wiedzieć, czym się zajmujesz, ślęcząc cały czas nad tymi elektronicznymi gadżetami. Jestem pewien, że niczym pożytecznym. Co tam robisz? Rozmawiasz z chłopakami?

– Jasne. Jakbyśmy w ogóle znały jakiś chłopaków. Może nie zauważyłeś, ale wysłaliście nas do żeńskiej szkoły, tato – mówi to pogardliwym tonem.

Dan zwraca się do Sophie:

– Może ty mi to wyjaśnisz, Sophie. Domyślałam się, że masz podobnie. Powiesz mi, co robicie, kiedy ślęczycie nad tymi iPadami?

Sophie spuszcza wzrok na talerz i niewyraźnie mamrocze coś pod nosem. Andi jest zirytowana brakiem dobrych manier swojej córki.

– Sophie, zostałam o coś zapytana. Powinnaś patrzeć na ludzi, kiedy z nimi rozmawiasz. Odpowiedz Danowi tak, jak należy, proszę.

Sophie nadal wpatruje się w swój talerz. W końcu podnosi wzrok na Dana i posyła mu szeroki uśmiech, którego jednak nie widać w jej oczach.

– Wiem tylko, czym ja się zajmuję, a to są przeważnie zadania domowe. Nie mam pojęcia, co robią w Internecie inne dziewczyny. – Mruży oczy, uśmiech znika z jej twarzy. – Może oglądają filmy porno. Albo filmiki na YouTubie o torturach małych zwierzątek.

– Sophie! – Steve jest wyraźnie zaszokowany, a na jego twarzy można wyczytać

ostrzeżenie, ale pozostali dorośli się śmieją. Siostry Mahony wyglądają na nieco zmieszane, jakby Sophie puściła bąka przy stole. Sophie chwyta widelec, który zawisa w powietrzu. Bierze głęboki oddech i spogląda na Charlotte swoimi szeroko otwartymi oczami, a jej głos jest całkowicie pozbawiony wesołości:

– Z tego, co wiem, są takie dziewczyny, które siedzą w mediach społecznościowych przez całą noc i zostawiają obrzydliwe komentarze na temat koleżanek, które nie są aż tak lubiane jak one.

WWW.SLAMAZARA.COM

W każdej klasie jest taka.

To ta z nalaną twarzą, grubym tyłkiem i tłustym, obwisłym brzuchem, który wylewa jej się ze spódnicy. Całe pudło środków przeczyszczających nie pomogłoby tej suce. (Uwaga, chłopaki: nie ma przerwy między udami).

To ta, która ma zadyszkę, kiedy wchodzi po schodach. Jeśli musi biegać na wuefie, robi się taka czerwona na twarzy, że wydaje ci się, że zaraz eksploduje. #czerwonyalarmgrubaski To ta, która jest dobra w czymś tak słabym, jak gra na fortepianie. #frajerka To ta, która twierdzi, że bibliotekarka jest fajna, i cieszy się, kiedy może wyluzować się tam podczas przerwy obiadowej ze swoją książką Jane Austen. #lesba To ta, która pokazuje ci zdjęcie swojego brata niemowlaka i oczekuje, że powiesz, jaki on rozkoszny, tymczasem tak naprawdę ma zeza i wygląda jak niedorozwój. #pojeb To ta, która co roku zaprasza grupę najbardziej lubianych dziewczyn na swoje przyjęcie urodzinowe, po czym jest zaskoczona, że nikt się na nim nie pojawia. #dziwadło Tak rozpaczliwie chce w tym wszystkim uczestniczyć – chce należeć do NASZEJ paczki – tymczasem musimy jej powiedzieć, że pragnąc tego tak bardzo, pokazuje nam dobitnie, dlaczego nigdy nie będzie mogła należeć... #zabijsięsuko Ślamazara w szkolnym mundurku.

Ślamazara grająca w netball. ROFL![\[11\]](#)

Hej, Ślamazaro, może pokażesz nam kawałek swojego cielska?

Tadam! Oto wideo z Sophie, która *wyskakuje* ze swojego szkolnego mundurka. OMG!

Wtf[\[12\]](#), jeśli chcecie to oglądać, powinniście mieć pod ręką wiadro. Lol.

Hej, Ślamazaro, a może umrzesz? #koniectejudręki

#dladobraludzkości

KOMENTARZE WYŁĄCZONE

Ask.fm/charlottemah

## ZAREJESTRUJ SIĘ ZALOGUJ SIĘ

Czy widziałś tę stronę o ślamazarze? **HarrietGeo** Wtf?

[www.slamazara.com](http://www.slamazara.com) **Harriet Geo**

OMG!!!! LMFAO!!!

Ty to zrobiłaś? **HarrietGeo**

Nie bądź cipą. Hej **@AmeliaCar** to ty?

Nie ma mowy. To naprawdę cholernie okrutne. Kasuję wszystkie moje konta **AmeliaCar** Gruba przesada.

Ona ma rację. Totalnie okrutne. Nie ma z czego się śmiać **@HarrietGeo** i **@CharlotteMah** **LucyMah**

**@LucyMah** jesteś starą babą.

To jakieś chore świństwa, a wy jesteście stukniętymi, popieprzonymi kretynkami. **MattyMat**

Pieprz się.

Co dalej? Kociaki? Starsze panie? Niemowlęta? **anon** Pierdol się.

Słyszałem od kogoś z dawnych czasów, że jesteś stukniętą zdzirą. **anon** Tak? Kim ty, do cholery, jesteś?

Zatrucie oleandrem brzmi znajomo? **anon**

KONTO ZLIKWIDOWANE

## SOPHIE

Aż trudno to sobie wyobrazić.

Gdyby ją zapytać, Sophie, to dziecko – bo to jeszcze dziecko, tak naprawdę wciąż niewinne – powiedziałyby, że czuje się stara, zbyt stara, że dźwiga na swoich kruchych ramionach ciężar całego świata, zbyt wiele wymagań, zbyt wiele oczekiwań. Nie chodzi o naukę w szkole ani o muzykę, ani o obowiązki domowe – to łatwe zadania, nie wymagają zbyt wiele wysiłku. Ostatnio tylko one uwalniają Sophie od całej reszty, uwalniają ją od samej siebie. Bo to najtrudniejsza część. Największą trudność sprawia jej nie działanie, ale właśnie stawanie się, *istnienie*.

Nie zawsze tak się działo. Kiedyś, nie tak dawno, w zeszłym roku, chociaż czasem ma wrażenie, jakby to było wieki temu – było łatwiej. Nie miała potrzeby myślenia, aktywnego działania. Po prostu *istniała*. Chodziła do szkoły, bawiła się albo się nie bawiła, była szczęśliwa albo nieszczęśliwa, miała przyjaciół albo czuła się osamotniona. Wszystko było proste. Dobre wykonywanie tego, co do niej należało, stało się jej drugą naturą. Na placu zabaw bywało trudniej – zawsze działały jakieś układy, których nie była świadoma, ktoś coś insynuował, a ona nie rozumiała podtekstów. Czasami miała wrażenie, jakby istniały kroki jakiegoś tańca, którego wszyscy nauczyli się podczas jej nieobecności. Ale przeważnie nie miało to dla niej znaczenia – niektóre dni były dobre, niektóre złe, jeszcze inne zwyczajne, ale czuła w swoim życiu silny puls, podstawowy rytm, coś znaczącego, co rozpoznawała jako swoją *jaźń*, co miało sens.

A teraz ma wrażenie, że niczego nie jest pewna, nigdzie nie czuje się bezpieczna, a już na pewno nie z samą sobą.

W szkole bez przerwy mówią o dojrzewaniu, o zmianach, których można się spodziewać. Powiększające się piersi, owłosienie, miesiączka, tkanka tłuszczowa na jej udach i brzuchu, która miała się gromadzić, a właściwie już się zgromadziła, aż tak bardzo jej nie niepokoją, chociaż wie, że inni ludzie (dziewczyny, matki, nauczyciele, może nawet jej ojciec) uważają, że ją to niepokoi albo przynajmniej powinno niepokoić. Wyjaśniają również – naprawdę w nieskończoność i zapewne posiada już na ten temat wystarczającą wiedzę, żeby założyć własną praktykę psychologiczną – te wszystkie zmiany emocjonalne, które się dzieją. To, że prawdopodobnie będzie

doświadczając zmian nastroju, że może czuć się, jakby jechała rollecoasterem, w jednej chwili w górę, w kolejnej w dół. Kiedy sięga pamięcią do ostatnich miesięcy, dopadło ją chyba wszystko, o czym wspominało. Przypomina sobie swoje podekscytowanie, kiedy urodził się Gus. Czuła się niemalże oszołomiona miłością do brata. A potem pojawiły się żal i złość, nieznanne, niespodziewane emocje, które nagle poczuła do swoich rodziców – na beznamietną nieustępliwość swojego ojca, drażliwość i chłód jej matki. Wciąż uwielbia swojego małego braciszka, ale ma już dosyć tego ciągłego poświęcania mu uwagi, tego odsuwania na bok jej potrzeb. Ma już dość tych wszystkich dorosłych w swoim życiu, zarówno nauczycieli, jak i rodziców. Nie dostrzegają niczego, co się z nią dzieje, dbają tylko o siebie.

Zacząła ten rok szkolny z wielkimi nadziejami. Na początku siódmej klasy wyobrażała sobie, nawet pomimo odejścia Mai i Tess, że wszystko zmieni się na lepsze – do klasy dojdą nowe koleżanki, reszta wydorosłeje. Sytuacja się poprawi. Ale tak się nie stało. Jest jak dawniej, a Sophie znów czuje się przygnębiona, samotna, niepewna, kogo mogłaby zaliczyć do grona swoich przyjaciółek, usilnie szuka zajęć podczas przerwy obiadowej. Tak naprawdę jest nawet jeszcze gorzej, ponieważ doświadczyła już, że mogłoby być o wiele lepiej.

A potem pojawia się Charlotte i przez jakiś czas wszystko znowu nabiera jasnych barw. Jakże wielkie nadzieje w niej pokładała. Dobrze się razem bawiły, wiedziała, że tak było. Poza tym Charlotte ją polubiła. Ale nie mogła oprzeć się pokusie zyskania popularności – Sophie to rozumiała – ktoś by wybrał inaczej? A zdobycie popularności oznaczało porzucenie Sophie. A nawet więcej niż porzucenie, bo oznaczało pokazanie światu, że nie chciała mieć z nią nic wspólnego. Był to dla niej ogromny cios, a to dręczenie całkowicie ją zaszokowało, ale *nawet* i to by jeszcze zniosła. Wciąż miała inne chwile – rzadkie momenty radości w klasie, czas, kiedy czerpała przyjemność z przebywania ze swoją rodziną, muzykę, książki, marzenia na przyszłość.

A potem doszła jeszcze ta strona internetowa. W chwili, kiedy Sophie ją zobaczyła, ogarnęło ją odrętwienie. Otworzyła link przesłany jej mailem z adresu, którego nigdy wcześniej nie widziała na oczy, a który brzmiał zupełnie niewinnie: *Zatroskana przyjaciółka*, tak był podpisany. Troska. Kiedy przeczytała zawartość tej strony, poczuła się tak, jakby połknęła coś szkodliwego, truciznę uwarzoną ze słów. Poczuła, jak dobrze znana kula formuje się w jej żołądku, czuła, jak się wewnątrz przewracała. Ale kiedy obejrzała zdjęcia zamieszczone w dalszej części strony i film wideo nakręcony w jej własnym pokoju, na którym była właściwie naga, w trakcie rozbierania się, a jej ciało zostało odsłonięte w całej swojej brzydocie, natychmiast

przestało jej się przewracać w żołądku. Natomiast poczuła się tak, jakby wszystko z niej uleciało, jakby całe jej ciepło, krew i ciało, żywa tkanka, zamieniły się w lód. Za sprawą czegoś zimnego, twardego i nieczułego. Czegoś martwego.

Przypuszcza, że to wszystko jej wina. Nauczyciele i rodzice ostrzegali, co może zdarzyć się w Internecie. Filmy, ulotki, pogadanki z ekspertami, z policją. Mogła się tego spodziewać. Powinna była zdawać sobie sprawę, co się stanie, jeśli się w to wszystko zaangażuje. Była oczywistym celem niczym kaczka na strzelnicy. Powinna była spodziewać się czegoś takiego, przygotować się na to. Ale jak? Nie wiedziała, nikt tak naprawdę nie wyjaśnił, jak to działa. Że nie ma żadnej ucieczki. Że chociaż te słowa i obrazy przyprawiają o mdłości, nie można przestać ich czytać i oglądać. Że snują się za tobą wszędzie. Że trawią twoje wnętrze i pochłaniają cię. Że w końcu *stają* się tobą.

Nie rozumiała jednak tego, jak stopniowo, krok po kroku, niszczyły wszystko, co składało się na jej tożsamość, pozostawiając jedynie ogromną pustkę. Jest zaskoczona tym, że teraz, kiedy już zadaje sobie ten trud, żeby spojrzeć w lustro, wciąż widzi tam swoje odbicie, zdumiona tym, że wygląda tak samo, normalnie, że ani na jej twarzy, ani w jej oczach nie można dostrzec niczego, co dałoby komuś do myślenia, co zdradzałoby cokolwiek. Kiedy odpowiednio porusza ustami, wciąż udaje jej się ułożyć je w uśmiech, w kącikach oczu, jak zawsze, pojawiają się zmarszczki, w prawym policzku nadal robi się dołeczek. Zdumiewa ją fakt, że na zewnątrz nic nie wskazuje na to, że gdzieś zaginęła, nie ma żadnego jaskrawego neonu z napisem *pustka*, który migotałby pośrodku jej czoła.

Ale w rzeczywistości została odarta ze wszystkiego tak, że nie widzi już żadnego sensu, ani krzty sensu. Wciąż bez najmniejszego wysiłku potrafi rozwiązać równanie, które daje jej matematyka. Umie grać na fortepianie równie pięknie, jak wcześniej, ale straciła do tego serce. Tworzenie muzyki przestało wypełniać świat słodyczą tak jak kiedyś. Nie ma w niej miłości, ani cienia miłości do rodziców, a nawet do młodszego braciszka. Być może odczuwa pewną ulgę. W końcu nie obchodzi jej to, czy dziewczyny w szkole chcą się z nią przyjaźnić. Nie przejmuje się tym, co o niej myślą, mówią, a nawet piszą.

To wszystko nie ma już żadnego znaczenia. Nie istnieje już nic, czego by oczekiwała, nic, na co miałyby nadzieję.

*A może umrzesz? Napisał ktoś, kto za tym wszystkim stał. Koniec tej udręki.*

Właściwie dlaczego by nie?



## ANDI

Ten obraz będzie prześladował Andi w snach do końca życia. Tę chwilę będzie przeżywać wciąż na nowo. Ta scena będzie przy niej trwać, pozostanie z nią jak żaden inny moment przedtem ani potem, szczęśliwy albo bolesny. Pozostanie z nią na zawsze.

Późne sobotnie popołudnie. Prawie wieczór. Pograżony w półmroku dom szybko się wychładza, jak zawsze o tej porze roku. Gus zasnął w wózku podczas powrotu do domu z popołudniowego spaceru i chociaż Andi wie, że później za to zapłaci – nie ma szans, żeby to dziecko poszło dzisiaj spać o dziewiętnastej trzydzieści – ustawia go w kącie pokoju, upewnia się, że mały jest bezpiecznie przypięty paskami i dobrze przykryty, po czym go tam zostawia. Korzysta z okazji, żeby położyć się przed telewizorem i zdrzemnąć pół godziny. Sobota jest dniem, w którym zamawiają jedzenie na kolację, więc nie musi przygotowywać żadnego posiłku, w ogóle niczego już nie musi robić. Cóż za rozkosz. Dom zamienia się w dziwną oazę ciszy, kiedy przysypia – Steve czyta w gabinecie, Sophie siedzi w swoim pokoju i Bóg jeden wie, czym się zajmuje.

Andi zasypia, ale zrywa się nagle ze snu, kiedy jeden z psów sąsiadów zaczyna szczeleć. Chyba już się wyspała, ponieważ nie odczuwa wyczerpania, które zwykle ją ogrania, kiedy zapada w głęboki sen w ciągu dnia, ale dziwną czujność pełną niezwyklej (jak na tę porę dnia) energii. Poza tym jest strasznie głodna. Zagląda do wózka, w którym Gus w cudowny sposób wciąż jest pograżony we śnie, po czym wędruje przez dom, szukając pozostałych członków rodziny. Włącza światło w miarę, jak przechodzi z pokoju do pokoju.

– Hej – woła Andi, przyciszonym głosem, żeby nie obudzić Gusa. – Gdzie jesteście? Co się dzieje? – Słyszy jakąś krótką stłumioną odpowiedź Steve'a (wszystko wydaje się wyciszone w tym domu), który najwyraźniej jest jeszcze w gabinecie, ale nie ma żadnego sygnału od Sophie. Wchodzi po schodach, stąpając ciężko, bez najmniejszego pośpiechu, nieco zdezorientowana w półmroku. Otwiera szeroko drzwi do pokoju córki, nie pukając.

– Sophie, Soph – woła – może zamówimy dzisiaj wieczorem jakieś hinduskie jedzenie. Moglibyśmy nawet...

Słowa zamierają jej na ustach. Spodziewała się zobaczyć to, co zwykle – Sophie ściskającą w dłoniach swojego iPada, obłożoną stertą koców, rozwaloną na środku łóżka przypominającego wyspę otoczoną stosem leżących bezładnie książek, papierów, nut i ubrań. Horyzontalna powierzchnia magazynowa Sophie, jak Steve lubi nazywać jej pokój.

Tymczasem w pokoju jej córki panuje nieprawdopodobny porządek. Łóżko jest pościelone, podłoga dookoła całkowicie pusta, ubrania i papiery spakowane. Nawet biurko Sophie zostało uporządkowane – podręczniki szkolne starannie poukładane, długopisy i ołówki ustawione idealnie pionowo w pojemniku.

Sophie leży pogrążona we śnie na środku tego idealnie pościelonego łóżka, ubrana w swoją nową, czarną, aksamitną sukienkę na walijski festiwal artystyczny, z kasztanowymi włosami rozrzuconymi w wachlarz na poduszce, rękami złożonymi na piersiach. Jej córka, blada i nieruchoma, niczym współczesna Śpiąca Królewna.

Chwil, które nastąpiły później, Andi nie jest w stanie sobie przypomnieć – zaginęły gdzieś w szoku, głęboko zagrzebane w pamięci. Naprawdę ich nie pamięta, chociaż wie od Steve'a, co było potem, co robiła. Bo cóż właściwie mogła wtedy zrobić? Cóż innego mogłaby zrobić matka w takiej chwili? Oczywiście natychmiast próbowała zbudzić to nieruchome dziecko, najpierw delikatnie kładąc dłoń na jego ramieniu i szepcząc „Soph”. Nieudana próba obudzenia córki zbiegła się z dostrzeżeniem pustej fiolki umieszczonej starannie (i jakże roztropnie!) na nocnym stoliku. Kolejna próba obudzenia córki była bardziej uporczywa, potrząsała nią, początkowo ostrożnie, a potem bardziej brutalnie. Kiedy wreszcie dotarło do niej to, co zobaczyła, kiedy wpadła w panikę, zaczęła krzyczeć, wrzeszczeć o pomoc, przez cały czas szarpiąc jak szalona swoją córkę, która nie dawała znaku życia.

Dowie się potem, ponieważ Steve jej powie, że kiedy wszedł do pokoju, zobaczył, jak z przerażeniem podjęła próbę reanimacji swojej córki, że kiedy wszedł do tej komnaty horroru, Andi robiła sztuczne oddychanie metodą usta-usta – prawdziwy pocałunek miłości – że próbowała na siłę wpompować tlen do płuc, które wciąż pracowały, i Steve musiał ją odciągnąć, zmusić do wyjścia. „Przynies telefon” – powiedział do niej. – „Zadzwoń po karetkę”. Jakimś cudem udało jej się wyjść z pokoju i zejść po tych niebezpiecznych schodach. Fakt, że dotarła na dół, nie potykając się ani nie staczając z łoskotem, sam w sobie był niebywały. To, że znalazła telefon i zadzwoniła, wstukała potrójne zero, zdołała składnie zdać relację z tego, co się stało – podać nazwisko, adres, wiek, nieszczęście – było kolejnym cudem. Lata, dni, chwile później, kiedy przyjechali ratownicy, a Steve przekazał bezwładne ciało

córki w ich ręce, kładąc ją na noszach, które miały zostać wyniesione, Andi kurczowo uchwyciła się Sophie, najpierw nieruchomej twarzy, potem ramion, dłoni, a w końcu stóp. Gdy wsuwali jej blade, zastygłe ciało do czekającej karetki, Steve musiał odciągnąć Andi, żeby mogli zamknąć drzwi.

Ale Andi nic nie pamięta. Nigdy niczego sobie nie przypomni poza tym pierwszym błyskiem, kiedy uświadomiła sobie w głowie i w sercu, kiedy zrozumiała, nie wierząc własnym oczom, że spokojny sen Sophie to nie był zwyczajny sen.

I że podobnie jak Śpiąca Królewna, jej córka może być pogrążona we śnie przez sto lat, a jeśli nie zdarzy się jakiś cud, może się z niego już nigdy nie obudzić.

## CZĘŚĆ TRZECIA

## ANDI

Dlaczego nie wiedziałaś?

To pytanie za milion dolarów. Pytanie, którego wszyscy starają się jej nie zadawać – policja, inni rodzice, nauczyciele, rodzina, a nawet Steve. Mimo wszystko to była jej odpowiedzialność. Przecież jest matką, powinna przez cały czas być na bieżąco z emocjonalnymi i fizycznymi potrzebami każdego członka rodziny. Świadomość tych potrzeb była jej obowiązkiem, jej zadaniem. A co za tym idzie, brak tej świadomości był jej winą.

*Dlaczego nie wiedziałaś?*

Pojawiają się również inne pytania. Nieustanny krzyżowy ogień pytań bez odpowiedzi, które jej się nasuwają, kiedy tak siedzi przy szpitalnym łóżku. Mijają długie godziny, dzień wlecze się za dniem, a ona głaszcze bladą i niedającą znaku życia dłoń córki ze wzrokiem utkwionym w twarzy Sophie, czujna na wszystkie te urządzenia, monitory i rurki, które stanowią dla niej potwierdzenie, że nawet jeśli córka nie wykazuje żadnych oznak świadomości, to wciąż żyje i dlatego ciągle istnieje nadzieja.

O tylu rzeczach nie wie.

Dlaczego nie miała pojęcia, że Sophie była nieszczęśliwa? Wiedziała, że życie towarzyskie córki było niełatwe – już w przedszkolu dziewczynka wyraźnie odstawała od reszty. Talent muzyczny Sophie, ta jej pasja, która pojawiła się znikąd i wyróżniała ją od wczesnego dzieciństwa, pomimo wysiłków Andi i Steve'a, żeby utrzymać to w tajemnicy i zachować normalność, też jej nie pomagał.

Zarówno ona, jak i Steve byli pełni podziwu i pokory wobec ogromnego talentu córki. Nauczyciele zachwycali się nią, ale oczywiście widzieli już niejedno dziecko z podobnymi uzdolnieniami, więc przyjmowali to w bardzo rzeczowy sposób, co znacznie ułatwiało sprawę. Sophie mogła rozwijać ten talent albo nie, ale to na nich, na rodzicach, spoczywała odpowiedzialność, żeby wspierać ją w tym, co robiła, i zapewnić jej to, czego potrzebowała.

Poza oczywistą niezwykłością jej talentu istniały jeszcze inne różnice, które sprawiały, że Sophie nie potrafiła być taka jak inne dzieci. Sophie zawsze miała

wszystko w *nadmiarze* – poza zbyt wielkim talentem była również zbyt bystra, zbyt wrażliwa, zbyt skromna, zbyt dobra. I zbyt puszysta. Wolno biegła, niezdarnie łapała piłkę ze strachu, że ją uderzy, była skrępowana sporadycznymi atakami astmy. Za to śmiało grała na fortepianie nawet wtedy, kiedy jako siedmiolatka siedziała sama na scenie podczas koncertu, a rodzice nie mogli się nadziwić jej spokojowi. Ale w kontaktach z rówieśnikami szybko traciła pewność siebie, łatwo było podkopać jej poczucie wartości.

Andi dostrzegła to u córki, zaakceptowała jej status outsiderki jako nieunikniony, jako nieodłączną część jej osobowości. Oczywiście, kiedy pojawiały się problemy albo dramatyczne sytuacje, Andi brała sprawy w swoje ręce – gdy Sophie przychodziła zapłakana po złym dniu w szkole, gdy nie została zaproszona na przyjęcie, na które usilnie pragnęła pójść – ale Andi nigdy nie uczyła córki strategii przetrwania, nigdy nie szukała pomocy u pedagogów ani psychologów, nigdy nie chciała napisać piosenki albo stworzyć tańca o tym wszystkim. Uznała, że sytuacja się poprawi, że Sophie w końcu sobie z tym poradzi. Przyjęła, że to nie jest żaden wielki problem.

Wierzyła, że powiedzenie na temat odporności było prawdą – co cię nie zabije, to cię wzmocni. Ale może właśnie Sophie zabiło.

Dlaczego nie dostrzegła w oczach córki depresji i rozpacz? Jakim sposobem nie zauważyła tych sygnałów, które wyraźnie dawały o sobie znać w ciągu ostatnich kilku miesięcy? Tropów, które naprowadzały na to, co się działo i jak Sophie się czuła. Gdzie pochowały się te bóle brzucha, opuszczone dni w szkole, niezjedzone obiady, napady płaczu? Zawodowo Andi zawsze uważała się za dobrą obserwatorkę, która umie wnikać głębiej w to, co skrywa się pod powierzchnią, potrafi wyciągać właściwe wnioski. Jak mogła być tak beztroska, jak mogła opierać się na sfingowanych dowodach?

A jednak nawet z perspektywy czasu Andi wciąż nie dostrzega żadnych niepokojących sygnałów. Czyżby była zbyt roztargniona, zbyt rozkojarzona z powodu ponownego macierzyństwa, żeby to dostrzec? Poza tym, cóż mogłaby zrobić, tak szczerze mówiąc, gdyby miała świadomość, że coś się działo, że Sophie była prześladowana? Co niby do tej pory zrobiła? Sophie wiedziała z doświadczenia, że nie było większego sensu rozmawiać na ten temat, że jej matka unikałaby zbędnego zamieszania, że rady Andi niczym nie różniłyby się od tego, co wciąż jej powtarzała – spróbuj się zahartować, spróbuj jakoś to przetrwać, spróbuj nie zwracać na to uwagi. Z pewnością udzielała tych rad, kierując się miłością, ale czyż nie pobrzmiwała w nich nutka zniecierpliwienia, pragnienia, żeby jej córka już dorosła, żeby sama

dawała sobie z tym radę?

Czego nie usłyszała? Czy nie było jakichś dziwnych rozmów, które przerywała w połowie zdania, ponieważ była zbyt zajęta, zbyt zmęczona, zbyt roztargniona z powodu obowiązków macierzyńskich, które pochłaniały cały jej czas? Czyżby Sophie usiłowała jej się zwierzyć, a ona odrzuciła jej próby? Andi wie, że pod pewnymi względami zaniedbała swoje obowiązki. Ale Sophie jest taka dobra, sumienna, nie skarży się na nic, ma niezmiennie wysokie wyniki w nauce, wzorowe zachowanie. Andi nie poszła na pierwszą wywiadówkę – Gus miał jeden ze swoich trudnych dni i ślaniała się na nogach ze zmęczenia. Steve był na służbie kawał drogi stąd i nie mógł wrócić, żeby zająć się małym, ani nie mógł sam pójść na zebranie. Sophie miała bardzo dobre oceny ze wszystkich przedmiotów i żadnych problemów z zachowaniem.

Steve miał wątpliwości. Może to dobry pomysł, żeby spotkać się z nowymi nauczycielami, zasugerował. Czasem twarzą w twarz powiedzą ci o sprawach, których nie chcą omawiać na piśmie. Ale ostatecznie decyzja należała do Andi – w końcu jest matką Sophie. A matki zawsze wiedzą najlepiej. Poza tymi przypadkami, kiedy nie wiedzą.

Przejrzała ostatni raport z wynikami w nauce Sophie, rozpaczliwie szukając jakiejś wskazówki, czytając między wierszami, żeby znaleźć jakiś sygnał, że sprawy nie układały się tak, jak powinny. Ale tam też niczego nie znalazła. „Sophie ciężko pracuje, Sophie zawsze przynosi na czas prace domowe, Sophie to urocza dziewczynka. Prace Sophie zawsze są na najwyższym poziomie”. Jedyna negatywna uwaga na całych stronach pochwał: „Sophie niechętnie bierze udział w klasowych dyskusjach. Ale ponieważ ma to raczej związek z brakiem pewności siebie, niż z wiedzą z danego przedmiotu, jestem pewna, że sytuacja się poprawi, kiedy Sophie będzie starsza”.

Uznała, że wszystko było w porządku, ponieważ Sophie jej tak powiedziała. Wygodnie było przyjąć zapewnienia córki. Andi potrzebowała spokoju, ciszy, czasu, żeby móc się skupić na Gusie, a Sophie, która zawsze była taka uczynna i nigdy nie sprawiała najmniejszych kłopotów, jej to zapewniała.

Poza tym istnieje jeszcze jedna potworna możliwość. Ta, która przez cały czas zagłęda jej prosto w oczy, ta, na którą żadna matka niemalże nie jest w stanie spojrzeć – a jeśli Andi przyczyniła się do tego wszystkiego czymś więcej niż tylko brakiem uważności? A jeśli skutki narodzin Gusa i przekierowania uwagi Andi były o wiele poważniejsze, niż zdawali sobie z tego sprawę? Andi uznała, że dystans

między nią a córką był czymś normalnym, nieodłączną częścią okresu dorastania, że pojawienie się na świecie Gusa zapewne niewiele zmieniło w chwili, kiedy ta pępowina i tak z założenia była już naciągnięta. A co, jeśli Sophie poczuła się wygryziona, odrzucona? Robi jej się słabo, kiedy przypomina sobie, jak oboje stwierdzali na głos, wielokrotnie, że Gus jest łatwiejszy w obsłudze, niż Sophie była jako niemowlę, że drugie dziecko jest o wiele mniej absorbujące. Tak naprawdę nie mieli tego na myśli, oczywiście, że nie mieli. Ale co, jeśli Sophie, która zawsze była wrażliwa, wzięła to sobie do serca? Co, jeśli jej córka czuła się mniej kochana? Co, jeśli czuła się niekochana? O Boże, co wtedy?

Andi wciąż siedzi, wciąż czeka ledwie świadoma czegokolwiek poza cichym brzęczeniem monitorów mrugających światełkami oraz powolnym unoszeniem się i opadaniem klatki piersiowej córki. Ach, nie ma żadnych odpowiedzi, żadnych przyczyn, żadnego wytłumaczenia. Pozostała jej tylko nadzieja – ale ona jest równie ulotna jak oddech Sophie, równie pogmatwana jak jej nieuporządkowane myśli.



## Sekretny kobiecy biznes?

Czasem się z tego śmiałyśmy, ja i moje przyjaciółki, żony zajętych mężów pracujących w korporacjach, że tak naprawdę nie wiedziałyśmy, co oni właściwie *robią*, żeby zapracować na te pieniądze, które przynoszą do domu. Łatwo sobie wyobrazić, co robi lekarz albo nauczyciel, a nawet prawnik, ale niektóre zawody – analitycy, technicy, konsultanci – nie miałyśmy zielonego pojęcia.

„Ch... wie, co robi Terry”, przyznała kiedyś moja przyjaciółka S., kiedy piłyśmy drinka. „Ma to coś wspólnego z zarządzaniem. Chyba. A może teraz pracuje już w IT. Kiedy go poznałam, był prawnikiem i ja byłam prawniczką, ogarniałam to, ale teraz?” Wzruszyła ramionami. „Któż to wie”. Wypiła do dna kieliszek szampana i naląła sobie kolejny.

„Zresztą”, dodała szyderczo „mam wrażenie, że on też nie ma zielonego pojęcia, czym ja się zajmuję”.

„A czym się zajmujesz?” Przez chwilę myślałam, że przegapiłam coś ważnego, że wróciła do pracy, nic o tym nie wspominając.

„Chodzi mi o to, czym zajmuję się przez cały dzień w domu, no wiesz, dzieci, gotowanie, zarządzanie tym całym cyrkiem. Zapewne dla niego to też jedna wielka tajemnica”.

Wtedy miałam wrażenie, że poruszyła jakąś czułą strunę. I może tak było.

Ale teraz, kiedy sama pracuję, pewne rzeczy zmieniły się. Muszę przyznać, że wciąż nie mam zielonego pojęcia, czym zajmuje się D. Jest inżynierem, więc pewnie coś konstruuje, tak? Przypuszczam, że on również nie ma pojęcia, co ja robię w swojej pracy. Kiedy pyta, odpowiadam, że rozmawiam z ludźmi, dzwonię, piszę.

Ale z ulgą donoszę, że nasze gospodarstwo domowe właśnie wkroczyło w dwudziesty pierwszy wiek, a domowa orka na ugorze przestała już być sekretnym

kobiecym biznesem. Wiecie, te wszystkie przyziemne sprawy związane z prowadzeniem domu – jak działa pralka, co dziewczynki jedzą na lunch, gdzie są tabletki do zmywarki, gdzie można znaleźć czyste ubrania na trening... Wszystkie te niezbędne do życia informacje wreszcie ujrzały światło dzienne.

I pozwólcie, że zdradzę wam to niczym długo skrywany sekret – poczułam ogromną ulgę, kiedy zrzuciłam to wszystko ze swoich barków.

29♥

## KOMENTARZE:

**@MamaZKrainyOWTokio** pisze:

Och, Lizzy. Znowu ci zazdroszczę. Tutaj zdecydowanie wciąż jesteśmy w średniowieczu. Westchnienie. XO

**@NiebieskaSue** pisze:

Dobrze ci to robi, Lizzy. Nigdy nie doszliśmy do tego etapu, chociaż muszę przyznać, że mój DH podejmuje próby. Teraz, kiedy jest na emeryturze, udało mi się skłonić go do pomocy przy praniu, a także od czasu do czasu przy pracach ogrodniczych, co byłoby niemożliwe, kiedy jeszcze pracował. Mam nadzieję, że następne pokolenie ma więcej szczęścia. Chociaż czasami się zastanawiam, czy matki chłopców muszą ciężiej pracować. Mam wrażenie, że pomimo feminizmu kobiety nadal faworyzują synów pod tym względem.

**@DziewczynaZIpianemy** odpowiedziała:

Jasne, jak jest jakiś problem, to na pewno wina kobiet, tak?

*Kuuufa.*

## BETH

To jeden z tych dni. Biuro pracuje w trybie kryzysowym. Drew ma negatywną prasę w jednej z gazet codziennych w Sydney – problemy w wyścigu po fotel gubernatora stanu wiszą w powietrzu, a do mediów wyciekła jakaś uwaga wypowiedziana przez niego dawno temu pod adresem obecnego premiera. Beth zupełnie odzwyczaiła się od tego rodzaju dni w pracy, w których panuje nieprzyjemna atmosfera, wszyscy są uszczypliwi i wybuchowi. Kiedy na światło dzienne wychodzą najgorsze aspekty rzeczywistości. Do tej pory czas spędzony w biurze był dla niej niemalże czystą przyjemnością. Większość współpracowników to ludzie eleganccy i przyjaźni, a pomiędzy nią i Drew rozwinęła się koleżeńska relacja, która przerosła jej oczekiwania. Nie chodzi jedynie o wzajemne dobre stosunki, które pojawiają się wraz z zażyłością, nie o te wszystkie wspólne wspomnienia, chociaż niewątpliwie one też mają znaczenie. Beth z zaskoczeniem uświadamia sobie, że naprawdę go lubi i mu ufa, a wydarzenia tego dnia jeszcze bardziej utwierdzają ją w tym szacunku. W końcu, wbrew zaleceniom wszystkich doradców i swojej partii, Drew postanawia przeczekać całą sytuację w ukryciu, nie zabierać głosu. Nie zgłasza żadnych zastrzeżeń ani nic nie wyjaśnia.

Beth odgrywa w kryzysie tego dnia jedynie drugorzędną rolę – odbiera telefony i załatwia sprawunki, zamawia lunch albo kawę, kiedy zostaje o to poproszona, ale i tak czuje się wyczerpana i dziwnie przygnębiona. Już dawno wydarzenia dziejące się poza rodziną nie miały na nią takiego wpływu i nie jest pewna, czy cieszy się z tego doświadczenia.

Po pracy odbiera dziewczynki od Margie, a sprawy przybierają coraz gorszy obrót. Spóźnia się, rzecz jasna, chociaż Margie zapewnia ją (oczywiście), że to nie ma znaczenia.

– Niby planowałam, że wieczorem pójdę na zumbę, ale w czwartek są kolejne zajęcia. – Margie doskonale rozumie, bo sama była pracującą matką, że takie sytuacje się zdarzają. Jak zawsze nie można na to nic odpowiedzieć, przeprosiny zostaną wielkodusznie zignorowane jako zbędne. Mimo wszystko Beth i tak przeprasza, po czym stara się nie przedłużać pożegnania, pospieszyć dziewczynki do samochodu, ale Charlotte, podekscytowana, zatrzymuje je wszystkie, nalegając, że przeczyta Beth

wiadomość od pani od wuefu – w nowym semestrze została zaproszona do udziału w treningach drużyny wioślarskiej.

– Wioślarstwo? – Margie marszczy brew. – Wielkie nieba. Nie sądzę, żeby rodzice mieli czas na coś takiego, Charlie.

– Mam na imię Charlotte. Nie rozumiem, dlaczego nie mieliby mieć czasu, babciu. Masa innych dziewczyn trenuje wioślarstwo. A *ich* rodzice też pracują. – Charlotte mówi to wyniosłym, lekceważącym tonem.

– Tak, dlaczego nie, Margie? – Beth nie może sobie wyobrazić niczego gorszego, naprawdę, ale wkurza ją opinia teściowej, o którą nikt jej nie prosił.

– Oczywiście nigdy nie miałam okazji spróbować wioślarstwa, bo takie zajęcia oferują tylko w prywatnych szkołach, ale na pewno wiem, że to duże poświęcenie. Treningi odbywają się wczesnym rankiem. Zdaje się, że przed piątą rano. Potem organizują regaty, gdzie popadnie. W każdy weekend. Podejrzewam, że to musi być ohydnie kosztowne. Macie oboje już dość na głowie, jak mniemam. I sądzę, że Charlotte także ma się czym zająć.

– Wydaje mi się, że to temat na rozmowę między mną a Danem. – Jeśli nawet Margie zauważa, że uśmiech Beth jest wymuszony, a ton głosu zdradliwie uprzejmy, bynajmniej jej to nie zniechęca.

– Masz rację. To nie moja sprawa. Ale wiesz, Beth, od czasu do czasu można czegoś odmówić dziewczynkom. W dłuższej perspektywie wyjdzie im to na dobre. – Uśmiecha się dobrotliwie, wręczając Beth bochenek chleba bananowego, który upiekły z Lucy tego popołudnia.

W samochodzie Charlotte siedzi nadąsana.

– Widzisz, mówiłam ci, że babcia mnie nie lubi. Nieważne, co powiem, zawsze ma do tego negatywne nastawienie. Opowiedziałam jej o przyjęciu Harriet w stylu *Doctora Who* i o tym, że mamy się przebrać za anioły, a ona skwitowała, że to strasznie dużo pieniędzy wyrzuconych w błoto. A ci nowocześni rodzice mają więcej pieniędzy niż rozumu.

– Niezupełnie tak to powiedziała, Charlotte. Właściwie mówiła o torcie w kształcie Tardisa – powiedziałaś jej, że kosztuje trzysta dolarów.

– Och, wszystko jedno. Wiedziałam, że to powiesz. Ale rozumiesz, o co mi chodzi, mamu? I naprawdę musimy spędzać z nią *całe dni* podczas przerwy w szkole? Nie możemy po prostu zostać w domu?

– Już o tym rozmawialiśmy, Charlotte. Muszę pracować. W każdym razie myślę, że

to nic osobistego. I może babcia ma trochę racji z tym wioślarstwem, kochanie. – Wypowiedzenie tych słów sprawia jej fizyczny ból.

– Jak to ma rację? Chcesz powiedzieć, że nie mogę trenować wioślarstwa, mamo? To całkowicie niesprawiedliwe i dobrze o tym wiesz.

Nie jest pewna, czy o tym wie. Pod wieloma względami Margie ma rację – rzadko odmawiają dziewczynkom. Beth wie, że odkąd znowu znaleźli się w zasięgu krytycznego spojrzenia jego matki, Dan czuje się z tym coraz bardziej niekomfortowo. Raz czy dwa wspomniał, że muszą nauczyć się mówić „nie”, choćby dla zasady, żeby nauczyć tego dziewczynki, żeby wiedziały, że też mają prawo odmawiać. Ale nieomal wszystko, o co proszą, wszystko, czego chcą, wydaje się doskonale rozsądne. Potrzebują telefonów dla własnego bezpieczeństwa, żeby mieć kontakt. Potrzebują iPadów i laptopów do szkoły. Dlaczego miałyby nie uczyć się muzyki i tańca? Dlaczego nie miałyby uprawiać różnych sportów? I nie chodzi o to, że Beth obawia się powiedzieć „nie”, jak zdają się to postrzegać Margie i zapewne jej własna matka. Oczywiście, że chce, żeby dziewczynki były w jak największym stopniu zaangażowane i aktywne, żeby wносиły coś do społeczeństwa i odnosiły sukcesy. Kolejny paradoks współczesnego rodzicielstwa klasy średniej, nad którym Beth nie jest w stanie zbyt głęboko się zastanowić.

Teraz nie ma czasu, żeby o tym myśleć. W tej chwili nie przychodzi jej do głowy nic gorszego niż to, że miałyby kilka razy w tygodniu zawozić córkę na treningi wioślarstwa. W tej chwili musi wracać do domu i ugotować coś na kolację, zainteresować się tym, jak bliskim minął dzień, zająć się zmywaniem, przygotowaniem lunchu na następny dzień, pracami domowymi, położeniem dzieci spać. Tymczasem sama tak naprawdę miałyby ochotę zwinąć się w kłębek w pidżamie, nalać sobie kieliszek szampana i obejrzeć po raz kolejny serial *Przyjaciele*.

– Porozmawiam o tym z ojcem, Charlotte. Później.

Ale, jak się potem okaże, rozmowa o wioślarstwie nigdy nie dojdzie do skutku.

Beth zbacza z drogi w kierunku Woolworths, żeby dokupić kilka produktów, których potrzebuje na kolację i jutrzejszy lunch (przy okazji przypomina sobie, że skończyły się majonez, keczup, płyn do czyszczenia toalety, kawa w saszetkach) i wpada do sklepu, zostawiając dziewczynki w samochodzie. Stoi w kolejce (dlaczego kolejki, które wybiera Beth, zawsze są najdłuższe?), zbyt ciężki koszyk przyprawia ją o ból ręki, jest już bliska tego, żeby tym wszystkim rzucić i stamtąd wybiec, kiedy ktoś nieśmiało klepie ją po ramieniu. Wyrwana z zamyślenia Beth potrzebuje chwili, żeby rozpoznać recepcjonistkę ze szkoły dziewczynek, niską, przysadzistą kobietę, która

nosi najbardziej komicznie niepasujące do niej nazwisko, Carla Caress[13].

– Tak myślałam, że to pani, pani Mahony. Jak się pani miewa? – Jej głos brzmi bardzo znacząco.

– Beth – odpowiada automatycznie. – Dobrze. A co u ciebie, Carla?

– Och, to był koszmarny dzień. Nie mogłam tego pojąć, naprawdę. Biedactwo. – Carla ma ociężały wzrok, nieco spuchniętą twarz, jakby nie czuła się dobrze albo płakała. – Na pewno jest pani ciężko, pani... To znaczy Beth. Ktoś mi mówił, że przyjaźnisz się z jej mamą.

– Przepraszam. Byłam cały dzień w pracy. Obawiam się, że nie wiem, o czym mówisz. Co się stało? – Beth czuje, jakby nagle tonęła, kolana się pod nią uginają, krew lodowacieje w jej żyłach.

– O Boże. Tak mi przykro. – Kobieta ściska Beth za ramię. – Nie zdawałam sobie sprawy. Myślałam, że słyszałaś. Próbowaliśmy trzymać to w tajemnicy przed dziewczynkami i nie sądzę, żeby jej matka miała okazję... – Bierze oddech, potrząsa głową, jakby chciała się tego pozbyć. – Chodzi o tę biedną Sophie Pennington. – Oczy zachodzą jej łzami, głos drży. – Coś wzięła. Pigułki. Przedawkowała. Podejrzewają, że to były pigułki nasenne jej ojca.

– I... czy ona...? – Beth ledwie jest w stanie pomyśleć o tym słowie, nie mówiąc już o tym, żeby wypowiedzieć je na głos.

– Żyje. Ale jest w śpiączce. Jeszcze nie wiadomo – nie wiedzą, czy z tego wyjdzie. – Teraz kobieta dusi w sobie płacz. – Podobno wzięła je z rozmysłem. Nie powinno tak być. Biedne maleństwo. Przecież to jeszcze dziecko...

## ANDI

Andi w końcu zadaje to pytanie na głos, nie może już dłużej go w sobie dusić. *Dlaczego o niczym nie wiedzieliśmy?* Wypowiada te słowa do Steve'a szeptem, udręczona, przepelniona wstydem, kiedy tak siedzą i czekają po obu stronach łóżka Sophie. Oboje czują się zobowiązani, żeby ją dotykać, kurczowo ścisnąć jej dłonie, trzymać w rękach jej twarz, jedynie na chwilę, niechętnie, przerywając ten fizyczny kontakt. Oboje zapewniają, że tylko ich dotyk – a nie leki, rurki i elektrody, czujność personelu medycznego – trzyma ją przy życiu, zatrzymuje ją przy nich. Że tylko ich dotyk powstrzymuje ją od tego, by nie odeszła na zawsze.

Jak to możliwe, że tak bardzo kochali swoją dziewczynkę, a jednak o czymś takim nie wiedzieli? Na pewno zrobili wszystko, co w ich mocy, by sprawić, żeby poczuła się chciana na tym świecie, żeby poczuła się tutaj jak w domu. Wobec tego jakim sposobem Sophie czuła się taka odrzucona, osamotniona? Jak mogła czuć się aż tak źle, żeby zrobić coś takiego – chcieć skończyć z tym życiem, które próbowali dla niej uczynić tak dobrym i szczęśliwym?

Steve zachowuje milczenie w tym deszczu rozpaczliwych pytań Andi, siedzi ze zwieszoną głową, jakby był pogrążony w modlitwie, z twarzą bez wyrazu, z nieobecny wzrokiem, z zaciśniętymi ustami.

– Tego nie wie nikt, Andi – mówi powoli, jakby słowa sprawiały mu ból. – Na tym właśnie polega problem. Na tym polega ten pieprzony problem. Czasem takie rzeczy się zdarzają, nie ma w tym żadnego sensu ani przyczyny. Całe to cierpienie na nic się zdaje. Nie ma żadnego morału. Żadnego znaczenia. Tata powiedziałby ci, że Bóg tak chciał, że to część jakiegoś boskiego planu. Że należy wyciągnąć z tego jakąś naukę. Ale on się myli – to wszystko jest dziełem przypadku. Po prostu czasem życie to bagno.

Andi rozumie, że Steve mówi na podstawie własnych doświadczeń, dobrze to wszystko zna z pracy, a ona też dostrzega pewne kwestie, nawet jeśli z całkiem innej perspektywy. Ale z pewnością to, co mówi, nie może być prawdą w odniesieniu do ich córki. Z pewnością dla Sophie – kochanej, utalentowanej, żyjącej w dobrze sytuowanej rodzinie – życie nie było bagnem. Jakże mogłoby nim być?

Ale w takim razie w jaki sposób zrozumieć prawdziwe uczucia swoich dzieci? To,

czego doświadczają.

Andi myśli o tajemnicy Gusa, jego dziecięcej przyjemności odkrywania świata, odkrywania siebie – wydaje się to takie łatwe, takie prostolinijne. Obserwowała, jak odkrył swoje rączki, a potem zrozumiał, że może nad nimi panować, machając nimi przed nosem, wkładając je do buzi. Wydaje się zachwycony faktem, że czuje samego siebie. A jednak ten zachwyty to jedynie domysł obserwatorki, a jego prawdziwe uczucia pozostają w ukryciu, stanowią taką nieprzeniknioną tajemnicę jak istnienie Boga albo rozmiary wszechświata. A jego zadowolenie w ciągu kilku sekund, a nawet milisekund, może zmienić się we wściekłość albo rozpacz.

*Sophie.* To śliskie, czerwone, skośnookie, wrzeszczące niemowlę, które jeszcze z pępowiną położono na jej klatce piersiowej dwanaście lat temu, jest tą samą osobą, która teraz tutaj leży. Tak dobrze znaną, a jednocześnie tak tajemniczą. Nic się nie zmieniło. I zarazem zmieniło się wszystko. Cały potencjał jej tożsamości – jednocześnie tak bardzo emocjonalnej i tak spokojnej, tak bystrej i tak niewinnej, tak skupionej i tak niepewnej, tak prostoliniżnej, a jednak tak skrytej – był dostępny już w momencie narodzin, jak sądzi Andi, a nawet jeszcze wcześniej. Te dwanaście lat, które zostały im podarowane, żeby ją poznać oraz żeby ona mogła poznać samą siebie, dotknęły zaledwie wierzchołka góry lodowej tego potencjału. A teraz, kiedy Andi usiłuje naprawdę zastanowić się nad swoją córką, zobaczyć ją wyraźnie, wydaje się jakaś trudna do zdefiniowania, równocześnie prostoliniżna i nieprzejrzysta, równie niezgłębiona, jak w dniu, w którym przysła na świat. Każdy z nas, myśli sobie, jest cudem indywidualności, niepoznawalnym dla innych i zaskakującym dla siebie.

A jeśli, zastanawia się, obserwując, jak klatka piersiowa jej córki miarowo wznosi się i opada, to już w niej było od samego początku? A jeśli problemy z Sophie w okresie niemowlęcym – kiedy zanosila się płaczem i nie chciała się uspokoić, kiedy odmawiała spania bez poczucia fizycznej bliskości oraz kiedy miała trudności z chwyceniem piersi – coś oznaczały? A jeśli to wszystko układało się w jakiś istotny problem, który – jak nieustannie zapewniali ją i Steve'a, pielęgniarki, lekarze, rodzice i przyjaciele – nie był jedynie tymczasową trudnością związaną z niemowlęctwem? A jeśli nie dostrzegli w porę sygnałów i nie zdołali znaleźć lekarstwa na jakiś ukryty, ale potencjalnie fatalny w skutkach defekt?

A jeśli ta osoba, którą stała się Sophie, ta Sophie, którą, jak im się wydawało, znali – posłuszna, wesola, utalentowana, skupiona, trochę nieśmiała, o dziwnym wyglądie, ale wciąż mieszcząca się w „normie” – to jedynie gra, którą z ulgą zaakceptowali,



maska włożona po to, żeby zadowolić spragnionych sukcesu rodziców? A co, jeśli jej całe świadome życie było rozpaczliwą przykrywką elementarnej, fundamentalnej pustki, egzystencjalnego cierpienia i rozpacz, których nie da się nigdy ukoić niezależnie od ich bezwarunkowej miłości?

*A jeśli?*

CudowneDziecko.com

Dziesięć lekcji cudownego dziecka, jak osiągnąć sukces

Lekcja szósta: Znowu zemsta

Czasem zemsta nie musi mieć wyraźnej przyczyny, naprawdę. Bo właściwie dlaczego nie?

Ponieważ oni są tacy, jacy są. Ponieważ ty jesteś taka, jaka jesteś. Ponieważ to miłe uczucie. Ponieważ chcesz wygrać.

Ponieważ oni istnieją.

KOMENTARZE:

**@PRZYPADKOWACZYTELNICZKA** pisze:

A może ponieważ YOLO?

## CHARLOTTE

Pomysł poddaje jej ojciec. Mama planuje odwiedziny u Sophie nazajutrz, ale z tego, co wie, nie pojawia się żadna sugestia, że Charlotte też powinna tam pójść. Charlotte sama z siebie nawet nie bierze pod uwagę takiej możliwości, dopóki nie podsłuchuje rodziców, którzy kłócą się w kuchni, kiedy biegnie spod prysznic z powrotem po schodach do swojego pokoju. Powinna była zabrać ze sobą ubrania, w sypialni jest przeraźliwie zimno, a ona nienawidzi tych mrocznych pokoi nocą. Nienawidzi ich jeszcze bardziej niż w dzień, o ile to w ogóle możliwe. Lepkość brudnego dywanu w sypialni, którą czuje pod wilgotnymi stopami, przyprawia ją o mdłości.

– Na litość boską, Beth, to córka twojej przyjaciółki. I przyjaciółka Charlotte. To *jest* przygnębiające. Nie da się tego w żaden sposób obejść. Życie potrafi być przygnębiające. Źle robisz, próbując ją przed tym chronić. Będzie miała fałszywy obraz świata.

– Ale czy nie powinniśmy jej chronić, Dan? Czy to nie nasza rola? Sophie jest nieprzytomna. To będzie denerwujące dla Andi i Steve’a. Nie powinni teraz zamartwiać się cudzymi dziećmi. Nie rozumiem, dlaczego uważasz, że ona też powinna tam pójść. Nie widzę, jakie korzyści którakolwiek z nich miałyby dzięki temu uzyskać.

– Nie chodzi o to, żeby coś *uzyskać*, Beth. Chryste! Czasem mam wrażenie, jakbyś mówiła językiem jakiegoś idiotycznego poradnika. Nie próbujemy tutaj niczego *uzyskać*, rozmawiamy o pewnej staromodnej koncepcji – o tym, żeby postąpić właściwie. Sophie była, Sophie *jest* przyjaciółką Charlotte. Sophie leży chora w szpitalu. Charlotte powinna ją odwiedzić. Zrozum, to naprawdę bardzo proste.

– Przecież ona ją zna zaledwie od kilku miesięcy, na miłość boską. Po co jeszcze pogarszać sytuację? I tak jest wystarczająco przygnębiająca. Wiesz, że zorganizowali spotkania z psychologami dla wszystkich dziewczynek w klasie. – Matka mówi spokojnym, przyciszonym głosem, ale Charlotte słyszy, jak tuż pod powierzchnią kipi w niej złość. – A jeśli ona umrze? Co wtedy? Czy musimy wysłać Charlotte na pogrzeb? Czy to będzie kolejne doświadczenie, którego naprawdę potrzebuje, Dan?

Charlotte czmycha do swojego pokoju i po cichutku zamyka drzwi. Usłyszała już wystarczająco dużo, nie chce słuchać odpowiedzi ojca. Stoi naga przed upstrzonym

plamkami lustrem. Chłodne światło rzuca na jej ciało zielonkawą poświatę, drewniane boazerie w pokoju zdają się pochłaniać całą jasność. Zabytkowe lustro poszerza ją, skraca, ta cętkowana przysadzista postura nagle przypomina jej Sophie. Wpatruje się w swoje odbicie, rozluźnia nieco szczękę, otwiera szeroko oczy, odgarnia włosy z twarzy i unosi piersi do góry, zbliżając je do siebie, żeby wyglądały na większe. Nie da się uzyskać idealnego podobieństwa – Charlotte ma śniadą cerę, a Sophie jest blada. Charlotte ma szczupłe, patykowate ciało – nawet jeśli wypycha brzuch do przodu i się kuli, nie ma dość masy, żeby wyglądać na puszystą. Wkłada pidżamę – szorty z kraciastej bawełny i podkoszulek z białej popeliny, którą matka przywiozła jej z wycieczki do Nowego Jorku. Zupełnie nie nadaje się do spania w zimie w tym wychłodzonym domu, ale wkłada ją zawsze, kiedy potrzebuje namacalnie przypomnieć sobie o życiu, które do niedawna wiodła. O swoim *prawdziwym* życiu.

Charlotte kładzie się po skosie na łóżku tak, żeby mogła widzieć swoje odbicie w lustrze. Wsuwa się pod kołdrę, naciąga ją na siebie gwałtownym ruchem pod samą szyję, po czym oswobadza ręce. Podnosi jedną z nich, po czym pozwala, żeby ciężko opadła, jakby była martwa. Splata luźno dłonie na brzuchu i leży nieruchomo z zamkniętymi oczami, stara się uspokoić i ochłonić, oddycha płytko, próbuje odsunąć od siebie wszystkie myśli, wyobrazić sobie chmury. Być jak Sophie w stanie śpiączki, zawieszoną gdzieś pomiędzy życiem a śmiercią. Na chwilę wstrzymuje oddech, po czym powoli siada na łóżku i sięga po iPada. Włącza kamerę i kładzie się znowu na plecach, tym razem trzymając luźno jedną rękę na kołdrze, i ustawia aparat pod odpowiednim kątem. Znowu zamyka oczy, spowalnia oddech, robi zdjęcie. Potem kolejne. Światło nie jest zbyt dobre i ma głupawy wyraz twarzy, jakby miała się za chwilę roześmiać. Zmienia pozycję, przybiera najbardziej obojętny wyraz twarzy i podejmuje kolejną próbę. Tym razem jej się udaje – robi ujęcie ręki, kołdry, profil twarzy w spoczynku. Wygląda na przerażająco, ale jednocześnie interesująco, nieobecna.

Charlotte przychodzi na myśl, że właściwie chciałyby odwiedzić Sophie, zobaczyć, jak ona wygląda. Zastanawia się, jakby to było, gdyby wzięła do ręki dłoń Sophie – czy byłaby sztywna, czy też zwisałaby bezwładnie? Czy pojawiłaby się jakaś reakcja? Chciałyby poczuć, czy skóra Sophie jest ciepła czy zimna, chciałyby podnieść jej powieki i sprawdzić, co się pod nimi kryje. Sprawdzić, czy Sophie nadal tam jest. Dowiedzieć się, czy jeszcze kiedyś wróci, by opowiedzieć im, gdzie była.

Nazajutrz rano, zamiast zabrać śniadanie do salonu – jedyne pomieszczenia

w domu, w którym jest choć trochę ciepło – Charlotte wciska się obok matki do niedorzecznie małego kącika jadalnego. Matka pije herbatę i czyta coś na swoim iPadzie. Posyła córce zaspany uśmiech, gładzi ją po włosach.

– Dobrze spałaś, kochanie?

Charlotte wzrusza ramionami.

– Niezupełnie. Ten materac jest *taaaki* nierówny. Wiesz, czuję, jak te sprężyny się we mnie wpijają. I zmarzłam w środku nocy. Musiałam wstać, żeby włożyć dres.

Matka się śmieje.

– Biedna księżniczka. Wiem, może to nie jest zima w New Jersey, ale nie możesz oczekiwać, że w tej pidżamie będzie ci ciepło.

Charlotte się uśmiecha, ale nic nie mówi. Czeka kilka minut, po czym rzuca jakby nigdy nic pomiędzy dwoma kęsami śniadania:

– Myślisz, że rodzice Sophie nie mieliby nic przeciwko, gdybym ją odwiedziła? – Zawiesza głos, przybiera poważny wyraz twarzy, wpatruje się uważnie w matkę. – Chodzi o to... Myślę, że to ważne. Jesteśmy przyjaciółkami, Sophie i ja. Właściwie chyba jestem jej jedyną przyjaciółką. Powinnam ją odwiedzić, nie sądzisz?

Matka wygląda na zaskoczoną i nieco zmartwioną.

– Chcesz pojechać do szpitala? No nie wiem, Charlotte. Nie wiem, czy to dobry pomysł. To może być przygnębiające.

– Przygnębiające? Masz na myśli jej rodziców?

– Nie. Mam na myśli ciebie. Nie jestem pewna, czy naprawdę musisz ją zobaczyć. Myślę, że to mogłoby być zbyt... obciążające. Sophie będzie podpięta do monitorów. Nie będzie wyglądała tak jak zwykle.

Charlotte próbuje ukryć swoją ciekawość.

– Co masz na myśli? Czy ona ma jakieś ślady na ciele? Wygląda potwornie? Jak ci uzależnieni od metamfetaminy, których pokazywali w tym programie?

– Och nie – matka uśmiecha się nerwowo. – Jestem pewna, że to nie będzie nic takiego. Zapewne będzie wyglądała, jakby spała, ale ma podłączone te wszystkie rurki i... – Matka siada wyprostowana, chrząka. – Kochanie, wystarczy, że sama jestem przerażona tym, że mam tam pójść. Będą tam też Steve i Andi, mogą reagować emocjonalnie. Dlatego nie jestem pewna, czy musisz tego doświadczać.

Charlotte przypomina sobie komentarze swojego ojca.

– A nie sądzisz, że powinnam? Postąpiłabym wtedy właściwie, nie uważasz? – Po

czym wyciąga asa z rękawa. – A może jej tata i mama ucieszyliby się, gdybym przyszła? Może wpłynęłoby to korzystnie na Sophie, gdyby odwiedziła ją przyjaciółka? Chodzi mi o to, że może ona tak naprawdę słyszy. Czy nie tak właśnie się mówi, kiedy ludzie są w śpiączce? Że powinno się do nich mówić, ponieważ istnieje szansa, że cię słyszą?

Wyczuwa niechęć matki, ale ta nie ma już żadnych argumentów. Wypija łyk herbaty, potrząsa głową, poddaje się z westchnieniem.

– Chyba masz rację, kochanie. Tak należy postąpić. Miałam zamiar pójść tam dzisiaj rano, ale możemy wstąpić po południu, po szkole. – Zawiesza głos, przez dłuższą chwilę badawczo przyglądając się Charlotte. – Naprawdę jesteś dobrą dziewczynką, Charlotte. Tak myślisz o innych. Chyba cię nie doceniałam. – Uśmiech, który jej posyła, promienieje dumą.

Charlotte dławi w sobie radość zwycięstwa, swoje podekscytowanie. Przywołuje na twarzy smutny uśmiech.

– Wiem, że to nie będzie miłe, ale jeśli to ja byłabym na jej miejscu, chciałabym, żeby moje przyjaciółki mnie odwiedzały, nawet jeśli nie byłabym w stanie ich zobaczyć. Chciałabym myśleć, że im na mnie zależy. Może mogłybyśmy jej coś zanieść – może wstąpimy kupić jej babeczkę, nawet jeśli nie może jej zjeść.

Po czym zadaje pytania, które właśnie przyszły jej do głowy:

– Myślisz, że Sophie schudnie? Pewnie już nie jest taka gruba, co?

## ANDI

To myślenie życzeniowe, bzdurne przesady pozbawione logiki – Andi to wszystko wie, ale początkowo się tym nie przejmuje. Jeśli będzie w stanie wystarczająco się skoncentrować na tym, żeby Sophie wydobrzała, by odzyskała świadomość, jeśli będzie potrafiła skierować wszystkie swoje pragnienia, miłość, a teraz jeszcze swoje modlitwy w postaci nieprzerwanego strumienia płynącego do córki, to Sophie na pewno wyzdrowieje. Na pewno niewiarygodny ogrom miłości Andi przywróci jej córkę do życia.

Ale w końcu czuje się tym wszystkim wyczerpana – tym nieustannym wyczekiwaniem, ustawicznym obserwowaniem monitorów, śledzeniem każdej zmiany, każdego drgnięcia – drżenia powieki, rozszerzenia nozdrzy, najmniejszego poruszenia ust, wszystkich tych najdrobniejszych bezwarunkowych odruchów nerwowych. Trudno jej znieść te nagłe przypyły nadziei i bolesne rozczarowania, których doznaje tysiąc razy dziennie. Nie może poradzić sobie ze swoimi własnymi rozpaczliwymi próbami wyczytania czegoś na twarzach pielęgniarek i lekarzy, chociaż w końcu zrozumiała tę ich nieprzeniknioność, obojętność. Nie są pozbawieni emocji, jak z początku sądziła, ale taktowni. Rokowania co do Sophie nie są jeszcze pewne i personel uważnie się przygląda w poszukiwaniu jakiś sygnałów, tropów. Nie chcą mimowolnie dać im jakiejś fałszywej nadziei.

Andi zaczyna szukać czegoś, co przyciągnęłoby jej uwagę, sposobów, żeby choćby na chwilę oderwać wzrok. Wizyty policjantów na samym początku przyniosły jej pewną ulgę, a ich pytania, choć bolesne, pozwoliły jej dostrzec inną stronę osobowości Sophie. W przeciwieństwie do personelu medycznego, którego troski koncentrują się wokół tu i teraz, policja potrzebowała obrazu żywej Sophie, a nie tego zastygłego w bezruchu dziecka przypominającego manekin. Jednak oficjalne przesłuchania zostały szybko załatwione, kiedy ustalono, że nie doszło do żadnych zaniedbań ze strony rodziców, które mogłyby być przedmiotem śledztwa. I że to nie jest kwestia złamania prawa, ale sprawa, którą powinni się zająć lekarze i – z boską pomocą – psycholodzy. Policjanci wciąż działają, ale pojawiają się w szpitalu sporadycznie. Koledzy Steve'a, ich współczucie i troska jedynie potęgują koszmar rzeczywistości, w której oboje się teraz znaleźli.

Codziennosc podsuwa sposoby na oderwanie sie od tego wszystkiego. To niezliczone sprawy, ktorymi trzeba sie zajac. Gus potrzebuje odpowiedniej porcji macierzyńskiej uwagi. Próbuje trzymac go z dala od szpitalnej sali Sophie na tyle, na ile jest to mozliwe. Usilowala ukryc to przed Steve'em, a teraz jest prawie pewna, ze jej relacja z Gusem w jakimś stopniu przyczynila sie do nieszczęścia Sophie. Biedny chłopczyk spędzil kilka ostatnich dni na zesłaniu w szpitalnym żłobku, chociaz wydaje sie całkiem zadowolony (wykapany, przytulany, zabawiany). Andi wie jednak, ze brakuje mu matczynej uwagi. Nawet w trakcie tych krótkich chwil, kiedy idzie do żłobka, zeby go nakarmic, Andi tak naprawde jest nieobecna duchem, nie potrafi nawiązac z nim takiej więzi, jak powinna, jakby to zrobila w normalnych warunkach. W tym, jak na niego reaguje, brakuje tego najwazniejszego i obawia sie, ze pózniej będzie to miało na niego jakiś wpływ.

Wobec tego pierwszego dnia tego koszmarnego tygodnia, z poczuciem rozdarcia, ale jednoczesnie zdajac sobie sprawe z tego, ze tak trzeba, zmusza sie, by cale popołudnie spędzić w domu, zabierajac ze soba Gusa. Spędza jakiś czas, rozmawiajac z nim i bawiac sie, świetnie odgrywajac role normalnej, szczęśliwej matki. Grucha, śpiewa, hušta go na kolanach, bawi sie w chowanego – robi wszystko to, co normalnie by zrobila. Zabiera go na spacer w wózku, pnie sie w góre i schodzi po stromych ulicach, pcha wózek z dzieckiem przez miasto i idzie wzdluz nabrzeza, unikajac swojej standardowej trasy. Nie chce spotkac nikogo znajomego, nikogo, kto zapewne będzie pytal przyciszonym i niepewnym głosem o Sophie, patrzec na zatroskane miny tych wszystkich ludzi, ktorzy rozpaczliwie będą sie starać, zeby nie oceniać, ale równoczesnie wyraźnie dawać do zrozumienia, jak bardzo sie cieszą, ze nie są na jej miejscu.

Po powrocie ze spaceru, kiedy Gus śpi spokojnie w wózku, Andi chce wykonac kilka telefonów do ludzi, ktorych na bieżąco trzeba informowac o sytuacji: rodziny, szkoły. Łatwiej załatwic je z domu niz ze szpitala. Musiala błagac swoja matke, zeby sie tutaj nie wybierala. Nawet jesli bylaby jej wdzieczna za pomoc przy Gusie, nie moglaby znieśc zalu, który malowalby sie na jej twarzy. Nie moglaby równiez znieśc jej dociekania. Ojciec Steve'a jest zbyt stary, zeby przyjechać, ale dzwoni trzy do czterech razy dziennie. Trudno im sluchac tych jego pocieszajacych stwierdzeń: „Wszystko dzieje sie z jakiegoś powodu. Taka jest wola Boza” – wypowiada te slowa przez łzy, głosem starego czlowieka, słabym i łamiącym sie, ale wciaz pełnym przekonania. Dostali kartki, kwiaty, ale jak dotąd, poza znajomymi Steve'a z policji, odwiedzily ich tylko Beth i Charlotte. Chociaz w tej sytuacji nie można bylo pocuć prawdziwej ulgi,



ciepło i troska Beth były niczym balsam na duszę. Ich towarzystwo dodało jej otuchy, że wszystko w końcu wróci do normalności.

Zanim zaczyna dzwonić, odsłuchuje wiadomości na domowej sekretarce. Tyle osób oferuje pomoc, miłość, modlitwę, jedzenie, że po dłuższej chwili zaczyna tracić orientację, kim są ci ludzie i o czym mówią. Nie chodzi o to, że nie docenia tej fali współczucia, wsparcia. Rzecz w tym, że jej mózg najwyraźniej nie jest w stanie przetwarzać ani nawet przyjąć tego czasem bardzo jaskrawego bólu. Choć tak znikomego w porównaniu z jej własnym cierpieniem. Ale ostatnia wiadomość, która brzmi nieco inaczej, przykuwa jej uwagę.

„Andi. Steve” – potem następuje długa cisza, jakby rozmówczyni zastanawiała się, czy jednak nie odłożyć słuchawki, a może chciała, żeby ktoś odebrał ten telefon. – „Mam nadzieję... Wszyscy mamy nadzieję... Nie chcemy nawet myśleć, przez jaką ciężką próbę teraz przechodzicie”. – Przyzwyczaiła się już do niepewności dzwoniących osób, drżących głosów, niespójnego wyrażania się, ale ta wiadomość od samego początku wydaje się bardziej sztywna, pełna zakłopotania. Właściwie w głosie tej kobiety słychać przerażenie. Andi wie, że gdyby odebrała ten telefon, trudno byłoby oprzeć się chęci jej ukojenia, uspokojenia, rozproszenia jej obaw niezależnie od aktualnego stanu rzeczy.

„I nie chcę... żadne z nas nie chce zrobić niczego, co pogorszyłoby sytuację albo sprawiłoby, że sprawy jeszcze bardziej się skomplikują. Ale...” – ten głos nie brzmi znajomo. „Gdyby pani mogła... proszę posłuchać, byłabym wdzięczna, gdyby mogła pani do mnie oddzwonić. Jest coś, o czym powinna pani wiedzieć. Dziewczynki mi o tym powiedziały. Wolałabym nie zostawiać wiadomości. O tym, co spotkało Sophie. Proszę do mnie zadzwonić. O każdej porze. Przepraszam”.

Kobieta zostawia dwa numery telefonu, domowy i komórkowy, ale zapomina się przedstawić. Andi odsłuchuje ponownie wiadomość, ale nie znajduje żadnego tropu. Żadnych imion. Andi zakłada, że to jedna z matek którejś koleżanki Sophie z klasy. Poza kilkoma wyjątkami wszystkie stanowią dla niej coś w rodzaju bezkształtnej masy, chociaż zapewne widziała większość z nich podczas różnych szkolnych spotkań. Próbuje dopasować głos do jakiejś twarzy, ale to bezcelowe – nie potrafi sobie nawet przypomnieć większości dziewczynek z klasy Sophie, nie mówiąc już o ich rodzicielkach. Wiadomość pozostawiono dzień wcześniej, wieczorem po dwudziestej pierwszej, jeśli zegar w sekretarce jest dobrze ustawiony. Andi naprawdę nie chce do niej oddzwaniać. Ma wiadomości od innych osób, których słowa brzmią bardziej przekonująco, do których powinna oddzwonić w pierwszej kolejności, ale

w głosie tej kobiety jest coś, jakiś dziwny nagłący niepokój, jakby raczej odczuwała potrzebę niż przymus, żeby z nią porozmawiać.

Andi wybiera numer telefonu stacjonarnego. Jeśli zgłosi się automatyczna sekretarka, nie zostawi wiadomości. Modli się, żeby to był automat, serce wali jej jak młotem, nie wie, czy będzie w stanie rozmawiać, ledwie oddycha. Ale ktoś natychmiast odbiera telefon.

– Anna McLachlan – w tym powitaniu nie ma cienia niepewności – jest pełne werwy, rzeczowe. Najwyraźniej to ten sam głos, który usłyszała w wiadomości. Anna McLachlan. Nic jej to nie mówi.

– Pani McLachlan – sama mówi niskim głosem pozbawionym intonacji. – Mówi Andi Pennington. Zostawiła pani wiadomość na mojej automatycznej sekretarce i poprosiła, żebym oddzwoniła.

– Andi. Och, Boże – głos kobiety momentalnie się zmienia. – O Boże. Tak bardzo mi... Wszystkim nam jest tak bardzo przykro. Jeśli mogłabym cokolwiek...

– Proszę posłuchać. Nie chcę być niegrzeczna, ale nie wiem nawet, z kim rozmawiam, kim pani jest. To wszystko jest takie...

– O Boże. Proszę się nie tłumaczyć. Wszystko rozumiem. Musi pani być... Pewnie nie kojarzy mnie pani jako Anny McLachlan – używam tego imienia i nazwiska w pracy. Moja córka, Bridie, Bridgette Stevenson, chodzi do klasy z Sophie. Spotkałyśmy się kilka razy na koncertach, ale nie angażuję się zbyt w sprawy szkolne. – Potem, jakby się broniła, dodaje: – Pracuję na pełen etat.

Andi dobrze pamięta Bridie – też gra na fortepianie – ale nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek poznała jej mamę, nie mówiąc już o rozmowie z nią.

– Jasne. Proszę posłuchać, właśnie przyjechałam do domu ze szpitala, żeby wziąć prysznic i się przebrać. Muszę wziąć...

– Jej stan się nie zmienił? – Słowa kobiety brzmią tak, jakby z trudem je z siebie wydobywała, jakby obawiała się usłyszeć odpowiedź.

– Nie. Nadal jest w takim samym stanie.

– Ale stabilnym?

– Serce wciąż bije, jeśli to ma pani na myśli. – Wie, że to okrutne, ale ma to gdzieś, nie znosi już samego faktu, że musi rozmawiać z tą nieznajomą.

– Przepraszam, że niepokoję panią w takiej chwili. – Kobieta sprawia wrażenie raczej zmieszanej niż urażonej. – I nie będę pani zabierać czasu. Ale to, co mam do

przekazania, jest trudne i nie wiem, czy w ogóle powinnam o tym mówić. Rozmawiałam z rodzicami kilku innych dziewczynek. I z mężem. Jest prawnikiem – właściwie oboje jesteśmy prawnikami, ale on wie więcej na temat tego typu spraw.

– Pani McLachlan. Anno. – Już nawet nie zadaje sobie trudu, żeby kryć narastający w niej gniew na bajdurzenie kobiety. – Czy może mi pani wreszcie powiedzieć, co ma mi pani do powiedzenia? Naprawdę nie mogę już znieść tego suspensu.

Słyszy, jak kobieta bierze głęboki oddech, jakby chciała się uspokoić – albo nabrać niezbędnego rozpędu.

– To ma związek z tym, co zrobiła Sophie. Z tym wszystkim, co się wydarzyło.

– Co ma pani na myśli? Przecież już wiadomo, co się wydarzyło.

Wersja, którą opowiedzieli wszystkim poza garstką najbliższych osób, głosi, że Sophie przypadkowo połknęła trochę pigułek nasennych swojego ojca, biorąc je za tabletki od bólu głowy. Ta historyjka nie jest idealna, a właściwie daleko jej do ideału, ale Andi czuje się zaszokowana faktem, że ktokolwiek, a szczególnie osoba, której kompletnie nie zna, śmie otwarcie poddawać ją w wątpliwość. Chyba mają prawo do utrzymania w tajemnicy czynów swojej córki?

– Wiem, że nie chce pani nagłaśniać tej sprawy i rozumiem powody. Ale dziewczynki... jak pewnie się domyślasz, wszystkie są bardzo zasmucone. Ludzie o tym rozmawiają. Nieustannie. O tym, dlaczego to zrobiła. O tym, co działo się w szkole.

– W szkole? Ale sądziliśmy... Sophie o niczym nie wspominała. Myśleliśmy, że to po prostu kulminacja wielu przyczyn. Nic konkretnego.

– Cóż, z tego, co powiedziała mi Bridie i jej najlepsza przyjaciółka, Matyllda – zna pani Matyldę Matherson? Zresztą tak naprawdę nie ma to znaczenia. Ważne jest to, co spotkało pani córkę.

– Co ją spotkało?

– Dziewczynki twierdzą, że Sophie była nękana. Uporczywie nękana.

– Nękana? Nie rozumiem. Przez kogo?

– Było ich kilka – najwyraźniej tworzyły paczkę. Bridie i Matyllda nie należą do tej grupy – właściwie nie zostały do niej przyjęte. Nie, żeby jakoś im na tym zależało. Ale Sophie, ona była systematycznie dręczona. W szkole. W sieci. W jednym z tych mediów społecznościowych, na punkcie którego one wszystkie szaleją. Z relacji dziewczynek wynika, że to było potworne, wręcz zakrawało na tortury.

– A kim są dziewczynki z tej grupy? Kto to robił?

Zapada przedłużająca się cisza.

– Proszę posłuchać, to naprawdę trudne, ponieważ wiem... Wiem, że jesteście przyjaciółkami.

– Przyjaciółkami? O czym pani mówi?

– O pani rodzinie i rodzinie Mahonych. – Kobieta znowu zawiesza głos. – Mówię o Charlotte Mahony. W całą sprawę jest zamieszanych kilka innych dziewczynek: Harriet George, Amelia Carrington, Grace Doherty, ale najwyraźniej Charlotte jest prowodyrką. Dziewczynki powiedziały mi, że zachowywała się okropnie w stosunku do pani córki. Właściwie mają całkowitą pewność, że to Charlotte założyła tę ohydłą stronę internetową.

– Stronę internetową? Jaką stronę?

– Nic pani nie wiedziała?

– O mój Boże. Nie. Co to za strona?

– Strona o Sophie. Były na niej zdjęcia. I filmik.

– Filmik? Nie rozumiem. O czym?

– O Sophie. – Słyszysz, jak kobieta po raz kolejny bierze głęboki oddech. – Ponoć się na nim rozbierała.

– Rozbierała się? Przed kamerą? Sophie? – To niemożliwe. Przekracza pojęcie Andi i jest całkowicie niewyobrażalne dla jej córki. – O mój Boże. Co... Widziała pani ten filmik?

– Nie. Nie widziałam. Strona zniknęła. Dziewczynki przypuszczają, że została zlikwidowana zaraz po tym, jak ona... kiedy Sophie... Ale podobno ktoś zrobił zrzut ekranu. Jakaś ich koleżanka z klasy. Wobec tego jest dowód.

– Zrzut ekranu? – Andi z trudem rozumie, co mówi do niej ta kobieta, co to wszystko oznacza. – A te pozostałe rzeczy? Powiedziała pani, że one robiły jakieś okropne rzeczy?

– Ach – kobieta nagle sprawia wrażenie podenerwowanej – tak naprawdę nie wiem. Jakies inne rzeczy poza tymi w sieci. Nie jestem pewna szczegółów. Przypuszczam, że chodziło o typowe dziewczyńskie zachowania.

– Oczywiście. Typowe dziewczyńskie zachowania. – Andi czuje się słabo i nagle robi jej się niedobrze, kiedy się zastanawia, co w takiej sytuacji można uznać za typowe. Typowe tortury. Wyobraża sobie ten nieznośny smutek i samotność, które

Sophie musiała czuć, znosząc te wszystkie cierpienia w milczeniu.

– Ale to nie wszystko. – Kobieta najwyraźniej przygotowuje się do powiedzenia o czymś jeszcze, o czymś poważniejszym.

– Co jeszcze? – Słowa z trudem wydobywają się z ust Andi.

Mówi w pośpiechu.

– Podobno Charlotte kazała jej to zrobić. Na tej stronie internetowej. Kazała jej mniej więcej, żeby się zabiła.

Andi nie może mówić. Nogi się pod nią uginają od ogromu tego wszystkiego – to do niej nie dociera, nie może do niej dotrzeć, nie dotrze do niej. Robi jej się na zmianę gorąco, zimno i znowu gorąco, tymczasem ta kobieta jeszcze z nią nie skończyła, jeszcze nie.

– A to jeszcze nie jest najgorsze.

– Nie jest najgorsze? – Andi prawie się śmieje. Zaczekaj chwilę, jest coś jeszcze – pozwól, że wbiję ci te wszystkie noże prosto w serce.

– Nie. Podobno... – Kobieta zniża głos do szeptu, jakby istniało niebezpieczeństwo, że zostanie przez kogoś podsłuchana. – Podobno to nie pierwszy raz. Nie znam szczegółów, ale ponoć Charlotte ma już coś takiego na swoim koncie.

ZakreconaLizzy.com

## Nie ma to jak w domu

Z radością przyjąłem zaproszenie, żeby napisać post na blog *Zona nomadka* o dziesięciu rzeczach z życia w New Jersey, za którymi najbardziej tęsknię. Już słyszę, jak mówicie, że to nie tylko ekscytująca chwila w mojej karierze blogerki, ale równocześnie łatwe zadanie.

Ale szczerze powiedziawszy, mam z tym pewien problem. Poważny problem. Widzicie, kiedy już przychodzi mi do głowy jedna rzecz, której mi tutaj brakuje, nagle wyskakuje cały szereg wspomnień przypominających głowy hydry, i moja lista wciąż pozostaje niedokończona. Na przykład, kiedy myślę sobie o moim ulubionym nowojorskim targu, przypominam sobie, ile czasu zajęło mi, żeby przywyknąć do robienia zakupów. Tak długo sklepy spożywcze w Stanach Zjednoczonych wydawały mi się obce: produkty znajdowały się w niewłaściwych alejkach, nie rozpoznawałam opakowań, nie mogłam przyswoić sobie nazw tych wszystkich produktów. Ani gramatury. Teraz czuję się niemalże jak kosmitka w miejscowym sklepie Woolworths – równie dobrze mogłabym się zgubić na arabskim suku. Brakuje mi papierowych toreb i tego, że ktoś zanosił mi zakupy do samochodu. Brakuje mi nadzwyczajnej uprzejmości personelu i tego, że zwracali się do mnie „proszę pani”. Brakuje mi niektórych marek jedzenia w puszcze, żywności pakowanej próżniowo, tego jedyne majonezu, którym zawsze smarowaliśmy kanapki z tuńczykiem. O Boże, tęsknię za tymi kanapkami z tuńczykiem, a kto tutaj w ogóle mówi o tuńczyku?

Moje tęsknoty są tak wielkie, że zupełnie się tego nie spodziewałam. Sprawiają mi ból. Nigdy nie przeszło mi przez myśl, że wszystkie te pozornie nieistotne sprawy związane z prowadzeniem domu nabiorą aż tak dużego znaczenia. Przypuszczałam, że powrót do dobrze znanych miejsc i ludzi jakoś wypełni tę lukę. Problem polega na tym, że chyba nie są aż tak dobrze znani, jak się spodziewałam...

A to zaledwie pierwszy punkt na liście. Muszę jeszcze uporać się z dziewięcioma

pozostałymi :(.

41♥

## KOMENTARZE:

**@NiebieskaSue** pisze:

Mam nadzieję, że to minie, Lizzy, ale nie ma takiej gwarancji. Kiedy wyjechaliśmy, zawsze miałam poczucie, że nigdy nie będę mogła być sobą. Zawsze miałam nadzieję, że kiedy wrócimy do ojczyzny, znowu będę się czuła tak, jak kiedyś, szczęśliwa. Ale tak się nie stało – tak długo mieszkaliśmy za granicą, że w rezultacie we własnym kraju czuję się jak obcokrajowiec.

**@MamaZKrainyOzWTokio** pisze:

Dokładnie tak! Problem tkwi w tych wszystkich drobnostkach. Pamiętam, jak wróciliśmy tutaj ze Szwecji. Sądziłam, że za niczym nie będę tęskniła, ale teraz z sentymentem wspominam różne rzeczy: niekończące się białe noce, domy, ludzi, sznapsy, a nawet to zimno... Może chodzi o to, że wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma? A może o różowe okulary?

**@ZonaNomadka** pisze:

Naprawdę nie mogę się doczekać, kiedy przeczytam twój post do końca, Lizzy. Mam nadzieję, że znajdziesz te pozostałe dziewięć rzeczy!

**@ZakreconaLizzy** odpowiedziała:

Już prawie gotowe :).

**@ShelaghO'D** odpowiedziała:

Kiedy post pojawi się na stronie **@ZonaNomadka**?

**@ZonaNomadka** odpowiedziała:

Jest przewidziany na pierwszy poniedziałek kolejnego miesiąca. Hej – z przyjemnością zamieściłabym także twój post. Puść mi mail na adres: linda@ZonaNomadka.com **@ZakotwiczonaNaAlasce** pisze:

Taaak bardzo nie mogę się doczekać, kiedy zacznę tęsknić za różnymi rzeczami na Alasce. Kiedy zacznie mi ich brakować, to wtedy już mnie tutaj nie będzie. LOL.

**@MamaPrawdziwieWierzaca** pisze:

Jeśli przyjmiesz Pana Jezusa do swojego serca, zawsze będziesz w domu. Niech

Bóg pobłogosławi Ciebie i Twoją rodzinę.

**@DziewczynaZIpanemy** odpowiedziała:

Dom jest tam, gdzie wieszasz swój kapelusz, prawda?

**@MamaPrawdziwieWierzaca?** LOL.



## BETH

– Mamo – słysząc to od pierwszej sylaby wypowiedzianej z zapartym tchem i powagą – że Lucy ma jej coś ważnego do powiedzenia.

Beth siedzi wyprostowana na łóżku ze swoim laptopem, pisze post na stronę ZonaNomadka.com i nie ma ochoty przerywać. Jest już po dwudziestej drugiej i sądziła, że dziewczynki dawno śpią. Sprawdziła to, zanim sama położyła się do łóżka, i chociaż fizycznie przytuliła Charlotte, całując ją w czoło i gładząc po włosach, nie weszła do pokoju Lucy, ponieważ nie chciała zakłócać jej lekkiego snu. Natomiast stanęła w drzwiach i przyjrzała się powolnemu wznoszeniu i opadaniu klatki piersiowej Lucy. Założyła, że już zasnęła. Beth wieczorami zazdrośnie strzeże godziny albo dwóch tylko dla siebie, szczególnie kiedy Dan wyjeżdża, i nalega, żeby dziewczynki były w łóżkach o dwudziestej trzydzięci i zgasiły światło do dwudziestej pierwszej. Wszystkie dni, w które nie pracuje, spędza na pracach domowych – kończy malowanie, wybiera armaturę, prowadzi negocjacje z fachowcami. Tylko wieczorami może zająć się swoim blogiem.

Później uzna to za niebywałe, wręcz dziwaczne, że to jej pisanie – w tak ulotnym medium w stylu „jesteś, a za chwilę cię nie ma”, niepłatnym i nierozpoznawalnym w „prawdziwym” świecie, a do tego właściwie wykonywane potajemnie – pochłania tak dużo czasu i świadomości. Będzie się zastanawiać, czy fakt, że skupiła się na tym blogu, który zaczął się od zaspokajania jej pragnienia posiadania czegoś poza rodziną, poza dziewczynkami, sprawił, że przeoczyła pewne kwestie. Gdyby nie była aż tak zajęta pracą dla Drew i życiem w sieci, być może zdawałaby sobie sprawę z tego, co działo się z Charlotte, a przynajmniej zauważyłaby pewne sprawy, które, jeśli spojrzeć na nie z perspektywy czasu, powinny były zostać zauważone.

Ale tego konkretnego wieczoru chętnie korzysta z okazji, żeby skupić się na mało istotnych tematach, uciec dokądś myślami, żeby nie myśleć o Sophie, o tej niepewności, o cierpieniu Andi i Steve’a. Pisanie postu na blog jest czymś banalnym, ale stanowi mile widzianą odskocznię.

– Mamo? – Głos Lucy jest natarczywy i Beth podnosi wzrok na starszą córkę, która niespokojnie kiwa się w drzwiach. – Mogę wejść i chwilę z tobą porozmawiać? To naprawdę ważne. – Mówi przyciszonym głosem, oglądając się za siebie, jakby

obawiała się, że ktoś ją podsłucha.

Beth wzdycha i zamyka laptop, zapraszając ją gestem ręki, żeby weszła.

– Dlaczego nie śpisz, Lucy? Późno już. No chodź. Podejdź tutaj. – Poklepuje brzeg łóżka i Lucy siada obok niej, ze zmarszczonymi brwiami, najwyraźniej przybita. – Co słyszeć?

Lucy przygryza usta, przeciera oczy dłonią.

– Kochanie? Co się stało? Czy coś niedobrego dzieje się w szkole?

Lucy spogląda w kierunku drzwi, po czym mówi szeptem, z pochyloną głową, nie patrząc matce w oczy:

– Nie chodzi o mnie. Chodzi o...

Mówi tak cicho, że Beth musi się przysunąć bliżej.

– Nie słyszę cię, Lucy.

– Chodzi o Sophie. – Oczy córki szklą się łzami, dolna warga drży.

– Och, skarbie. Lucy. – W odpowiedzi jej oczy też napęcznieją się łzami. Przyciąga córkę do siebie, mocno ją przytula. – Och, Boże. Wiem, że to przerażające, ale nie myślałam o tym, jakie to musi być dla ciebie straszne. W tej chwili stan Sophie jest stabilny, a rokowania są...

Lucy przerywa.

– Nie. – Ma ostry ton głosu. – Nie. – Wrywa się z objęć matki. – Nie o to chodzi.

– Wobec tego o co chodzi, Lucy? Co się dzieje?

Lucy bierze głęboki oddech.

– Chodzi o to, że... – zawiesza głos, przetyka ślinę. Zaczyna od początku. – Chodzi o to, co mówią w szkole, co dziewczyny mówią o tym, dlaczego ona to zrobiła.

– Dlaczego to zrobiła? Masz na myśli...

– Dlaczego Sophie połknęła te pigułki.

– Nie wiedzą, kochanie. Naprawdę. Nikt nie ma pojęcia. Jednak są pewni, że nie zrobiła tego z rozmysłem. – To kłamstwo konieczne, ale Beth mimo wszystko ma poczucie winy. Próbuje mówić z przekonaniem. – Najprawdopodobniej to był wypadek. Sophie miała wkrótce zdawać trudny egzamin, potem jeszcze występ na tym festiwalu i Andi podejrzewa, że miała kłopoty ze snem. To jej się zdarzało. Może po prostu chciała się porządnie wyspać.

– W tym właśnie rzecz, mamó. – Lucy tak mocno ściska rękę Beth, że aż sprawia jej ból, wpijając swoje szczupłe silne palce w jej nadgarstek. – Nikt w szkole tak nie myśli.

Wszyscy wiedzą, co tak naprawdę się stało.

– O czym oni wiedzą? W takim razie jaki był prawdziwy powód?

– To było... – Lucy znowu spogląda w stronę drzwi. Przycisza głos. – Znęcały się nad nią. Charlie i jej przyjaciółki. Jej paczka.

– Paczka Charlie? Co masz na myśli? Charlotte jest w tej szkole od niedawna, więc nie może mieć żadnej paczki. Myślałam, że dopiero sobie to wszystko układa, że bawi się codziennie z innymi dziewczynkami.

Lucy przewraca oczami.

– Mamo, Charlie zawsze ma paczkę. Przecież ona zawsze jest liderką. Tutaj jest tak samo jak w Brookdale. Kiedy powie, że możesz należeć do paczki, to zostajesz do niej przyjęta. A kiedy powie, że trzeba cię wyrzucić, to zostajesz wyrzucona.

Beth czuje ucisk w klatce piersiowej.

– A Sophie nie jest w jej paczce? Nie jest jedną z jej przyjaciółek? Przecież była tutaj zaledwie kilka dni temu, zanim to się stało. Wyglądało, jakby się ze sobą dobrze dogadywały.

Chociaż, patrząc z perspektywy czasu, ostatnia wizyta chyba nie była wielkim sukcesem. Z tego, co pamięta, Sophie spędziła większość czasu przed telewizorem z Lucy, gdy tymczasem Charlotte zajmowała się czymś w swoim pokoju. Sophie nalegała, jakoś wyjątkowo, żeby szybko wyszły, kiedy Andi przyjechała ją odebrać. Obie kobiety ledwie miały czas, żeby zamienić kilka słów.

– W szkole w ogóle nie spędzają czasu razem. Nie sędzę, żeby Sophie miała jakichś przyjaciół. W każdym razie w szkole sytuacja wygląda inaczej – to, co dzieje się w domu, się nie liczy.

– A co mówią o Charlotte?

Spojrzenie Lucy znowu ucieka w stronę drzwi.

– Mówią, że znęcała się nad Sophie. I że to było naprawdę okropne. Mówią też, że nękała ją w sieci. Że to miało pozostać anonimowe, ale wszyscy wiedzieli, że stała za tym Charlotte. Na ASKfm.

– ASKfm? Czy to jakaś stacja radiowa?

– Nie, to serwis społecznościowy. Ale to jeszcze nie koniec. – Lucy bierze głęboki oddech.

O Jezu.

– Co jeszcze?

– Była jeszcze ta strona internetowa. Strona na temat Sophie. Ktoś przesłał link praktycznie do wszystkich dziewczyn w szkole. Mówią, że to Charlotte. Że to Charlotte założyła tę stronę.

– Założyła?

– Stronę internetową. Mam jej zdjęcia. I film wideo. Z Sophie, która się rozbiera. Właściwie jest tam *naga*.

– Z Sophie? Ale dlaczego?

Beth chwyta Lucy za ramiona i nagle czuje, że robi jej się niedobrze.

– Po co ktoś miałby coś takiego zrobić? Dlaczego, na litość boską, miałyby to zrobić Charlotte? – A potem jeszcze dodaje, jakby właśnie przyszło jej to na myśl. – Gdzie to jest? Gdzie jest ta strona? Pokaż mi ją. – Sama myśl o tym przyprawia ją o mdłości, ale musi to zobaczyć. Bierze laptop i przesuwa go w kierunku Lucy.

Lucy wzdryga się, przesuwając go z powrotem w stronę matki.

– Nie potrafię jej znaleźć, mamo. Już próbowałam namierzyć ją w Google’u. Chyba została zamknięta. Pewnie ją zdjęto.

– W taki razie skąd wiemy, że...

Lucy wchodzi jej w słowo.

– Problem polega na tym, że sytuacja wygląda jeszcze gorzej, mamo.

Ledwie jest w stanie pojąć, co Lucy właśnie do niej powiedziała, a teraz pyta otępiłym głosem:

– Czy może być coś jeszcze gorszego?

– Mówią, że Charlotte podobno jej napisała, żeby to zrobiła... Na tej stronie internetowej...

– Napisała, żeby co zrobiła, Lucy?

Dziecko rzuca się w jej ramiona, z twarzą wykrzywioną smutkiem i lękiem.

– Że Charlotte napisała Sophie, żeby się zabiła.

Beth uspokaja Lucy, zapewniając ją, pomimo własnego obezwładniającego strachu, że wszystko będzie dobrze, i że jest przekonana, że to tylko ohydne plotki. Przeciera twarz córki ciepłą myjką, stary sposób na wszelkie zmartwienia, po czym kładzie ją z powrotem do łóżka i siada obok, głaszcząc córkę po włosach, aż ta zasypia.

Beth schodzi na dół i chodzi z furią po cichym domu, nie może spokojnie usiedzieć w jednym miejscu. Zastanawia się, co powinna zrobić, co *może* zrobić. Na pewno *musi* znaleźć tę stronę internetową. Spojrzeć na nią swoimi oczami. A następnie

zlikwidować ją, podobnie jak wszystkie istniejące dowody. Czy powinna teraz obudzić Charlotte, zadać jej pytania, oskarżyć ją, przesłuchać?

Czy powinna zadzwonić do Dana i o wszystkim mu powiedzieć? Ale Dan pewnie jeszcze śpi albo wciąż jest gdzieś na mieście na wytwornej kolacji i nie ma najmniejszego sensu, żeby go tym niepokoić. Przychodzi jej na myśl, żeby zadzwonić do Susie, ale ona jest tak pochłonięta swoimi sprawami. Beth od czasu powrotu podejmuje próby nawiązania z nią kontaktu, ale siostra dała jej jasno do zrozumienia, że nie potrzebuje albo nie chce utrzymywać z nią bardziej zażyłych stosunków. Może zadzwoniłaby do swojej matki? Do Margie? Nie do pomyślenia. Przychodzi jej do głowy, żeby zadzwonić na drugą stronę Atlantyku, ale jej znajomi z NYC sprawiają wrażenie dalekich pod każdym względem. I co miałyby im powiedzieć? Chce, och, tak naprawdę chce porozmawiać z Andi. Wyjaśnić to wszystko, zanim dotrą do niej plotki, zanim zaczną się między nimi psuć. Zapewnić ją, że Charlotte nie mogła zrobić czegoś takiego, że to wszystko musi być jakieś nieporozumienie, że to tylko podle plotki. Andi, czego jest prawie pewna, uwierzy jej na słowo, instynktownie wyczuje, że Beth mówi prawdę.

Mogłaby zadzwonić do Drew, który na pewno by ją wysłuchał, ale pora jest zbyt późna. Co mógłby jej powiedzieć? Wyobraża sobie, że pocieszyłby ją, że nie ma czym się martwić. Że nawet jeśli Charlotte była niemą wobec Sophie, to przecież tylko dwunastolatka, jeszcze dziecko, i że na pewno nie ponosi winy za to, co się wydarzyło. Nie można jej obwiniać. Powiedziałaby, żeby zrobiła sobie drinka, mocnego drinka, i żeby pomyślała o czymś innym. Powiedziałaby, że powinna się zrelaksować, wrócić do pisania bloga, pójść spać. Powiedziałaby, żeby zrobiła cokolwiek, żeby oderwać myśli od tej sprawy.

Beth przyjmuje wyimaginowane rady Drew, nalewa sobie whisky i wraca do laptopa, otwiera swój artykuł. Załadowała plik ze zdjęciem, na którym stoją we czwórkę przed domem w West Bloomfield pod obfitych opadach śniegu. Ulepili bałwana, pierwszego tej zimy, z nosem z marchewki i oczami z suszonych śliwek. Na głowie ma błyszczący plastikowy kapelusz kowbojski z arsenału strojów na przebranie należących do dziewczynek, a na szyi koszmary szalik w kolorze fuksji z nylonowej włóczki, który Margie zrobiła na drutach w poprzednie święta Bożego Narodzenia, i którego nikt nie chciał nosić. Dziewczynki trochę podrosły od czasu, gdy zrobiono to zdjęcie, ale poza tym prawie się nie zmieniły. Ujęcie pstryknęli aparatem z samowyzwalaczem, co wywołało powszechną wesołość. Promieniali szczęściem. Na twarzy Beth maluje się zadowolenie, które nie było trikiem aparatu

ani efektem nostalgii, ale płynęło prosto z serca. Smutno sobie to uświadomić, ale od czasu przeprowadzki niemalże nie doświadczyła tak prostolinijnej radości. Nie chodziło o to, że była niezadowolona, ale miała o wiele więcej stresów, więcej zmartwień, niż się spodziewała. Bardzo dużo ich to kosztowało, żeby znaleźć sobie tutaj swoje miejsca, żeby się dopasować.

A teraz jeszcze to.

Pisze z wściekłością na klawiaturze, dopisując śnieg do listy amerykańskich rzeczy, za którymi najbardziej tęskni.

W tej chwili Beth byłaby zadowolona, a nawet więcej niż zadowolona, gdyby tam wróciła. Ale zdaje sobie sprawę, że to nie za samym miejscem tak bardzo tęskni. Tęskni za tym czasem, za czasem sprzed tu i teraz. Za czasem, kiedy dokładnie wiedziała, jak potoczy się każdy dzień, znała ramy własnego życia. Świetnie rozumiała męża, a serca jej dzieci nie skrywały żadnych sekretów, były równie wyraźne, przejrzyste i dobrze znane jak jej własne serce. Być może było to jedynie złudzenie – może ziarno tego wszystkiego zostało już wtedy zasiane. Może przez cały czas mimowolnie karmiła tego potwora przeznaczenia, z którym teraz stanęła twarzą w twarz.

Przez chwilę ma pokusę, żeby powiedzieć swoim lojalnym czytelniczkom, co się dzieje. Już sobie wyobraża ich zdumione odpowiedzi, wszystkie spodziewałyby się jej standardowego podejścia, nieco rozmytego, ale zdecydowanie optymistycznego spojrzenia na świat, a nie jakiegoś koszmarnego odkrycia.

Niemalże wybucha śmiechem, wyobrażając sobie wesołą odpowiedź @ZakowticznejNaAlasce: Ach, to na pewno jakieś nieporozumienie, Lizzy! LOL.

Ciętą ripostę @DziewczynyZIpanemy: Na pewno w tej rodzinie dzieje się coś mrocznego i obrzydliwego.

I współczucie @MamyZKrainyOzWTokio: Och, Lizzy, nie potrafię wyrazić tego, jak bardzo ci współczuję. Na pewno wszystko będzie dobrze. Przecież wiesz, że twoje dziecko nie zrobiłoby niczego złego. Przytulasy. XOX.

I najłatwiejsza do przewidzenia, niechybna, hiobowa pociecha @NiebieskiejSue: A co ty myślałaś, Lizzy? Że życie jest takie proste? Że wychowywanie dzieci to betka? Życie to bagno, macierzyństwo to istne piekło, wszystkie dzieci są rozczarowaniem. Skąd przekonanie, że twoje dziecko miałyby być inne?

Wraca do swojej listy. Woli lukrowany blask swojego sztucznie stworzonego życia od tego prawdziwego, które zaczyna przypominać bardzo ponurą opowieść.

No i nie chce rozczarować swoich czytelniczek.

CudowneDziecko.com

Dziesięć lekcji cudownego dziecka, jak osiągnąć sukces

Lekcja siódma: Jak sprawić, żeby twoi rodzice byli szczęśliwi

Pamiętasz, jak zbyt mocno popchnęłaś jakąś dziewczynkę, a ta wylądowała na tyłku i poszła *biadoolić* matce, mówiąc, że zrobiłaś to celowo? A matka powiedziała do swojego płaczącego dziecka: „Jestem pewna, że nie zrobiła tego z rozmysłem, skarbie”. Potem twoja własna matka spojrzała na ciebie i powiedziała surowym głosem: „A teraz kochanie, przeproś”, nawet nie zadając sobie trudu, żeby cię zapytać, co właściwie się wydarzyło. Wobec tego przeprosiłaś, dałyście sobie z dziewczynką buziaka, pogodziłyście się i wróciłyście do zabawy. Nieźle pogmatwane, co?

Wszystko komplikuje się jeszcze bardziej, kiedy wracasz do domu, a twoja matka mówi: „Mamusia wie, że nie zrobiłaś tego celowo, kochanie. Tylko przypadkiem, prawda?”. A ty wiesz, że ona tak naprawdę nie chce usłyszeć, jak było, nawet jeśli to byłaby prawda. Wobec tego idziesz za tym: „Tak, oczywiście, że to się stało przypadkiem, mamusiu”.

I mamusia ci wierzy. A w końcu może nawet sama w to uwierzysz.

Wszyscy rodzice CHCĄ wierzyć, że ich dzieci są dobre. Bez względu na to, co się dzieje na ich oczach.

I powinnaś pozwolić im w to wierzyć. Tym sposobem wszyscy będą szczęśliwi.

KOMENTARZE:

**@PRZYPADKOWACZYTELNICZKA** pisze:



W takim razie, Złotko, czy ona została popchnięta, czy sama się przewróciła?

## ANDI

Andi idzie do poczekalni dla odwiedzających, pustej o tak wczesnej porze, żeby zadzwonić. Nie chce, żeby Sophie ani ktokolwiek inny słyszeł tę rozmowę. Wybiera kilka pierwszych cyfr, kiedy palce zaczynają jej się trząść w niekontrolowany sposób. Rozłącza się. Próbuje jeszcze raz. I znowu. Kiedy w słuchawce słyszy sygnał, czuje, jak żołądek podchodzi jej do gardła, pozostawiając w ustach smak żółci. Zapisła sobie słowo po słowie, linijka po linijce, oddech po oddechu, co chce powiedzieć, co potrzebuje, żeby zostało powiedziane. Dała to nawet do przeczytania Steve'owi. Nie odezwał się ani słowem, ale kiwnął lekko głową, zanim znowu poświęcił swoją uwagę Sophie i temu, co zaprzętało jego umysł.

Ostatnią wiadomość od Beth, esemesa z pozdrowieniami i pytaniem, jak się miewa, dostała poprzedniego dnia, ale jej nie odpisała i od tej pory nie przyszła żadna nowa wiadomość. Teraz się zastanawia, czy Beth odkryła, jaką rolę w tym wszystkim odegrała jej córka. Nie jest w stanie sobie wyobrazić, co ona może teraz myśleć, robić, czuć.

Powraca myślami do tamtych odwiedzin w szpitalu. Kiedy przyszły, Steve właśnie pojechał do domu, żeby wziąć prysznic i się ogolić. Wyszedł niechętnie, obawiając się, że coś nie do pomyslenia wydarzy się podczas jego nieobecności. Musiała na siłę wypchnąć go z sali, dostrzegając w jego oczach własny lęk, ale równocześnie zdając sobie sprawę z tego, że istniały inne kwestie, a szczególnie jego higiena osobista, którym należało poświęcić uwagę.

Andi karmiła Gusa, kiedy pielęgniarka, młoda Irlandka z rudymi włosami, niezrozumiałym akcentem i irytująco wesołym usposobieniem przyprowadziła do pokoju Beth i Charlotte. Wsadziła głowę przez drzwi, żeby zapowiedzieć odwiedzające, po czym zostawiła je zakłopotane w progu. Andi mogła je obserwować, pozostając niezauważoną. Charlotte jak zwykle wyprostowana, ale ścisnęła matkę za rękę, jakby była małym dzieckiem. Miała szeroko otwarte oczy, rozdziawione usta, kiedy chłonęła otoczenie. Ale nieomalże natychmiast odzyskała panowanie nad sobą, oddychając głęboko, wyrwała rękę z dłoni matki i stanęła obok. Andi wciąż jest zdumiona ogromnym opanowaniem tego dziecka. Jaka ona musi być pewna siebie, najwyraźniej gotowa na wszystko. Beth to zupełnie inna historia – przygnębiona,

jawnie wystraszona. Przyglądała się uważnie zboląlemu wyrazowi twarzy swojej przyjaciółki, kiedy tak patrzyła na Sophie podpiętą do aparatury, bladą i ledwie żywą, jak z trudem oderwała od niej wzrok, żeby zlustrować pokój.

– Och, Andi. – Beth miała zachrypły głos. Andi powiedziałaaby nawet, że była bliska płaczu. Beth wsparła się o framugę drzwi, jakby nie mogła się ruszyć, a kwiaty, które przyniosła w prezencie, zwisały bezwładnie w jej dłoni. Wybucho szlochem, a po twarzy płyną jej łzy. – Och, Andi. To takie straszne. Nie mogę... Nie chcę... Och, biedna Sophie.

Spotkanie z nimi nie było tak trudne, jak Andi się spodziewała. Myślała, że nie będzie w stanie tego znieść, że owładnie nią zazdrość, że nie będzie już potrafiła porozumieć się z całym światem zewnętrznym. Tymczasem jej serce nagle przepełniły czułość i nadzieja. Matka i córka – jej przyjaciółki – były żywym dowodem na to, że wcześniej istniało inne życie, przypomniały jej, że na świecie istnieje jeszcze zwyczajne dobro. Andi podniosła się z krzesła, nadal karmiąc, i bez wahania ruszyła w ich stronę.

– O Boże. Beth. – Objęła Beth, a potem Charlotte najczulej, jak potrafiła, sama mówiąc łamiącym się głosem, z oczami wypełnionymi łzami. – Tak się cieszę, że was widzę.

Wizyta była krótka – zostały zaledwie dwadzieścia minut – ale okazała się niezwykle podnosząca na duchu. Po tym wzruszającym przywitaniu Beth poszła prosto do Sophie i usiadła przy łóżku, skupiając na niej uwagę. Wzięła ją za rękę, pogłaskała po włosach, tymczasem Andi powiedziała jej o najnowszych rokowaniach – ostatni rezonans magnetyczny nie wykazał żadnych urazów mózgu, nie uwidoczniono również trwałych uszkodzeń organów wewnętrznych. Chociaż lekarze spodziewali się, że odzyska przytomność, nie wiedzieli, kiedy to nastąpi. Nie było żadnej gwarancji. Oczywiście Andi skonsultowała się z doktorem Google'em – były takie przypadki, zbyt wiele, w których pacjenci ze śpiączką nigdy nie odzyskali przytomności pomimo dobrych rokowań lekarzy, pomimo wszystkich symptomów wskazujących na to, że tak powinno było się stać.

Charlotte zajęła miejsce po drugiej stronie łóżka i wpatrywała się uważnie w przyjaciółkę. Delikatnie podniosła drugą dłoń Sophie. Kiedy Andi skończyła swoje sprawozdanie, Charlotte spojrzała na nią, nieznacznie się uśmiechając.

– Czy mogę jakoś pomóc?

Andi odwzajemniła uśmiech ucieszona ponad miarę tym nieoczekiwanym

prostoliniowym gestem przyjaźni. Rozumiała, jak trudno dziecku się zorientować, co ma zrobić, zaproponować coś w takiej sytuacji – sama w tym wieku czułaby się przytłoczona, obawiała się, żeby nie zrobić z siebie idiotki, panicznie by się bała, żeby nie popełnić jakiegoś błędu, byłaby nieznośnie skrępowana. Cieszyła się, że Sophie ma taką przyjaciółkę.

– Możesz jej poczytać, jeśli chcesz. Pielęgniarki mówią, że to może pomóc. – Andi wskazała palcem na książkę leżącą na nocnym stoliku, którą wcześniej czytała na głos. Była to jedna z ulubionych książek Sophie, *Pajęczyna Charlotty*, chociaż Andi właśnie przypomniała sobie to straszliwie smutne zakończenie i postanowiła, że nie będzie dalej czytać. Zdecydowała, że przyniesie coś weselszego, zabawnego.

– Możesz też po prostu z nią porozmawiać, jeśli wolisz. Opowiedz jej, co słyhać, jeśli nie czujesz się z tym jakoś niezręcznie.

Charlotte się uśmiechnęła.

– Chyba wolałabym poczytać.

– Będzie równie cudownie.

Kobiety siedzą na plastikowych krzesłach, a kiedy karmienie dobiega końca, Beth kołysze Gusa w ramionach i rozmawia z Andi. A raczej Andi prowadzi monolog. Słowa wylewają się z niej niczym z odkorkowanej butelki, mówi przyciszonym głosem, żeby mieć pewność, że Charlotte (i Sophie, gdyby jednak coś słyszała) tego nie usłyszy. Opowiada Beth o wszystkim – zadowolona, że w końcu może się otworzyć, powiedzieć prawdę: o swojej rozpacz, poczuciu winy, o tym, że nie zdawała sobie sprawy z tego, że coś było nie tak, o tym, jak zawsze zakładała, że talent Sophie był swego rodzaju talizmanem, o swoich obawach o Gusa, o swoim rozdzieleniu z nim, o tym, że się martwiła, jaką krzywdę mu tym wyrządzi.

Beth była, czego Andi się po niej spodziewała, spokojna i wspierająca.

– Musisz przestać się obwiniać, Andi. To nie jest... Czegoś takiego nie da się przewidzieć. – Beth również mówiła przyciszonym głosem, odwróciła twarz od córki, chociaż Charlotte była zbyt zajęta czytaniem książki, żeby zwracać uwagę na rozmowę kobiet.

– Nie rozumiem, dlaczego właśnie teraz? Co takiego trudnego działo się w jej życiu? I dlaczego nic nie powiedziała? Nie przypuszczam, żeby doświadczała jakiegoś szczególnego stresu – to znamy, że zbliża się termin tego festiwalu artystycznego i egzaminy. Ale madame Abramova zapewniła, że Sophie jest przygotowana już od wielu miesięcy. Zawsze jest przygotowana. A sytuacja w domu –

może daleko jej do ideału, może z Gusem jest trudniej, może nie poświęciliśmy jej tyle uwagi, co kiedyś, ale nic szczególnego się nie *wydarzyło*. To nie ma najmniejszego sensu. Musiały jednak być jakieś sygnały ostrzegawcze. Kwestie, które ja, my, przeoczyliśmy.

– Kiedy spoglądamy na coś z perspektywy czasu, zawsze pojawiają się takie kwestie. Na tym właśnie polega problem. Ale przecież mówisz, że nigdy nie było po niej widać żadnych oznak stresu. Masz rację, że zapewne nie ma to żadnego związku z grą na fortepianie, skoro wcześniej zawsze dobrze znosiła tę presję. Na pewno by coś powiedziała. O tym, że już nie chce się tym zajmować. Gdyby chodziło o fortepian, musiałyby stać się to nagle. Zbyt nagle, żebyś zdążyła cokolwiek zdziałać. A jeśli to miałyby coś wspólnego z Gusem, gdyby czuła się aż tak przygnębiona całą sytuacją, na pewno byś o tym wiedziała.

– Ale nie wiedziałam, prawda? A teraz jeszcze Gus do tego wszystkiego, Bóg jeden wie, jaki to ma na niego wpływ. Większość dnia spędza w szpitalnym żłobku.

Beth sięga ręką i chwyta jej dłoń, ściska.

– Och, Andi, kochana. On naprawdę nie będzie niczego pamiętał – na tym etapie życia potrzebuje jedynie ciepła, karmienia, przytulania. A tak przy okazji, gdybyś chciała, żebym ci przy nim pomogła, możesz go w każdej chwili do mnie podrzucić. Chętnie się nim zajmiemy, prawda, Charlotte?

Charlotte przez chwilę nie odpowiada, a kobiety odwracają się w jej stronę. Dziewczynka najwyraźniej nie usłyszała pytania. Przestała czytać i kurczowo ściskała dłoń Sophie, próbując powoli ją unieść. Podniosła ją do góry, aż ręka Sophie zwisała niecałe dziesięć centymetrów nad pościelą, kiedy Beth powtórzyła swoje pytanie:

– Chętnie zaopiekujemy się Gusem. Prawda, kochanie?

Charlotte pospiesznie upuściła dłoń Sophie, zanim odwróciła się do nich nieco zaróżowiona na twarzy.

– Ależ tak. – Wyglądała na dziwnie skrepowaną. – Byłoby wspaniale. Uwielbiam niemowlęta. – Miała nieco zbyt przesadny, pozbawiony tchu głos – nagle brzmiała jak młoda dziewczyna, którą tak naprawdę już się stawała.

Wizyta wkrótce dobiegła końca. Andi podziękowała im za chęci zaopiekowania się Gusem, ale odmówiła, a kiedy w pokoju pojawił się szwadron lekarzy gotowych do przeprowadzenia różnych badań i napisania raportów, Beth i Charlotte się pożegnały. Kobiety ocierały łzy, a Andi tak mocno uściskała Charlotte, że aż poczuła się tym zaskoczona.

– Dbaj o siebie – powiedziała. – Myślicie, że jesteście już takie duże, ale wciąż jeszcze jesteście naszymi małymi dziećmi. Nawet nie zdajecie sobie sprawy z tego, jak bardzo was kochamy.

Niedługo potem, gdy usłyszała od pani McLachlan o nękanii, stanęła jej przed oczami tamta chwila w szpitalnej sali. Po odwiedzinach Beth i Charlotte Andi pojechała do domu wziąć prysznic i położyła się we własnym łóżku potwornie zmęczona, z chaosem myśli, mając nadzieję na kilka minut błogiej nieświadomości. Właśnie wtedy nagle zdziwiło ją to osobliwe zachowanie Charlotte, to ukradkowe manewrowanie bezwładną ręką jej córki. Przypomniała sobie chłodne wyrachowanie w spojrzeniu Charlotte, kiedy uniosła rękę Sophie – wyglądała wtedy jak naukowiec przeprowadzający eksperyment – a potem ten wyraz zakłopotania na twarzy, kiedy się zorientowała, że była obserwowana.

Andi wciąż nie ma pojęcia, co ta dziewczyna robiła, ale teraz czuje, jak krew lodowacieje w jej żyłach. Świadomość, że dała się nabrać do tego stopnia, że pozostawiła córkę, choćby tylko na chwilę, wystawioną na pastwę zła, które czaiło się w tym dziecku – bo trudno to inaczej nazwać – napawała ją przerażeniem.

Kiedy w końcu dzwoni, Andi nie potrzebuje już żadnych notatek. Słowa same się z niej wylewają, gorące niczym roztopiona lawa i równie niebezpieczne, pochłaniające wszystko, co znajdą na swojej drodze.

## CHARLOTTE

Charlotte słyszy końcówkę tej rozmowy, kiedy ukradkiem przemyka ze śniadaniem do swojego pokoju. Obudziła się dość wcześnie – jest dopiero ósma z minutami – i zeszła na paluszkach na dół, próbując się upewnić, że matka niczego nie usłyszy ani się nie zorientuje, że Charlotte już wstała. Chce zabrać owsiankę na górę, zjeść ją w zaciszu swojego pokoju, oglądając po raz kolejny ostatni odcinek *Sherlocka*.

Matka, o czym wie, przeważnie wkurza się, że Charlotte cały czas siedzi przed telewizorem, chociaż przecież w szkole jest semestralna przerwa. W kółko gada o tym, jakie to niezdrowie, mówiąc, że Charlotte musi wychodzić na powietrze, że przez to jest rozdrażniona, zmęczona, niewysportowana i nie ma więzi z rodziną. Że powinna się postarać i brać przykład z Lucy, która przynajmniej czasami czytuje prawdziwe książki, od czasu do czasu wychodzi na spacer albo spędza czas, zajmując się rękodziełem, piecze ciasta. Zapewne to wszystko prawda, ale teraz, w te dni, w które nie muszą chodzić do babci, Charlotte potrzebuje wyłącznie relaksu, nicnierobienia, a nawet niemyślenia. W końcu ma wolne.

Nie musi się martwić, że zostanie przyłapana. Matka zapewne jej nie usłyszy, jest w gabinecie, rozmawia przez telefon głośno, niemalże gniewnie. Charlotte wlewa mleko do płatków, po czym bezszelestnie wraca korytarzem zadowolona, że tak łatwo udało jej się przechytrzyć matkę. Idzie w kierunku schodów, ale w połowie drogi się zatrzymuje, kiedy słyszy swoje imię. Wyteża słuch, żeby zrozumieć coś więcej, ale nie jest w stanie rozpoznać niczego poza pojedynczymi słowami i sylabami. Jednak nawet stojąc tutaj, domyśla się, wnioskując z tonu głosu matki i rozmowy prowadzonej zdławionym głosem, że wydarzyło się coś złego. Niemalże z ociąganiem zawraca i idzie najciszej, jak potrafi, i zatrzymuje się tuż przed drzwiami do gabinetu.

– Andi... – matka ściszyła teraz głos, ale słysząc w nim drzenie, które Charlotte rozpoznaje, choć słyszała je zaledwie kilka razy. Drzenie, które poprzedza łzy. – Andi, nie rozumiem, skąd to się wzięło. Wiem, jak potwornie musisz się teraz czuć. Dobrze, oczywiście, że nie mogę tego wiedzieć, ale potrafię sobie to wyobrazić... Och, to brzmi strasznie, ale, Andi, myślę, że musimy o tym porozmawiać racjonalnie. Nie wyciągać pochopnych wniosków. – Mówi powoli i uważnie chropawym i odrętwiałym głosem,

jakby bolała ją głowa. – Tak, jak powiedziałam, naprawdę muszę porozmawiać z Charlotte i sprawdzić, co ona powie. Przynajmniej to jesteśmy jej winne. Musisz mnie zrozumieć. Tak, słyszałam, ale dopiero wczoraj wieczorem. I pamiętaj, że to tylko plotki. Oczywiście porozmawiam z nią, ale sądzę, że to musi być... Nie, oczywiście, wtedy nie miałam pojęcia, że miała z tym cokolwiek wspólnego... Inny incydent? Kto ci o tym powiedział? – Podnosi głos ze złości albo stresu. – Proszę, nie mów tak, Andi. Mówisz o Charlotte, o mojej córce. Ona ma zaledwie dwanaście lat. To tylko... to tylko mała dziewczynka.

Kiedy słyszy sygnał przerwanej rozmowy, Charlotte się odwraca i biegnie najszybciej, jak potrafi, w kierunku schodów. Nie jest jednak ani dość szybka, ani dość cicha.

– Charlotte! – Charlotte się zatrzymuje. Odwraca się. Ciągnie się za nią smuga rozchlapanego mleka, na końcu której stoi jej matka. Nie uśmiecha się. – Wróć tutaj. – Ma lodowaty głos. – Musimy porozmawiać, Charlotte. Musimy porozmawiać o Sophie.



## ANDI

Dziwnym zbiegiem okoliczności pomysł został zainspirowany rozmową z ojcem Steve'a, chociaż żadne z nich nie wspomniało mu o tym ani słowem. W trakcie jednej z tych nocnych rozmów Steve zdaje starszemu panu szczegółową relację na temat stanu zdrowia swojej córki, po czym, co zdarza się rzadko, zwierza mu się, a następnie opowiada o ich najnowszym odkryciu – mianowicie Sophie nie była pogrążona w bezgranicznym smutku ani załamana z powodu nadmiernej presji, tylko stała się ofiarą najbardziej przerażającego, rozmyślnego i uporczywego nękania, a ta dziewczyna – dziewczyna, którą lubili, dziewczyna, której ufali, dziewczyna z dobrej rodziny (córka ich przyjaciół!), dziewczyna, którą uważali za przyjaciółkę swojej córki – była główną sprawczynią. Steve nie wspomina ojcu o stronie internetowej – to byłoby już dla niego zbyt wiele, zbyt okropne, zbyt obsceniczne. Starszy pan na pewno by sobie z czymś takim nie poradził, ale i tak Andi jest zaszokowana i nieco zdziwiona wzruszającą do łez relacją Steve'a na temat wydarzeń, co do których są teraz przekonani, że naprawdę miały miejsce. W tym całym doświadczeniu, kiedy co chwilę dowiadawali się o kolejnym wyzwaniu medycznym (które na szczęście pokonywano), Steve zachował taką beznamiętność, tak chłodny dystans, że Andi niemalże z ulgą przyjęła to, że w końcu się załamał.

Steve rozmawia ze swoim ojcem w pokoju szpitalnym Sophie i chociaż Andi udaje, że nie zwraca na to uwagi, to jednak stoi na tyle blisko, żeby słyszeć każde słowo, które wypowiada starszy pan. Przez dłuższą chwilę milczy, a potem pastor intonuje niskim, słabym głosem: „Umiłowani, sami nie wymierzajcie sprawiedliwości, ale pozostawcie to gniewowi Bożemu. Napisano bowiem: *Do mnie należy pomsta, Ja odpłacę, mówi Pan*”[\[14\]](#).

Jak zawsze deklamacje ojca pozostawiają Steve'a na konwersacyjnej ziemi niczyjej i wkrótce się rozłącza. Siedzi zgięty w pół, w całkowitym bezruchu, trzymając głowę w dłoniach. Andi udaje, że porządkuje rzeczy w szafce. W końcu Steve zaczyna mówić niskim i dziwnie znużonym głosem z oczami wpatrzonymi w Sophie.

- Nie wiem, czy chcę czekać na pomstę Pana, Andi.
- Co masz na myśli?
- Niczego więcej nie możemy zrobić? Może powinniśmy podjąć jakieś kroki

prawne?

– Ale wiesz przecież, że policja nie może namierzyć tego komputera – nic nie możemy zrobić. To ślepy zaułek. Jeśli nie ma dowodów, nawet nie mogą porozmawiać z dziećmi. Wiesz, jak to działa.

– A nie możemy ich pozwać do sądu?

– Pozwać? Masz na myśli Beth i Dana? Za co?

– Za zaniedbanie. Jeśli ta kobieta mówiła prawdę o tym, że Charlotte ma już na swoim koncie coś takiego, to na pewno powinni byli baczniej jej się przyglądać. Musieli wiedzieć o tym, że może stanowić zagrożenie dla innych dzieci. Przecież to na pewno jest rodzaj zaniedbania? Nie moglibyśmy tego wykorzystać, żeby założyć sprawę przeciwko nim? Nie potrzebujemy jakiegoś rachunku prawdopodobieństwa zamiast tych uzasadnionych wątpliwości? Z pewnością możemy to zrobić.

– Nie wiem, czy to możliwe, Steve. Nie wiem też, czy chciałabym podjąć takie kroki. Nie chcę na tym zarobić. Chcę tylko, żeby nasza córka odzyskała przytomność. Chcę pojechać do domu. Chcę, żeby nasze życie wróciło do normalności. Jeśli... kiedy Sophie wydobrzeje, chcę zapomnieć o tym, co się stało.

Uśmiecha się ze smutkiem.

– Wiesz, że to nigdy nie nastąpi. Nawet jeśli ona przeżyje, nawet jeśli wyjdzie z tego mniej lub bardziej bez szwanku pod względem zdrowotnym, to nigdy nie zniknie. Stanie się częścią niej i częścią nas na zawsze.

– Wobec tego w czym rzecz? Nie rozumiem. Żadna suma pieniędzy nigdy nie sprawi, że będzie lepiej.

– Nie chodzi mi o pieniądze, Andi. Tylko o sprawiedliwość. O karę. I to nie o karę boską, która zostanie wymierzona w jakimś pieprzonym życiu po śmierci. Chcę sprawiedliwości tu i teraz. Chcę, żeby ludzie wiedzieli, co spotkało Sophie. Chcę, żeby ta dziewczyna – oraz jej rodzice – zostali ukarani.

Kara. Kiedyś wydawało się, że to staromodna koncepcja, niemalże przestarzała, zastąpiona nowoczesnym pojęciem sprawiedliwości tak dobrze znanym jej z pracy – tymi szacownymi ideałami prawdy, pojednania, rehabilitacji. Ale teraz, rzucona w wir tego współczesnego świata, w którym inne obce pojęcia – rozpacz, gniew, lęk – rządzą całą jej aktywną częścią dnia i większą częścią snu, ta dawna koncepcja nagle staje się interesująca. A może nawet niezbędna.

– Właściwie może to i dobry pomysł, Steve. Zadzwoń do kilku osób. Zbadam tę sprawę. – Kiedy te słowa wydobywają się z jej ust, ma wrażenie, jakby jakaś mglista

zasłona się uniosła, odsłaniając coś wyraźnego i przenikliwego. Andi spogląda na Sophie, bierze ją za rękę i podnosi ją, tak nieruchomą, bladą i chłodną, do swojego gorącego policzka.

CudowneDziecko.com

Dziesięć lekcji cudownego dziecka, jak osiągnąć sukces

Lekcja ósma: Mówić prawdę, czy nie mówić

Oczywiście *mogłabyś* powiedzieć im prawdę.

*Mogłabyś* przyznać, że to ty w przedszkolu zabrałaś Penny F. kredki z serii Dora poznaje świat, a nie ten biedny Jonathan K., który wtedy zebrał za to cięgi.

*Mogłabyś* przyznać się do tego, że w trzeciej klasie to ty wypuściłaś z klatki nowego króliczka z klapniętym uszkiem, który należał do Annie B., po czym zagoniłaś go do psiego mordercy.

*Mogłabyś* wyjaśnić, że to ty napisałaś te obrzydliwe listy, przez które zawieszono Jaspera O. w obowiązkach ucznia.

*Mogłabyś* nawet powiedzieć im, że to ty „zawieruszyłaś” gdzieś paszport matki na dwa tygodnie przed wylotem do Australii.

*Mogłabyś*. Ale właściwie *dlaczego* miałabyś to robić?

KOMENTARZE:

**@PRZYPADKOWACZYTELNICZKA** pisze:

Biedny króliczek. Widziałaś *Fatalne zauroczenie*, Złotko? Mogłoby ci się spodobać. Lol.

## BETH

Kiedy dziewczynki chodziły do szkoły podstawowej, Margie, która się obawiała, że będą miały luki w edukacji religijnej (a konkretnie katolickiej) – Akademia Brookdale była szkołą prywatną, niezwiązaną z żadnym kościołem – przesłała im książkę z pytaniami filozoficznymi dla dzieci. Może i dziewczynki były rozczarowane tym prezentem, ale Beth choć raz doceniła dar teściowej. W programie szkolnym miały etykę, ale Beth chciała im przekazać w tym obszarze wyraźne rodzicielskie wytyczne. Najłatwiej było poczekać, aż jakaś kwestia pojawi się w życiu codziennym, i wtedy się do niej odnieść – na przykład problem dzielenia się pojawił się w naturalny sposób, gdy dziewczynki były jeszcze maluchami – ale istniały również inne, bardziej skomplikowane pytania natury moralnej, które nie pojawiały się w tak dogodnym momencie. Dziewczynki dobrze się bawiły, czytając tę książkę, w której streszczono, co znani filozofowie sądzili na temat każdego dylematu moralnego, i zarysowano tło historyczne. Książka odpowiadała na pytania dotyczące podstawowych pojęć dobra i zła – na przykład: *Czy dwa kłamstwa czynią jedną prawdę?* – po bardziej egzystencjalne pytania w rodzaju: *Czy czasem czujesz się dziwnie w towarzystwie innych ludzi?* A następnie: *Czy można kłamać w dobrej wierze?* Przypomina sobie chwilę, kiedy dotarły do tego konkretnego pytania. Siedziały na sofie przed kominkiem przytulone do siebie i czytały. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, pamięta, że stała już choinka, a to wspomnienie ma charakterystyczny polukrowany blask. Rozmawiały o tym, dlaczego nie należy kłamać, kogo to może zranić i dlaczego.

– Ale to wciąż jest kłamstwo – zapytała Lucy (jej słodka, przesłodka Lucy, pamięta ją dokładnie z tamtego czasu, sepleniącą i przylepłą) – gdy nie powie się całej prawdy?

To pytanie, po kilku dygresjach, sprowokowało jeszcze trudniejsze pytanie. Zadała je Charlie, która już wtedy z pewnością była tą samą, co teraz, Charlie, mniejszą, ale w gruncie rzeczy identyczną, ze swoim wyraźnym głosem, wyprostowanymi plecami i widoczną determinacją.

– A jeśli wiesz o tym, że ktoś zrobił coś złego i jest twoim przyjacielem? Czy powinno się komuś o tym powiedzieć?

Ustały w końcu, że tak, w większości przypadków powinno się o tym powiedzieć, szczególnie jeśli to niewłaściwe postępowanie kogoś rani.

– Ale jeśli to ktoś, kogo naprawdę kochasz? Ktoś z twojej rodziny? A jeśli to twoja mama albo tata? – Lucy sprawiała wrażenie naprawdę zaniepokojonej. – Albo twoja siostra? A gdyby Charlie zrobiłaby coś strasznego? Czy powinnam o tym powiedzieć? A gdyby ona kogoś zamordowała?

Charlotte spojrzała na starszą siostrę – *a gdyby?!*

– Moje kochane – powiedziała Beth i przypomniała sobie tę codzienną radość, kiedy przyciągała je do siebie i mocno je przytulała – *ten* konkretny scenariusz jest nieprawdopodobny. Nie sądzę, żeby Charlie, żeby *któraś* z was kiedykolwiek zrobiła coś tak strasznego. Ale tak, Lucy, pewnie musiałabyś powiedzieć o tym, gdyby Charlie zrobiła komuś krzywdę. Ale nie martw się, jestem prawie pewna, że nigdy nic takiego się nie wydarzy.

Wtedy wydawało się to nie do pomyślenia, żeby jej córka, Charlie, wyrządziła komuś z rozmysłem krzywdę. Jej kochająca, inteligentna, moralnie wyedukowana córka. Szkoda, że przestało się to wydawać nieprawdopodobne.

Wobec tego, kiedy Lucy przychodzi do niej, trzymając przed sobą iPada siostry niczym jakieś niebezpieczne narzędzie, z mieszaniną strachu i obrzydzenia na twarzy, i jeszcze czegoś bliskiego smutkowi, Beth już wie, że ma w zanadrzu złe wieści. Beth rozumie, że Lucy nie ma wyboru, że robi tylko to, co uważa za słuszne, ni mniej, ni więcej to, czego zawsze uczyła ją matka. I pewnie będzie ją to sporo kosztowało – ale gdzieś w głębi duszy wołałaby, żeby córka jakimś sposobem zachowała to wszystko dla siebie. Żeby była w stanie przelknąć trochę tych skrupułów natury moralnej, które z takim przekonaniem, z taką nadzieją, sama jej wpajała.

– Och, mammo.

Te wieści są złe dla nich wszystkich.

Kiedy Dan mówi jej o tym prosto w twarz, Charlotte wszystkiemu zaprzecza, co oczywiście było do przewidzenia. Podobnie jak zaprzeczała wcześniejszym oskarżeniom matki na temat znęcania się nad Sophie, przyznając się jedynie do tego, że zamieściła kilka obrzydliwych anonimowych komentarzy na ASKfm, i do rzekomej fizycznej napaści, o której ktoś powiedział Lucy w szkole. „Ach to? To nic takiego, mammo. Po prostu się wygłupialiśmy. Udawałyśmy, że jesteśmy straszne. Ćwiczyłyśmy rolę aniołów z *Doktora Who*. Pamiętasz, na przyjęcie u Harriet. To była gra. Nikt nie mógłby tego nazwać znęcaniem się” – tymczasem początkowa wściekłość wciąż płonie w niej jasnym płomieniem, kiedy dowiaduje się o kolejnych dowodach na to, że była zamieszana w całą sprawę.

Wściekłość szybko przechodzi w zimną pogardę, mimo że rodzice przedstawiają jej dowód, którego niepodważalność niemalże sprawia jej ból – zdjęcia Sophie, krótki filmik znajdują się na jej profilu – Sophie, która się rozbiera, w samej bieliźnie, zbliżenia jej pośladków.

– Ale my się tylko tak wygłupiamy. Obrobiłyśmy zdjęcia, żeby wyglądały jak różne dziwne rzeczy. Nawet nie spojrzalam na to nagranie. Całkiem o tym zapomniałam. Nie wiem, jak te zdjęcia znalazły się na stronie internetowej. Nie wysyłałam niczego do nikogo poza Sophie. I nie założyłam tej strony internetowej. Naprawdę myślicie, że gdybym miała zamiar coś takiego zrobić, to afiszowałabym się w taki sposób? Zatrzymałabym te zdjęcia? Nawet pięciolatka nie byłaby taka głupia.

Słuchając Charlotte, obserwując swoją córkę, jej ramiona splecione ciasno na klatce piersiowej, niski i spokojny głos, wyraźnie aroganckie, ale jakimś sposobem nadal opanowane zachowanie nieprzejawiające żadnych oznak stresu, poczucia winy ani nawet lęku, Beth czuje, jak przenika ją zimno. Lucy z pewnością okazała więcej emocji, miała więcej skrupułów w związku ze swoją siostrą, była bardziej zestresowana, kiedy pokazała matce te kompromitujące zdjęcia.

– Charlotte, kochanie. Nie sądzę, żebyś mogła nadal temu wszystkiemu zaprzeczać.

– I co? – Spojrzenie, które Charlotte posyła ojcu, jest pełne pogardy. – Przecież to mógł być ktoś inny. Wszystkie materiały są na moim profilu, wobec tego na pewno są dostępne na wszystkich urządzeniach. Każdy mógł ściągnąć sobie, co tylko chciał. Przez cały czas wykorzystujemy swoje zdjęcia.

– Czyli uważasz, że zrobiła to któraś z twoich przyjaciółek, tak?

Beth jest zadowolona, że uzgodnili, że Dan zajmie się całą tą sytuacją. Obawia się, że całkowicie straciłaby panowanie nad sobą. Gdy przygląda się sytuacji i postrzega córkę w zdecydowanie negatywnym świetle, jest bliska załamania. Bliska tego, żeby powiedzieć albo zrobić coś, czego mogłaby potem szczerze żałować.

– O Boże, tato. Nie wiem, kto to zrobił. – Charlotte potrząsa głową. – Wiem tylko, że to nie byłam ja. Fakt, że zrobiłam te zdjęcia, jeszcze niczego nie dowodzi. Każdy mógł stworzyć tę stronę internetową. Może Sophie sama ją założyła.

– Charlotte. To niedorzeczne. Musisz przestać. Tylko pogarszasz sytuację. – Beth podejrzewa, że przerażone spojrzenie na twarzy jej męża odzwierciedla jej własny lęk.

– Przecież mogło tak być. Sophie miała wszystkie zdjęcia, więc może ona to zrobiła.

A potem połknęła pigułki. Może próbowała mnie wrobić. Nie zdziwiłabym się, gdyby tak było. Ona jest taka pasywno-agresywna, czy jak to się mówi.

Przerażenie Beth przechodzi w nudności. Pełna obojętności zapalczywość argumentacji jej córki podkreśla jedynie nieprawdopodobieństwo tych argumentów, desperację tego dziecka.

– Och, Charlotte. – Beth z trudem jest w stanie na nią spojrzeć.

– Co, *och, Charlotte?* – Charlotte atakuje matkę. – Przyznałam się do tego, że napisałam kilka podłych rzeczy na ASKfm i potwierdziłam, że byłam tam, kiedy... zrobiłyśmy jej ten kawał.

Dan przerywa, ma poczerwieniałą twarz, urywany oddech. Jego gniew, który tak rzadko wyraża, budzi strach.

– Charlotte. Ten psikus, który jej zrobiłyście, te komentarze on-line, a teraz jeszcze ta ohydna strona internetowa. To nie jest zabawa ani żadna gra: to prześladowanie. To bardzo poważna sprawa. Sophie próbowała się zabić, ponieważ była prześladowana. A ludzie mówią, że to ty byłaś główną sprawczynią. Nie próbuj teraz tego bagatelizować, na miłość boską. Jeśli ona umrze albo jeśli będzie miała problemy zdrowotne, zostaniesz za to osądzona jako współwinna. Będziesz musiała z tym żyć do końca swoich dni.

– Jasne, świetnie, tak jakby nikt inny nie był w to zamieszany. Nieważne. To były moje zdjęcia, ale nie wysłałam ich do nikogo poza Sophie i nie założyłam tej strony. Widziałam ją. Ale przecież wszyscy ją widzieli. Na Instagramie były linki. Pewnie powinnam była komuś powiedzieć, że te zdjęcia są moje, ale nie widziałam takiej potrzeby. – Jej przekonanie o własnej nieomyślności było niezachwiane. I nie do przyjęcia. – To okropne, co zrobiła Sophie, ale przecież takie rzeczy są na porządku dziennym w Internecie. Żadna wielka sprawa.

– Och, Chryste. Możesz wreszcie przestać? Jezu. To poważna sprawa, Charlotte. Chyba już nie mogłaby być poważniejsza. Okazała się wystarczająco poważna dla Sophie, żeby z jej powodu usiłowała się zabić. A jeśli się nie wybudzi? Jeśli umrze? Będziesz musiała z tym żyć, jeżeli jesteś w jakimkolwiek stopniu w to zamieszana. To mogłoby na zawsze zmienić twoje życie. Mogłabyś zostać wydalona ze szkoły. A jeśli policja by cię namierzyła? Mogłoby to równie dobrze oznaczać wniesienie oskarżenia. Nie dostrzegasz powagi tej sytuacji?

– Dobrze. Naprawdę dostrzegam. Ale nikt mnie nie namierzy, *ponieważ ja tego nie zrobiłam*. I nie rozumiem, dlaczego mi nie wierzycie – głos Charlotte nieco drży. – Nie



zrobiłam tej strony internetowej – bierze głęboki oddech – i nigdy nie powiem, że ją zrobiłam. Wobec tego możecie wszyscy – odwraca się, żeby rzucić gniewne spojrzenie Beth, przeszywając ją wzrokiem – możecie wszyscy się *odpieprzyć*.

Beth patrzy i z trudem oddycha, kiedy córka wybiega z pokoju, zatraskując za sobą drzwi. Dan biegnie za nią. Słyszy tupot stóp wbiegających po drewnianych schodach, słyszy więcej trzaskania drzwiami, więcej tupotu. Krzyki. Wrzaski. Ta dziewczyna jest jakaś obca, na pewno. To nie jej dziecko – jej uroczą Charlie. Czyżby wcześniej nie widziała jej prawdziwego obrazu? Czy jej córka od zawsze taka była?

Beth nigdy nie uważała, że ma idealne dzieci. Która matka tak uważa? Ale sądziła, że były ponadprzeciętne, wyjątkowe. A teraz musi to wszystko zakwestionować. Ponieważ jeśli czyny Charlotte budzą wątpliwości, jaką rolę Beth odegrała w ukształtowaniu tych czynów?

Oboje są dobrymi rodzicami, ona i Dan, przecież wie, że są. Oboje zaangażowali mnóstwo energii nie tylko w to, żeby dziewczynkom *było* dobrze, ale żeby *stały się* dobre. Oboje wytrwale pracowali nad tym, żeby dziewczynki zrozumiały, że bycie dobrym to coś znacznie więcej niż lista tego, czego „nie” należy robić – nie kłamać, nie oszukiwać, nie kraść, nie zabijać – ale że chodzi także o to, by czynić dobro, być miłym, rozumieć, że to, co robią, ma wpływ na innych ludzi.

A teraz musi wszystko przemyśleć. Ponieważ jeśli dobre dzieci stanowią potwierdzenie dobrego rodzicielstwa, to co z tymi złymi dziećmi?

Złe dzieci. Znała takich kilkoro. Spotkała je w różnych okolicznościach. Dzieci, których oburzające nieposłuszeństwo zapiera dech w piersiach. Równie szokująca jest ich przebiegłość. Dzieci, które mydlą i tak już zamydłone oczy swoich rodziców.

Zawsze istnieje pewien rodzaj cichej zmywy w przypadku takich dzieci. Zła reputacja ciągnie się za nimi, gdziekolwiek pójdą. Takie dzieci zawsze psują komuś przyjemność: to te, które dostają napadów furii na przyjęciach urodzinowych, krzyczą wniebogłosy, kiedy nie dostaną obiecanej zabawki albo słodyczy, wypadają jak burza z placu zabaw, gwałtownie demonstrując niesportowe zachowanie. Te, które nieustannie powodują, że inni przewracają oczami, unoszą brwi, zaciskają usta i wymieniają szeptem uwagi z innymi rodzicami, nauczycielami, ekspedientkami oraz postronnymi, biernymi widzami.

Nawet w książkach i w telewizji widać bezpośrednią zależność między wysiłkiem a efektem. Czyż Kevin, syn Evy<sup>[15]</sup>, nie był skutkiem tych ambiwalentnych uczuć, których Beth nigdy nie doświadczyła? Pokochała obie córeczki od momentu, kiedy

pojawiły się na świecie, a nawet wcześniej – nie cierpiała na depresję poporodową, nie miała problemów małżeńskich, nie wykazywała przesadnego pędu do kariery ani nadmiernej pobożności. Próbowwała zachować w życiu równowagę, a wszystko, co wydarzyło się od chwili narodzin jej dzieci, każda najbardziej ulotna chwila radości – pierwszy uśmiech, pierwszy krok, pierwsze słowo, pierwszy przyjaciel, pierwsza nagroda, każde dziecięce zwycięstwo – jedynie upewniała ją w jej wysiłkach.

I po co to wszystko, skoro jej córka nie była tą osobą, za jaką ją uważała, skoro nie była tą dziewczynką, której się przyglądał, gdy rosła i rozkwitała. Kim w takim razie była?

Jeśli Charlotte nie jest Charlotte, to kim właściwie jest Beth?

ZakreconaLizzy.com

Que sera sera?

Ech, rodzicielstwo.

Tyle bolesnych decyzji.

Zacznijmy od narodzin – chociaż czasem nie mają one nic wspólnego z decyzją. Poród naturalny czy cesarka? Znieczulenie czy bez znieczulenia? Poród domowy czy szpitalny?

Jakoś przetrwałyśmy ten etap. A teraz co z karmieniem? Piersią czy butelką? Jak długo? A jeśli już postanowisz być taka niegodziwa, to którą mieszankę wybrać?

Kiedy zdołasz przebrnąć przez pole minowe snu (elektroniczna niania, ktoś zna?), decyzje zaczynają się mnożyć w postępie geometrycznym: musisz zdecydować, jakimi zabawkami pozwolisz się bawić dziecku, jakie (jeśli w ogóle) programy telewizyjne będzie mogło oglądać, kęsy jakiego jedzenia będzie mogło wziąć do ust, czy wrócisz do pracy, jaką formę opieki wybierzesz – a potem, OMG, nadchodzi czas wyboru szkoły, zachęcanie do nawiązywania odpowiednich przyjaźni. Jeśli jeszcze nie jesteś na tym etapie, uwierz mi na słowo, że sprawy nie stają się cudownie prostsze, kiedy dzieci kończą pięć lat. Właściwie to stopniowo wszystko coraz bardziej się komplikuje.

Ale ostatnio zauważyłam, że każda z tych decyzji, choć w czasie ich podejmowania wszystkie wydają się niezwykle ważne, później zdaje się zupełnie nieistotna. Kiedy twoje dziecko po raz pierwszy przekracza próg przedszkola, szczęśliwe, zdrowe i palące się do nauki, nie zastanawiasz się już nad tym, czy podjęłaś dobrą decyzję, kiedy przestałaś je karmić piersią w wieku sześciu miesięcy. Kiedy twoje dziecko idzie do szkoły, zapewne zdążyłeś już zapomnieć o tym, że nie czytało książeczek, zanim skończyło siedem lat. A kiedy zda maturę i będzie miało właśnie rozpocząć studia, niech zgadnę, nie będziesz zamartwiać się tym, czy powinnaś była pozwolić mu

oglądać *Igrzyska śmierci*, kiedy miało lat trzynaście.

W miarę, jak moje własne dzieci dorastają, zaczynam myśleć, że powinnam trochę się zrelaksować, nie zadręczać się każdą najbardziej błahą decyzją, ale cieszyć się dziećmi, dopóki jeszcze ze mną mieszkają.

Kto wie, może same siebie oszukujemy. Może ta cała rodzicielska komedia i tak jest poza naszą kontrolą. Może nasze dzieci i tak będą tym, kim będą, niezależnie od tego, co zrobimy.

36 ♥

## KOMENTARZE:

**@NiebieskaSue** pisze:

Nie jestem pewna, czy tak jest, Lizzy. Wiem, że w naszych czasach może być to postrzegane jako nadopiekuńczość, ale myślę, że te wszystkie drobiazgi naprawdę mają znaczenie. Czyż każdy najmniejszy kroczek nie prowadzi do czegoś większego? Czyż każdy najdrobniejszy element nie sprawia, że są sobą, nie kształtuje tego, kim się stają? Myślę, że nasz wkład – wszystko to, co robimy, nawet jeśli dzieci już są dorosłe – ma kluczowe znaczenie.

**@MamaZKrainyOzWTokio** pisze:

Och, Lizzy. Zawsze tak pięknie umiesz wszystko opisać. XO

**@DziewczynaZIpanemy** pisze:

O, ludzie. Mam nadzieję, że masz rację. Właśnie dostałam notkę ze szkoły: najwyraźniej ulubionym serialem mojej dziesięcioletniej córki są *Dziewczyny*. Powiedziała nauczycielce, że ogląda już trzeci sezon. Kto by pomyślał? Sądzę, że mała dawka nadopiekuńczości nie byłaby tutaj od rzeczy.

**@NiebieskaSue** odpisała:

O, matko. Nie mogłam zmusić się do obejrzenia więcej niż kilku pierwszych odcinków *Dziewczyn*. Wolę nie myśleć, że nasze uroczyste dwudziestoparolatki mogłyby wieść takie życie. Musisz sprawić, żeby twoja mała dziewczynka zrozumiała, że nie powinna naśladować takiego zachowania – wyjaśnić, że istnieją lepsze sposoby na życie. Nie zazdroszczę ci.

**@DziewczynaZIpanemy** odpisała:

Hmmm. Jaka szkoda, że nie mogę po prostu wyszorować jej umysłu przy pomocy

mydła, co, **@NiebieskaSue?**

## ANDI

Andi zasięga rady koleżanki z czasów, kiedy mieszkała w Sydney, na temat szansy wygrania ewentualnego procesu sądowego. Nigdy nie podejmowano takich spraw, wyjaśnia jej kobieta, więc i szanse na wygraną byłyby niewielkie – w niektórych amerykańskich stanach miały miejsce takie przypadki, że pozwano rodziców, a nawet same dzieci, ale tam obowiązują szczególne przepisy prawne, które to umożliwiają. Tutaj nie jest to tak jednoznacznie określone, a odpowiedzialność za taki czyn właściwie trudno udowodnić. Złożenie powództwa cywilnego w takiej sprawie byłoby prawie na pewno stratą czasu i pieniędzy. Szkoła jest lepszym wyjściem, jeśli ma to przynieść Andi jakieś zadośćuczynienie. Ale nawet jeśli zdecyduje się na taką drogę, skutki mogą być nieprzewidywalne. Szczególnie, dodaje ostrożnie, jeśli Sophie przeżyje.

Andi prycha w odpowiedzi na tę koncepcję, wyjaśniając, że nie sądzi, żeby szkoła stanowiła jakiś problem, i że właściwie nie chce pieniędzy – chce tylko, żeby rodzice tej dziewczyny zrozumieli, poczuli jej lęk, jej ból.

– A jakby postraszyć ich jakimiś konsekwencjami prawnymi? – sugeruje. – Nieważne, że to nieprawda. Zabierze im to trochę czasu, żeby się o tym przekonać. Poczują się zranieni. Będą musieli spotkać się z prawnikiem. Opowiedzieć ludziom o tym wszystkim. Będą musieli chwilę pomyśleć o swoim cholernym, beznadziejnym rodzicielstwie.

Koleżanka, która dyplomatycznie nie reaguje na jej wybuch, niechętnie na to przystaje. List zostanie przygotowany i wysłany. Ale bynajmniej nie pomaga to stłumić jej wściekłości – złość na Beth i Charlotte wciąż wywraca jej żołądek do góry nogami, podchodzi do gardła niczym żółć, paląc wszystko, co spotka na swojej drodze. Zagrożenie procesem to jedno, ale Andi chce osiągnąć jakiś trwały efekt. Chce, żeby ta krzywda ujrzała światło dzienne. Tym razem chciałaby, żeby obowiązywały tutaj takie zwyczaje jak w Ameryce, gdzie znacznie łatwiej było nagłośnić tego typu sprawy. Chce wywołać falę społecznego oburzenia, żeby dziewczyna Mahonych – razem ze swoimi rodzicami – została wirtualnie, jeśli nie dosłownie, zakuta w dyby.

Przychodzi jej na myśl, że nadanie tej sprawie publicznego rozgłosu do pewnego

stopnia jest możliwe nawet w Australii, nawet pomimo ściśle przestrzeganej ochrony nieletnich. Dziennikarze zaczęli wokół nich krążyć od chwili, kiedy Sophie została hospitalizowana. Andi przypuszcza, że pewnie mają jakieś swoje kontakty w służbach ratunkowych, może nawet w szpitalu, ponieważ już pierwszego wieczoru, kiedy Steve pojechał do domu, żeby przywieźć rzeczy Gusa, automatyczna sekretarka była przepelniona. Prawie wszystkie wiadomości pozostawili przedstawiciele mediów. Wysłuchał tych melodyjnych głosów i natychmiast je skasował. Znał dwóch spośród tych dziennikarzy, jednego z czasopisma „Adwokat”, a drugiego z lokalnej telewizji. Spotykał ich przy różnych okazjach – na miejscu zbrodni czy wypadku samochodowego lub w sądzie. Byli irytująco nachalni. Oczywiście w tej pracy nie dało się inaczej. Wydawali się oślizgli i fałszywi, nieznośnie oportunistyczni. Steve był wściekły.

– Cholerni spadochroniarze – powiedział. – Karmią się ludzką krzywdą.

Pomimo że Andi i Steve odmówili udzielenia wywiadu, w gazecie „Adwokat”, pojawiła się krótka wzmianka o tym, że dwunastolatka została znaleziona nieprzytomna i odwieziona do szpitala po tym, jak prawdopodobnie przedawkowała pigułki wydawane na receptę. Była w stanie śpiączki, napisano w notce, i istnieją poważne obawy, czy przeżyje. Nie podano żadnych nazwisk ani żadnych spekulacji na temat całej sprawy. Andi dowiedziała się o tym tylko dlatego, że ktoś (zupełnie nie wie kto) podrzucił im wycinek z gazety. Być może zrobiła to jedna z pielęgniarek albo pań sprzątających, które pozostawiły anonimowo ten dziwny prezent. Starannie wycięty kwadratowy kawałek gazety pojawił się na zagraconej szafce nocnej przy łóżku Sophie. Andi przeczytała to szybko i przekazała Steve’owi, który spojrzał pobieżnie na wycinek prasowy, zanim zgniótł go i wyrzucił bez słowa komentarza.

Teraz wydaje się, że codziennie pojawia się jakaś osoba, która chce z nimi porozmawiać – z gazety, portalu internetowego, stacji telewizyjnej. Dziennikarze ze wszystkich lokalnych mediów, a także tych z Sydney i międzystanowych – chcą wywiadów, szczegółów na temat tej *strasznej tragedii*, jak niektórzy spośród nich to określają przyciszonym, niemalże nabożnym głosem. Oczywiście *dopilnujemy, żeby państwo zachowali całkowitą anonimowość*.

Pewna kobieta pracująca jako wolny strzelec dla dużych gazet w Sydney, a której nazwisko Andi mgliście sobie przypomina, jakimś sposobem zdobywa numer jej telefonu komórkowego i Andi rozmawia z nią przez kilka minut, przypuszczając, że to ktoś z lokalnej organizacji, kto dzwoni z ofertą terapii albo poradnictwa psychologicznego, zanim grzecznie próbuje ją zbyć.

Jednak kobieta jest uparta i najwyraźniej wie więcej na temat ich historii niż inne osoby, które się z nimi kontaktowały. Nazajutrz Andi dostaje od niej mejl (Bóg jeden wie, skąd wzięła jej adres), w którym wyjaśnia, że dowiedziała się o ich trudnym położeniu od znajomej innej znajomej, która ma pewne kontakty ze szkołą, i że bardzo chciałyby przeprowadzić wywiad z Andi. Właśnie pisze książkę na temat cyberprzestępczości i chciałyby poświęcić jeden z rozdziałów tematowi dzieci sprawców, głównie młodzieńców hakerów, ale sądzi, że złośliwe zachowania nastoletnich dziewczynek – w końcu ta cyberprzemoc całkowicie wymknęła się spod kontroli, prawda? – mogą wzbudzić większe zainteresowanie i poszerzyć grono czytelników. Prześladowanie, które prowadzi do samobójstwa, pisze kobieta w swoim mejlu, można uznać za rodzaj morderstwa, czyż nie?

Andi czuje, jak ściska ją w żołądku, chce odpisać i przypomnieć tej kobiecie, że choć jej córka balansuje gdzieś – o Boże, gdzie jest jej śliczna dziewczynka? – w tym stanie zawieszenia na krawędzi życia i śmierci, to jeszcze nie umarła i właściwie nie jest samobójczynią. Jeszcze nie.

Andi wpisuje w wyszukiwarkę nazwisko dziennikarki. Kiedy przegląda stronę internetową i sporą liczbę artykułów w sieci, okazuje się, że Arabella Agostini nie jest zwykłą dziennikarką opisującą przestępstwa, ale specjalizuje się w wykroczeniach niekoniecznie prowadzących do głośnych procesów sądowych, kobietą, która obnaża niesprawiedliwość i korupcję. Napisała kilka reportaży na temat morderstw, które znalazły się na pierwszych stronach gazet, ale w swoich wywiadach skupia się głównie na ludziach, którzy twierdzą, że zostali źle potraktowani przez bezduszne instytucje, służby rządowe, duże korporacje. Andi pamięta, że czytała kilka jej artykułów na przestrzeni lat, wyraźnie przypomina sobie, że w kilku przypadkach była poirytowana jawnym współczuciem kobiety dla rzekomych ofiar, jednocześnie nie zadając sobie trudu, żeby podjąć choćby próbę napisania wyważonego tekstu uwzględniającego perspektywy obu stron. Jej instynkt adwokacki został urażony, ponieważ wie, że zawsze istnieje druga strona medalu i że nie da się uczciwie przedstawić takich historii, powiedzieć prawdy, nie dając drugiej stronie przynajmniej możliwości odpowiedzi na zarzuty ofiary.

Jednak teraz instynkt prawniczy Andi gdzieś zniknął. Pozostał tylko instynkt macierzyński. Tym razem opowieść ofiary jest jedyną opowieścią. Nie istnieje żadna inna historia do przekazania.



## BETH

To wszystko nie dzieje się tak, jak w filmach albo książkach. Nie ma wyraźnej granicy, nie istnieje żadne „przed” ani „po”, żaden określony moment czy chwila, w której wszystko się zmienia. Nie narysowano żadnej linii na piasku, na którą Beth mogłaby spojrzeć i powiedzieć: tam, po drugiej stronie, znajduje się przeszłość, wyłącznie dobra, podczas gdy tu i teraz panuje całkowity chaos. Natomiast poszczególne chwile powoli łączą się ze sobą, ujawniając, że nic nie jest takie, jak się wydaje.

Beth czasem zastanawia się nad tym, czy fakt, że wszystko działo się stopniowo, każdy najmniejszy element ich życia powoli układał się w całkiem nowy obraz – ułatwił czy utrudnił sytuację. Odkąd została matką, Beth zrozumiała naturę tego skraju przepaści, której wszyscy rodzice ze strachem unikają. Jeden fałszywy krok oznacza rozgoryczenie. Oczywiście wyobrażała sobie każdy możliwy scenariusz (która matka tego nie robi?), urodzenie martwego dziecka, śmiertelną chorobę, wypadki samochodowe, uprowadzenie, morderstwo. Ta lista nie miała końca. Miewa koszmary nocne, w których sama wpada w tę przepaść, musi stawić czoła niemożliwemu, traci wszelką nadzieję, czuje pustkę w życiu, które raczej stara się przetrwać, niż przeżyć. Wyobrażała sobie nieodwołałą naturę takiego upadku, ot tak, nagła rezygnacja w obliczu obojętnego losu, nieunikniona, od razu rozpoznawalna.

Tymczasem katastrofa ukazała się w przebraniu. Zakradła się do niej po kryjomu. Życie pograło z nią niczym kot, który łasi się do nóg, udając oswojonego i przyjaznego, zanim wbije zęby w twoje miękkie bezbronne ciało.

Przez tyle lat Beth była z siebie zadowolona, ponieważ sądziła, że wszystko (kariera, małżeństwo, założenie rodziny) dobrze jej wyszło, ponieważ na jakimś poziomie na to zasłużyła. Złożyła szczęściu obietnicę bez pokrycia. Oczywiście, że tak zrobiła. Ma świadomość, jakiego szczęścia dostąpiła, rodząc się w takich czasach i w takim miejscu. Fakt, że to szczęście nie jest równie łaskawe dla innych, też można sobie jakoś wytłumaczyć. Znajoma, której córka oślepla w następstwie zachorowania na odrę po tym, jak matka odmówiła zaszczepienia dziecka. Kobieta, której córka została potrącona przez samochód, ponieważ pozwalała, żeby bawiła się

sama na ulicy. Dawna przyjaciółka z lat szkolnych, której syn zmarł po zjedzeniu tabletki do zmywarki, którą znalazł w dolnej szufladzie kuchennej szafki. Zawsze był jakiś powód. Same są sobie winne, zachowały się nieodpowiedzialnie, zrobiły coś, czego Beth nigdy, przenigdy by nie zrobiła.

Nigdy nie powiedziała tego na głos, ale chociaż zawsze wykazywała się odpowiednim stopniem zrozumienia i współczucia oraz wszelkich niezbędnych uczuć, to gdzieś w głębi duszy Beth skrycie uważała, że te matki zasłużyły sobie na to, bo nie udało im się zachować pewnej równowagi lub nie potrafiły czegoś zrobić. I że w ostatecznym rozrachunku to one były odpowiedzialne za czyny swoich dzieci, za ich los. Ale teraz, po tym, co stało się z Charlotte, musiała na nowo przemyśleć swoje podejście. Przecież ona i Dan nie należą do tego typu rodziców. Wie, ile pracy włożyli w zbudowanie rodziny. Wie, jak poważnie podchodzili do każdego najdrobniejszego szczegółu. Jak dawali z siebie wszystko, robili więcej, niż trzeba było. Na pewno ma to jakieś znaczenie. Na pewno w tym wypadku nikt nie mógłby ich obwiniać.

Ale Beth myli się w tej kwestii, podobnie jak myliła się w wielu innych sprawach. List, który dostaje, najwyraźniej ma charakter oficjalny (musi poświadczyć odbiór podpisem), ale otwiera go bez cienia podejrzeń, z zainteresowaniem. Czyta go z rosnącym przerażeniem. Sam dokument przypomina pismo z jakiegoś obcego kraju, język i składnia są nieco archaiczne, ale mimo to jest całkowicie zrozumiałe. Ona i Dan są oskarżeni o zaniedbania, które doprowadziły do próby samobójczej Sophie. Muszą liczyć się z tym, że zostaną wobec nich podjęte kroki prawne.

Kwintesencja tego wszystkiego, czego tak się obawiała. Świat zewnętrzny doszedł do tego samego wniosku, do którego ona już kiedyś doszła, że to, co zrobiła Charlotte, jest winą jej rodziców, że to oni ponoszą za to odpowiedzialność. I że zapłacą za to z Danem w jakiejś formie.

Pierwszą osobą, której o tym mówi, nie jest Dan, ale Drew. Nie robi tego z rozmysłem i później z łatwością usprawiedliwia się przed samą sobą, ale wciąż ma poczucie winy, świadoma tego, że w pewnym sensie robi coś strasznie złego. Kiedy dostaje ten list, wie, że Dan jest właśnie na spotkaniu, że ma ważną prezentację, że nie potrzebuje na razie usłyszeć takich wieści.

W pierwszym odruchu ma ochotę zadzwonić do pracy i zgłosić chorobowe – nie jest w stanie stawić czoła tej cukierkowej pompatyczności świata polityki, świata Drew, kiedy wisi nad nią taka rzeczywistość. Ale Beth potrzebuje rady, potrzebuje porozmawiać z kimś, kto wiedziałby, jak należy postąpić. Tu i teraz. A tu i teraz Dan nie jest osiągalny. Potrzebuje kogoś, kto ją zrozumie i jednocześnie nie będzie

oceniał. I kiedy zastanawia się nad tym bliżej, dochodzi do wniosku, że być może Dan nigdy nie był tym kimś.

Weźmy na przykład poprzedni wieczór. Nie pamięta dokładnie, co zostało powiedziane ani kto to powiedział, ale rozmowa po kolacji natychmiast stała się cierpka i doprowadziła do tego, że Charlotte wypadła z kuchni i z całej siły zatrzaskała za sobą drzwi do swojego pokoju. Beth początkowo pobiegła za nią, zdeterminowana, żeby powiedzieć jej swoje, ale w połowie drogi na górę straciła impet i ukradkiem zeszła na dół pokonana, zanim zdobyła się na odwagę. Lucy gdzieś się ulotniła, gdy tylko zwietrzyła kłopoty. Beth powinna była do niej zajrzeć, upewnić się, że starsza córka dobrze się czuje, pocieszyć ją jakoś i wesprzeć. Ale nie miała niczego do zaproponowania. Osunęła się na sofę obok Dana, zrozpaczona. Wyczerpana.

– To nie do wiary. – Poczula, jak łyzy, które przez ostatni tydzień lały się niemalże ciurkiem, znowu napłynęły jej do oczu. Dan ledwie wzruszył z rezygnacją ramionami.

– Dan, nie wiem, czy dam sobie z tym radę.

– Mhm. – Dan patrzył przed siebie w telewizor.

– I zupełnie nie wiem, jak ty dasz sobie radę. – Nawet nie trudziła się, żeby ukryć swoje niezadowolenie. Nie odezwał się ani słowem, nadal wpatrzony w migoczący ekran.

– Dan?

– Co, Beth? – zniecierpliwiał się.

– Nie wiem, jak ty możesz normalnie funkcjonować z tym wszystkim, co się dzieje. Przecież nie wiemy, czy to dziecko, czy Sophie, przeżyje, czy też umrze. A jeśli umrze, nasza córka zostanie obarczona winą. Wciąż powtarzasz, że Charlotte nie traktuje tego wszystkiego poważnie, ale co z tobą? Co zrobimy? Musimy ją chronić.

Dan odpowiada, nie patrząc na nią.

– Co masz na myśli, mówiąc, że mamy ją chronić? Przecież to nie ona leży pod respiratorem.

– To Sophie połknęła te pigułki, nikt jej do tego nie zmuszał. Nikt, a już na pewno nie inna dwunastoletnia dziewczynka. Tak naprawdę nie można nikogo zmusić do tego, żeby się zabił. Ale nie o tym ludzie mówią, Dan. Oni zrzucą całą winę na Charlotte niezależnie od tego, w jakim stopniu Sophie ponosi odpowiedzialność za swoje czyny. Albo jej rodzice. – Mówiąc to, Beth poczuła lekkie mdłości, zawstydzona tym, że w ten sposób rozmawia o tej tragedii. – To całkowicie zrujnuje życie

Charlotte. Ludzie tego nie zapomną.

Teraz Dan patrzył na nią, siedząc z założonymi rękami, z beznamiętnym wyrazem twarzy.

– Posłuchaj – mówiła dalej – to, co spotkało Sophie, to straszna tragedia. I współczuję Steve’owi i Andi. Ale nie mogę, nie możemy skazać Charlotte na życie w poczuciu winy. A jeśli Sophie umrze? Co wtedy? Czy powiemy Charlotte, że jest morderczynią? – Mówiła coraz bardziej podniesionym głosem, coraz ostrzejszym i nieprzyjemnym.

– Beth. Musisz się uspokoić.

– Ale musimy coś zrobić.

– Tak. Dobrze. Masz rację. Musimy coś zrobić. Przecież umówiłaś ją na wizytę z psychologiem, prawda? A jeśli sytuacja się pogorszy, być może trzeba będzie zmienić jej szkołę...

– Zmienić szkołę? Nie możemy jej tego zrobić. Poza tym dokąd mielibyśmy ją wysłać?

– Być może będziemy musieli to zrobić. Może będzie musiała zacząć wszystko od początku w miejscu, gdzie nikt jej nie zna. Może mogłaby zamieszkać z twoją matką i pójść do szkoły w Sydney.

– Nie pojedzie do mamy!

– Mogłaby zamieszkać w internacie. A może *my będziemy musieli* się przeprowadzić.

– Przeprowadzić? Ale przecież dopiero tutaj zamieszkaliśmy.

– Jeśli to się stanie, jeśli sprawy potoczą się w złym kierunku albo jeśli Sophie umrze, nie wyobrażam sobie, jak moglibyśmy tutaj zostać, a ty? A co z Lucy? To będzie miało wpływ na nas wszystkich. To niemożliwe.

– O Boże.

– A nawet jeśli sprawy z Sophie dobrze się ułożą, będziemy musieli przemyśleć, co zrobimy z Charlotte.

– Co masz na myśli, mówiąc *będziemy musieli przemyśleć, co zrobimy z Charlotte?*

– Miałem na myśli to, że sytuacja może się pogorszyć. Musisz przyznać, że te jej odpowiedzi były... Cóż, były naprawdę niegrzeczne. Zmartwiłem się. Nawet w tych kwestiach, do których się przyznała, nie wyczuwam szczerzej skruchy. Tak naprawdę wcale tego nie żałuje, prawda? Martwi ją tylko to, że została przyłapana. Może coś z nią jest nie tak. Może powinniśmy poszukać dla niej pomocy. Pomocy na poważnie.

– Wiesz, że to nieprawda, Dan. Jest pewna siebie, tak, i wiem, że jest dość ambitna. Jest również asertywna, nie pozwoli nikomu, żeby nią pomiatał. Ale co w tym złego? Każdy rodzic tego pragnie. A Charlotte jest dobrym dzieckiem, nie słyszałam nigdy złego słowa na jej temat. Może chodzi o coś związanego z tą nową szkołą? Może o relacje z innymi dziewczynkami? A jej odpowiedzi... Cóż, zarzuty są poważne. Każdy by się bronił. Może jest w szoku. – Beth słyszy we własnym głosie desperację, błaganie.

– Och, Beth, Charlotte jest bystra, to urodzona liderka, potrafi się zachować, jest lubiana. Wszystko to prawda. Ale ona nie ma... Nie masz czasem wrażenia, że czegoś jej brakuje?

– Czegoś jej brakuje? O czym ty mówisz? Zawsze jest prymuską we wszystkich testach, które zdaje.

– Nie mam na myśli jej zdolności intelektualnych, Beth. Mam na myśli jej emocje. Rozmawiałem z mamą...

– Nie mieszaj w to swojej matki. Margie słabo ją zna. Poza tym Charlotte ma wrażenie, że ona jej nie lubi.

– Jezu, Beth. Mama po prostu zauważyła kilka rzeczy, reakcje emocjonalne Charlie, sposób, w jaki traktuje nas, Lucy. Wiesz, że mama kieruje się wyłącznie jej dobrem. Dobrem nas wszystkich. A jeśli rzeczywiście coś jest z nią nie tak? – Czułość w jego głosie zadawała większy ból niż złość. – Czyż nie byłoby lepiej, gdybyśmy stawili temu czoła? Nie powinniśmy już teraz zrobić czegoś w tej sprawie?

– Ale z nią wszystko jest w porządku! – Beth czuje ból w klatce piersiowej. – To normalna dwunastoletnia dziewczynka. Każdemu dziecku zdarza się czasem zrobić coś złego. Ale to jeszcze nie znaczy, że jest patologiczne. Rozmawiamy o Charlotte, o naszej, *twojej* córce. Nie możesz podchodzić do tego aż tak poważnie.

– Jeszcze przed chwilą sama chciałaś, żebym potraktował to poważniej. A teraz, kiedy mówię ci, co o tym myślę, wpadasz w histerię.

– Chciałam, żebyś się zastanowił, co możemy zrobić, żeby jej pomóc, ale ty twierdzisz, że ona jest początkującą socjopatką.

– Te dwie rzeczy nie wykluczają się, Beth.

Westchnął, znowu wlepił wzrok w ekran telewizora.

– Nie wiem, co się z tobą dzieje, Dan. Nie jesteś tym, za kogo cię uważałam.

Uśmiecha się ze smutkiem.

– Nie sądzisz, że może właśnie na tym polega problem, Beth? Że żadne z nas takie nie jest?

Idzie do pracy jak zwykle, czeka niecierpliwie, aż Drew skończy poranną odprawę ze swoją asystentką, Sylwią, zanim puka do jego drzwi, ściskając w ręce list.

– Ach, Elizabeth. Wejdz. – Podnosi na chwilę wzrok znad swoich dokumentów, po czym marszczy brwi, odkłada pióro. Beth nie potrafi ukryć swojego zdenerwowania. Dzisiaj nie ma miejsca na ich codzienne przekomarzanie się.

– Ten list... – Ledwie wydobywa z siebie głos. – Ten list doręczono mi dzisiaj rano z kancelarii adwokackiej. Oni podejmują kroki prawne. Przeciwko nam. Rodzice Sophie. Twierdzą, że to nasza wina. – Siada, a nogi nagle się pod nią uginają.

– Co? O czym ty mówisz?

Beth bierze oddech.

– Nie wiem, czy słyszałeś, ale jedna z koleżanek Charlotte z klasy przedawkowała pigułki pod koniec semestru.

– Sophie Pennington? Ta dziewczynka, która jest w śpiączce?

Oczywiście Drew wie. Przecież zasiada w zarządzie szkoły. Czego właściwie się spodziewała?

– Tak. Sophie i Charlotte były przyjaciółkami. A przynajmniej tak mi się wydawało.

– I?

– Okazuje się, że to nieprawda. Najwyraźniej Charlotte i grupa innych dziewczynek dokuczały jej. A przynajmniej ludzie tak mówią. Mówią też, że to dokuczanie doprowadziło do próby samobójczej Sophie.

– Wygląda to na dość poważne dokuczanie. – Drew ma sceptyczny wyraz twarzy.

– Jeśli Charlotte i jej przyjaciółki zrobiły to, o czym się mówi, to było coś więcej niż dokuczanie. – Przelyka ślinę. – To najstraszliwsza forma znęcania się.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że w to nie wierzysz?

– Nie ma znaczenia, w co wierzę, Drew. Oni nas pozywają.

– Pozywają was? Za co, do cholery?

Zaczyna czytać mu list adwokacki trzęsącym się głosem, ale on wrywa jej kartki z ręki, zanim dochodzi do połowy, i zaczyna sam go czytać, potrząsając głową.

– Jezu, Beth. To jakieś szaleństwo. Nie jestem nawet pewien, czy wolno im podjąć jakiegokolwiek kroki prawne w takiej sytuacji.

Próbuje wymyślić coś sensownego do powiedzenia, ale słyszy jedynie swój własny

urywany oddech.

– Posłuchaj. Sprawdzę, czego jestem w stanie się dowiedzieć. Nie mam niczego ważnego, w każdym razie niczego oczywistego do zrobienia w ciągu najbliższych godzin. Podzwonię tu i tam.

– Och, Drew. Ja...

– Beth – jego głos jest pełen troski. – Wiem, że to wygląda strasznie, ale – mówiąc szczerze – nie sądzę, żeby było aż tak źle. Będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze. – Sprawia wrażenie tak pewnego siebie, stanowczego. – Po prostu oddychaj, Bethie. Oddychaj.

Drew czyta dokument jeszcze raz, a Beth ma wrażenie, jakby to trwało całe wieki. Obserwuje, jak przebiega wzrokiem całą stronę z góry na dół, po czym znowu w górę. W końcu patrzy na nią, unosi brwi, a na jego twarzy maluje się rzadko spotykany powściągliwy uśmiech. Widziała już kiedyś ten uśmiech, który zatrzymywał całą moc. To uśmiech, który ma zarezerwowany dla tych spośród swoich wyborców, którzy przeżyli jakąś straszną tragedię – śmierć bliskiej osoby, okropny wypadek. Teraz, kiedy jest adresatką jednego z tych wymijających uśmiechów Drew Carmichaela, robi jej się słabo.

– To bzdury, Beth. Dawno nie używałem przepisów dotyczących deliktu, ale jestem niemalże przekonany, że nic nie mogą zdziałać w tej sprawie. Nawet jeśli... nawet jeśli stanie się najgorsze i ta dziewczynka umrze, nie ma szans, żeby mogli wnieść pozew. Mówiąc krótko, chodzi o zaniedbanie, ale to się nie powiedzie. W naszym prawie nie istnieją żadne przepisy, które by na to pozwalały. Wydaje mi się, że pozwano za coś takiego rodziców w Stanach Zjednoczonych, a może nawet w Kanadzie. Ale nie tutaj. W zasadzie nie mogą was pozwać. Nie zrobiliście niczego, o co mogliby was oskarżyć.

– A ta strona internetowa? Czy oni będą w stanie ją namierzyć? Czy nie ponosimy odpowiedzialności za jej użytkowanie? Zawsze mówiono nam...

– Policja już by was przesłuchała, gdyby byli w stanie namierzyć tę stronę przez waszego dostawcę Internetu. Zabraliby wam wszystkie komputery. Ojciec Sophie jest gliniarzem, tak? Powiedziałbym, że zrobiliby wszystko, co w ich mocy, żeby postawić wam jakieś zarzuty, gdyby tylko to było możliwe.

– Jakie zarzuty?

– Nie jestem pewien. Wszystkie te sprawy związane z cyberprzemocą trochę mnie przerastają. Ale istnieją jeszcze te zdjęcia – i kwestia nakłaniania do samobójstwa. To

mogłyby być poważne zarzuty karne.

– Zarzuty karne? Wobec Charlotte? To jakieś szaleństwo. Przecież ona jest jeszcze dzieckiem.

– Właściwie już nie jest. *Niezdolność do popełnienia przestępstwa*, no wiesz, wiek, w którym uznaje się, że dziecko ponosi odpowiedzialność za własne czyny, to dziesięć lat. Ale tak się nie stanie. Bez żadnych dowodów, że Charlotte była odpowiedzialna za tę stronę, ani incydentów przemocy fizycznej, nie można założyć żadnej sprawy karnej. Charlotte właściwie nie zaatakowała fizycznie tej dziewczynki, prawda?

– Był jeden incydent, ale nie zrobiła jej fizycznej krzywdy. I to miał być żart.

– Żart. Jasne. Dziewczyny – powiedział oschle. A potem dodał: – Ona jest prawniczką, tak? Matka tej dziewczyny?

*Matka tej dziewczyny.* Dokładnie wie, co Andi sobie o niej myśli, ale wciąż nie może zmusić się, żeby zacząć myśleć o swojej przyjaciółce w tych samych kategoriach. Jak o przeciwniku. Jak o wrogu. Wróg. Matka tej dziewczyny.

– Będzie próbowała wymyślać różne sposoby, żebyś za to zapłaciła.

– Zapłaciła? – Beth w to nie wierzy. – Myślisz, że chodzi o pieniądze? Nie. To nie ma sensu. Chyba trochę borykają się z problemami finansowymi, kiedy Andi nie pracuje, ale nie wyobrażam sobie, żeby mieli to zrobić dla pieniędzy. Nie są tego typu ludźmi. Pieniądze nie są dla nich najważniejsze.

– Zapłata niekoniecznie wiąże się z pieniędzmi, Beth. Ona nie tego pragnie. To rodzaj publicznego zadośćuczynienia. Oni chcą twojej krwi.

– Naszej krwi?

– Moja droga Beth, nic prostszego. To najbardziej rozpowszechniona rzecz na świecie. – Sięga ręką przez stół i chwyta jej dłoń. – Zemsta. Odwet. Oko za oko. Przyszłość ich córki za przeszłość waszej córki.

Drew prawie natychmiast chwyta za telefon, odnawiając kontakty, próbując się dowiedzieć, co można zrobić, i – co ważniejsze – komu można zaufać na tyle, żeby powierzyć takie zadanie. Nie zadaje Beth żadnych osobistych pytań dotyczących całej sytuacji, nie ocenia, i choć raz jest zadowolona z jego braku poszanowania dla moralnych aspektów dobra i zła, z tej jego prawniczej bezstronności.

Beth przechodzi na drugą stronę ulicy, żeby kupić im kawę. Ignoruje zatroskane pytania Sylvii, która zauważyła jej zaczerwienione oczy i aurę hysterii, kiedy przyszła do pracy.



– Nic się nie dzieje – zapewnia ją Beth. – Tylko małe przedstawienie dotyczące zdrowia mojej matki. Wiesz, jak to jest. – Ma poczucie winy, kiedy odwzajemnia pełen współczucia wyraz twarzy.

Rodzice Sylvii, którzy są w podeszłym wieku, mają prawdziwe problemy.

Kiedy czeka na kawę, bierze głęboki oddech i dzwoni do Dana. Powinien już skończyć swoją prezentację i trzeba mu powiedzieć o tym, co się dzieje. W końcu list był zaadresowany do nich obojga, a nie tylko do niej, ale łapie się na tym, że niemalże panicznie boi się jego reakcji. Wychodzi na ulicę w poszukiwaniu odrobiny prywatności, ale z trudem słyszy cokolwiek w tym ulicznym zgiełku, musi prawie krzyczeć. Ledwie słyszy jego odpowiedzi. Mimo to wyczuwa wściekłość Dana z powodu listu, ale również dlatego, że rozmawiała na ten temat najpierw z Drew. Z powodu tego, że w ogóle powiedziała o wszystkim Drew. Pomimo poczucia winy obrona przychodzi jej bez trudu:

– Ale przecież musiałam o tym komuś powiedzieć, Dan. I tak widział, że coś jest nie tak. Co miałam odpowiedzieć?

Nie był przygnębiony tym, że wybrała kogoś innego jako zaufaną osobę, ale jej brakiem dyskrecji.

– No i co z tego? – rzuca. – Musisz troszeczkę bardziej panować nad sobą, Beth. Nie możesz, ot tak, po prostu rozpowiadać o tym wszystkim dookoła. Newcastle to małe miasto. Nie mogłaś powiedzieć, że źle się czujesz, albo wymyślić jakiejś innej wymówki i poczekać, aż mi o tym powiesz? Posłuchaj, przypuszczam, że on ma rację, i że to jest swego rodzaju wygórowane żądanie, chyba tak to się nazywa, i zapewne nie posuną się dalej. Ale byłoby lepiej, gdybyśmy zachowali te informacje dla siebie. Sytuacja i tak już wystarczająco kiepsko wygląda. Im więcej osób dowie się o tym, co się wydarzyło, tym gorzej.

Chce udobruchać go argumentem o prawniczej wiedzy Drew, wiadomością, że właśnie teraz wisi na telefonie i próbuje znaleźć rozwiązanie, ale to tylko pogarsza sprawę.

– Jezu, Beth. Nie potrzebujemy rozwiązania wymyślonego przez Drew Carmichaela. Zaraz znajdzie jakiegoś obrzydliwego sługusa z partii Liberalów i zanim się obejrzyysz, zostaniemy wmieszani w jakiś pieprzony skandal korupcyjny. – Śmieje się gorzko. – Dlaczego nie zadzwoniłaś do mamy? Ona wiedziałaby, co zrobić, z kim porozmawiać. – Matka jest ostatnią osobą, z którą Beth chce rozmawiać. Już sobie wyobraża tę nieumiejętnie skrywaną satysfakcję Margie z tego, że usłyszałyby

kolejne dowody potwierdzające wąpliwy charakter Beth oraz jej mroczne, zapewne konserwatywne serce.

Rozłącza się, odbiera kawę i kieruje się w stronę biura. Drew nadal siedzi z telefonem przy uchu, najwyraźniej czeka na rozmowę, niecierpliwie bębniąc palcami po biurku. Kiedy Beth wchodzi do pokoju, mruczy coś pod nosem i się rozłącza.

– Mogę się tym zająć później. – Uśmiech, który jej posyła, wciąż jest wymijający, ale sam fakt, że to w ogóle uśmiech, jakoś dodaje jej otuchy.

– I jak?

– Dobra wiadomość jest taka, że zapytałem kumpla, który zajmuje się takimi sprawami, i jest dokładnie tak, jak myślałem. Chodzi o taktykę zastraszania. Nie ma możliwości, żeby dali radę zrobić coś więcej. Wątpię, żeby mieli nawet zamiar złożyć doniesienie.

– A zła wiadomość?

Teraz ma kompletnie zgaszony uśmiech.

– Rozmawiałem z naszą kancelarią w Sydney. Zadzwoiła do nich jakaś dziennikarka, która chciała się czegoś o tobie dowiedzieć, pytała, czy mogłaby porozmawiać z kimś z firmy. Najwyraźniej przeprowadza wywiad z matką tej dziewczyny do reportażu dla agencji dziennikarskiej. Wspominała też coś o jakiejś książce.

– Do reportażu? Ale przecież nie można używać nazwisk ani innych danych. Chyba?

– Raczej nie. Nie, jeśli chodzi o dzieci. Ale może wspomnieć o tym, gdzie mieszkacie, o szkole. – Zawiesza na chwilę głos. – Fakt, że ma kontakt z naszym biurem... Nawet jeśli nie wymieni nazwisk, z pewnością wspomni o tym, że pracujesz dla lokalnego polityka z partii Liberalów. Obawiam się, że wkrótce potem połączą sobie fakty. Ludzie nie są głupi. Wszystko rozpracują.

– Nie ma jakiegoś sposobu, żeby zablokować opisanie tej historii? Co możemy zrobić? Nie znasz kogoś jeszcze?

Drew ignoruje pytania Beth, raczej unika jej wzroku, kiedy do niej mówi:

– Rzecz w tym, Beth, że rozmawiałem z naszymi ludźmi w Sydney i oni są trochę zaniepokojeni. Możliwe, że to zostanie wykorzystane jako broń przeciwko mnie i przeciwko partii. Fakt, że tutaj pracujesz. Wiem, że to absurdalne, ale tak to działa. Wobec tego myślimy, że może byłoby lepiej dla wszystkich, gdybyśmy cię zwolnili.

Niekoniecznie na stałe, ale do czasu, aż cała sprawa ucichnie.

Beth przygląda mu się w osłupieniu, jego słowa powoli docierają do jej świadomości.

– W międzyczasie sprawdzę, co mogę dla ciebie zrobić. – Teraz patrzy jej prosto w oczy, a jego uśmiech odzyskuje swoją promiennność. – Wiesz, że znam *wszystkich*, Beth. Jestem pewien, że da się to wszystko naprawić.

ZakreconaLizzy.com

## Nie wywołujemy wilka z lasu

C. i ja jesteśmy właśnie w myjni samochodowej i wsłuchujemy się w świst i szuranie szczotek po dachu samochodu. C. jest zafascynowana całym tym pokazem woskowania i polerowania, ale ja muszę odwrócić wzrok, żeby nie dostać choroby lokomocyjnej. Wizyty w myjni samochodowej stanowiły stały i ważny element naszego życia w Nowym Jorku, ale tutaj jakoś nigdy nie mogliśmy się do tego zabrać. Wzięłam sobie wolne w pracy, żeby nadgonić kilka ważnych życiowych spraw organizacyjnych (łącznie z umyciem tego nieprzyzwoicie brudnego samochodu), więc pomyślałam, że skorzystam z okazji.

Same rozumiecie, że w takich chwilach wytchnienia nasze rozmowy w myjni mogą być całkiem głębokie. Wobec tego wyszło na jaw wiele istotnych spraw (wymuszona bliskość, brak kontaktu wzrokowego). Tyle lekcji udzielonych i odebranych. W końcu te chwile (a ostatnio tak wiele z nich przegapiłam) to przecież kwintesencja macierzyństwa.

Tematem dnia jest przyjaźń albo szalony taniec, który uchodzi za przyjaźń, kiedy jesteś nastolatką. Ale nagle C. zaczyna mnie wypytywać o moje życie.

– Kto jest twoim najlepszym przyjacielem?

Kto jest moim najlepszym przyjacielem? Nie zastanawiałam się nad tym ostatnio. Nie jestem pewna, czy w ogóle wiem, co oznacza termin „najlepszy przyjaciel” na tym etapie życia.

Udzielam właściwej odpowiedzi:

– Chyba tata.

C. wygląda na pełną wątpliwości.

– Nie masz najlepszej przyjaciółki, mam? Chodzi mi o dziewczynę, taką w twoim wieku. Kogoś spoza rodziny.



## ANDI

Dziennikarka ma wątpliwości co do spotkania przy kiosku na plaży.

– Jest zima – oponuje. – Nie będzie za chłodno? Nie możemy się spotkać u pani w domu? Albo, jeszcze lepiej, w szpitalu? – Ale Andi jest stanowcza – nie chce narażać się na zbyt silne emocje w jednym z tych miejsc. Potrzebuje zachować spokój, skupić się, opowiedzieć jasno całą historię. Chce, żeby jej zarys był ostry i wyrazisty, nie zamglony sentymentalnością, która mogłaby pogrzebać całą sprawę, gdyby ta kobieta przyszła odwiedzić Sophie albo jej dom. Pluszaki na łóżku, zdjęcia rodzinne, fortepian, którego klawiszy nikt nie dotykał od wielu dni – wszystkie te wstrząsające duszą i obciążone emocjonalnie ślady młodego życia, które być może zostało tak brutalnie przerwane.

Nie, Andi nie chce, żeby to wszystko znalazło się w tym artykule. Nie chce, żeby to była historia wyciskająca łzy o rozpacz dziecka i agonii jego rodziców. Chce, żeby to był czytelny reportaż kipiący złością, nie taki, który chwyta za serce, ale taki, który roznieci ogień. Wie, że nie można wymieniać żadnych nazwisk, co najwyżej podsycić plotki, i że ten artykuł musi być sugestywnie napisany. Ale o jedno nie dba: chce, wręcz *potrzebuje*, odplacić im tym samym i zareagować na chłodną, podłą obojętność tych dziewczyn – i tej konkretnej dziewczyny.

Dąży do zemsty – nie do ukojenia.

Plaża jest doskonałym miejscem. Przyjeżdża wcześniej, znajduje osłonięte od wiatru miejsce w słońcu. Rześkość powietrza, posmak soli uspokaja ją i wzmacnia jej determinację. Zamawia kawę latte. Pierwsza kawa z prawdziwego zdarzenia, jak sobie uświadamia, od kiedy to wszystko się zdarzyło. Straciła apetyt, a w szpitalu i tak nie mają dobrej kawy. Wyjście na zewnątrz i kupienie sobie czegoś do picia zakrawa na jakieś nadmierne dogadzanie sobie, dowód istnienia swego rodzaju potrzeby przyjemności, do której teraz przecież nie ma prawa. Natomiast sama czynność jedzenia stała się niczym więcej niż irytującą koniecznością. Na frontowej werandzie kilka razy zostawiono jedzenie – dary złożone z babeczek, brownie, kawałka czekoladowego tortu, zupy, kisza, dużych kawałków lazanii. Posiłki, które można zamrozić, łatwo podzielić na porcje i odgrzać w szpitalnej kuchni. Ktoś musiał zorganizować w szkole akcję gotowania – wszystkie te dobre, nastawione

prospołecznie kobiety, które zgłaszają się na ochotnika, żeby pomóc w krytycznej sytuacji, w tragedii. Steve zjada te posiłki przeważnie wieczorami, w pośpiechu nadziewając je na widelec, ale Andi ledwie jest w stanie się zmusić, żeby w ogóle coś tknąć. Personel pielęgniarstwa goni ją do jedzenia – musisz jeść, musisz zachować siły. Jesteś karmiącą matką. Pomyśl o Gusie. Pomyśl o Sophie. Ale kiedy patrzy na torebkę z papką, która trzyma jej córkę przy życiu, sam akt przeżuwania i połykania sprawia, że wszystko przewraca jej się w żołądku. Zjada tylko tyle, żeby podtrzymać swoje funkcje życiowe, tak jak Sophie, tyle może zrobić. Kiedy spogląda w lustro, ledwo siebie rozpoznaje. Ma skołtunione włosy, wychudłą twarz, oczy wpatrują się w nią, jakby była jakąś obłąkaną kobietą. Może nawet jest szczuplejsza, niż była przez ostatnie lata, ale podobnie jak wszystkie inne kwestie, które kiedyś wydawały się ważne, ten fakt nie ma teraz żadnego wpływu na jej szczęście.

Siedząc samotnie na tej zimnej metalowej ławce, wdychając słone powietrze, sącząc zbyt gorący, zbyt gorzki napar i obserwując innych ludzi – zanurzonych we własnych światach i niezważających na jej świat – odczuwa pewną ulgę. Byłaby zadowolona, gdyby mogła zostać tutaj kilka godzin, żeby pobyć sam na sam ze sobą. Tu i teraz, kiedy obserwuje mewy i fale i chłonie promienie słońca, niemyślenie wydaje się niemalże na wyciągnięcie ręki.

Gdy przychodzi Arabella, siada obok niej i w milczeniu podaje jej kolejny kubek kawy, a Andi całkowicie traci poczucie czasu.

– Zauważyłam, że już pijesz kawę, więc zapytałam tego gościa w kafejce, czy pamięta, jaką kawę zamawiałaś. – Głos dziennikarki jest niski, kojący. – Nie pamiętał, czy słodzisz, więc przyniosłam trzy opakowania cukru. – Przesuwa w jej stronę cukier i mieszadełko. – Sama pijam czarną i niesłodzoną, ale nigdy nic nie wiadomo.

Andi jest zaskoczona tą kobietą. Chociaż widziała jej zdjęcia, na żywo nie jest taka, jak Andi się spodziewała. I na pewno nie jest typową Arabellą. Andi to imię kojarzy się z angielskimi wyższymi sferami rodem z Monty Pythona. Jednak ta Arabella nie ma w sobie nic z końskiego wyglądu. Jest postawną, wysoką i dobrze zbudowaną kobietą. Ma jasną karnację skóry i blond włosy, być może ma korzenie germańskie albo skandynawskie, a jej twarz nie jest piękna, ale rzuca się w oczy, co kiedyś było określane mianem urodziwa. Wszystko ma ogromne – oczy, nos, usta, podbródek. Nosi luźny strój składający się z wielu warstw, uszyty z tkaniny we wschodnim, hippisowskim stylu. Dziwny wybór dla tak posągowej kobiety, ale pasuje do niej.

Siedzą i obserwują fale, popijając kawę przez kolejne dziesięć minut i prawie ze sobą nie rozmawiając. W końcu Arabella sięga do swojej torby, wyjmując z niej

dyktafon wielkości telefonu i umieszcza go przed Andi na stoliku.

– Jesteś gotowa – mówi na swój wyważony sposób – opowiedzieć mi tę historię?

Ta kobieta ma w sobie coś dodającego otuchy, posturę, wewnętrzny spokój, coś, co jeszcze potęguje tę nieoczekiwaną harmonię, którą Andi czuje, będąc w tym miejscu, z dala od tłumionego lęku w szpitalnej sali. Opowiada jej powoli, zmagając się z kolejnością wydarzeń, z trudem układa je w chronologiczną i spójną całość. Ale Arabella zadaje wyłącznie właściwe pytania, wydobywa wspomnienia, o których Andi już nie pamiętała. „Czy ktoś znęcał się nad Sophie, kiedy była bardzo małym dzieckiem?” Był taki incydent dawno temu, kiedy Sophie była jeszcze w żłobku – jakieś dziecko wciąż ją szczypało. Sophie w przedszkolu też miała niełatwo. Była tam dziewczynka, która twierdziła, że Sophie używała jej kredek i kopiowała jej rysunki, ale ta sytuacja była prosta do rozwiązania. Kiedy Sophie rozpoczęła naukę w prywatnej szkole, dokuczała jej jakaś wstrętna dziewczynka. Ale sądzili, że to się skończyło. W każdym razie ta uczennica opuściła szkołę.

„Czy uważasz, że już wtedy coś było nie tak? Czy ktoś doradzał wam wizytę u psychologa?” Nie, nigdy nie przyszło im do głowy, że to rzeczywisty problem. Wydawało im się, że Sophie doszła do siebie i zaprzyjaźniła się z kilkoma dziewczynkami. Wyglądało na to, że to jeden z tych nieuniknionych trudów dzieciństwa. Takie tam dziewczynskie sprawy.

Wtedy nie dostrzegali w tym żadnej powtarzalności – dopiero teraz, kiedy Andi łączy fakty, bierze pod uwagę ostatnie wydarzenia, zaczyna dostrzegać w tym pewną regułę.

Opowiada Arabelli o tym, co wydarzyło się w tym roku, o tym, że jedyne dobre przyjaciółki Sophie niedawno wyjechały i przestały chodzić do tej szkoły. O tym, że kiedy do klasy dołączyła Charlotte, miała nadzieję, że dziewczynki się zaprzyjaźnią i zrobiła wszystko, co było w jej mocy, żeby wesprzeć tę relację. Charlotte zdawała się uroczą koleżanką – bystrą i przyjazną – i wyglądało na to, że świetnie się dogadywała z Sophie. Sophie ją uwielbiała. Andi zaprzyjaźniła się z matką Charlotte, której druga córka wydawała się równie uroczą. Andi tak bardzo liczyła na to, że ta przyjaźń się rozwinie, że nie zauważyła, co działo się tuż pod jej nosem. Dopóki nie było za późno.

I w tym leży sedno całej sprawy. Andi opowiada dziennikarce o znęcaniu się Charlotte, opisuje wszystkie szczegóły, które zna, na temat tego, co się wydarzyło. Zebrała dowody z tej wirtualnej sceny zbrodni z pomocą Bridie, Matty i jej rodziców – linki, wydruki, zrzuty ekranów już nieistniejącej strony internetowej, strony z ASKfm, niektóre komentarze, które obie dziewczynki odnalazły na Instagramie



i Twitterze. Przyniosła również ze sobą rozczarowująco niejednoznaczny raport policyjny, w którym potwierdzono, że dostawca Internetu był dostępny dla wszystkich, a komputer niemożliwy do namierzenia, więc policja nie mogła kontynuować śledztwa. Opowiada Arabelli, co wie na temat fizycznego znęcania się, na temat incydentów, które zgłosiły albo potwierdziły inne dziewczynki z klasy, o tym, jak Sophie została osaczona na korytarzu, o tym, jak unikały jej w klasie i podczas przerwy obiadowej.

Andi opowiada jej o odwiedzinach w szpitalu, zwierając się, że najbardziej zabolęło ją to, że ona także dała się nabrać tej dziewczynie, która na pozór jest uosobieniem przyjacielskiego wdzięku, ale w rzeczywistości okrutną manipulatką, i tylko Bóg jeden wie, do jakiego stopnia pozbawioną litości. Mówi jej o plotkach, że Charlotte już kiedyś zrobiła coś takiego, i że to właśnie jej złe zachowanie zmusiło rodziców do powrotu ze Stanów Zjednoczonych.

– Musisz to jasno wytłumaczyć – mówi Andi do dziennikarki. – Musisz ostrzec wszystkich, że to dziecko jest niebezpieczne.

Dziwna rozmowa. Jednokierunkowa. Kobieta nie ujawnia swoich uczuć ani nie wyjawia żadnych informacji na swój temat. Kiedy Andi próbuje czegoś się o niej dowiedzieć, zadając pytania dotyczące jej życia – „Gdzie mieszkasz? Masz dzieci? Jesteś mężatką?” – zrećcznie unika odpowiedzi. Andi czuje się tak, jakby prowadziła rozmowę z terapeutką albo z księdzem.

Pomimo skojarzeń terapeutycznych Andi bardzo ostrożnie ujawnia informacje. Mimo wszystko nie chce, żeby ta historia opowiadała o niej. Wobec tego nie wspomina o własnym lęku związanym z tym, jaką rolę odegrała w tych wydarzeniach, o tym, że kiedy po raz pierwszy została matką, początki macierzyństwa nie były dla niej przyjemne, oraz o tym, jak oddała Sophie do żłobka i wróciła do pracy najszybciej, jak tylko mogła. Nie wspomniała też o tym, że od razu przyszło jej do głowy, że być może nieświadomie wywierali zbyt dużą presję na Sophie, jeśli chodzi o grę na fortepianie. Ani o tym, że wciąż myślała, czy nie zaniedbała jej pod względem emocjonalnym w trakcie tych wszystkich lat, kiedy poddawała się zabiegom zapłodnienia in vitro. Ani słowem nie wspomniała również i o tym oddaleniu po narodzinach Gusa i poczuciu winy z powodu tego, że nie cierpi tych wszystkich nastoletnich wymysłów swojej córki.

Pomija również milczeniem życie rodzinne – oficjalnie tworzą małą, świetnie funkcjonującą rodzinę, a Sophie, zanim to wszystko się stało, była szczęśliwa, utalentowana i zrównoważona. Jednak to pomijanie faktów sporo ją kosztuje.

W głębi duszy czuje potrzebę, żeby opowiedzieć tej kobiecie o wszystkim, dowiedzieć się, co ona o tym sądzi. Rozpaczliwie potrzebuje kogoś, kto powiedziałby jej to, co chce usłyszeć – że nie ponosi za to winy, że nie mogła zrobić niczego, co pomogłoby temu zapobiec.

Jednak ta kobieta jest dziennikarką, a nie księdzem, i Andi wie, że jej rozgrzeszenie i tak byłoby bez znaczenia.

CudowneDziecko.com

Dziesięć lekcji cudownego dziecka, jak osiągnąć sukces

## Lekcja dziewiąta: Odgrywanie ulubienicy

Niektórzy rodzice, może nawet większość, mają swoje ulubione dziecko. Zawsze jest takie oczko w głowie – cudowne dziecko – które ma czegoś odrobinę więcej albo mniej niż pozostałe, jest miłsze, ładniejsze, wszystko jedno. Może to niesprawiedliwe, ale zawsze tak się dzieje.

Są też rodzice, niech im za to będzie chwała, którzy nie faworyzują żadnego dziecka. Wydaje się nie mieć dla nich znaczenia fakt, że jedno dziecko jest prawie idealne, a drugie całkowicie durnowate – nadal okazują im tę głupią, bezwarunkową miłość.

Powiem wam coś. Tacy rodzice to może być twardy orzech do zgryzienia. Ale przy odrobinie wyobraźni i inicjatywy w końcu zaczną myśleć tak jak wy.

Możecie to potraktować jako rodzaj gry – tylko że nikt poza wami nie będzie wiedział, że w nią gracie.

## KOMENTARZE:

**@SANDRADEE** pisze:

Cześć. Może to niewłaściwe miejsce, ale właśnie staram się przypomnieć sobie słowa tej starej wyliczanki z klaskaniem w dłonie i wierszykiem o cudownym dziecku.

**@HESTERIA** odpisała:

Czy mógłby być taki o garnuszku złota, a nie o dziecku? Przypominam sobie

wierszyk: „Och, mała przyjaciółko,  
nie mogę się z tobą bawić.  
Moja laleczka ma grypę.  
I różyczkę.  
Zjedź po mojej tęczy  
do garnuszka złota”.

**@SANDRAD** odpisała:

Och, wielkie dzięki, @Hesteria. To dokładnie ten wierszyk. Ale chyba mówiłyśmy siostrzyczka, zamiast laleczka :).

**@PRZYPADKOWACZYTELNICZKA** odpisała:

Wtf, to w końcu chodzi o zabawę w klaskanie czy o rosyjską ruletkę z chorobami wenerycznymi?

## BETH

Kiedys taki scenariusz byłby dla niej najgorszym koszmarem. Teraz, choć przysłonięty innymi, bardziej namacalnymi zmorami, wywołuje w Beth silny niepokój. To perspektywa spotkania dwóch kobiet – jej matki i teściowej – pod jednym dachem. Próbuje porozmawiać o tym z Danem, usiłuje go przekonać, że ten jeden jedyny raz można by odwołać niedzielną kolację u jego matki, że może powinni spędzić czas z jej matką, która tak rzadko ich odwiedza. Że z pewnością w ich obecnej sytuacji, z tym całym stresem, pod którego wpływem się znajdują...

– Posłuchaj, nie musimy jej mówić, że mama przyjeżdża – może możemy powiedzieć, że Lucy jest chora?

Ale Dan po prostu nie jest zainteresowany tym, żeby ułatwić jej życie.

– Musimy zachować jakąś normalność ze względu na dziewczynki, Beth. Nie możemy siedzieć i nieustannie się tym zadreć. To niezdrowe – mówi, zadziwiająco przypominając swoją matkę.

A kiedy Beth ostrożnie proponuje, żeby to Margie przyszła do nich na kolację, niestrudzenie gościnnie Margie mówi, żeby synowa nie zawracała sobie tym głowy, i że oczywiście to żaden kłopot, jeśli zabiorą na kolację jej matkę – przecież Francine to tylko jedna dodatkowa osoba.

– Miałyśmy tak mało okazji do spotkań od czasu waszego wesela. Może raz w ciągu ostatnich dziesięciu lat? Byłoby cudownie nadrobić zaległości. A właśnie teraz – tutaj następuje uroczyste zawieszenie głosu, tak na wszelki wypadek, gdyby Beth nie do końca zdawała sobie sprawę z powagi swojego kłopotliwego położenia – właśnie teraz myślę, że powinniśmy z twoją mamą połączyć siły, żeby wymyślić, jak można wam obojgu pomóc.

– Och, tak – szczebiota Beth. – Jakie to wspaniałomyślne. Dziękuję. Mama będzie zachwycona. – Już widzi to uprzejme wzruszenie ramion swojej matki na samą myśl, że miałyby angażować energię w jakiegokolwiek sprawy związane z Margie, już sobie wyobraża tę nieudolnie skrywaną wrogość między dwiema kobietami – jej matkę wyniosłą i protekcyjną oraz Margie zatroskaną aż do przesady. Będzie źle. Wie o tym, zanim spotkanie dojdzie do skutku. Tylko nie wie, do jakiego stopnia źle.

Matka obiecuje przyjechać wcześniej rano, żeby obejrzeć dziewczynki, które będą grać w hokeja w turnieju, ale dociera tuż przed siedemnastą. I tak w zawodach bierze udział tylko Lucy. Charlotte dowiaduje się tego dnia rano, że część matek jej koleżanek z drużyny odmawia udziału swoich córek w meczu, jeśli będzie tam Charlotte, wobec tego trenerka – dziewczyna, która ma zaledwie dwadzieścia kilka lat i sama jeszcze niedawno grała w drużynie stanowej – dzwoni do Beth, żeby powiadomić ją o całej sytuacji.

– Proszę posłuchać, chcę, żeby pani wiedziała, że one postępują źle – wyjaśnia – ale naprawdę nie wiem, co mam zrobić. Charlotte jest jedną z naszych najlepszych zawodniczek, ale jeśli pozostała czwórka się nie pojawi, to będziemy musiały oddać ten mecz walkowerem. Nie mogę pójść do pani Pollux, nauczycielki od wuefu, ponieważ wyjechała. – Beth nie konsultuje się z Danem ani z dziewczynkami, ale po cichu udziela takiej odpowiedzi, jakiej oczekuje od niej trenerka.

– W porządku – mówi. – Charlotte i tak jest trochę przeziębiona. Nie zaszkodzi, jeśli przesiedzi ten mecz na ławce. – Przekazuje wiadomości Charlotte, która w swoim pokoju ogląda powtórkę serialu *Nie z tego świata* na iPadzie. Wzrusza ramionami, ledwie podnosi wzrok.

– Nieważne. Żadna wielka sprawa.

– Charlotte. – Niechętnie spogląda na matkę. – To nie jest w porządku. To okropne. Porozmawiam z panią Holding, kiedy wrócisz do szkoły. To niesprawiedliwe.

Charlotte przewraca oczami.

– Nieważne. Szczerze mówiąc, mamo, to tylko te idiotki z najmłodszej klasy, więc kogo to obchodzi? No wiesz, Zelda Laprati i Tegan Maxwell. Tegan to ta, która została zawieszona w prawach ucznia za to, że rzuciła stanikiem w nauczycielkę plastyki na zastępstwie. Właściwie to zdjęła go w klasie. Myślę, że ich matki mają jakieś żalosne pretensje.

Beth zostaje w klubie hokejowym, żeby obejrzeć kilka meczów, w których gra Lucy, ale trudno jej zachować zimną krew w obliczu ciekawskich spojrzeń i zapadającej co jakiś czas głuchej ciszy ze strony matek innych dziewczynek z drużyny. Lucy, niewzruszona, zachowuje swoją typową pogodę ducha i nawet udaje jej się odeprzeć złośliwe pytanie dotyczące ostatnich wydarzeń, zadane przez jedną z mniej taktownych koleżanek z drużyny: „Hej, to prawda, że twoja młodsza siostrzyczka doprowadziła tę dziewczynkę do śpiączki?”. Dziewczyna mówi na tyle głośno, żeby wszystkie pozostałe zawodniczki i ich rodzice to usłyszeli.

Lucy uśmiecha się i potrząsa głową, wygląda niewyraźnie.

– Słyszałam, że wzięła pigułki. Biedactwo – rzuca, zanim odwraca się na pięcie. Beth podziwia swoją córkę za spokojną odpowiedź. Gdyby ktokolwiek śmiał ją o to zapytać, nie jest pewna, jak by zareagowała.

Kiedy przyjeżdża jej matka, Dan i Lucy już są w drodze do Margie. Beth obserwuje z okna na piętrze, jak matka wysiada z samochodu. Francine wpatruje się w dom z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, ale jej myśli są dla niej tak przejrzyste, jakby transmitowali je w telewizji. Nie będzie mogła się nadziwić, że dom wciąż wygląda jak nora pomimo tylu miesięcy pracy – brzydactwo na tle skądinąd porządnego sąsiedztwa. Będzie się zastanawiać, co robiła od chwili, kiedy Beth poznała Dana, no naprawdę, w co ta Beth się wpakowała. Będzie wyszukiwała usterki, żeby je podkreślić: „Czy nie trzeba by umyć tego samochodu? Chyba przydałoby się go zmienić... Dlaczego nie wynajmiecie kogoś, żeby skosił trawnik, skoro Dan nie ma na to czasu? Dlaczego nie wyłożycie go kostką? Czy uważacie, że tę starą kanapę na werandzie naprawdę warto zatrzymać?”. Tyle rzeczy będzie ją irytowało, że Francine trudno będzie się zdecydować, od czego ma zacząć. Beth cieszy się jedynie z tego, że postanowili z Danem utrzymać w tajemnicy szczegóły jej nieobecności w pracy, mówiąc wszystkim, że jest na urlopie.

Ale nie jest aż tak źle, jak sobie wyobrażała. Robi się tak późno, że jej matka nie ma już czasu na nic więcej poza pobieżną inspekcją, a jedyna lekko krytyczna uwaga, na jaką sobie pozwala, dotyczy czasu trwania remontu – „Beth zapewne nie może już się doczekać, żeby kupić nowe meble, przecież te stare graty są takie przygnębiające, jak można znieść ten zapach?”. Być może jej matka jest zbyt zaaferowana tym, żeby poruszyć temat, który nazywa „sytuacją Charlotte”, więc nie zaprzęta sobie głowy stanem domu. Teraz Beth pospiesza swoją matkę i Charlotte, która wyraźnie się ożywiła w towarzystwie babci ze strony matki, żeby szły do samochodu.

– Przepraszam, że cię pospieszam, mamó, ale znasz Margie.

– Problem polega na tym, że właściwie wcale jej nie znam, moja droga Beth. Od czasu wesela spędziłyśmy może godzinę albo dwie w swoim towarzystwie.

– Cóż, mogę ci tylko powiedzieć, że babcia ma świra na punkcie punktualności. – Charlotte naśladuje głos Margie, jej nieznaczne zasznurowanie ust i sposób, w jaki zawsze wyraża swoją dezaprobatę, i podobieństwo jest tak uderzające, że Beth nie może powstrzymać śmiechu.

– Niegrzeczna z ciebie dziewczynka, Charlotte – mówi. – Przestań. – Francine

uśmiecha się znacząco, unosi jedną z doskonale utrzymanych brwi. Poklepuje Charlotte po głowie.

– Hmm. Dobrze widzieć, że nie wszystko tutaj emanuje słodyczą i światłem.

Beth się krzywi, ale Charlotte chichocze, nie zważając na to.

Przyjeżdżają w chwili, gdy kolacja ma zostać podana. Margie przerywa mieszanie sosu pieczeniowego (oczywiście domowej roboty, żadnych sosów z torebki) i wita Francine z życzliwością i zainteresowaniem, które wydają się szczere. Nie zwraca uwagi na jej całus w powietrzu i przytula ją do swojego obfitego biustu.

– Francine. Jak miło cię widzieć! Naprawdę musimy się częściej spotykać. Jakie to głupie, że tych dwoje już tak dawno się pobrało, a my praktycznie nadal się nie znamy.

Ach. Ona nigdy nie zawodzi. Oto i on, lekki przytyk, tak starannie zawoalowany, że ktoś niezaznajomiony z jej technikami (albo Dan, który udaje głupiego) mógłby nie zauważyć tej starannie zakamuflowanej agresji umoszczonej wygodnie w ciepłym i puszystym sercu najbardziej niewinnej z niewinnych uwag Margie. Z kolei Francine czuje się nieco urażona tym niechcianym uściskiem, tą ciepłą śliną.

Beth oferuje pomoc w końcowych przygotowaniach do posiłku, ale Margie, jak można się było spodziewać, wyrzuca ją i jej matkę do salonu, gdzie Dan ogląda wiadomości.

– Lucy właśnie nakrywa do stołu, więc zaraz wszystko będzie gotowe.

Dan wstaje z niejakim ociąganiem, niezręcznie ściska teściową i proponuje jej drinka.

– Tylko małego, dzięki, Dan. Mimo wszystko chyba po kolacji będę wracać do domu. – Machnięciem ręki ucisza ich wymuszone protesty. – Rano mam akcję charytatywną i wolałabym się nie spieszyć. W moim wieku człowiek naprawdę potrzebuje się kiedyś wyspać. – Kiedy Beth była dzieckiem, spotkania charytatywne matki stanowiły kamuflaż. Jednak pewnego dnia z przerażeniem zdały sobie z siostrą sprawę, że były pretekstem do jej tête-à-tête z mężczyznami, i zawsze wiązały się z tym, że wracała do domu nad ranem, rozczochrana i nienaturalnie rozbawiona. Nigdy nie wiedziały, jak nazywały się te akcje charytatywne ani ci mężczyźni. Ale teraz, kiedy Francine była dobrze po siedemdziesiątce, Beth podejrzewa, że działalność charytatywna rzeczywiście istnieje, i czasem odczuwa smutek z powodu samotności swojej matki.

Kolacja przebiegała w dość miłej atmosferze, a obie kobiety zachowywały się



nienagannie – Francine prawila wyłącznie właściwe komplementy, a Margie łaskawie je przyjmowała. Maniery dziewczynek przy stole nie były na tyle straszne, żeby wywołać komentarze ze strony którejś z babć, a Margie nie odezwała się ani słowem, kiedy Charlotte przechwalała się tym, że będzie miała najlepsze wyniki z testu z matematyki na koniec semestru.

– Test był z geometrii, której uczyliśmy się już w szkole w Brookdale. Nie mogę uwierzyć, że tutaj wszyscy uważają to za trudne.

– Cóż, nie wszyscy są córkami inżynierów, prawda? – Dan mówi nieco stłumionym głosem.

Lucy spogląda na ojca i wydyma wargi.

– Jestem beznadziejna z matematyki, a też mam ojca inżyniera.

– Ach, obawiam się, że mogłaś to odziedziczyć po mnie, droga Lucy. – Margie posyła jej promienny uśmiech. – Nie mam pojęcia, po kim twój ojciec ma taki mózg matematyczny. Na pewno nie po swoim ojcu, a jeśli chodzi o mnie...

Kiedy Dan i Beth rozmawiają później na ten temat, nie zgadzają się w kwestii przyczyny tej kłótni. Dan oczywiście upiera się, że to wina Francine, że Margie była jak zawsze niewinna. Francine źle ją zrozumiała, a Margie powiedziała jedno, a miała na myśli coś innego.

Zaczął się zupełnie niewinnie. Kończyli właśnie deser, tartę czekoladową, którą pomogła upiec Lucy. Francine chwali Margie za kolację, a szczególną uwagę zwraca na deser.

– Nigdy nie jadam czegoś takiego, to było wyjątkowe.

– Właściwie to dzieło Lucy. – Margie uśmiecha się z dumą. – Świetnie sobie radzi w kuchni ta nasza Lucy.

Francine uśmiecha się przesadnie w odpowiedzi.

– Jestem taką kiepską kucharką, chociaż myślę, że po prostu gotowanie mnie nie interesuje. Musiała odziedziczyć ten talent po tobie, Margie.

– Jestem tylko zwyczajną dobrą gospodynią – i tak już pozostanie. Ale Lucy ma dar w rękach. To ciasto jest takie lekkie. Nie sądzisz, że to cudowne doświadczenie – mówi, zwracając się do Francine z powagą, którą, o czym Beth wie, jej matka uzna za nedorzeczność – obserwować, jak wnuki dorastają? Jakbyś mogła jeszcze raz przyglądać się własnym dzieciom. Rozwijają wszystkie te umiejętności i talenty, których sama nigdy nie miałaś. Zawsze zdumiewa mnie to, jakim sposobem dzieci są tak niepodobne do swoich rodziców.

Jej matka, wyraźnie znudzona, mając nadzieję, że zaraz zmienią temat na jakiś bardziej związany ze światem dorosłych, mruczy:

– Ach tak, rzeczywiście. – Ale Margie ma znacznie więcej do powiedzenia.

– Czasem rodzicom trudno to zaakceptować. W trakcie mojej pracy nauczycielskiej stanowiło to dla mnie jedną z największych trudności. Fakt, że rodzice mają taką obsesję na punkcie tego, żeby dzieci zostały tym, kim oni chcą.

Beth wyczuwa, że Margie właśnie dotarła do końca swojej konwersacyjnej intrygi. Lawirując, subtelnie zmierza do celu i bez wątpienia zaraz odpali pocisk. Beth próbuje zmienić temat, żeby ją od tego odwieść, ale niezawodna wola walki Francine także już wyczuła pismo nosem.

– Cóż za interesująca obserwacja, Margie. Pomyślałabym, że współcześni rodzice robią na odwrót. I że przywiązują zbyt dużą wagę do indywidualizmu swoich dzieci. Spójrzmy na Beth. Jestem pewna, że kiedy moje dziewczynki były w wieku Lucy i Charlotte, w mniejszym lub większym stopniu pozwalałam im, żeby same rozwiązywały swoje problemy. Nie sądzę, żeby im to wyszło na złe. Ale Beth, podobnie jak jej siostra Susie, nie mogą powstrzymać się od tego, żeby przestać się zajmować, zamartwiać i organizować wszystko dookoła i wciąż wypytywać swoje dzieci, jak się czują. Właściwie układają scenariusz ich życia.

– Cóż, nie mogę się z tym nie zgodzić. W porównaniu do tego pokolenia, nasze macierzyństwo poszło nieco w kierunku lekkiego zaniedbania. Nie, nie o to mi chodzi... Obawiam się, że wielu rodziców naprawdę nie ma pojęcia, *kim* są ich dzieci. I najwyraźniej nic ich to nie obchodzi. Tak jakby chcieli mieć jakiś konkretny typ dziecka i spodziewają się, że jeśli, jak zauważyłaś, zaaranżują całkowicie życie swoich pociech – wszystko im zorganizują, dopilnują, by każda chwila ich życia była wypełniona jakąś aktywnością albo ubogacona, zaaranżują ich przyjaźnie, wybiorą właściwe szkoły – to wtedy wszystko samo się ułoży. Dzieci staną się takimi ludźmi, jakimi oczekują, żeby się stali – niezależnie od ich osobowości czy zainteresowań. Wobec tego rodzicom najwyraźniej się wydaje, że po tym wszystkim, co zrobili, zasługują na właściwy *zwrot* ich *inwestycji*, ponieważ właśnie takim językiem się posługują. Naprawdę nie mogą uwierzyć w to, że po tych wszystkich lekcjach gry na skrzypcach, baletu, rugby, plastyki i innych, łącznie z warsztatami na temat poczucia własnej wartości i wizytami u psychologa, ich pociecha nadal nie jest doskonała. Mają poczucie, że musi być idealna, ponieważ musi stanowić odzwierciedlenie całkowitej sumy wysiłków, które włożyli w jej wychowanie przez te wszystkie lata. Nawet w naszej szkole, w której nie ma zbyt wielu zamożnych rodzin, mamy ogromne

trudności, żeby przekonać rodziców, że ich dzieci popełniły jakiś błąd. Kiedy pokażemy im dowody, nie rozumieją, jak to się mogło stać. Nie po tej całej ciężkiej pracy, jaką wykonali, nie po tym, ile pieniędzy w nie zainwestowali. Właściwie uniemożliwia to skuteczne nauczanie dyscypliny. Skoro nie potrafimy przekonać rodziców, że ich dzieci postąpiły źle, to nie możemy spodziewać się, że dzieci to rozumieją.

Margie obrzuca Charlotte szybkim spojrzeniem, po czym odwraca wzrok. Ale nie uszło to uwagi Francine.

– O mój Boże! – Francine jest przerażająco bezpośrednia. – Czy to ma coś wspólnego z tym, co spotkało koleżankę z klasy Charlotte? Sugerujesz, że Dan i Beth ponoszą jakąś winę za ten pasztet?

– Nie, oczywiście, że nie! To tylko teoretyczne rozważania. Dan i Beth są wyjątkowymi rodzicami. – Margie wygląda na tak zszokowaną samą myślą albo oburzającą obcesowością Francine, że Beth niemalże wybucha śmiechem. Jednak Dan najwyraźniej czuje się urażony w imieniu swojej matki.

– Francine – posyła jej gniewne spojrzenie – zdecydowanie przesadzasz. Oczywiście, że mama nie miała na myśli Charlotte. Ani nas, jeśli chodzi o ścisłość.

– A ja mam wrażenie, że miała. I myślę, że to bardzo interesujący punkt widzenia.

Na te słowa dziewczynki, do tej pory zbyt zajęte pochłanianiem tarty, żeby zawracać sobie głowę słuchaniem rozmowy dorosłych, podnoszą wzrok, jakby nagle wyczuły napięcie. Beth aż za dobrze rozpoznaje wyraz twarzy matki, wypieki, przymrużone oczy, uśmiech wyższości. Ma przeczucie, że szykuje się na coś spektakularnego.

– Mamo, może lepiej skończmy na tym. Nie sędzę, żeby dzieci musiały słuchać...

Ale matka jej przerywa.

– A ja sędzę, że dzieci powinny to usłyszeć, Beth. Być może dzięki temu uda się częściowo naprawić tę straszną krzywdę, którą wyrządzili im ich bezczelni, przekonani o tym, że zasługują na specjalne traktowanie, rodzice.

Margie wstaje z zaciśniętymi ustami i krząta się wokół stołu, zbierając brudne talerze.

– Oczywiście, że nie mówiłam o swojej rodzinie, Francine. Lucy i Charlotte to urocze dziewczynki, a Dan i Beth świetnie się spisali. To, co spotkało tę biedną dziewczynkę, to tragedia, ale naprawdę nie uważam, żeby dzisiejsza kolacja była właściwym miejscem do dyskusji o motywach i powodach. – Ma radosny głos, ale

w uszach Beth dzwoni nieszczerłość.

Lucy spogląda na Margie, marszcząc brwi.

– Ale, babciu, kiedy wcześniej rozmawialiśmy, powiedziałaś, że naprawdę musimy pogadać o tym, co spotkało Sophie, i że fakt, że o tym normalnie nie rozmawiamy, jest znakiem współczesnego rodzicielstwa.

– Jest znamieny. – Babci natychmiast włączają się nauczycielskie nawyki.

– Znamieny. A potem powiedziałaś, że nasze pokolenie ma zapewnione wszystko poza kręgosłupem moralnym.

– Dzięki, Lucy. Mamy już pewien obraz – głos Dana jest zdecydowany. – Myślę, dziewczynki, że możecie teraz pójść do salonu pooglądać telewizję. Możecie tam dokończyć deser. – Lucy się czerwieni, po czym posyła matce oszołomione, przepaszające spojrzenie, zabiera talerzyk i rusza do pokoju w ślad za siostrą, która przez całą rozmowę zachowała kamienną twarz.

Francine podnosi kieliszek z winem i wypija go jednym haustem.

– Nie sądzę, żeby to brak, jak to ujęłaś, moralnego kręgosłupa stanowił tutaj problem. Nie uważasz, że w mediach panuje swego rodzaju histeria na temat znęcania się? Nie sądzisz, że to nienormalne, żeby dziecko w tym wieku uważało, że należy się *zabić*, ponieważ jakieś inne głupie dziewczynki mówią obrzydliwe rzeczy? Nie sądzisz, że to właśnie może być kluczowe? Nie wierzę, żeby nasza wnuczka miała problem, Margie. Myślę, że to silna, bystra dziewczynka, która zaadaptowała się do warunków, żeby jakoś przeżyć w tym świecie.

Margie jest wyraźnie urażona.

– Czym innym jest być silną i bystrą, Francine – mówi naburmuszona – ale z pewnością wymagamy od młodych ludzi czegoś więcej. Być może to staromodne, ale czyż nie pragniemy także życzliwości i pokory oraz większego stopnia świadomości niż tego, który wystarcza, żeby *jakoś przeżyć*?

Francine prycha.

– Och, droga Margie. Twój Dan nie doszedł do tego miejsca, w którym teraz się znajduje, dzięki temu, że był miły i pokorny, ani na skutek nadmiernie rozbudzonej świadomości, cokolwiek masz na myśli. Świat naprawdę nie wygląda tak, jakbyśmy chcieli, żeby wyglądał, prawda? Dobrzy ludzie nie idą do przodu dzięki czynieniu dobra, oni idą do przodu niezależnie od tego, że są dobrzy. Kończąc na tym – Francine uśmiecha się łagodnie do zszokowanej rodziny – sądzę, że na mnie już czas.

## ANDI

Jest zaskoczona, kiedy tuż po śniadaniu dyżurna pielęgniarka wprowadza panią Holding, przełożoną szkoły. Nie rozpoczęły się jeszcze godziny odwiedzin, a zwykle proszono odwiedzających, żeby poczekać, aż lekarze zrobią obchód, ale najwyraźniej pani Holding cieszy się autorytetem nawet w szpitalu. Młoda pielęgniarka, Laura, sprawia wrażenie zdenerwowanej, jakby chciała uciec, zostaje tylko, żeby zapowiedzieć wizytę kobiety, po czym pospiesznie wychodzi.

Pani Holding przygląda się jej ucieczce, potrząsa głową.

– Laura McMahon. Taka duża dziewczynka. Dość miłe dziewczę, jeśli nie jedna z naszych najlepszych uczennic. Nawet najlepsza szkoła tylko tyle może zrobić. Pielęgniarstwo to wspaniały wybór ścieżki zawodowej w jej przypadku. Może mam staroświeckie poglądy, ale wciąż utrzymuję, że pielęgniarka to doskonały zawód dla kobiety.

Przełożona obdarza Andi królewskim uśmiechem. Andi jest jeszcze w pidżamie, zbyt zmęczona nawet, żeby wstać, by stosownie ją przywitać. Kobieta stoi przez chwilę w drzwiach, wpatrując się uważnie w pacjentkę, obejmując wzrokiem budzące grozę kłębowisko rurek i surową salę bez żadnych iluzji komfortu.

– Mój najstarszy syn o mało co nie umarł na zapalenie opon mózgowych, kiedy miał siedemnaście lat. Prawie przez tydzień był w stanie krytycznym – naprawdę sądziliśmy, że go stracimy. Minęło prawie dwadzieścia lat od tamtej pory, a wciąż sama myśl o tym sprawia mi ból. Jestem pewna, że leżał dokładnie w tej sali. To miejsce jest takie przygnębiające. Takie sterylne. Niby wiadomo, że robią wszystko, co w ich mocy, ale ta sceneria jeszcze pogarsza sprawę.

Andi nie jest pewna, co ma na to odpowiedzieć. Kiedyś intuicyjnie zapytałaby o obecny stan zdrowia syna, skwapliwie skorzystałaby z tego poczucia wspólnych doświadczeń i solidarności, które oferowała kobieta, ale teraz nie ma na to ochoty, nie mówiąc już o energii. Andi udaje się wykrzesać z siebie jedynie zwykłą uprzejmość. Empatia i ciekawość leżą poza jej zasięgiem.

Pani Holding podchodzi do łóżka i patrzy na Sophie.

– Zapominamy, że tak naprawdę to jeszcze dzieci. W ciągu roku albo dwóch

wszystko się zmieni, bardzo szybko staną się kobietami, ale ona jeszcze nie jest na tym etapie. – Dotyka delikatnie policzka Sophie.

– Mamy nadzieję, że będzie miała możliwość, żeby doświadczyć tej zmiany, pani Holding. – Stwierdzenie jest obcesowe, ale kobieta nie wygląda na speszoną. Uśmiech, który posyła Andi, jest łagodny, a oczy pełne współczucia.

– Rozumiem, jaka musi być pani zmartwiona, i wiem, że nic, co mówią lekarze, nie ma znaczenia, dopóki ona z tego nie wyjdzie. Ale znam dobrze doktor Cominos. Myślę, że może pani jej zaufać.

Andi wyczuwa, że to stwierdzenie faktu i odpowiada automatycznie:

– Doktor Cominos mówi, że rokowania są dobre. I że to może być kwestia dni. Pojawiły się pewne symptomy, pewne reakcje.

Twarz pani Holding rozjaśnia uśmiech.

– Sophie ma dużo szczęścia.

– To zależy, co pani rozumie pod pojęciem szczęścia, pani Holding.

Andi nie kryje goryczy w swoim głosie.

– Wiem, że z miejsca, w którym pani teraz się znajduje, sytuacja wygląda pesymistycznie. Ale proszę mi zaufać, wszystko się ułoży. Może pani w to wierzyć albo nie, ale za kilka miesięcy życie wróci do normalności.

– W tym właśnie problem. Już nawet nie wiem, co oznacza normalność. – Nagle cała pewność siebie ulotniła się z niej niemalże bezwiednie. – Co działo się wtedy, kiedy sądziłam, że wszystko funkcjonowało normalnie? Najwyraźniej dla Sophie ten koszmar stał się normą. Jak mam zaufać swoim własnym odczuciom? Zdaje się, że nie wiem, co się wokół mnie dzieje.

– Ach, moja droga. – Pani Holding podchodzi do Andi, bierze ją za rękę. – Wiesz, pracuję z nastolatkami od ponad czterdziestu lat. Sama wychowałam dwie córki. Mam trzy wnuczki w wieku dorastania. Boże, zdaje się, że w dodatku sama kiedyś byłam nastolatką – wybucha zaskakująco radosnym śmiechem. – Ale wciąż nie mogę uczciwie powiedzieć, że rozumiem, co dzieje się w ich głowach. Proszę mi wierzyć, one też tego nie wiedzą. W tym właśnie tkwi problem. Najpierw zachowują się jak okropne małe zołzy, a za chwilę stają się całkowicie bezbronne. A potem wydarza się coś takiego, co zrobiła Sophie, i wygląda to na znaczące, rozmyślnie działanie. Ale zobaczy pani, że kiedy córka wyjdzie z tego obronną ręką, to, co zrobiła, stanie się dla niej równie niezrozumiałe jak dla nas.

– Z tego, co słyszałam i widziałam, nie jest to tak do końca *niezrozumiałe*, pani

Holding. – Zmęczenie Andi gdzieś znika, ustępując miejsca tłumionej złości.

– Ma pani na myśli tę obrzydliwą stronę internetową. I te szyderstwa w sieci. Zgadzam się. To ohydne. Karygodne. Ale musi pani spojrzeć na to z pewnego dystansu.

– Z jakiego dystansu? Jak można mieć jakikolwiek dystans do czegoś takiego? – Andi nie wierzy własnym uszom. – Nasza córka próbowała się zabić z powodu tej strony internetowej. Ta dziewczyna powiedziała jej, żeby się zabiła.

– Trzeba odłożyć to wszystko na bok. Zapomnieć. Dla dobra Sophie. – Zawiesza głos, po czym mówi powoli, z namysłem. – I dla dobra tego drugiego dziecka.

– Nie musimy niczego robić dla tego dziecka. Charlotte Mahony – wypowiada to imię i nazwisko na głos powoli i wyraźnie – musi zostać ukarana. Powinno się ją...

– Co? Spalić na stosie? Wiem, że nie chce pani tego słyszeć, ale rzecz w tym, że Charlotte Mahony to także dziecko. Jej działania – niezależnie od tego, czy się do nich przyznaje, czy też nie, podobnie jak czyny Sophie – wykraczają daleko poza jej świadome rozumienie. Pewnego dnia obudzi się, a być może już się obudziła, i będzie przerażona tym, co zrobiła. Naprawdę tak będzie. I wtedy powinna mieć możliwość, żeby zachować to w jak największym stopniu dla siebie. Proszę mi wierzyć, Andi, nie może pani zrobić ani powiedzieć niczego, ani do niej, ani do jej rodziców, co przyspieszyłoby ten proces. W gruncie rzeczy to dobre dziecko z porządnej rodziny i wierzę – a intuicja rzadko mnie zawodzi – że odnajdzie swoją drogę. Ale jeśli pani ją publicznie zawstydzi, podejmując kroki prawne albo działania w mediach, nie sprawi pani tym, że... Nie rozwiąże pani problemu.

– Nie rozwiążę problemu? A kogo obchodzi rozwiązywanie problemu? – Andi wybucha śmiechem, czuje, jak wzbiera w niej fala hysterii. – A w ogóle skąd pani wie o... Przecież nie mówiliśmy...

– Powiedzmy, że pewnej grupie osób zależy na reputacji szkoły.

– Na reputacji szkoły?

– Andi – pani Holding mówi łagodnym głosem – zakładam, że chciałaby pani, żeby Sophie wróciła do nas, kiedy wydobreje?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Nie zastanawialiśmy się nad tym. Nie doszliśmy jeszcze tak daleko. Ale może nie, skoro dzieją się tam takie rzeczy. Skoro taką szkołę pani prowadzi, taki typ dziewczynek pani przyciąga, to może to po prostu nie jest miejsce dla Sophie.

– Mogę panią zapewnić, że szkoła nie faworyzuje żadnej konkretnej grupy

dziewczynek, pani Pennington. Jak się pani zorientuje, tego typu sytuacje zdarzają się w każdej szkole niezależnie od tego, jak się reklamuje. Ale sugerowałabym i podejrzewam, że lekarze też pani to doradzą, że najlepszym rozwiązaniem dla Sophie będzie jak najszybszy powrót do normalnego życia. Powrót do szkoły, do muzyki, do wszystkiego, co zna. Możemy w znacznym stopniu ograniczyć negatywne skutki tej sytuacji. Będzie pani zaskoczona. W tym roczniku jest kilka dziewczynek, którym mogę spokojnie powierzyć zaopiekowanie się Sophie, zaprzyjaźnią się z nią, jeśli będzie pani chciała.

– Skoro może pani to zrobić, to dlaczego wcześniej pani tego nie zrobiła?

– Obawiam się, że nie zdawaliśmy sobie w pełni spraw ze stopnia odizolowania Sophie, aż było już za późno. Ale teraz, kiedy mamy tego świadomość, myślę, że odrobina dyskretnej towarzyskiej manipulacji mogłaby zdziałać cuda.

– A co z dziewczyną Mahonych? Czy wróci do szkoły w kolejnym semestrze?

– Z tego co wiem, jej rodzice nie mają zamiaru wypisać jej ze szkoły. Przypuszczam, że moglibyśmy poprosić, żeby nas opuściła, podejrzewam, że tego się pani spodziewa, ale tak naprawdę nie mamy żadnych podstaw, żeby to zrobić. Rozmawialiśmy z kilkoma dziewczynkami z klasy, nieformalnie, oraz z policją, i nie ma żadnych dowodów potwierdzających, że Charlotte była mózgiem tej sytuacji. Krążą tylko plotki na ten temat. Musimy się zastanowić, czy mogłaby ewentualnie stwarzać jakieś zagrożenie, i czy szkoła będzie w stanie pomóc jej z tego wyjść. Możemy rozważyć pewne konsekwencje dyscyplinarne albo przymusowe prace społeczne dla czwórki dziewcząt, które podejrzewamy o udział w pewnej formie fizycznego znęcania się, ale bez twardych dowodów nie możemy zrobić niczego więcej. I oczywiście nie możemy piętnować Charlotte.

– Nie rozumiem dlaczego nie.

– Andi. Nie jesteśmy policją ani sądem, jesteśmy szkołą. Nie mamy możliwości, żeby definitywnie udowodnić jej winę. Poza tym naszym zadaniem jest *edukować* dzieci, a nie je karać. Z pewnością będziemy wprowadzać w szkole kolejne programy przeciw przemocy. – Czeka na odpowiedź, ale Andi tylko wzrusza ramionami. – Jeśli Sophie wróci, możemy zmienić skład klas, tak aby dziewczynki nie miały okazji do zbyt częstych spotkań, dopóki cała sprawa nie ucichnie.

Andi podnosi wzrok.

– Ale ta sprawa i tak nie ucichnie, prawda? Skoro ta historia wyszła na jaw. Trzymaliśmy ją w tajemnicy, ale ludzie i tak wiedzą.



– Wszyscy w szkole wiedzą, że coś się stało. Nie da się całkowicie uciąć tego rodzaju plotek. Pewna grupa dziewczynek z klasy Sophie naprawdę sporo wie na ten temat. Ale nie wiedzą wszystkiego. W obecnym stanie rzeczy mamy możliwość kontrolowania sytuacji w znacznym stopniu, przedstawienia tych wydarzeń w odpowiednim świetle, jeśli pani woli. Możemy powiedzieć, że te plotki są nieprawdziwe, zasugerować, że Sophie miała wypadek. Jeśli pozostawimy to w spokoju, ludzie szybko zapomną – będzie pani zdziwiona. Ale kiedy w mediach pojawi się „oficjalna” wersja tej historii, i jeśli zostaną podjęte jakieś kroki prawne, będzie bardzo trudno zminimalizować szkody.

– Przypuszczam, że tak.

– Nawet jeśli sprawa ucichnie, trudno będzie ją zatuszować. Ale jeśli nada pani jej rozgłos w mediach, to będzie zupełnie inna sytuacja. Pani historia – historia Sophie – nie będzie już należała wyłącznie do niej. Stanie się własnością opinii publicznej. I nigdy już nie zostanie wyciszona. Na zawsze będzie ciążyć na życiu pani córki. Tylko nie wiem, czy tak naprawdę właśnie tego pani chce?

## CZĘŚĆ CZWARTA

## SOPHIE

To najpiękniejszy ze snów. Taki, który chciała, żeby jej się przyśnił. Sen, który zawsze usiłowała przywołać. „Jeśli tuż przed snem pomyślisz o tym, co najbardziej kochasz, Soph – powiedział kiedyś jej ojciec – to na pewno ci się to przyśni. Każdego wieczoru usilnie wyobrażała sobie wszystko, co ją uszczęśliwiałoby, ale to nigdy nie działało. Jej sny wciąż stanowiły mieszankę prawdziwego życia i fantazji – czasem były dobre, czasem przerażające niezależnie od wysiłków, jakie podejmowała.

Ale ten sen – ten sen *jest* ziszczeniem wszystkiego, o czym tak usilnie myślała wiele lat temu – tego, o czym właściwie już zapomniała. Płyną w nim chmury niczym wielkie pianki. Miękkie białe chmury, które widać pod skrzydłami samolotu, tak że chciałoby się wskoczyć na nie i fikać koziółki jak na magicznym dmuchanym zamku zawieszonym w przestworzach. Widzi też jednorożce. Oczywiście, że są tam jednorożce! Różnokolorowe, unoszące się w powietrzu, z cienkimi jak pajęczyna skrzydłami i błyszczącymi rogami. Widzi też tęczę z pasków galaretki obsypanych cukrem, na które można się wspinać i je zjeść. Są tam małe postacie przypominające duszki, które latają i bzyczą. Potem pojawiają się postaci ze wszystkich książek, które przeczytała w dzieciństwie i z ulubionych filmów – są bohaterowie *Bardzo fajnego giganta* i *Matyldy*, są Charlotta i świnka, Charlie i Willy Wonka, Dorotka i jej przyjaciele oraz Harry, Hermiona i Ron grający w quidditcha i rzucający zaklęcia.

W jej śnie co chwilę pojawiają się prawdziwe osoby. Oczywiście matka i ojciec, chociaż nie zajmują się niczym specjalnym, nieustannie ze sobą rozmawiają, ale mówią zbyt przyciszonymi głosami, żeby zrozumiała, o co chodzi, i zawsze mają bardzo poważny i zmartwiony wyraz twarzy. Co jakiś czas pojawia się Gus w samej pieluszce i przypomina jednego z tych aniołków z łukiem i strzałą. Ma małe białe skrzydełka, którymi od czasu do czasu trzepocze, chichocząc jak szalony, jakby nie do końca panował nad tym, co robi. Madame Abramova też tam jest, wygląda na o wiele młodszą i niemalże ładną. Dyryguje jakimś chórem, którego Sophie nie widzi. Są tam ludzie, których od dawna nie widziała, na przykład Ruby Sussex, jej najlepsza przyjaciółka ze Scone. Mama taty, babcia Jess, która umarła, kiedy Sophie była mała, i którą zna jedynie z fotografii, też tam jest, uśmiecha się łagodnie i mówi

do niej, że wszystko będzie dobrze...

Oczywiście sen ma swoją własną ścieżkę dźwiękową – fragment z *Dziadka do orzechów*, którą gra pozytywka z baletnicą. W tym śnie muzyka płynie nieprzerwanie i nie jest to dźwięczny, mechaniczny odgłos, który wydobywa się z prawdziwej pozytywki, ale głębszy, bardziej wyraźny, jakże dobrze znany dźwięk fortepianu.

Najbardziej interesujące w tym śnie jest to, że Sophie właściwie w nim nie ma. Sen przewija się niczym film przed jej oczami, jakby go oglądała, a nie brała w nim udział.

Ale wtedy, jak zawsze, sen się kończy i Sophie musi się obudzić. Nie ma już żadnych jednorożców ani tęczy, żadnych aniołków, quidditcha ani Matyldy...

Jedynie jasne światła w białej sali i odgłos bicia jej własnego serca.

I jakimś sposobem tym razem to ona, Sophie, znajduje się w samym centrum tej historii...

## ANDI

– Czy możemy urządzić przyjęcie urodzinowe, mammo?

Andi jest zaskoczona tą prośbą, ale przyjmuje ją z zadowoleniem. Mają wyjść ze szpitala kilka dni przed trzynastymi urodzinami Sophie i kobieta się zastanawiała, w jaki sposób uczcić to wydarzenie. Trzeba coś zorganizować, ale nie jest pewna, na co Sophie ma ochotę.

Małe przyjęcie rodzinne byłoby doskonałe, myśli, tylko oni we czwórkę i dziadkowie, może jedno albo dwoje spośród jej rodzeństwa razem z młodszymi dziećmi, ale Sophie śmieje się, kiedy Andi o tym wspomina.

– Nie ma mowy. To byłaby kompletna klapa, mammo. – Sophie siedzi po turecku na szpitalnym łóżku i maluje sobie paznokcie na wyjątkowo ohydny odcień niebieskiego – lakier dostała w prezencie od jednej z pielęgniarek.

– Klapa. Jasne. – Andi rzuca spojrzenie Steve’owi, ale on jest zajęty zabawianiem Gusa.

– Spotkanie z rodziną to nie przyjęcie, mammo. Rodzina to normalne życie. Nie sądzisz, że zasługuję na prawdziwe przyjęcie urodzinowe po tym, jak straciłam całą przerwę semestralną? Nie mogę uwierzyć, że jestem w szpitalu od trzech tygodni. To też klapa.

Andi prychnęła.

– Ach, tak, kompletna klapa. Też tak to czuję. Wracając do tego przyjęcia. Kogo chciałabyś zaprosić?

– Oczywiście możesz zaprosić całą rodzinę, jeśli chcesz. – Sophie zawiesza głos, być może czekając, aż matka podziękuje jej za tę wspaniałomyślność, ale kiedy nie może doczekać się żadnej odpowiedzi, mówi dalej: – Myślę, że powinniśmy zaprosić sąsiadów, Geoffa i Liz, oraz tych ludzi, którzy mieszkają po drugiej stronie ulicy. Tych, którzy mają irlandzkiego wilczarza – Mari i Michaela. Naprawdę ich polubiłam. – Andi nie miała pojęcia, że Sophie w ogóle zna jakichś sąsiadów, którzy są raczej młodymi, bezdzietnymi przedstawicielami wolnych zawodów, ale wydaje z siebie pomruk zgody.

– I myślę, że jeszcze pielęgniarki, przynajmniej te trzy sympatyczne, i może doktor

Cominos też powinna przyjść. I... – mówi jednym tchem, nie czekając na odpowiedź swojej matki – i madame Abramową, i może jeszcze kilka nauczycielek. Pannę Foley? Panią Hinchcliffe? A do tego moje przyjaciółki. – Andi wstrzymuje oddech, czeka. – Myślisz, że rodzice Ruby by ją podwieźli? Mogłaby zostać na noc, prawda? I Tess. Jestem pewna, że wypuszczą ją z internatu na to przyjęcie. A Maya mogłaby przylecieć samolotem. W końcu jej rodziców na to stać, prawda? A może my moglibyśmy zapłacić za jej bilet? – Sophie znowu zawiesza głos, intensywnie myśli. – Próbuję zrobić listę przyjaciółek ze szkoły, ale tak naprawdę myślę, że najprościej byłoby zaprosić całą klasę – wiem, że to mnóstwo dziewczyn, ale nie chcę nikogo pominąć. – Lekko wzdycha i patrzy na matkę pytającym wzrokiem.

– Całą klasę, Sophie? Wszystkie koleżanki? – Sophie była w siódmym niebie, kiedy się zorientowała, że większość kwiatów i kartek w jej pokoju zostało przesłanych przez koleżanki z klasy. Jak przewidziała pani Holding, stanowczo chciała wrócić do HLC najszybciej, jak to było możliwe, wyśmiewając każdą sugestię, że powinna rozważyć zmianę szkoły. Mimo to myśl, żeby zaprosić całą klasę na przyjęcie urodzinowe, wydaje się Andi lekką przesadą.

– No nie wiem, czy to jest taki dobry pomysł.

– Wiem, że to będzie trochę kosztowało, mamó. To mnóstwo osób. Mnóstwo przyjaciół. Ale jeśli to za drogo, możemy poprosić, żeby każdy coś ze sobą przyniósł, prawda?

Andi przez chwilę milczy. Rzuca spojrzenie na drugą stronę sali do Steve'a, który pomimo wiercącego się na rękę dziecka zorientował się, o czym rozmawiały. Wygląda, jakby śmiał się i płakał jednocześnie. Powraca wzrokiem do córki, która właśnie podziwia swoje dzieło – dziesięć jaskrawych paznokci na tle nieskazitelnej bieli kołdry.

– No i jak, mamó? W porządku, jeśli powiemy, że mają przynieść coś do jedzenia?

– W porządku, Sophie – odpowiada Andi. – Bardziej niż w porządku. Wspaniale.

## CHARLOTTE

Pierwszy dzień w szkole po przerwie jest wprost surrealistyczny.

Czekają na nią, podobnie jak na wszystkie dziewczynki, nowiny początkowo powtarzane szeptem jako plotka, a potem oficjalnie potwierdzone przez przełożoną szkoły podczas porannego apelu.

– Dziewczynki, chciałabym podzielić się z wami wspaniałą wiadomością. Sophie Pennington, która, jak zapewne wszystkie wiecie, była w śpiączce po tym, jak poważnie zachorowała, właśnie odzyskała przytomność. Według lekarzy nie doznała żadnych trwałych uszkodzeń i prawdopodobnie za kilka tygodni wróci do szkoły. Pochylmy głowy w modlitwie i podziękujmy...

Rozlegają się pełne ulgi westchnienia, pojawiają się ocierane ukradkiem łzy, a niektóre bardziej wrażliwe dziewczynki nawet szlochają. Oczy Charlotte pozostają suche, ale trzyma głowę pochyloną podczas modlitwy i stara się nie patrzeć na nikogo, żeby nie rzucać się w oczy. Ale kiedy gęsiego wracają do klasy i znowu słysząć stłumione szepty, z zaskoczeniem stwierdza, że nikt nie szuka jej towarzystwa ani się na nią nie gapi. Nikt nawet nie patrzy w jej stronę.

Potem, kiedy zostaje wezwana do gabinetu przełożonej, pani Caress, zwykle zręczliwa szkolna sekretarka, jest dziwnie życzliwa i rozmowna, pyta ją, jak minęły ostatnie tygodnie, a nawet częstuje ją cukierkiem miętowym ze swoich zapasów, kiedy Charlotte czeka na rozmowę z panią Holding. Kiedy w końcu zostaje wprowadzona do gabinetu, trzęsą jej się kolana i pomimo cukierka zasycha jej w gardle. Charlotte jest zaskoczona życzliwością pani Holding. Oczywiście, że wygląda dość groźnie, ale Charlotte wyczuwa, że pod powierzchnią tej surowości kryje się troska i matczyna dobroć.

Oczywiście pani Holding robi jej wykład, właściwie powtarzając to, co wcześniej jej matka i ojciec powiedzieli na temat tego, co znaczy być dobrą i współczującą osobą, że nigdy nie można być okrutnym, że trzeba się opiekować słabszymi. Miesza w to wszystko Boga, co jest jej powinnością, jak przypuszcza Charlotte, bo w końcu HLC to szkoła wyznaniowa.

Przełożona mówi, że wie o tym, że w głębi duszy Charlotte jest dobrą, mądrą

dziewczynką, że ma ogromny potencjał – potencjał leaderski – i że nie sądzi, żeby miała cierpieć z powodu tego, że popełniła jeden dziecinny, bezmyślny, choć poważny błąd. Pani Holding uważa, że Charlotte już została ukarana, być może *najmocniej* przez swoje własne sumienie, i jest pewna, że wyciągnęła z tego doświadczenia ogromną naukę, i że to się nigdy więcej nie powtórzy. Mimo to istnieje konieczność podjęcia pewnych działań naprawczych – ona, przewodnicząca rady naukowej i szkolna pedagog spotkają się w drugiej połowie tygodnia, żeby zaplanować odpowiednie działania, prawdopodobnie program pracy społecznej, ale w międzyczasie Charlotte powinna podziękować w modlitwie, że Sophie wyzdrowiała, i poczynić starania, żeby zastanowić się nad tym, co Jezus i Ewangelia mówią na temat wybaczenia.

Pyta nawet Charlotte, czy chce coś powiedzieć, a kiedy ta wyjaśnia po raz tysięczny, że naprawdę bardzo przeprasza, że postąpiła tak podle w szkole i na tym głupim ASKfm, ale że nie miała, naprawdę nie miała nic wspólnego z tą stroną internetową, i że nie kazała Sophie się zabić, że nigdy nie zrobiłaby czegoś tak potwornego, pani Holding tylko kiwa głową i poklepuje ją po dłoni.

– Obawiam się, że tego nigdy nie będziesz w stanie udowodnić, Charlotte. A niezależnie od tego, czy ci się to uda, czy też nie, wielu ludzi, w tym Sophie i pewna grupa twoich rówieśniczek, będą uważać, że jesteś za to odpowiedzialna. Będziesz musiała nauczyć się z tym żyć albo raczej sprawić, żeby inni o tym zapomnieli. Ale jesteś silną i bystrą dziewczynką – uśmiecha się niewyraźnie – i jestem pewna, że odnajdziesz swoją drogę. A teraz zmykaj z powrotem do klasy. I możesz przysłać do mnie Amelię Carrington. Zdaję sobie sprawę z tego, że zostałeś o to posądzona, ale będę rozmawiać także z innymi dziewczynkami, które były w to zamieszane – i powiem im dokładnie to samo co tobie. – Pani Holding ma poważną minę. – Nie chcę, żeby którakolwiek z moich dziewczynek była ofiarą prześladowania, ale nie chcę również, żeby któraś z nich *była* prześladowcą.

Charlotte czuje się niemalże przytłoczona tym poczuciem ulgi. Nie została wyrzucona ze szkoły ani nawet zawieszona w prawach ucznia. Być może będzie musiała odrobić jakieś prace społeczne, ale właściwie nie dostała żadnej kary. Nie ukarano jej również żadnymi punktami za niewłaściwe zachowanie. A kiedy wróciła do klasy, nieoczekiwanie poczuła przyjemność z tego, że wzbudza w innych swego rodzaju przerażenie, zwłaszcza w Amelii, Harriet i Grace, którym jakimś sposobem udało się odciąć od tej sprawy.

Przed przerwą obiadową każda z dziewczynek była na rozmowie u pani Holding, ale żadna z nich nie chciała podzielić się tym, co zostało powiedziane. Wydaje się,



jakby nic się nie zmieniło, jeśli chodzi o ich przyjaźń. Paczka, którą tworzy ta czwórka, wciąż ma się dobrze – Charlotte, Amelię, Harriet i Grace nadal łączy silna więź. Dołączyła do nich nowa dziewczynka, Esther, która właśnie przeprowadziła się z Republiki Południowej Afryki i przesiaduje z nimi na przerwie obiadowej, obiecując, że nauczy je, jak zrobić śliczne wyplatane bransoletki przyjaźni, które nosi schowane pod długimi rękawami.

Pozostałe dziewczynki zachowują się jak zwykle – chichoczą albo się sprzeczą, jedzą albo nie jedzą, plotkują na temat tego, która jest w łaskach, a która w niełaskach, która została odsunięta, a która jest zdziwą, która przytyła, a która schudła. Poza chwilowym wybuchem emocji, który nastąpił po porannym oświadczeniu, właściwie prawie nikt nie wspomina o Sophie. Charlotte przypuszczała, że ta próba samobójcza, nękanie, strona internetowa, nadal będą tematem szkolnych rozmów. Spodziewała się, że będzie przedmiotem gorączkowych szeptów, adresatką krzywych spojrzeń. Ale poza tą dziwną oziębłością i kilkoma uszczypliwymi uwagami ze strony Matty Matherson i Bridie Stevenson, które najwyraźniej stały się osobistymi orędowniczkami Sophie, nie działo się nic, z czym nie mogłaby sobie poradzić. W dynamice grupy nic się nie zmieniło. Kiedy nadeszła wiadomość o powrocie Sophie do zdrowia, wydawało się jakby wydarzenia z zeszłego semestru w ogóle nie miały miejsca.

A na koniec dnia stała się rzecz najdziwniejsza – Charlotte otrzymała coś w rodzaju publicznego przebaczenia. Pani Holding osobiście przyszła do klasy, żeby przekazać informację – Sophie Pennington urządza przyjęcie z okazji trzynastych urodzin i chciałyby, żeby klasa się na nim zjawiała. Zaproszenie zostało wystosowane do całej klasy. *Bez żadnego wyjątku.*

## BETH

Wieczorem przed rozpoczęciem semestru Beth i Dan proszą dziewczynki na rozmowę i mówią im, co się dzieje. Wyjaśniają najprościej, jak potrafią, że dostali list adwokacki od prawnika Pennigtonów, wspominają o artykule, który ma się ukazać, i o konsekwencjach tego, że cała sprawa zostanie publicznie ujawniona. Rozmawiają z nimi o tym, co może się wydarzyć w szkole. Nie ma sposobu, żeby całkowicie ochronić je przed tym, co na pewno zostanie powiedziane. Najwidoczniej dziennikarka zadzwoniła do kilku rodzin, nauczycieli, a nawet do szkoły. Z tego, co im wiadomo, nikt nie zgodził się z nią porozmawiać, a prawo zabrania wymieniania z nazwiska osób nieletnich, ale nie oznacza to, że w szkole nie pojawią się jakieś gwałtowne reakcje. Ostrzegli dziewczynki, żeby zachowały spokój.

– Nie ma potrzeby – powiedział im Dan, starannie ważąc słowa – żebyście odpowiadały na zaczepki. Bez względu na to, jak się będą zachowywać, nie reagujcie na to. Rozmawialiśmy z panią Holding, która powiedziała, że jeśli usłyszycie jakąkolwiek złośliwą uwagę, macie wtedy od razu przyjść do jej gabinetu i ona sobie z tym poradzi. Poza tym – dodaje, zwracając się do Charlotte – powiedziała mi, że z samego rana będzie z tobą rozmawiać, więc bądź na to przygotowana.

Dziewczynki zaskakująco spokojnie podchodzą do sytuacji, chociaż Beth nie ma pojęcia, jakie myśli krążą po głowie Charlotte. Zrobiła się tak ostrożna, jeśli chodzi o słowa, miny, działania, że nie wiadomo, co naprawdę czuje.

Jedyną osobą, która wyszła z tej sytuacji nietknięta, a pod pewnymi względami nawet silniejsza, jest Lucy. W chwilach, w których Beth potrafi dostrzec jakąkolwiek dobrą stronę w tych wydarzeniach (oczywiście istnieją jeszcze inne rzeczy, z których można się cieszyć: nadal jest mężatką, Dan ma pracę, dzieci są zdrowe, nikt w pracy Dana nie wie, co tak naprawdę się stało, w ciągu kilku tygodni ma się rozpocząć montaż nowej kuchni), podziwia niezwykłą odporność Lucy. Charlotte ma umówioną wizytę u psychologa i Beth zastanawia się, czy wysłać tam również Lucy, wyobrażając sobie wszystkie możliwe negatywne skutki tej traumy, którą przeżyły w ciągu ostatnich kilku tygodni, ale za każdym razem, kiedy pyta ją, jak się czuje, czy potrzebuje z kimś porozmawiać, Lucy zapewnia ją, że czuje się dobrze. *Naprawdę.*

– A twoje przyjaciółki? – dopytuje Beth. – Czy wszystkie zachowują się wobec ciebie

w porządku? Nie plotkują za bardzo? Nie wypisują złośliwych komentarzy w mediach społecznościowych? Nie zostałaś odrzucona?

Lucy patrzy na nią z lekkim politowaniem.

– Mamo, przecież to mnie nie dotyczy, wiesz o tym. Jedna czy dwie dziewczyny o tym wspomniały. Ale ja nie zadaję się z takimi wrednymi dziewczynami jak Charlie. Przecież wiesz. Najpopularniejsze dziewczyny w szkole nie wiedzą nawet, że istnieję.

Mówi o tym z dziwną nutką satysfakcji. Kiedyś Beth usiłowałaby wyciągnąć z niej, co dokładnie ma na myśli, i czy naprawdę jest zadowolona ze swojego statusu w grupie. Kiedyś Beth zamartwiałaaby się, czy aby Lucy celowo nie sabotuje swoich sukcesów na polu kontaktów towarzyskich, że nie dość ambitnie wybiera sobie przyjaciółki, albo że ma wąskie horyzonty – albo jeszcze gorzej – że jest tak pełna samozadowolenia (geny Margie), że może przegapić inne możliwości, wartościowe przyjaźnie. Zamartwiałaaby się, że może to świadczy o niskim poczuciu własnej wartości, i próbowałaby zrobić coś, żeby jej to zrekompensować. Ale teraz z radością bierze zapewnienia Lucy za pewnik, zwyczajnie odczuwając ulgę. Pomimo tego, co się stało, z ich starszą córką wszystko jest w porządku. Lucy, która być może nie jest królową pszczoł, samicą alfa ani nawet jedną ze szkolnych liderek przyszłości – na pewno jest twarda jak skała.

Relacja Lucy z młodszą siostrą najwyraźniej też na tym wszystkim nie ucierpiała. Właściwie odkąd to wszystko się wydarzyło, dziewczynki nawiązały ze sobą bliższą więź niż kiedykolwiek, bliższą, niż miały przez ostatnie lata. Kiedy zawsze burzliwe życie towarzyskie Charlotte utknęło w martwym punkcie, miały więcej czasu dla siebie. Siedziały przytulone na sofie, gdy oglądały filmy, albo huštały się razem po dwóch stronach hamaka, czytając. Pojawiły się również na wpół zabawne, na wpół wyczerpujące chwile, kiedy jednoczyły siły przeciwko rodzicom i stawały murem za sobą jak nigdy przedtem. Nie chodzi o to, że kiedykolwiek ze sobą walczyły, ale przez ostatnie kilka lat, kiedy Charlotte nieuchronnie doganiała starszą siostrę w tak wielu dziedzinach, w niektórych nawet ją prześcigając, ich wzajemne stosunki się ochłodziły.

Beth nigdy nie potrafiła znaleźć przyczyny takiego stanu rzeczy. Nie była to jawna wrogość, ale dystans między nimi wyraźnie się zwiększał, co mogło być związane ze zmianą relacji starsza-młodsza, która czyniła je prawie równymi sobie. W tym całym zamieszaniu Beth cieszy się z tego, że Lucy odzyskuje nieco swoją wcześniejszą przewagę. Charlotte ma w sobie trochę więcej pokory i w pewien sposób ustępuje pola Lucy, i nawet znajduje pewną pociechę w tym, że znowu przyjmuje rolę młodszej

siostry, która nie sprzeciwia się powszechnie obowiązującemu autorytetowi starszego rodzeństwa. Beth zastanawia się, czy zorganizowali im odpowiednią pomoc psychologiczną i ochronę.

Pierwszego dnia szkoły Beth nie oddala się z domu, sprząta, wiesza pranie, usiłuje napisać nowy post na swój mocno zaniedbany blog i martwi się, że zostanie wezwana do szkoły, że wydarzy się tam jakiś dramat. O dziewiątej trzydzieści odbiera telefon od Drew.

– Słyszałaś?

– Co? Jakież złe wieści? – Najpierw przychodzi jej na myśl, że ukazał się ten artykuł, a potem, co wprawia ją w zażenowanie, że Sophie zmarła.

– O Boże, przepraszam. Nie, mam dobre wiadomości. Dzwoniła pani Holding. Sophie Pennington wybudziła się ze śpiączki w weekend. Nadal pozostaje na obserwacji, ale wygląda na to, że w pełni odzyska zdrowie, i przypuszczają, że w ciągu kilku dni zostanie wypisana do domu.

Oczywiście to są dobre wiadomości, ale nad ich głowami wciąż wisi podwójny topór w postaci artykułu i groźby podjęcia kroków prawnych. Beth usiłuje wyrazić swoją ulgę, ale Drew jej przerywa, w lot domyślając się, co ma zamiar odpowiedzieć.

– To wspaniałe wiadomości, ale wiem, że mogłyby być lepsze. Zdaje się, że w zeszłym tygodniu pani Holding porozmawiała z matką tej dziewczynki. Pojechała do szpitala, starała się przemówić jej do rozumu. Zadzwoń tu i ówdzie, może czegoś się dowiem. Może teraz, kiedy nic już jej nie zagraża, będą mieli na to inne spojrzenie. Może dadzą sobie spokój.

– Dzięki, Drew. Naprawdę jestem ci wdzięczna. Za wszystko.

– Przykro mi tylko, że tak to się potoczyło z pracą. Naprawdę wolałbym, żeby to inaczej wyglądało. Ale taka jest polityka, co? Kiedy wszystko ucichnie, cóż, wtedy będziemy mogli jeszcze raz przyjrzeć się sytuacji.

Próbuje kilka razy dodzwonić się do Dana, ale ma spotkanie z klientami i nie oddzwania. Głos jego asystentki niczego nie zdradza – nawet przy trzeciej próbie Beth nie znajduje żadnego słabego punktu w jej chłodnej uprzejmości.

– Przykro mi, pani Mahony. Pan Mahony nadal jest na spotkaniu. Na pewno przekażę, że pani dzwoniła.

Kiedy dziewczynki wracają do domu, tłoczą się we trzy w kuchennym kąciku, żeby wypić popołudniową herbatę i zjeść podwieczorek, na który Beth przygotowała coś specjalnego – naleśniki z dżemem i ze śmietaną – i chociaż obie wyglądają na nieco

przygaszone, nic nie wskazuje na to, żeby zdarzyło się coś więcej niż w zwyczajny szkolny dzień. Beth pyta, ale ostrożnie, usiłując nie dać po sobie poznać, że jest zmartwiona.

– Wszystko w porządku? Czy ktoś coś mówił? – Żadna z dziewczynek przez chwilę nie odpowiada, ale tylko dlatego, uświadamia sobie Beth, że nie chcą przerywać uczty.

Charlotte odzywa się jako pierwsza.

– Było w porządku, mamó. – Przewraca oczami, lekceważąco wzrusza ramionami, co najwyraźniej weszło jej w nawyk. – To nic wielkiego. Oczywiście wszyscy martwią się o biedną Sophie, ale poinformowano nas, że czuje się o wiele lepiej i nie usłyszałam od nikogo niczego nieprzyjemnego. Musiałam iść na rozmowę do pani Holding, ale wezwała też Amelię, Grace i Harriet. Mówi, że musimy żyć dalej. To było straszne i oczywiście sytuacja wymknęła się troszeczkę spod kontroli, ale ona wie, że tak naprawdę to niczyja wina. Pani H. mówi, że każdy popełnia błędy, i że mam ogromny potencjał, bla, bla, bla, więc wszystko w porządku. Powiedziała, że ja, Grace, Harriet i Amelia będziemy musiały odrobić prace społeczne. Ale to przecież będzie frajda, nie sądzisz?

Beth wątpi, żeby reakcja szkolnej społeczności była aż tak neutralna, jak utrzymuje Charlotte, i zastanawia się, czy to jest sedno tego, co pani Holding powiedziała jej córce, czy też część, którą ta zapamiętała. W głębi duszy cieszy się z tego, że Charlotte z takim spokojem podeszła do całej sprawy, że te wydarzenia nie będą jej prześladowały, w jakiś sposób przerażały, ale z drugiej strony ta gładka mowa córki, łatwość, z jaką to wszystko przyjęła, jawny brak skruchy mrozą jej krew w żyłach. Właśnie tego chciała, to zawsze chciała uzyskać – potwierdzenie poczucia własnej wartości, odporność, emocjonalną dojrzałość. Ironia losu nie odstępowała jej ani na krok.

Kiedy Lucy zdaje relację z całego dnia w szkole, kładzie nacisk na nieco inne kwestie.

– To było wspaniałe, kiedy ogłosili, że Sophie będzie zdrowa. Niczym jakiś cud. – Ale nie jest taka pewna reakcji innych dziewczynek. – Nie stało się nic strasznego, właściwie nikt nie powiedział niczego złośliwego – pospiesznie zapewnia matkę – ale jestem pewna, że kilka dziewczyn rozmawiało o tym, co się wydarzyło. I nauczycielki też. Niektóre były *dziwne*. No wiesz, to widać. Pomyślałam, że panna Foley jakoś dziwnie się zachowywała.

Charlotte słucha swojej siostry, nieco marszcząc brwi.

– Wiesz Lucy, jak wyobrażasz sobie, że ludzie nadal o nas rozmawiają, sprawiasz, że to wszystko staje się trudniejsze dla nas obu. W każdym razie tak naprawdę nie ma to na ciebie żadnego wpływu, prawda? W końcu to *ciebie* nie dotyczy. – Smaruje sobie naleśnik grubą warstwą dżemu i śmietany i wkłada go do ust. Powoli przeżuwa, po czym jej twarz się zmienia, oczy zaczynają jej błyszczeć.

– Właściwie mam wam coś wspaniałego do opowiedzenia. Nie wierzę, że o tym zapomniałam!

Telefon Beth brzęczy – to Drew.

– Zaczekaj sekundkę.

Odpowiada z roztargnieniem, wpatrując się w Charlotte, która najwyraźniej zamierza podzielić się swoimi nowinami.

Drew nie przejmuje się subtelnościami.

– Wszystko dobrze, Beth. Rozmawiałem z adwokatem Pennigtonów i zdaje się, że postanowili zostawić tę sprawę w spokoju.

– Och, dzięki Bogu.

– A nawet lepiej. Dowiedziałem się od swojej wtyczki w „Heraldzie”, że historia została przeredagowana. Nie ma w niej żadnej wzmianki na temat córki Pennigtonów ani na wasz temat. Dosłownie w ostatniej chwili, więc było trochę nerwów. Zdaje się, że Penningtonowie stchórzyli. Może artykuł nie poszedł w tym kierunku, w którym się spodziewali, no i oczywiście odzyskanie przytomności przez tę dziewczynę zmieniło sytuację. Na szczęście dla ciebie dobre wiadomości są takie, że nie ma złych.

Beth pozwala Charlotte opowiedzieć swoją niesamowitą historię, zanim przekazuje nowiny od Drew, chociaż trudno jej powstrzymać radość. Czuje ulgę.

– Nigdy byś na to nie wpadła, mamo. Sophie nie tylko ma się lepiej, ale w przyszłym tygodniu organizuje przyjęcie z okazji trzynastych urodzin. Pani Holding powiedziała nam o tym na ostatniej lekcji. – Z satysfakcją zauważa zaskoczony wyraz twarzy swojej matki, po czym mówi dalej. – Ale to jeszcze nie wszystko. Zaproszenie dostała cała klasa. I pani Holding podeszła do mnie, żeby się upewnić, że zrozumiałam, że też zostałam zaproszona, i powiedziała, że naprawdę powinnam tam pójść. Powiedziała, że to byłby ważny gest *pojednania* czy jakoś tak.

– Wielkie nieba! – Beth jest zaszokowana. – To cudownie! Właśnie odebrałam telefon od Drew, który powiedział mi, że Penningtonowie jednak postanowili nie

wnosić oskarżenia. I najwyraźniej w tym artykule nie pojawią się żadne informacje na ten temat. – Jakby cały ten koszmar zniknął, a teraz będzie tak, jakby to wszystko nigdy się nie wydarzyło.

– To wszystko jest lekko zwariowane, co? – Charlotte sprawia wrażenie nieomalże zadowolonej z siebie. – Pewnie byłoby zupełnie inaczej, gdyby Sophie umarła, ale – wypowiada te słowa prawie obojętnie, nakładając śmietanę na kolejny naleśnik – ktoś mi powiedział, że to będzie niesamowite przyjęcie – tematem przewodnim będą jednorożce. I te wszystkie zabawy dla dzieci, jak mumie i przypnij ogon osiołkowi. Nie mam pojęcia, jak się ubrać. Czy mamy się przebrać, czy włożyć normalne ubrania? Wiesz, Lucy?

Ale jej siostra nie jest w stanie odpowiedzieć. Płacze po cichu, ze zwieszoną głową, kryjąc twarz w dłoniach. Beth, zaskoczona, przysuwa się do niej.

– Lucy, Lucy, kochanie. Co się dzieje? Czy coś się stało?

– Na pewno ciebie też zaprosili, jeśli w tym problem. Wiesz przecież, że Sophie lubi cię o wiele bardziej niż...

Lucy przerywa siostrze.

– Nic się nie dzieje. – Zza łez wylania się drżący uśmiech. – Byłam taka przerażona. Tak bardzo się tym wszystkim martwiłam. Tym, że stanie się coś złego. Że Sophie umrze, a Charlotte, że Charlotte będzie miała kłopoty. To było takie straszne. Tak bardzo się cieszę. Nie mogę uwierzyć, że już po wszystkim. A teraz jeszcze to zaproszenie. To cudowne.

Beth bierze swoją starszą córkę w ramiona, przyciska ją do siebie najmocniej, jak potrafi.

– Zbyt wiele wrażeń. Wiem. Jestem przy tobie, kochanie. – Czuje, jak łzy same napływają jej do oczu. – Jestem przy tobie.

CudowneDziecko.com

Przypadkowy fakt nr 2

## Jak wywołać wymioty

Internet jest prawdziwą kopalnią sposobów, jak to zrobić. Wszyscy wiemy, że można sobie włożyć palce do gardła i trochę nimi poruszać, ale może być trudno zrobić coś takiego w miejscu publicznym. Następnie istnieje jeszcze sposób z musztardą i ciepłą wodą, ale to też może wyglądać dziwnie. Musztarda pewnie sprawi, że wszystko podejdzie wam do gardła, ale... Jest jeszcze coś o nazwie Ipecac, tylko skąd, kurwa, wziąć takie dziadostwo?

Wygląda na to, że najprostszą i najłatwiejszą do ukrycia metodą jest ta z solą. Wystarczy dodać kilka łyżeczek soli do wody (a nawet do soku albo lemoniady), potrząsnąć energicznie i *voilà!*

A właściwie *blee!*

## KOMENTARZE

**@DrPat** pisze:

Cześć, Cudowne Dziecko. Wymioty to z pewnością kiepski sposób na rozwiązanie problemu związanego z wizerunkiem własnego ciała, którego zapewne doświadczasz. Masz troskliwych rodziców albo przyjaciół, którzy mogą pomóc? Jeśli nie, nie wahaj się napisać: [DrPat@syracuseclinic.com](mailto:DrPat@syracuseclinic.com).



## SOPHIE

Niczego nie planowała. Właściwie pomysł tego zaproszenia powstał spontanicznie w duchu, jak to ujęła pani Holding, pojednania. Sophie budzi się ze swojego długiego snu z głębokim poczuciem spokoju, jakby te jednorożce i tęcza w magiczny sposób wymazały wszystkie złe wspomnienia. Chce odciąć się od przeszłości, oddzielając ją grubą czarną kreską. I chce, żeby wszyscy to zobaczyli. Chce wrócić do szkoły, ponieważ kiedy o niej myśli, dostrzega wiele pozytywnych aspektów, które kocha, i żyć dalej, jakby nic się nie stało.

Ale w miarę, jak zbliża się dzień przyjęcia urodzinowego (które będzie nieco skromniejsze niż początkowa spektakularna koncepcja Sophie), zaczyna ją trochę martwić osobliwość tej sytuacji. Zastanawia się, do jakiego stopnia to będzie dziwne. W jaki sposób przywita się z Charlotte? Co jej powie? A jeśli Charlotte wspomni o tym, co się stało? A jeśli będzie chciała przeprosić? Ta perspektywa jest zbyt przerażająca, żeby się nad nią zastanawiać. Zdaje sobie sprawę z tego, że mama i tata też się tym martwią – podsłuchiwała ich rozmowę na ten temat. I bynajmniej nie chodzi o tę dziwaczność ani nawet o to, że mają na uwadze dobro Sophie. Obawiają się, czy będą w stanie ukryć swoją wściekłość, zachować się uprzejmie. Właściwie w przeddzień przyjęcia są bliscy tego, żeby zadzwonić do Mahonych i odwołać zaproszenie dla Charlotte, ale dziadek Sophie ze strony ojca, który również przyjechał na urodziny, niespodziewanie interweniuje.

– To ważne, żebyście pozwolili tej dziewczynce przyjść – mówi. – Sophie publicznie demonstruje w ten sposób swoją siłę charakteru. Jeśli ma w sobie dość odwagi, żeby stawić czoła swojemu największemu wrogowi, i na tyle wielkie serce, żeby jej wybaczyć, to powinniście ją w tym wesprzeć. Niezależnie od tego, jak bardzo ucierpi na tym wasza własna duma.

Problem polega na tym, że kiedy Sophie staje twarzą w twarz z Charlotte, nagle uświadamia sobie, że tak naprawdę jej nie wybaczyła. Aż do tej chwili dziewczynka nie budziła w niej żadnych szczególnych emocji, może poza tym nieokreślonym uczuciem życzliwości, z jakim podchodziła niemalże do wszystkiego, ale na widok Charlotte czekającej pod drzwiami ze swoją matką i siostrą, z nietypową dla niej powagą na twarzy, wszelkie ciepłe uczucia gdzieś ulatują. W ich miejsce pojawia się

palący gniew, który choć w równym stopniu nieznany, co niespodziewany, nie jest jednak tak do końca nieprzyjemny. Ale Sophie daje radę przywitać się z nią, a właściwie z całą trójką, spokojnie podziękować im za prezent – uroczą srebrną bransoletkę – i zaprowadzić je do kuchni, w której zebrały się już wszystkie pozostałe dziewczynki i kilka matek.

Nawet Sophie zauważa, że rozmowy milkną na chwilę, gdy wchodzi córki i matka Mahony, i rozlega się zbiorowe szuranie nogami, jakby stado zwierząt tłoczyło się razem, żeby poczuć się bezpiecznie. Szybko wracają do rozmowy. Nikt nie spogląda w ich stronę, ani dziewczynki, ani rodzice. Nikt też się z nimi specjalnie nie wita. Matka Sophie, która ma na twarzy dziwny skwaszony uśmiech, uprzejmie je wita. Nie ma żadnych serdecznych uścisków, które wymieniły ze sobą inne dziewczynki i ich matki, tylko ledwie wymuszone „cześć”. Mama Charlotte dziękuje za zaproszenie drżącym i wysokim głosem, uśmiechając się nieco zbyt przyjaźnie. Szybko przeprosza, że musi już iść, macha do wszystkich i Andi odprowadza ją do drzwi. Charlotte przez dłuższą chwilę podąża za matką wzrokiem, po czym zwraca się do Sophie.

– Cześć – zaczyna, jakby unikając jej wzroku – to naprawdę odjazdowo wygląda. – Uśmiecha się, ale jej dolna warga drży.

Sophie nie może powstrzymać się od uśmiechu.

– Nie wiem, czy jest odjazdowo. Ale na pewno *jest* fantastycznie.

Salon został udekorowany dokładnie tak, jak chciała, tęczowymi serpentynami zawieszonymi pod sufitem i jednorożcami różnych rozmiarów, kolorów i kształtów kołyszającymi się pośród barwnych papierowych lampionów. Mają czapki z rogami jednorożca i tematyczne jedzenie – rożki z bitą śmietaną, tęczowe ciasteczka i całe chmury waty cukrowej. W polu widzenia nie ma niczego zdrowego. Kwintesencja przyjęcia dla małych dzieci. Jeszcze kilka tygodni temu dziewczynki by to wyśmiały – właściwie sześć miesięcy temu Sophie nigdy nie odważyłaby się zorganizować takich urodzin, a nawet jeśli by się na to zdobyła, nikt by nie przyszedł. Ale teraz jest tutaj cała klasa, wszystkie dziewczynki w doskonałych humorach i najwyraźniej szczęśliwe, że ją widzą, że tutaj są, i wszystkie w pełnej gotowości, żeby się zaangażować i dobrze się bawić.

Sophie dostrzega, że Charlotte jest niespokojna, że tak naprawdę chce jej powiedzieć coś innego.

– Hej, Sophie, naprawdę fajnie, że dobrze się czujesz – zaczyna, ale Lucy jej

przerywa dość autorytarnym głosem: – Charlotte. Pamiętasz, co powiedziała mama? Wiesz, że mówiła, żebyś nie...

Sophie chciałyby usłyszeć, o czym Lucy przypomina siostrze, która nagle spłonęła rumieńcem, ale właśnie wtedy przychodzi Matylda Matherson ze swoimi dwiema siostrami, i Sophie nie może się powstrzymać, żeby nie zapiszczeć ze szczęścia. Natychmiast zrywa się, żeby je przywitać, zapominając w tym podekscytowaniu o Charlotte.

Usilnie stara się nie śledzić zbyt uważnie ruchów Charlotte podczas przyjęcia, a poza tym jest tyle innych dziewczyn, a wszystkie jednocześnie rywalizują o uwagę Sophie, głośno domagają się, żeby koło niej stać, jeść razem słodczyce, tort, inne dania, towarzyszyć jej w tych wszystkich głupawych zabawach, że bardzo łatwo dać się ponieść całej tej imprezie. Jak przez mgłę uświadamia sobie, że Charlotte zachowuje się o wiele spokojniej niż zwykle, że trzyma się blisko swojej siostry i raczej pozostaje na uboczu niż w centrum wydarzeń. Zauważa również, że inne dziewczyny nie tyle jej unikają, co niekoniecznie biorą ją pod uwagę. Przynajmniej raz Harriet, Amelia i Grace wtopiły się w grupę i nie trzymają się wyłącznie w swoim towarzystwie. Wszystkie tradycyjne podziały zniknęły.

Sophie odbywa krótką i nieco dziwną rozmowę z Lucy, którą spotyka w kuchni, kiedy ta nalewa sobie wody z kranu do kubka.

– Uch, muszę się napić czegoś niesłodkiego – wyjaśnia Lucy. – Nadmiar cukru. Wspaniałe przyjęcie. Dobra zabawa – dodaje tonem wyjaśnienia, mieszając wodę w plastikowym kubku, kiedy to mówi. – Uważam, że to naprawdę bardzo miło z twojej strony, że nas zaprosiłaś... No wiesz, po tym wszystkim.

– No cóż, pomyślałam po prostu, że dobrze będzie... No wiesz, zaprosić wszystkich. – Sophie wzrusza ramionami. Darzy Lucy sympatią, ale nie jest pewna, czy chce z nią teraz – z kimkolwiek – o tym rozmawiać.

– Pewnie nie masz ochoty o tym rozmyślać, ale chciałabym tylko, żebyś wiedziała, że naprawdę mi przykro z powodu tego, co się stało. Z powodu tego, co zrobiła Charlotte i pozostałe dziewczyny. Tak bardzo się cieszę, że z tego wyszłaś. I nie martw się, Charlie nie ujdzie to na sucho. – Lucy z roztargnieniem wypija łyk wody, krzywi się, wciąż potrząsając kubkiem. – No wiesz – chodzi o karmę. W końcu ją dopadnie. Może i jest moją siostrą, ale czasami... – Uśmiecha się znacząco i z powrotem wtapia się w tłum gości, nie czekając na odpowiedź Sophie.

Sophie, która zapomniała, po co przyszła do kuchni, opiera się o framugę.

Przygląda się, jak Lucy podchodzi do stołu z poczęstunkiem, gdzie dolewa do kubka lemoniady i nakłada na talerzyk górę przekąsek, po czym wraca do siostry, która stoi sama. Rozpaczliwy wyraz twarzy Charlotte nieco się rozpogadza, gdy siostra podaje jej jedzenie i picie. Upija duży łyk z kubka, robi minę, wgryza się w bułkę z parówką. Aha, już sobie przypomniała! Amelia i Elinor prosiły o więcej rożków z bitą śmietaną. Sophie lustruje kuchnię, żeby je znaleźć.

Ostatnia zabawa w jednorożce tak naprawdę jest zapowiedzianą wcześniej zabawą w przypnij ogon osiołkowi, dostosowaną do tematyki przyjęcia. Zamiast osiołka mają kontury jednorożca, narysowane przez jej dziadka i pokolorowane przez Sophie. Zdjęcia złotego rogu, które wydrukowano z Internetu i naklejono na karton, zostają rozdane każdej uczestniczce. Tak naprawdę w wieku trzynastu lat dziewczynki są za duże, żeby bawić się w tę grę i we wszystkie inne proponowane na przyjęciu, ale angażują się w ten konkurs równie entuzjastycznie, jak to robiły, kiedy były sześciolatkami. Przepychają się, żeby zająć miejsce w kolejce, i śmieją się ze swoich prób oraz rogów przypinanych we wszystkich niedorzecznych miejscach, z których najlepsze jest to wybrane przez Matty – na samym środku zadu jednorożca. Sprawia, że łapią się za brzuchy ze śmiechu.

Początkowo to mama Sophie zajmuje się obracaniem dookoła i wskazuje pierwszą dziewczynkę, która będzie miała zawiązane oczy, ale potem Lucy, która sprawia wrażenie nie aż tak ucieszonej perspektywą tego, że sama miałaby kręcić się wokół własnej osi, zgłasza się na ochotnika. Dziewczynie to całe obracanie idzie o wiele lepiej niż Andi, wczuwa się w rolę, mocno i szybko kręcąc każdą koleżanką, po czym lekko popycha ją we właściwym kierunku. Kilka dziewcząt narzeka na zawroty głowy po tym kręceniu i trzeba je nakierować na jednorożca, do którego zmierzają komicznie chwiejnym krokiem, a niektóre padają na kolana, jakby były pijane.

Kiedy nadchodzi kolejka Charlotte, Lucy z gracją ciasno zawiązuje jej opaskę na oczach, po czym, pomimo jęczących protestów Charlotte, obraca ją jeszcze szybciej i o wiele dłużej, niż to robiła z pozostałymi dziewczynkami. Zanim ktokolwiek zdoła zaprotestować, Lucy mocno szturcha siostrę w środek pleców. Charlotte stawia jeden powolny krok, potem drugi, po czym przystaje, niebezpiecznie się chwiejąc. Powlócząc nogami, stawia jeszcze jeden krok, a następnie przyciska dłonie do żołądka. Stoi nieruchomo przez kolejną dłuższą chwilę, a wszystkie dziewczynki czekają niczym zahipnotyzowane, obserwując, jak lekko zarysowana fala przesuwa się w górę jej tułowia. Wydaje z siebie pełen udręki jęk, po czym wymiotuje, wylewając spiętrzoną różową masę na podłogę. Wciąż nikt nie rusza na pomoc.

Charlotte szlocha, jej ciałem wstrząsa kolejny spazm. Tym razem nogi odmawiają jej posłuszeństwa i upada ciężko, na oślep, najpierw na kolana, potem na dłonie, w sam środek tej cuchnącej kałuży.

Sophie dostrzega Lucy stojącą z brzegu zadziwionego tłumu, która bacznie obserwuje siostrę. Ma dziwny wyraz twarzy, który szybko znika, a w jego miejsce pojawia się zażenowanie. Sophie szuka matki, która niezbyt szybko idzie na miejsce zdarzenia. Zanim zdąży cokolwiek zrobić, Charlotte wydobywa z siebie kolejny żaloszny skowyt i znowu wymiotuje, a rzygowiny spływają po jej odświętnym stroju.

Chichoty są ukradkowe, szybko tłumione. Sophie kładzie dłoń na ustach, usiłując nie pójść w ślady Charlotte. A potem Matylda Matherson głośno i bezlitośnie stwierdza:

– Och, moja droga. To takie obrzydliwe. Biedna Charlotte. Czy ktoś ma iPhone'a? Musimy mieć całkowitą pewność, że wszyscy to zobaczą.

## BETH

Tak bardzo się cieszy, że Charlotte, a potem Lucy zostały zaproszone na to przyjęcie, że nawet nie myśli o tym, jak niezręczne i bolesne będzie jej spotkanie z Andi. Oczywiście martwi się o Charlotte, stawia ją na pierwszym miejscu, ostrzega ją, żeby za dużo nie mówiła – ani Sophie, ani nikomu innemu. Najlepiej pozwolić, żeby wszystko samo się ułożyło. Tłumaczy jej, że lepiej zostawić wszystko w spokoju, aż sprawa ucichnie i w końcu zostanie zapomniana.

Charlotte patrzy na nią pogardliwie.

– Nie mam zamiaru przeproszać za coś, czego nie zrobiłam, jeśli to cię tak bardzo niepokoi. – Beth ściska w żołądku, ale zachowuje spokój, machając z rezygnacją ręką.

– Dobrze, Charlotte. Mówię tylko, że to okazja, żeby załagodzić sytuację. Penningtonowie zachowali się wspaniałomyślnie i zrobili pierwszy krok, więc my też stańmy na wysokości zadania.

Nie zastanawia się nad reakcją Charlotte, więc własny lęk też jest dla niej zaskoczeniem. Czekać pod drzwiami, słysząc ten radosny harmider w domu, zaczyna się trząść, a serce wali jej głośno. A potem, kiedy uśmiechnięta Sophie wybiega, żeby je przywitać z niewymuszoną życzliwością, przez ułamek sekundy nie może wydobyć z siebie głosu. Gdyby nie oznaczało to pozostawienia Charlotte na pastwę jej własnego losu, natychmiast by stamtąd uciekła. Ale mija chwila, słowa się odnajdują, a ona wchodzi za Sophie i dziewczynkami do środka. Zauważa (jakżeby nie?) tę nagłą ciszę, niczym zbiorowo wstrzymany oddech, kiedy pojawiają się tam we trójkę, ale zmusza się, żeby brnąć w to dalej.

Jakoś udaje jej się przywitać z Andi, której uczucia skrywa uprzejmy uśmiech i zdawkowe powitanie.

– Dziękuję, że je przywiozłaś, Beth – mówi sztywnym głosem. – Sophie bardzo zależało na tym, żeby zaprosić całą klasę. – Tyle można wyczytać między wierszami, ale na szczęście Beth nie ma przestrzeni, żeby coś odpowiedzieć. Nie mówi nic ponad to, czego można się było spodziewać, co jest uprzejme, ale nawet i to wydobywa z siebie zduszonym głosem, nieskładnie, po czym Andi odprowadza ją do wyjścia i otwiera drzwi, żeby ją wypuścić.

– Skończymy o czternastej trzydzieści – informuje, zamykając drzwi z moskitierą i przekręcając zamek, jakby chciała się upewnić, że Beth nie będzie miała możliwości, żeby jeszcze cokolwiek powiedzieć, żeby coś zaproponować. – Dziewczynki będą czekały gotowe przed drzwiami, więc nie ma potrzeby, żebyś wchodziła do środka. – W innych okolicznościach można by to było odebrać jako uprzejmość zaproponowaną dla wygody – nie ma potrzeby wysiadania z samochodu. Ale w tych okolicznościach Beth doskonale wie, że ten gest bynajmniej nie ma na celu ułatwienia jej życia.

Dan spędza popołudnie w biurze, a ona miała zamiar wrócić do domu i napisać nowy post na blog, ale straciła na to ochotę. I co ona ma teraz o tym wszystkim myśleć – jakie obserwacje, jakie refleksje mają jej się nasuwać? Dzieci, praca, małżeństwo, nawet dom – z jakiej perspektywy nie spojrzalaby na swoje życie, nie dostrzegą ani jednej słomki, którą można by zamienić w złoto. Nie napisała żadnego postu od prawie dwóch tygodni, wiadomości od zaniepokojonych czytelniczek piętrzyły się w jej skrzynce, ale poza przesyłaniem radosnych tekstów do swoich najbardziej lojalnych czytelniczek: „Wszystko gra, po prostu jestem zajęta!”, „Bardzo dziękuję, że pytasz. Też za tobą tęsknię. Xxx”, w dużej mierze je ignoruje. Wciąż nie skończyła postu dla ZonaNomadka.com – a termin jego zamieszczenia niebezpiecznie się zbliża. Beth czuje, że wszystko wisi na włosku, a jej motywacja jest bliska zeru. O co w tym wszystkim chodzi?

Czuje się taka podenerwowana po tej wizycie u Penningtonów. Ma rozdygotane nerwy i tępy ból głowy. Wlecze się po schodach na górę, każdy krok jest wysiłkiem, po czym kładzie się na łóżku. Usiłuje czytać, ale jej to nie wychodzi. Słucha audiobooka, ale drażni ją akcent lektora. Próbuje zastosować podstawową technikę medytacyjną, która czasem przynosi jej ulgę – liczy od stu do jednego, robi wdech i wydech, zaczynając od początku, gdy się zgubi. W końcu przy pięćdziesiątym podejściu rozlega się dzwonek telefonu. To Andi.

– Charlotte źle się czuje – informuje energicznym głosem. Nie ma w nim żadnych emocji, żadnego ciepła. – Musisz przyjechać i ją zabrać.

To jakaś katastrofa i to pod wieloma względami. Kiedy przyjeżdża, Charlotte i Lucy czekają na zewnątrz przy bramie wjazdowej w towarzystwie jakiejś kobiety, którą skądś kojarzy, jednej z klasowych mam, jak przypuszcza Beth, chociaż nie ma pojęcia, jak ona ma na imię, ani nie kojarzy jej córki. Charlotte jest cała czerwona na twarzy, ma zapuchnięte oczy, rozczochrane włosy, i chociaż widać, że próbowano doprowadzić ją do porządku, ma poplamiony i zamoczony przód swetra i spodnie na

kolanach. Lucy wspiera ją, stojąc u jej boku, najwyraźniej próbuje ją pocieszyć, ale zostaje zignorowana. Kiedy ją dostrzegają, Beth się zastanawia, czy nie przywołać ich gestem ręki, żeby do niej podeszły, ale w końcu zachowuje się tak, jak należy, niechętnie wysiadając z auta i podchodząc do oczekującej na nią trójki.

Charlotte przebiega koło niej bez słowa i znika na tylnym siedzeniu, zatraskując za sobą drzwi, tymczasem Lucy uprzejmie ociąga się z odpowiedzią. Kobieta pospiesznie wyjaśnia sytuację, zanim Beth ma szansę zapytać ją o cokolwiek.

– Chciała poczekać na zewnątrz, biedactwo. Trochę śmierdzi. Andi właśnie sprząta, więc pomyślałam, że tutaj z nimi zaczekam. Obawiam się, że nastąpiła kompletna katastrofa. Charlotte źle się poczuła podczas zabawy. Nie zdążyła dobiec do łazienki. To drewniana podłoga, więc chyba nie zostaną plamy, prawda, Lucy?

Ale Lucy nie obchodzi stan podłogi Penningtonów.

– Właściwie to moja wina, mamó. Miałam kręcić wszystkimi dziewczynkami i zupełnie się nad tym nie zastanowiłam. Czuję się naprawdę okro...

– Och, nie, to niczyja wina, kochanie – kobieta przerywa, chcąc dodać jej otuchy. – Chyba po prostu za dużo zjadła. To się czasem zdarza. Napoje gazowane, słodczyce, tort. Całe to podekscytowanie. – Wzrusza lekko ramionami, krzywi się.

– Nic się nie stało. – Beth chwyta Lucy za rękę. – Zabierzemy ją do domu i doprowadzimy do porządku. Czy możesz podziękować ode mnie Andi i Steve'owi? – A potem jeszcze dodaje, nie mogąc się powstrzymać: – I powiedz im, proszę, że bardzo przepraszamy. Ona przeprasza. Powiedz im, że Charlotte bardzo przeprasza za to zamieszanie, które zrobiła.

Charlotte podczas krótkiej podróży do domu nie odzywa się ani słowem, a kiedy docierają na miejsce, nadal milczy, idzie prosto do łazienki i zamyka się od środka. Beth kompletuje czyste ubrania i zostawia je starannie poukładane w kostkę pod drzwiami. Lucy czeka na nią w kuchni, najwyraźniej przygotowana na nieuchronne przepytywanie.

– Co się stało, Lucy?

– Nic takiego, naprawdę. To było straszne, ale Charlotte nic nie zrobiła. Po prostu zwymiotowała – nie mogła się powstrzymać. – Po Lucy wszystko widać, jest wyraźnie zaniepokojona. Beth wie, że córka coś przed nią ukrywa.

– Czy coś jeszcze się wydarzyło?

– To wszystko. Naprawdę.

– Wydaje mi się, że coś przede mną ukrywasz. Bez względu na to, co to jest, musisz



mi o tym powiedzieć, Lucy.

– No dobrze. – Lucy bierze głęboki oddech. – Chodzi o to, że wszyscy się śmiali, kiedy Charlotte wymiotowała. A kiedy przewróciła się i wpadła w tę kałużę, one... – Zawiesza głos.

– Co? Co się stało?

– Jedna z dziewczyn powiedziała coś naprawdę obrzydliwego – o tym, że szkoda, że nie mogą tego sfilmować. Wiesz, żeby umieścić to na Instagramie albo w innym miejscu. Pokazać wszystkim.

– O Boże.

– A potem... To było ohydne. Wydawało się, że minęły całe wieki, zanim ktoś jej pomógł. Charlotte leżała w tym wszystkim, nieustannie wymiotując, miała włosy przyklejone do twarzy i nic nie widziała, a wszyscy zaczęli się śmiać. Nawet niektórzy rodzice. – Lucy ma szeroko otwarte oczy, błyszczące od łez. – Mamo, to naprawdę była moja wina. Pokręciłam nią mocno, ale to tylko dla zabawy. Nie chciałam, żeby źle się poczuła. – Cicho szlocha.

– Oczywiście, że nie zrobiłaś tego celowo, kochanie. To był wypadek.

Beth usiłuje pocieszyć córkę, przytula ją, ale ona coraz bardziej zanosi się szlochem. Lucy obejmuje Beth w pasie, wtula w nią twarz, drżą jej ramiona. Płacz starszej córki staje się coraz bardziej gwałtowny. Łkanie niepokojąco przechodzi w coś, co brzmi jak histeryczny śmiech i przez krótką chwilę Beth ma pokusę, żeby też się tak roześmiać.

CudowneDziecko.com

Przypadkowy fakt nr 3

Jak złamać kość

Istnieje wiele zwariowanych metod, żeby to zrobić. Najbardziej podoba mi się metoda na ziemniaka. Na noc kładziesz ziemniak na ciele, na tym fragmencie, którego kość chcesz złamać, a rano uklepujesz go łyżeczką. A potem – ot tak – łamiesz!

Jeśli ta metoda zawiedzie, co jest pewne, bo jest cholernie głupia, oto ekstremalna rada: może by tak uderzyć w kończynę młotkiem albo zmiażdżyć ją jakimś ciężkim meblem? Tak. Przypuszczam, że to pomoże.

Ciężko będzie to zrobić i będzie bolało jak skurwysyn. Ale naprawdę warto.

KOMENTARZE:

**@PRZYPADKOWACZYTELNICZKA** pisze:

Metoda na ziemniaka! Serio?

## BETH

Wczesnym wieczorem Charlotte nadal nie wychodzi ze swojego pokoju. Beth właśnie ma zamiar podać kolację (nazywają to daniem Margie – kielbaski i tłuczone ziemniaki, marchewka z groszkiem), kiedy słyszy dobiegające z góry krzyki pełne złości. Rozpoznaje głos Charlotte, ostry, nieprzyjemny i oskarżycielski, chociaż nie słyszy dokładnie słów. Woła, stojąc na dole schodów, żeby przestały, ale to nie ma sensu, ponieważ wie, że żadna z nich tego nie usłyszy, i zastanawia się, czy ma interweniować, kiedy rozlega się głośny huk. Słysząc, jak rozbija się coś szklanego, po czym trzaśnięcie drzwiami, na tyle mocne, że trzęsie się sufit i ściany. Potem znowu krzyki, przenikliwe i przerażające, a następnie przeciągły skowyt. Wbiega po schodach, nawet nie przystając, żeby się zastanowić.

W sypialni Lucy ogromna i na pierwszy rzut oka nie do ruszenia dębowa szafa została przewrócona na bok. Lucy też została przewrócona i leży wzdłuż szafy, potwornie krzycząc.

Przedramię i dłoń ma przyciśnięte szafą, a pozostałą część ręki i ramię nienaturalnie wykręcone.

Odłamki szkła z abażura lampy leżą porozrzucone na dywanie. Charlotte klęczy przy siostrze, rozpaczliwie pchając, ale nie jest w stanie przesunąć szafy nawet o milimetr.

– Mamo! Mamo! – krzyczy histerycznie. – Ręka Lucy. Utknęła. Nie mogę jej wyciągnąć. – Nie ma teraz czasu na słowa, a nawet na myślenie, tylko na działania, metodyczne działania niczym w transie, żeby jakoś zdjąć ten ciężar z córki, postawić ją na nogi, sprowadzić na dół, umieścić w samochodzie, zawieźć do szpitala, zadzwonić do Dana.

– Co się stało, Lucy?

Lucy dostała znieczulenie, opatrunek – na szczęście złamanie nie wymaga interwencji chirurgicznej – i leży na szpitalnym łóżku wsparta na poduszkach, i czeka na wizytę specjalisty. Beth jest sama z Lucy. Dan zabrał Charlotte do domu, ale niedługo przyjedzie i zaczeka, aż Lucy zostanie wypisana.

Beth do tej pory unikała zadania tego pytania, nie ma pewności, czy chce poznać

prawdę. Ale nie da się już dłużej zwlekać. Beth wie, wszyscy wiedzą, że nie ma możliwości, żeby ta szafa sama się przewróciła.

Z początku Lucy jest nieugięta w swoim zaprzeczaniu.

– Nie pamiętam – wzrusza ramionami. Ma beznamiętny wyraz twarzy i ton głosu.

– Lucy, daj spokój. Ta szafa nie mogła przewrócić się na ciebie bez pewnej pomocy. Czy z jakiegoś powodu wchodziłaś na nią? Przecież mówiliśmy, żebyś tego nie robiła.

– Kiedy Beth wypowiada te słowa, już wie, że takie rozwiązanie, chociaż pożądane, jest wysoce nieprawdopodobne.

– Nie wiem, mamo. Przysięgam. Ostatnią rzeczą, jaką sobie przypominam, było to, jak ją otwierałam, a potem już pod nią leżałam. Zawsze była bardzo chwiejna.

– Nie jest ani trochę chybotliwa, Lucy. Widziałyście z Charlotte, jak próbowaliśmy z tatą ją ruszyć. I nie daliśmy rady. – Tuż po przeprowadzce Dan i Beth chcieli przenieść ten ogromny mebel do swojego pokoju, ale nie byli w stanie przesunąć go dalej niż kilka centymetrów. – Wymagałoby to pchania z rozmysłem, żeby tak się przewróciła do przodu. Nie mogło się to stać tylko na skutek jej otwierania.

Beth przysuwa się bliżej i pochyla tak, że jej twarz znajduje się na wysokości twarzy Lucy.

– Lucy, jeśli jakimś sposobem zrobiła to twoja siostra, musisz mi o tym powiedzieć. Musimy wiedzieć. – Mówi szeptem, ponieważ te słowa ledwo przychodzą jej na myśl, nie mówiąc już o tym, że ma je wypowiedzieć na głos.

– Jeśli coś jest z nią nie tak, musimy coś zrobić. Charlotte potrzebuje pomocy.

Odpowiedź jej córki jest ostrzejsza niż kły żmii, bardziej zabójcza niż trucizna.

Dan wraca do domu tuż po północy. Beth siedzi w kuchni z otwartym laptopem, próbując zająć czymś swoje myśli. Ugotowała kiełbaski, ale Charlotte odmówiła wyjścia ze swojego pokoju, żeby je zjeść. Dan wchodzi prosto do kuchni i zmierza w kierunku lodówki. Otwiera butelkę piwa i pociąga z niej łyk. Nie patrzy na Beth, nie odzywa się ani słowem.

W końcu Beth mówi:

– Myślę, że przesadzasz. Wiem, że to cholernie obrzydliwe. I wiem, że musimy coś zrobić. Ale nie mam pojęcia, dlaczego zabrałaś Lucy do Margie. Powinna być tutaj. Ze swoją matką, a nie z babcią. I nie powinieneś być mówić Margie, że to wina Charlotte. Lejesz tylko wodę na młyn twojej matki.

Teraz patrzy na nią z niedowierzaniem.

– Leję wodę na młyn *mojej matki*? Co ty, kurwa, bredzisz? To wszystko nie ma nic wspólnego z moją matką. O czym ty mówisz? Pomyślałem po prostu, że tak będzie najlepiej, *najbezpieczniej*. Dla *Lucy*.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że chodzi o coś więcej. Twoja matka uwzięła się na Charlotte, odkąd się tutaj przeprowadziliśmy. Ona jest... No wiesz, myślę, że Margie jest zadowolona z tego, co się stało. Dzięki temu ma potwierdzenie, którego tak potrzebowała. – Słyszając własne słowa, Beth już wie, że zachowuje się irracjonalnie, unikając tego, co tak naprawdę jest na szali, atakując niewłaściwy cel.

– Potwierdzenia, którego niby do czego potrzebowała? Czego według ciebie chce moja matka? – Teraz sprawia wrażenie mniej wkurzonego, bardziej skoncentrowanego. – Och, Bethie. To nie moja *matka* jest tutaj główną winowajczynią.

– Nie wierzę, że tego nie dostrzegasz. Całej tej sytuacji. To oznacza, że ona wygrała. Zawsze ma we wszystkim rację. W sprawie szkoły. W sprawie Charlotte. W sprawie mnie. To jedynie potwierdza wszystko, co do tej pory myślała. – Odczuwa ulgę, że w końcu głośno o tym powiedziała, że połączyła wszystkie te niejasne przeczucia z ostatnich miesięcy w jedną spójną koncepcję, nawet jeśli to nie na tej kwestii powinna się teraz skupić.

– Kurwa mać, Beth. Chyba ci rozum odjęło.

– Mama ma rację, tato. Babcia mnie nie lubi. Właściwie to chyba mnie nienawidzi.

Charlotte stoi w drzwiach kuchni ze skrzyżowanymi ramionami, bladą twarzą, oczami zaczerwienionymi od płaczu. Ale panuje nad emocjami, mówi spokojnym głosem.

– Och, Charlotte. Kochanie. – Beth czuje, jak ściska jej się serce. – Oczywiście, że babcia cię kocha. Wszyscy cię kochają. Nie w tym rzecz.

– Nie kocha mnie. Ale mam to gdzieś. Jest coś jeszcze. Coś jeszcze gorszego. *Lucy*. Ona to wszystko robi – złamana ręka, ta strona internetowa. To musi być ona. Próbowałam to rozgryźć, ale nie rozumiem, dlaczego ona to robi. Dlaczego wciąż stara się wpakować mnie w jakieś kłopoty. Chyba mnie nienawidzi. Jakby zwariowała.

– Och, Charlotte. Twoja siostra niczego złego nie zrobiła. *Lucy* cię kocha. Nie wiem, dlaczego po prostu nie powiesz prawdy, Charlotte. Nie wiem, czy coś ci dolega, co, do cholery, jest grane. Ale te kłamstwa muszą się skończyć. – Dan cały się trzęsie, ma ostry, nieprzyjemny głos.

– Mówię prawdę. Mówię prawdę od samego początku. Powiedziałam, że kilka razy

zachowałam się podle wobec Sophie, w szkole i na tym głupim ASKfm, ale to wszystko. Zrobiłam te zdjęcia, powiedziałam wam. Ale to była tylko zabawa, w którą razem się bawiliśmy i nie umieściłam ich na tej stronie internetowej. Nie wiem, skąd się tam wzięły. Ktoś ściągnął je z mojego iPada. I przysięgam, że nie złamałam Lucy ręki. Nie było mnie nawet w jej pokoju, kiedy to się stało. Siedziałam w swojej sypialni. Przysięgam.

– Jakim sposobem sama przewróciła na siebie szafę? Przecież to niemożliwe.

– Już dawno temu doszliśmy do tego, jak ją przewrócić. Nie pamiętacie? Znalazliśmy tę starą książkę o kołach pasowych i podnośnikach i poprzesuwałyśmy wszystkie meble w naszych sypialniach. To proste.

– Ale dlaczego miałyby chcieć zrobić sobie krzywdę? To bez sensu.

– Nie ma żadnej przyczyny. – Głos Charlotte się trzęsie. – Już mówiłam – ona mnie po prostu nienawidzi. Nie mam pojęcia dlaczego.

– Kochanie, przestań. Po prostu przestań. Nikt cię nie nienawidzi. Wszyscy cię kochamy. Lucy cię kocha i my cię też kochamy. Jesteś naszym dzieckiem – zawsze będziemy cię kochali. – Beth próbuje przytulić córkę, ale ona ją odpycha.

– Nie chcę, żebyście mnie kochali. – Charlotte płacze wielkimi, sążnistymi łzami. – Co mi z tego? Chcę, żebyście mi uwierzyli. – Patrzy prosto na swoją matkę, a usta jej drżą. Bierze głęboki oddech: – A jeśli mi nie wierzycie, to co z was za rodzice?

Co z nas za rodzice? Kiedyś, gdy jeszcze sądziła, że wie, kim są jej dzieci, Beth знаła odpowiedź na to pytanie. Teraz nawet nie chciało jej się nad tym zastanawiać.

ZakreconaLizy.com

## Kiedy coś cię korci

Pamiętam, że kiedy po raz pierwszy ogłosiliśmy, że wracamy do Australii, pewna znajoma emigrantka śmiała się z mojego podekscytowania i powiedziała, że to nie potrwa długo. „Zbyt długo nie było cię w kraju. Jesteś przyzwyczajona do życia na emigracji. Błyskawicznie będziesz miała dość. Daję ci sześć miesięcy, maksymalnie rok, i zaczniesz cię korcić, żeby znowu się przeprowadzić”.

Roześmiałam się. Nie wierzyłam jej. Wróciliśmy na stałe. Najwyższa pora, żeby gdzieś osiąść, dać dziewczynkom możliwość dorastania blisko rodziny, doświadczyć życia w Australii, poprzeciągać się trochę pod bezchmurnym niebem...

Ale wygląda na to, że moja znajoma miała rację. Jeszcze rok nie minął, a my znowu jesteśmy na walizkach. Nie chodzi o to, że nam się tutaj nie podoba – naprawdę lubimy to miejsce! Spełnia nasze oczekiwania pod każdym względem: jesteśmy blisko rodziny, smakujemy krajobrazy i dźwięki naszej ojczyzny, stwarzamy naszym dziewczynkom możliwości i oferujemy doświadczenia, które sami mieliśmy.

Ale. Jakimś sposobem to nie wystarcza. Najwyraźniej jesteśmy uzależnieni, jak widzicie. Uzależnieni od zmiany, przygody, uzależnieni od eksplorowania nowych miejsc.

Chicago, oto jesteśmy.

KOMENTARZE WYŁĄCZONE

## Dziesięć lekcji cudownego dziecka, jak osiągnąć sukces

### Lekcja dziesiąta: Koniec gry

Powiedzmy, że macie dwie córki, które kochacie równie mocno. Jedna z nich przychodzi, krzycząc wniebogłosy, ze złamaną ręką i mówi, że to wina siostry – że przewróciła na nią szafę, że o mało co jej nie zabiła.

Siostry zwykle ze sobą nie walczą i nigdy nie wyrządziły sobie nigdy krzywdy – przynajmniej nie publicznie. Ale jedna z nich ostatnio wpadła w poważne tarapaty. Właściwie tkwi w tym bagnie po same uszy. Ta druga nigdy nie miała żadnych problemów. Przenigdy. Nie jest równie bystra, utalentowana, ładna ani lubiana jak siostra, a przynajmniej tak im się wydawało, ale teraz, patrząc na jej zachowanie, okazuje się, że to *naprawdę* dobry człowiek. Kiedy mówi rodzicom, że jej siostra *celowo* złamała jej rękę, wierzą jej.

Im bardziej siostra protestuje, tym bardziej pogarsza sytuację. Rodzice już całkowicie stracili do niej szacunek. A teraz – nie wiadomo dlaczego, boją się jej. Zabawne, prawda? Może wciąż ją kochają, kto wie? Ale z całą cholerną pewnością jej nie ufają. Hej, może oni w ogóle już jej nie potrzebują. Mimo wszystko istnieją specjalne miejsca dla takich dzieci jak ona.

Ale ta druga siostra. Jest skazana na sukces. Oni już dokonali wyboru: to ona jest tą jedyną.

Cudownym Dzieckiem.

KOMENTARZE:



**@PRZYPADKOWACZYTELNICZKA** pisze:

Jesteś psychopatyczną siostrzyczką, Złotko. Co za ulga, że nie moją.

**@CHARLOTTEMAH** pisze:

Hej, Lucy. Fajny blog. Wow, cóż za wyniki pojawiają się, kiedy wpiszesz „zatrucie oleandrem”! Dlaczego miałabyś skończyć na lekcji dziesiątej? Założę się, że masz więcej tych naprawdę fantastycznych rad dla swoich nieistniejących czytelników. Może jesteś zbyt zajęta, dobrze się bawiąc w Chicago – w końcu teraz jesteś tym jednym dzieckiem...

Tak, poznałam kilka dość interesujących osób w mojej szkole „specjalnej”. Nie jest tak źle, właściwie niczym się nie różni od zwykłej szkoły z internatem. Chociaż pewnie byłoby inaczej, gdybyśmy wszyscy byli złymi dziećmi ze złych domów – nie żeby im było wolno nazywać nas „złymi”. Lol. Wolą nazywać nas „trudnymi” dziećmi. Jednak biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, wolałabym być w tym wietrznym mieście razem z ukochaną rodziną.

Ach, mam jeszcze wiadomości, które mogą cię zainteresować. Kilka tygodni temu moja dawna kumpela Sophie P. przesłała mi wiadomość. Najwyraźniej ta cała katastrofa z wymiotami w trakcie jej przyjęcia urodzinowego nie dawała jej spokoju. Uważa, że mogłaś mieć z tym coś wspólnego i teraz jest zmartwiona tym, że może mimo wszystko to nie ja ją „wrobiłam”. Mnie to też dało do myślenia. Słona woda! Kto by pomyślał?

W każdym razie zrobiłam całe mnóstwo zrzutów ekranu, więc nie musisz zawracać sobie głowy tym, żeby kasować ten syf albo cokolwiek zmieniać. Właśnie wysłałam je do mamy i taty. Z pewnością będą podekscytowani.

LMAO. Do zobaczenia naprawdę wkrótce XXX.

ZakreconaLizy.com

## Kradną ci serce

Co musiałyby się wydarzyć, żebym przestała je kochać? Na pewno wiecie o tym, że to niemożliwe. Wiecie, że miłość matki nie zależy od tego, czy dzieci są łatwe do wychowania, nie zależy od tego, czy zawsze są dobre, miłe, słodkie albo łatwe w obyciu. Jeśli potrafiłyście pokochać noworodka, tego nieustannie płaczącego, zawsze głodnego pożeracza snu, tego, który niszczy wszystko, to wiecie, że potem już nie ma ucieczki.

W chwili, w której przychodzą na świat, sprawa jest przesądzona. Oddajecie im swoje serce i nie ma sposobu, żeby kiedykolwiek je odzyskać.

Nawet gdybyście chcieli.

KOMENTARZE WYŁĄCZONE

## PODZIĘKOWANIA

PODZIĘKOWANIA NALEŻĄ SIĘ WIELU OSOBOM.

Mojej agentce, Alexis Hurley, za jej wiarę w to, że *W sieci zła* w końcu powstanie – i za doprowadzenie do tego, że powstało. Williamowi Callahanowi i Liz Parker z Inkwell Management, których krytyczne uwagi na temat jeszcze nie do końca istniejącej książki okazały się niezwykle cenne.

Mary Rennie, wspaniałej wydawczynie i redaktorce, której łagodne naleganie, żebym napisała tę książkę jeszcze lepiej, sprawiło, że napisałam ją lepiej. Myślę, że Mary przeczytała *W sieci zła* niemalże tyle razy co ja – i wciąż jej się podoba! Staram się znaleźć właściwe słowa, żeby wyrazić moją bezgraniczną wdzięczność, Mary, ale jak najszybciej napiszę to lepiej.

Wspaniałej redaktorce, Amandzie O'Connell, której uroczyście przysięgam, że nigdy więcej nie napiszę pierwszego szkicu książki, przeskakując od czasu przeszłego do teraźniejszego.

Cudownej ekipie Harper Collins Australia – Shonie Martyn, Jamesowi Kellowowi, Alice Wood, Jaki Arthur, Annie Valdinger, Sarah Barrett, Graeme'owi Jones'owi i Hazel Lam – za wasz entuzjazm i wszechstronną perfekcję. Praca z wami była dla mnie ogromną przyjemnością.

Moim pierwszym czytelniczkom – Marie Battisti, Jaye Ford, Susan Francis, Shari Kocher, Sophie Masson, Sharon Noble i Abi Shepherd – które zapewniały mnie, że ta książka jest warta przeczytania, i że trzeba ją poprawić. Mojej siostrze, Rebecce James, która przeczytała ją wielokrotnie i na której bystrym oku oraz nieskończenie cierpliwym uchu zawsze mogę polegać. Mojej przyjaciółce po piórze, Lindzie Martin, której uwagi redakcyjne, jak zawsze, okazały się bardzo cenne.

Richardowi Hardy'emu, którego przejrzyste wyjaśnienia na temat prawa cywilnego pomogły mi rozwikłać niektóre zawiłości fabuły. Komisarzowi Julianowi Thorntonowi z Wydziału Nadużyć i Cyberprzestępczości Policji Nowej Południowej Walii. I byłemu starszemu posterunkowemu Darrenowi Shepherdowi, który dostarczył mi informacji na temat procedur policyjnych i dobrych rad na temat niestusznych wyroków.

Moim specjalistkom od współczesnej młodzieży w wieku dojrzewania, Maddi Battisti i Nell Shepherd, które podpowiadały, kiedy coś kulało, i zaproponowały kilka alternatywnych określeń. Czasem nieświadomie.

Niesamowitym pisarzom i pisarkom z Creative Word Shop za to, że skłonili mnie do zastanowienia się nad tym, w jakim stylu chcę znowu zacząć pisać, oraz Edowi Wrightowi za pomoc w urzeczywistnieniu tych planów.

Jeffreyowi Braithwaite'owi, Kristianie Ludlow i pozostałym członkom ekipy CHRIS z australijskiego Institute of Health Innovation za to, że dzięki nim pozostałam przy zdrowych zmysłach.

Przyjaciołom i rodzinie, którzy dzielą się ze mną opowieściami o rodzicielstwie od ponad dwudziestu pięciu lat – bez was bym tego nie dokonała (pisząc „to”, mam na myśli zarówno wychowanie dzieci, jak i napisanie tej książki). Jesteście moją inspiracją.

Mojej rozległej rodzinie – jak zawsze wasza miłość i wsparcie dają mi nieustanną motywację do działania. Darrenowi, Samowi, Abi, Nell i Willowi – jak zawsze to wy jesteście dla mnie najważniejsi.

I na koniec chciałabym podziękować mojemu ojcu, Tony'emu, który jako adwokat diabła krytykujący Jane Austen, kiedy byłam nastolatką, wprowadził całą maszynę w ruch. Żałuję tylko, że nie przeczytasz już tej książki, Tato.

## PRZYPISY

[1] Mitologia Buffyverse – fikcyjne istoty, miejsca oraz wydarzenia stworzone do serialu *Buffy: Postrach wampirów* i *Anioł ciemności* (przyp. tłum.). [2] LMAO – ang. laughing my ass off – śmiać się do rozpuku. Kiedy skróty LOL i XD już nie wystarczają, najwyższa forma rozbawienia (przyp. tłum.). [3] YOLO – ang. you only live once – żyje się tylko raz (przyp. tłum.). [4] SAHM – akronim, ang. stay at home mum – mama zajmująca się domem (przyp. tłum.). [5] Btw – ang. By the way – przy okazji (przyp. tłum.). [6] TBH – ang. slangowy skrót powiedzenia: to be honest – szczerze (przyp. tłum.). [7] TMI – ang. too much information, skrót, który oznacza – za dużo informacji. Używany zwykle wtedy, gdy rozmówca zdradza nam zbyt wiele prywatnych informacji, o których nie chcemy wiedzieć albo powodują nasze zażenowanie (przyp. tłum.). [8] DUH – slang, coś oczywistego (przyp. tłum.). [9] Ty – ang. slang, akronim thank you – dziękuję (przyp. tłum.). [10] IMFAO – ang. slang, akronim: in my fucking arrogant opinion – moim zdaniem (przyp. tłum.). [11] ROFL – ang. rolling on floor laughing, akronim – tarzać się po podłodze ze śmiechu (przyp. tłum.). [12] Wtf – ang. akronim what the fuck? – co jest, kurwa, grane? (przyp. tłum.). [13] Caress – ang. pieszczota (przyp. tłum.). [14] List do Rzymian, 12:19, Biblia, Stary i Nowy Testament, Edycja Świętego Pawła, Częstochowa 2015, najnowszy przekład z języków oryginalnych, s.1314. [15] Bohaterowie dramatu psychologicznego *Musimy porozmawiać o Kevinie* (2011). Eva, pisarka, jest matką nastolatka Kevina, który sprawia problemy wychowawcze, prowadząc wyrachowaną grę psychologiczną (przyp. tłum.).